

SARAH LOTZ

DZIEŃ
CZWARTEY



S A R A H L O T Z

DZIEŃ CZWARCY

Przełożył Maciej Waclaw



Spis treści

Strona tytułowa

Dedykacja

Witamy na pokładzie

DNI 1,2,3

DZIEŃ 4

DZIEŃ 5

DZIEŃ 6

DZIEŃ 7

DZIEŃ 8

Podziękowania

Dla mojego taty, Alana Waltersa
(zwanego również Doktorem)

Witamy na pokładzie „Pięknego Marzyciela”!

*Gratulujemy wyboru rejsu z firmą Foveros,
Twojego biletu w jedną stronę po relaks i ubaw!
Ubaw! Ubaw! Ubaw!*

Zacznij wakacje życia od drinka w jednym z naszych licznych skąpanych w słońcu barów, a nasi muzycy zachwycą cię niepowtarzalnym brzmieniem. Potem schłodź się w basenie i przejeźdź na zjeżdżalniach Wodny Cud Foveros. Zgłodniałeś? Żaden problem! W naszych restauracjach i bufetach czekają na ciebie przepyszne posiłki, od pięciogwiazdkowych delicji po domowe dania jak u mamusi! Aha, nie zapomnij dogodzić sobie w fantastycznym spa – zasłużyłeś na to! Nasze przedstawienia kabaretowe cię zachwycą, więc rozsiądź się wygodnie i przygotuj na rozrywkę, jakiej dotąd nie znałeś! Naciesz się słońcem na ekscytujących ekspedycjach, podczas których możesz robić zakupy do upadłego w naszych licznych sklepach, nurkować w turkusowych morzach, spróbować jazdy konnej po pięknych plażach i jedzenia *alfresco* na jednej z naszych cudownych prywatnych wysp. A może spróbujesz szczęścia w Kasynie Rozkosznego Marzyciela? Kto wie? Może to twój szczęśliwy dzień!

DNI 1, 2, 3

Rejs raczej nieciekawym.

DZIEŃ 4

Asystentka więdźmy

Maddie odczekała, aż Celine dotrze do półmetka swojego powitalnego monologu, i przecisnęła się między krzesłami w kształcie kapsuł w kierunku pustej przestrzeni na tyłach Audytorium Gwiazdneho Marzyciela. Gdy prawie tam dotarła, w głośnikach zagrzmiął głos opiekuna rejsu i, zagłuszając słowa Celine, przypomniał, że impreza noworoczna rozpoczyna się „Za równo dwie godziny”.

– Głosy z nieba – zazartowała Celine, ale Maddie nie dała się nabrać na ten pokaz dobrego humoru.

Przez cały dzień Celine zachowywała się jak rottweiler z bólem zęba, warcząc na zapleczu na technicznego, który zahaczył o jej suknię podczas przymocowywania nadajnika mikrofonu do jej wózka, i narzekając, że reflektor punktowy jest w nieodpowiedniej pozycji, przez co słabo podświetla jej przypominającą aureolę fryzurę.

– Wiedźcie jedno – kontynuowała Celine po zakończeniu komunikatu. – Kiedy już wszyscy wrócicie do domów, wypoczęci, opaleni i może o parę kilo ciężsi... – odczekała, aż opadnie fala śmiechu – ...nie będziecie sami. Przyjaciele, przez te wszystkie lata, gdy pomagałam ludziom porozumieć się z tymi, którzy przeszli na drugą stronę, dwóch rzeczy stałam się pewna. Po pierwsze: śmierci nie ma. Po drugie: dusze tych, którzy odeszli ze świata fizycznego, ciągle są wśród nas...

Celine odzyskała wątek, więc Maddie pozwoliła sobie na chwilę relaksu. Oparła się o kolumnę i pomasowała szyję, bezskutecznie usiłując ukoić ból głowy prześladowający ją od pierwszego dnia rejsu. Najprawdopodobniej był to efekt uboczny lekarstwa na chorobę morską, które łykała, ale krzykliwość otoczenia nie pomagała. Ktoś, kto zaprojektował wnętrza tego statku, musiał dostawać erekcji na widok neonów à la Vegas i nagich aniołków płci męskiej. Nie było ucieczki od oślepiających iluminowanych palm czy lubieżnych spojrzeń cherubinków. Nic to – jeszcze jedna noc i ucieknie z tej pływającej rudery. Pierwsze, co zrobi po powrocie do mieszkania, to weźmie kąpiel, która zmyje z jej skóry zapach statku. Potem zafunduje sobie prezent i zamówi kolację w Jujubee's – zaszaleje i weźmie specjalność zakładu: kraba z makaronem ryżowym i podwójnym czosnkiem. Będzie mogła sobie pozwolić na kalorie. Przez ostatni tydzień straciła przynajmniej trzy kilo.

– Hej, mała. – Usłyszała w uchu teatralny szept. Odwróciła się i zobaczyła Raya ze wzrokiem wlepionym w jej biust. Porzucił swój zwykły strój złożony z krótkich spodni i marynarskiego T-shirtu na rzecz lewisów i marnej jakości kremowej koszuli, co sprawiało, że wyglądał jak szansonista z obskurnej tancbudy.

– Nie powinienes stać na bramce, Ray?

Dzisiejsza impreza przeznaczona była wyłącznie dla „Przyjaciół Celine”, wyselekcjonowanej grupy osób, które zapłaciły krocie za rejs w towarzystwie „Medium Ameryki Numer Jeden”, i Ray wiedział równie dobrze jak ona, że Celine wściekłyby się, gdyby przybłąkał się jakiś klient za darmo.

Wzruszył ramionami.

– Tak, tak. Ale słuchaj: wiesz, że wczoraj zatrzymaliśmy się w Cozumel?

– No i?

– No i zgadałem się z jednym kelnerem, co mi przemycił butelkę tequili z najwyższej półki. Takiej prima sort.

Siedząca na obrzeżach widowni Przyjaciółka odwróciła się ze zgrzytem na krześle i uciszyła ich. Maddie rzuciła w jej stronę przepaszający uśmiech i syknęła na Raya, by ten mówił ciszej.

– Luz. Czyli za jakiś czas melanz w mojej kajucie. Wchodzisz w to?

Jeszcze więcej głów odwróciło się w ich kierunku.

– Serio, Ray, zamknij...

– Przemyśl sprawę. – Uśmiechnął się z wyższością. – Idę po coś zimnego, szefowa zaczyna nawijkę.

Maddie patrzyła, jak Ray oddala się w stronę baru, po drodze gapiąc się na kelnerkę.

Dupek.

Napięcie wzrosło, kiedy Celine przeszła do głównej atrakcji wieczoru. Przesunęła językiem po wargach, położyła rękę na piersiach i powiedziała:

– Wyczuwam... Kim jest Caroline? Nie, chwileczkę... Katherine? Ktoś na... C albo K. Nie... to na pewno Katherine. Albo Kathy.

Maddie stłumiła w sobie ukłucie poczucia winy, kiedy Jacob, jeden ze starszych Przyjaciół, wstał chwiejnie. Miała słabość do Jacoba. Podziwiała jego wycucie stylu (zwykle ubierał się jak gość na gejowskim weselu) i w odróżnieniu od innych nie był nachalny. Celine przez większość rejsu udawała chorą. Właściwie nie pokazywała się na żadnym ze spotkań z publicznością czy koktajli, więc to Maddie musiała się tłumaczyć. Jej praca

polegała między innymi na kontaktach z wielbicielami Celine, jest jednak ogromna różnica między wymianą wiadomości z samotnymi i zdesperowanymi ludźmi przez Internet a stawaniem twarzą w twarz z ich nieszczęściem. Wysłuchiwanie pełnych nadziei Przyjaciół, oczekujących od Celine nawiązania łączności z ich ukochanymi zaginionymi krewnymi, a czasami nawet nieżyjącymi zwierzętami domowymi, doprowadziło ją na skraj wyczerpania.

– Kathy to moja siostra! – krzyknął Jacob.

– Właśnie to wyczuwam. – Celine pokiwała głową. – Wiedz, że oto nadchodzi. Hej... dlaczego czuję zapach indyka? – zachichotała. – I słodkiego placka ziemniaczanego. I to dobrego placka.

Jacob gwałtownie wciągnął powietrze i otarł łzy.

– Zniknęła pod koniec lat siedemdziesiątych, w okolicach Święta Dziękczynienia. Czy ona... czy zaznała spokoju?

– Tak. Wiedz to. Odeszła ze świata fizycznego i poszła w kierunku światła. Pragnie, byś wiedział, że zawsze, kiedy o niej myślisz, jest przy tobie jej dusza.

Jacob czekał na więcej, ale Celine jedynie uśmiechnęła się do niego beznamiętnie, pokiwał więc głową i usiadł.

Celine ponownie dotknęła piersi.

– Wyczuwam... Coraz trudniej mi oddychać. Jest tu ktoś, kto... odszedł za wcześnie. Mówię o samobójstwie. Tak.

Leila Nelson, koścista, lekko łysiejąca kobieta zapiszczała i wyskoczyła z fotela.

– O Boże! Mój mąż zabił się dwa lata temu.

– Chcę, żebyś wiedziała, że właśnie się zbliża, moja droga. O co chodzi z tym oddechem? Zastanawiam się... czy on się udusił? Czy to się zgadza? Czuję tu tlenek węgla.

– O Boże. Właśnie tak to zrobił! W garażu, w swoim chevrolecie.

– W swoim chevrolecie. – Celine zrobiła pauzę, pozwalając, by przekaz dotarł do Przyjaciół.

– Jakie znaczenie ma kwiecień?

– Urodził się w kwietniu.

– Więc w kwietniu ma urodziny. Tak, to właśnie od niego wyczuwam. Wysoki mężczyzna, zgadza się?

Leila się zawahała.

– John miał metr siedemdziesiąt.

– Z mojego punktu widzenia wysoki, moja droga. – Celine się ożywiła. – Wyczuwam, że... Czy John miał problemy w pracy? Czy to się zgadza?

– Tak! Stracił pracę. Potem już nigdy nie był taki sam.

– A co z tymi butami?

– O mój Boże, on zawsze dbał o buty. Zawsze je polerował, to mu zostało od czasu piechoty morskiej.

– Właśnie to wyczuwam. Mam wrażenie, że był bardzo zadbanym, skrupulatnym człowiekiem. On chce, byś wiedziała, że to, co się z nim stało, sposób, w jaki umarł... to nie miało nic wspólnego z tobą. Chce, żebyś wiodła normalne życie.

– W takim razie nie ma nic przeciwko mojemu małżeństwu?

Cholera. O tym jednym szczególe Leila zapomniała wspomnieć podczas wczorajszego koktajlu dla Przyjaciół Celine, ale Celine nie dała niczego po sobie poznać.

– Wiedz, że jest dumny, że tak dobrze sobie radzisz.

– Ale on był taki zazdrosny. To dla mnie ważne... Czy...?

– Moja droga, muszę ci przerwać, wyczuwam Archiego. – Celine położyła rękę na gardle. – Czuję jego ciężar. Nadchodzi z całą mocą.

Maddie powstrzymała dreszcz. Może i Archie istniał tylko na niby, ale ten główny duch przewodnik Celine – urwis, który rzekomo umarł na suchoty pod koniec XIX wieku w Londynie – przyprawiał ją o ciarki na plecach. W naszych czasach niewiele mediów przekazywało głosy swoich przewodników, a Maddie w skrytości uważała, że zawsze, kiedy „nachodzi” głos Archiego, Celine brzmi jak Dick van Dyke zachłyśnięty wodorotlenkiem sodu.

Celine zrobiła pauzę dla wywołania dramatycznego efektu.

– Jest tu jeden taki, co chce zagadać do Juney – głos Archiego zachrypiał w gardle Celine.

Juanita, Przyjaciółka, która uciszyła Raya, stanęła na równe nogi.

– To ja! Juney to moja ksywka!

Celine wróciła do swojego normalnego głosu:

– Juney, nie czuj się winna, że nie wstawiłaś insuliny do lodówki. On wie, że nie zrobiłaś tego celowo.

Maddie poczuła gęsią skórę na ramionach. Juanita nie wspominała wczoraj o insulynie. Zimny odczyt był specjalnością Celine, ale to był niezwykle precyzyjny szczegół. Zazwyczaj posługiwała się ogólnikami.

Na twarzy Juanity pojawiły się bruzdy.

– Jeffrey? Jeffrey, to ty?

Promień światła przebił się przez mrok, a w drugim końcu sali przez drzwi przemknął mężczyzna. Był dwie dekady młodszy niż średnia wiekowa klientów Celine, miał na sobie obcisłe džinsy i wysokie buty, a ramiona pokryte tatuażami. Ray nie zauważył intruza. Siedział pochylony na stołku barowym, plecami do drzwi.

– Celine del Ray! – krzyknął facet, krocząc w kierunku sceny i celując obiektyw aparatu w swoim telefonie komórkowym w stronę Celine. – Celine del Ray!

Niech to szlag. Tydzień po tym, jak Celine zgodziła się zostać celebrytką na gościnnych występach podczas rejsu, Maddie dowiedziała się za pośrednictwem Twittera, że na pokładzie może znajdować się pewien bloger, i wyglądało na to, że w końcu postanowił się ujawnić.

– Kto to jest?! – zawołała Celine, patrząc zmrużonymi oczami na widownię.

– Zechce pani skomentować fakt, że Lillian Small planuje panią pozwać?

Rozległo się zbiorowe westchnienie. Maddie miała przed sobą zbyt wiele przeszkód, żeby szybko dotrzeć do gościa, a na interwencję obsługi lokalu nie miała co liczyć. Na szczęście Ray zrozumiał, co się dzieje, i przepychając się przez tłum, ruszył do intruza.

– Znacie państwo tę historię, prawda? – Mężczyzna zwrócił się do Przyjaciół gapiących się na niego z szeroko otwartymi ustami. – To tak zwane medium, ta hiena, zalało panią Small informacjami, z których wynikało, że jej wnuczka i wnuk mieszkają na Florydzie, mimo że badania DNA... – Zawahał się. – Dowodziły, że... – Zasłonił dłonią usta. – O, kurwa.

Momentalnie zawrócił, odepchnął Raya i wybiegł, a drzwi zamknęły się za nim z hukiem.

Ray spojrzał szybko na Maddie, a ta gestem nakazała mu iść za blogerem.

Celine ponownie zachichotała, jednak zabrzmiało to sztucznie.

– Ach, powiem wam, to był... Dajcie mi minutę.

Wzięła łyk wody Evian z butelki schowanej w kieszeni wózka. W pomieszczeniu zapanowało krępujące milczenie.

– Wiecie, niedowiarków nigdzie nie brakuje. Ale mogę jedynie powtórzyć to, co mówi mi Duch. Ta sytuacja... Rozumiecie... Czekaście... Wyczuwam tu coś jeszcze. Wiecie, czasem duchy nachodzą z taką mocą, że czuję smak tego, co one, doświadczam tego, co one. Dociera do mnie... dym. Czuję dym...

Słyszę... Czy ktoś z was stracił bliską osobę w pożarze? Czy to komuś coś mówi?

Nikt się nie zgłosił. Maddie zeszywniała.

– To może być... Tak, czuję paliwo, myślę, że to mógł być wypadek samochodowy. Wyczuwam... Jakie znaczenie ma autostrada I-90?

Zgłosił się Przyjaciół, którego kuzyn w drugiej linii zginął wiele lat temu w czołowym zderzeniu na tej autostradzie. Maddie znowu mogła odetchnąć. Ray wsunął się z powrotem do sali i pokazał Maddie, że wszystko jest w porządku. Spojrzała na telefon. Jeszcze pięć minut. Przesunęła się w kierunku Celine, dając jej znaki, że czas już kończyć. Niech Ray zajmie się swoją cholerną robotą i wyprowadzi wszystkich tak szybko, jak się da. Przyjaciele mieli rezerwację na drugą zmianę obiadową, powinni więc zaraz wyjść, chyba że mają ochotę na gumowaty ogon homara.

Celine złożyła Przyjaciółom życzenia noworoczne i tradycyjnie zachęciła wszystkich do wchodzenia na jej stronę internetową, na której znajdują się linki umożliwiające kupno jej jedenastu książek. Maddie wskoczyła na scenę, zanim jej szefowa zatonąła pod falą tsunami chętnych do złożenia jej życzeń. Celine tak naprawdę nie potrzebowała wózka (choć potrafiła nim jeździć z szybkością godną paraolimpijczyka, jeśli groziło jej spotkanie ze zbyt entuzjastycznym fanem), ale tego wieczoru Maddie cieszyła się, że ma go do dyspozycji. Z bliska Celine naprawdę wyglądała na swój wiek. Jej woskowata skóra przypominała jabłko po zbyt długim przebywaniu w chłodni, a usta miały kolor nieświeżego mięsa z garmażerii.

Maddie odłączyła mikrofon i podała go technicznemu, zanim Celine odzyskała rezon i zjechała gościa za zamieszanie z komunikatem dla pasażerów.

– Dobrze się czujesz? – wyszeptwała.

– Zabieraj mnie stąd i to, kurwa, zaraz.

– Celine? – Leila przydreptała do nich, zanim Maddie była w stanie zainterweniować. Kobieta machała egzemplarzem drugiej części autobiografii Celine: *Medium gwiazd i znacznie więcej*. – Chciałam poprosić na wieczorku z koktajlem, ale byłaś tam tak krótko... Czy możesz podpisać?

Celine uśmiechnęła się lodowato.

– Z przyjemnością, moja droga.

– Czy możesz napisać: „Dla Leili, mojej największej fanki”? Mam twoje wszystkie książki. Również w wersjach elektronicznych i audio.

Maddie podała Celine długopis, sprawdzając przy tym, czy Leila zauważyła, że Celine trzęsą się ręce. Na szczęście fanka była zbyt zajęta gapieniem się

w zachwycie na twarz swojej idolki.

– Tak bardzo mi pomogłaś, Celine. Ty i Archie, rzecz jasna. – Leila przycisnęła książkę do piersi. – Dzięki tobie znalazłam spokoju. John... Nie żyło się z nim najłatwiej i... Nie wiem, jak to robisz.

– To dar od Boga, moja droga. Wiedz, że twoja wiara i wsparcie wiele dla mnie znaczą.

– A ty wiele znaczysz dla mnie. Ten straszny człowiek, który tu wpadł, nie ma...

– Celine jest bardzo zmęczona – przerwała jej Maddie. – Nawiązywanie kontaktu z Duchem wiele ją kosztuje. Jestem pewna, że zrozumiesz.

– Och, tak, tak – powiedziała Leila, kłaniając się chwiejnie, i w pośpiechu oddaliła się w kierunku pozostałych Przyjaciół stłoczonych wokół wyjścia.

Pojawił się Ray.

– Przepraszam za tamto, Celine.

Oczy Celine, i tak nienaturalnie przymrużone po spartaczonyj operacji plastycznej w latach osiemdziesiątych, zwęziły się jeszcze bardziej.

– Tak? Ray, co jest, do diabła? Płacę ci za coś takiego?

– Skąd miałem wiedzieć, że ten koleś się zjawi? Wszystkich dokładnie sprawdziłem.

– Do diabła, powinieneś stać przy drzwiach, Ray.

– Celine, mówię przecież, dałem ciała. Nigdy więcej to się nie powtórzy.

Celine prychnęła.

– Żebyś, cholera, wiedział. Dokąd on w ogóle poszedł?

– Pobiegł do łazienki. Wyglądało tak, jakby miał puścić pawia.

Maddie poczuła mdłości. Jakiś czas temu niepotrzebnie przeczytała w „Huffington Post” demaskatorski artykuł o wirusach przenoszonych na statkach i teraz myła ręce przy każdej nadarżającej się okazji i łykała probiotyki jak lekomanka. To jednak tłumaczyło, dlaczego bloger nie prześladował ich wcześniej. Pewnie siedział zamknięty w kajucie, przez cały rejs modląc się do porcelanowego bóstwa.

– Odprowadzić cię do twojej kajuty? – zapytał Ray.

– Chyba do apartamentu – odwarknęła Celine. – Nie musisz. Zejdź mi z oczu. Madeleine mi pomoże.

Ray rozpaczliwie pokiwał głową i oddalił się chyłkiem. Maddie niewiele wiedziała o jego życiu osobistym, ale wspominał coś o płaceniu alimentów dla

jednej z jego byłych. Może i jest z niego zbereźnik i ściemniacz, ale było jej go prawie żal – będzie miał szczęście, jeśli po powrocie do Miami nie zostanie zwolniony. Ochroniarze Celine nigdy na długo nie zagrzewali miejsca.

– Cholerni blogerzy i zakonspirowani dziennikarze – lamentowała Celine, dając wzniesioną dłonią znaki, że powinny już wyjść. – Robię to od czterdziestu lat. To mój dar od Boga...

Maddie pozwoliła Celine głądzić, manewrując wózkiem po scenie w kierunku drzwi wyjściowych i mrugając, lekko oślepiana różowymi i złotymi neonami, rozmieszczonymi na całej długości Pokładu Promenady Snóff. Pasażerowie tłumnie sunęli ku schodom na drugą zmianę obiadową, obskakiwani przez dwudziestolatków w krótkich białych obcisłych spodenkach i T-shirtach z napisem „Foveros = Ubaw! Ubaw! Ubaw!”, którzy tańczyli rumbę do dźwięków grającej w tle muzyki calypso i sprzedawali anielskie skrzydła i diabelskie rogi na imprezę noworoczną pod hasłem „Niebo i Piekło”. Maddie nie miała zamiaru choćby zbliżyć się do jakiegokolwiek imprezy. Planowała położyć Celine do łóżka, zamówić u obsługi hotelowej kanapkę z grillowanym serem (na myśl o jedzeniu masowo produkowanej papki serwowanej w restauracjach i bufetach wywracały jej się flaki), a potem udać się na bieżnię do joggingu znajdującą się nad Pokładem Lido. Dziś nie miała jeszcze okazji przebiec swoich zwyczajowych ośmiu kilometrów.

Tercet spaślaków z fluorescencyjnymi aureolami na wygolonych łbach ustąpił im drogi, a Maddie wtoczyła Celine do windy, w której jak zwykle unosił się lekki zapach wymiocin. Łokciem nacisnęła guzik pokładu widokowego i ustawiła Celine w bezpiecznej odległości od wilgotnej plamy na dywaniku. W głośnikach zabręczało *Rehab* w wersji reggae, a one pędziły w górę przez atrium, patrząc przez szklane ścianki na hol i koktajlbary w dole.

– Chryste, muszę się napić – powiedziała Celine.

– Prawie jesteśmy na miejscu.

Maddie wyprowadziła wózek z windy i ruszyła w kierunku prywatnych kajut dla VIP-ów. Dwie rozchichotane starsze panie stanęły pod ścianą korytarza, pozwalając im przejechać. Maddie obdarzyła je promiennym uśmiechem, żeby im zadośćuczynić za grubiańskie „Też mi coś” Celine w odpowiedzi na ich noworoczne życzenia. Pomachała w kierunku Althei, pokładowej pokojówki, która wychodziła właśnie z sąsiedniego apartamentu ze stertą ręczników pod pachą.

– Dobry wieczór, pani del Ray i Maddie! – zawołała pogodnie Althea. – Pomóc w czymś?

Celine ją zignorowała, ale uśmiech Althei nie osłabł. Maddie nie miała

pojęcia, w jaki sposób Althea potrafi być tak radosna, czyszcząc brudy po wrednych typach w rodzaju Celine. Większość pracowników okazywała męczącą (i w sposób oczywisty fałszywą) pogodę ducha, ale Maddie była przekonana, że nieustająco świetny nastrój Althei jest autentyczny.

Po kilkukrotnym przesunięciu karty pokojowej przez czytnik światelko w zamku w końcu zabłyśło na zielono, a Maddie przepchnęła wózek przez wąskie przejście i zawiozła Celine na balkon, gdzie czekała na nią jej alkoholowa kolekcja.

Celine wskazała ostrym pazurem telewizor.

– Na Boga, zmień ten cholerny kanał. Ile razy mam powtarzać tej durnej kobiecie, żeby niczego nie przełączała?

Na ekranie Damien, kierownik rejsu – Australijczyk z nieruchomym spojrzeniem niebezpiecznego schizofrenika – po raz kolejny oprowadzał widzów po statku. Maddie przełączyła na parodię przegranego republikańskiego kandydata Mitcha Reynarda w programie *Saturday Night Live*, potem na kanał z zakupami, na którym dwie kobiety w średnim wieku zachwycały się dwustronną kurtką, w końcu zdecydowała się na transmisję uroczystości towarzyszących opuszczaniu kuli na Times Square. Uprzedzając prośbę szefowej, wsypała do szklanki lód i nalała podwójną porcję J&B.

Celine wyrwała jej z ręki szklankę i wzięła łyk.

– Chryste, od razu lepiej. Dobra z ciebie dziewczyna, Madeleine.

Maddie przewróciła oczami.

– Nie przesłyszałam się?

– Archie twierdzi, że chcesz odejść.

– Celine, ja zawsze chcę odejść. Być może nie chciałabym, gdybyś przestała mnie nazywać bezużyteczną dziwką.

– Wiesz przecież, że tak nie myślę. – Celine ponownie wskazała na telewizor. – Nikt nie musi mi przypominać, że skończył się kolejny rok. Włącz jakiś film.

– Jaki?

– *Pretty Woman*.

Maddie podłączyła dysk i przewinęła menu do folderu z filmami z Julią Roberts. Wciąż nie mogła zrozumieć, jak Celine godzi swoje bezwzględne podejście do życia z uzależnieniem od komedii romantycznych z lat dziewięćdziesiątych. Maddie straciła już rachubę, ile razy siedziała na skrzypiącym motelowym krześle w oczekiwaniu, aż jej szefowa zaśnie

i nadejście przewidywalne zakończenie *Kiedy Harry spotkał Sally* albo *Francuskiego pocałunku*.

Celine potrząsnęła szklanką, domagając się dolewki.

– I jak? Co zrobimy z Rayem?

– Ty tu rządzisz.

– Wiesz, że on coś do ciebie czuje, Madeleine.

– Ray czuje coś do każdej posiadaczki waginy. To palant.

Celine westchnęła.

– Wiem. Jak wszyscy przystojniacy. Musi odejść. Ale to nie rozwiąże twojego problemu, prawda?

– Ja mam problem?

– Potrzebujesz faceta, Madeleine. Najwyższy czas zapomnieć o przeszłości.

– Znowu zaczynasz. Na co mi facet, u diabła?

Celine zarechotała.

– Cóż, jeśli chcesz wiedzieć...

– Może mi wyjaśnisz, w jaki sposób mam podtrzymywać związek, spędzając dziewięć miesięcy w roku w trasie z tobą?

– Tak, tak, wywołuj w starej kobiecie poczucie winy. Powinnaś dziś pójść na imprezę. Zakręć się wokół któregoś z tych przystojniaków z załogi w obcisłych białych spodniach. Ile to już czasu? No wiesz, odkąd ostatnio...

– Nie twój interes.

– Co to za odpowiedź. Chcesz, żebym zapytała Archiego, co...

– Dość już o moich sprawach osobistych, Celine.

– Tak tylko mówię, należy ci się coś od życia.

– Mogę skorzystać z łazienki? – Jeśli posiedzi tam wystarczająco długo, Celine w końcu zaśnie przed telewizorem, a ona będzie mogła wymknąć się bez wysłuchiwania niepotrzebnych kazań.

– Proszę bardzo.

Maddie pośpiesznie weszła do środka i zamknęła drzwi. Łazienka była trzy razy większa od tej w jej kajucie, z wanną z hydromasażem i piramidą zrolowanych białych ręczników. Usiadła na kłapie od sedesu i pomasowała sobie skronie. Przez tamtego hipstera Celine będzie teraz co najmniej przez tydzień w depresji. Bez wątplenia filmik, który udało mu się nakręcić, już teraz hula po YouTube. Celine zgodziła się na udział w rejsie jedynie po to, by uciec od zamieszania po skandalu z Lillian Small, ale obie wiedziały, że to może się

na nich zemścić.

Kiedy sprawa nabrała rozgłosu, Maddie nigdy nie powiedziała: „A nie mówiłam?”. Ostrzegła Celine przed udziałem w programie *Pamiętamy czarny czwartek* Erica Kavanaugha, skandalisty znanego z krytycznego nastawienia do jasnowidzów, scjentologów i spirytystów. Oprócz tego Celine należała do otoczonego złą sławą „Kręgu Jasnowidzów”, który zebrał się w celu „spożytkowania połączonej energii” i ustalenia rzekomo tajemniczych przyczyn czterech katastrof lotniczych, które wydarzyły się w 2012 roku. Kavanaugh z uśmiechem na twarzy rozprawił się z jasnowidzami po tym, jak Krajowa Rada Bezpieczeństwa Transportu ogłosiła raport i okazało się, że jasnowidze mylą się co do wszystkich przypadków. Gwoli ścisłości, Celine dawała sobie radę, dopóki nie pojawił się temat katastrofy na Florydzie. Maddie do dziś nie mogła zrozumieć, co opętało szefową, każąc jej utrzymywać, że przy życiu pozostali Lori Small i jej syn Bobby, dwoje pasażerów znajdujących się na pokładzie samolotu, który runął na mokradła Everglades. Nawet po odkryciu we wraku DNA Bobby’ego i Lori Celine nie przestała twierdzić, że matka i syn włóczą się gdzieś po ulicach Miami, cierpiąc na amnezję. Posunęła się za daleko, żeby się wycofać. Tak się tragicznie złożyło, że matka Lori, Lillian Small, wydała całe swoje oszczędności na prywatnych detektywów, którzy mieli sprawdzić tę wątpliwą wskazówkę, a teraz jakiś przedsiębiorczy prawnik przejął jej sprawę i na celownik wziął Celine.

Celine nie po raz pierwszy się pomyliła – ale zdecydowanie była to jej najgłośniejsza wpadka. Z drugiej strony... Maddie nie była do końca uczciwa, prawda? Celine zdarzało się również czasem mieć rację. Pierwsze, co przyszło jej na myśl, to dzisiejsza rewelacja dotycząca insuliny (choć możliwe, że Ray podsunął jej ten rodzynek – musi to sprawdzić). Wiedziała, że statystycznie rzecz biorąc, Celine musiała trafiać w jakieś fakty, których nie dostarczyła jej ani ona, ani żaden z pechowych byłych gliniarzy wynajętych przez nią jako ochroniarze. Mimo to Maddie nie czuła się z tym komfortowo. Poczucie winy, które zwykle udawało jej się w sobie zdusić, zaczynało jej dokuczać. Wbijać szpile. Nawiązywanie kontaktów z Przyjaciółmi to błąd. Może powinna odejść. I co wtedy? Z jej przeszłością nie miała wyboru – pozostawała jedynie główniana robota za płacę minimalną. Zawsze mogła wrócić do Anglii, pojawić się w domu po cichu, z podkulonym ogonem. Już słyszy reakcję swojej siostry: „I co, Maddie? Mówiłam, że to się skończy łzami”.

– Nie utopiłaś się tam?! – Usłyszała krzyk Celine.

– Już wychodzę! – zawołała. To by było na tyle, jeśli chodzi o zaśnięcie szefowej. Właśnie miała wstać, kiedy podłoga się zakołysała. Maddie musiała przytrzymać się uchwytu na papier toaletowy. Ugięły się pod nią kolana, a pod

stopami wyczuła mocne wibracje. Światła zamigotały, dało się słyszeć długi, przypominający ziewnięcie mechaniczny dźwięk, a potem... cisza.

Z sercem podchodzącym do gardła Maddie otworzyła drzwi i w pośpiechu weszła do apartamentu.

– Celine? Chyba coś się dzieje ze statkiem.

Spodziewała się usłyszeć w odpowiedzi słowa w rodzaju: „Cholera, masz rację, że coś się dzieje ze statkiem, to kloaka”, ale spostrzegła, że głowa Celine spoczywa na piersi. Ramiona zwiślały nieruchomo po obu stronach krzesła. Szklanka leżała na dywanie – musiała wyśliznąć się z jej palców.

Na ekranie Richard Gere jechał z wolna po Hollywood Boulevard. Potem telewizor zgasł.

– Celine? Celine, dobrze się czujesz?

Nie było odpowiedzi.

Maddie ostrożnie podeszła bliżej i dotknęła porowatej skóry na przedramieniu Celine. Żadnej reakcji. Przesunęła się, by spojrzeć szefowej w twarz, i uklękła.

– Celine?

Nie podnosząc głowy, Celine nabrała powietrza, a potem zaczęła nucić żwawą jazzową melodyjkę, przypominając Maddie o Lizzie Bean, która była jeszcze jednym (choć znacznie mniej gadatliwym) duchem przewodnikiem Celine.

– Celine? – Przełykanie przychodziło Maddie z trudem. – Hej... co jest, Celine?

Celine podniosła głowę z oczami pełnymi tak przerażającego strachu, że Maddie krzyknęła i usiadła na podłodze.

– Jezu!

Skoczyła na równe nogi, próbując sięgnąć po telefon, ale wtedy światła ponownie zgasły, a ona upadła po wpływie przechyłu statku na lewą burtę. Usiłowała odzyskać kontrolę nad oddechem, co prawie jej się udało, kiedy ciszę przerwał głos.

– Trudno się mówi, taki już ze mnie stary szczęściarz – zarechotał Archie. – Będzie niezły ubaw.

Człowiek potępiony

Gary oparł czoło o ścianę, drżąc pod strumieniem zimnej wody spływającym po jego plecach. Skóra na brzuchu i wewnętrznej stronie ud szczypała go po tym, jak wyszorował się szczoteczką do paznokci Marilyn. Miał pomarszczone i nasiąknięte wodą opuszki palców. Siedział pod prysznicem już ponad godzinę, a odór Pantene stawał się nie do zniesienia – zużył cały darmowy płyn do kąpieli i szampon Marilyn, piorąc ubranie, które miał zeszłego wieczoru na sobie. Deptał po nim jak oszalały wyciskacz wina. Teraz leżało zwinięte w kulę w rogu kabiny prysznicowej: bez wybielacza nie było gwarancji, że nie zostały na nim ślady DNA dziewczyny. Będzie musiał przy najbliższej okazji wyrzucić te ciuchy za burtę.

Skoncentruj się na wodzie. Myśl o zimnie. Ale to nic nie dawało. Czarne myśli wciąż wracały. Marilyn kupiła jego wymówkę o kłopotach żołądkowych, ale wątpił, żeby pozwoliła mu przegapić wieczorne uroczystości, chyba że rzeczywiście znalazłby się u bram śmierci. Mógłby zmusić się do zwymiotowania, tak by go usłyszała, wsadzić palce głęboko w gardło, ale uczucie paniki pochłonęło go tak bardzo, że prawdopodobnie wcale nie musiałby niczego udawać.

Przecież już na pewno znaleźli tę dziewczynę. Pracownicy obsługujący kajuty wykonywali swoje zadania solidnie, dwa razy dziennie przeglądali wnętrza, a minęło już ponad dwanaście godzin, od kiedy...

Dudnienie pod stopami. Szarpnięcie. Rozbryzg wody z prysznicza sprawił, że Gary otworzył oczy... i zobaczył ciemność. Przez chwilę był przekonany, że oślepnął – *kara boska!* – a potem, kiedy poczuł pod stopami narastającą wibrację, olśniło go, że coś dzieje się ze statkiem. Zakręcił wodę, wymacał ręcznik i nasłuchiwał. W tle nie było słychać szumu klimatyzacji, przez co z jakiegoś powodu trochę rozjaśniło mu się w głowie, jakby znowu potrafił racjonalnie rozumować. Po omacku poszukał na umywalce okularów, a potem powoli wyszedł z łazienki. Począł, aż oczy przyzwyczajają się do ciemności, ale nie było na to szans – w kajucie brakowało naturalnego światła. Zawsze rezerwował tańsze, wewnętrzne kajuty. Alarm zapiszczał kilka razy, przez zakłócenia przedzierał się jakiś niezrozumiały komunikat, a następnie:

– Dobry dzień, panie i panowie, tu Damien, opiekun rejsu. Chciałbym jedynie przekazać, że nastąpiła awaria prądu. Nie ma powodów do niepokoju.

Dla państwa bezpieczeństwa prosimy o powrót do kajut i oczekiwanie na dalsze instrukcje, dziękuję. Jak już wspominałem, nie ma powodów do niepokoju. Wkrótce prześlemy kolejny komunikat.

Gary powoli przesunął się do drzwi i lekko je uchylił. Zza zakrętu wyszedł gość z gołą klatą i plastikowymi diabelskimi rogami, a za nim chybotliwym krokiem podążała kobieta w bikini i złotych szpilkach z paseczkami. W miarę jak się zbliżali, światło awaryjnych jarzeńówek sprawiało, że ich skóra nabierała złowieszczej zielonkawej barwy. Podłoga przechyliła się i Gary postawił krok do tyłu – drzwi zamknęły się z łoskotem. Ślina napłynęła mu do ust. Na zewnątrz słychać było trzaskające drzwi, a ktoś krzyknął do jakiegoś Kevina, by ten „się, kurwa, trochę pośpieszył, gościu”.

Zawłóknął się z powrotem do łóżka; wzdrygnął się, kiedy ponownie rozbłysło światło. Było znacznie bledsze niż zwykle i nadawało kajucie ziemisty poblask. Krople wody ściekały między włoskami na jego nogach, a panika, którą odczuwał, była tak intensywna, że mógł ją niemal dostrzec kątem oka.

To zwykła mechaniczna usterka – coś takiego może zdarzyć się w każdej chwili, a firma Foveros była z różnych wpadek szczególnie znana. Nawet gdyby znaleźli przyczynę awarii, i tak zatrzymanie statku byłoby ostatnią rzeczą, jaka przyszyłaby im do głowy. Nie. Po prostu znowu pozwalał, żeby paranoja odbierała mu zdrowe zmysły. Zaciśnął dłoń na nadgarstku, wyczuł słabe tętno i zmusił się do odliczenia od setki w dół. Potem jeszcze raz. I jeszcze raz. Już dobrze. Oddychał z coraz większą swobodą.

Kliknął zamek, drzwi otworzyły się z hałasem i do środka wpadła Marilyn.

– Gary! Ty tutaj?

Odezwij się.

– A gdzie niby miałbym być?

– Kochanie, myślę, że powinniśmy się stąd wynieść. Do punktu ewakuacyjnego. Mogę przysiąc, że poczułam dym.

– Damien mówił, żeby zostać w pokojach.

– Nie słyszałaś, co powiedziałam? Poczulałam dym, Gary. – Z trudem łapała oddech, a jej płaska twarz lśniła od potu. – Windy przestały działać, na pewno utknęli w nich ludzie. Jak myślisz, co się stało?

– To na pewno jakaś mechaniczna usterka. Nic poważnego, zobaczysz. – Jego głos brzmiał niepewnie, jakby o jeden rejestr wyżej niż zwykle, ale ona chyba tego w ogóle nie zauważała. Nie należała do najbardziej spostrzegawczych osób – to była jedna z przyczyn, dla których się z nią ożenił.

Zmrużyła oczy.

– Kochanie... czemu nie jesteś ubrany?

– Brałem prysznic.

– Znowu? W tym całym zamieszaniu?

Głęboki oddech, opanuj się.

– Byłem pod prysznicem, kiedy to się stało.

– I naprawdę uważasz, że to nic poważnego?

– Tak. Pamiętasz, co się stało na „Pięknym Cudzie”? Zaraz wszystko naprawili.

– Och, faktycznie... Ale i tak uważam, że powinniśmy wyjść. Paulie i Selena powiedzieli, że na nas czekają na jedenastym. Pamiętaj, kotku, nasz punkt ewakuacyjny jest właśnie tam.

– Kim, do cholery, są Paulie i Selena?

– Przemili ludzie. Zgadaliśmy się na obiedzie. Postanowiłam pójść na bufet na Lido zamiast do Sennych Krajobrazów, chociaż kolejka po chińszczyznę była bardzo długa! Właśnie tak się spiknęliśmy, w kolejce. Siedzieliśmy razem na Pokładzie Spokoju, kiedy to się stało. I kotku, nie uwierzysz, co ci powiem.

– Co? – Bardzo starał się wyglądać i mówić, jakby go to interesowało. Bolały go policzki.

– Są Srebrnymi Pasażerami Foverosa, tak jak my, i byli w zeszłym roku na „Pięknym Życzeniu”, na rejsie po Bahamach... tydzień po nas!

– Niesamowite.

– No właśnie. Dokładnie to samo powiedziałam. Bardzo się zmartwili, jak usłyszeli, że się źle czujesz.

Typowa Marilyn: jej misją podczas ich dorocznych rejsów było poznawanie jak największej liczby nieznanomych. Większość jej nowych przyjaźni miała krótkotrwały charakter – Marilyn była zmienna, nie da się ukryć. Gary przez chwilę zastanawiał się, czy nie zapytać jej o jego poranną nieobecność. Nie byłoby w tym nic dziwnego, od lat udawał bezsenność, a ona jak dotąd nie uznała za niestosowną jego wymówki o spacerze jako jedynym lekarstwem. Ale tym razem było inaczej. Czy gdyby obudziła się wcześniej i zauważyła, że go nie ma, dałaby mu alibi? Wyobraził sobie, jak Marilyn siedzi w sądzie i szłocha, jak to nie miała pojęcia, że wychodzi za mąż za potwora.

– Gary!

– Tak?

– Powiedziałam, że nadal uważam, że powinniśmy się stąd zabrać. Nie masz zamiaru się ubrać?

- Ty idź. Dogonię cię.
- Ale co się stanie, jeśli...
- Po prostu idź, Marilyn.
- Nie mów do mnie tym tonem.

Odkręć to.

– Wszystko będzie dobrze, maleńka. Takie rzeczy bardzo często zdarzają się podczas rejsów.

– Ale jesteś mi potrzebny, Gary.

– Kotku, cały czas mnie mdli. – To słowo wywołało grymas na jego twarzy: słowo z repertuaru Marilyn, ale zadziało.

– Och, Gary, nie zapytałam nawet, jak się czujesz.

– Znowu się pochorowałem, musiałem wyprać rzeczy twoim szamponem.

– Och, kochanie, w ogóle się tym nie przejmuj.

Gary w myślach poklepał się po plecach.

– Teraz wracaj do swoich znajomych i nie martw się o mnie. Damien nie kazałby nam zostać w pokojach, gdyby groziło nam poważne niebezpieczeństwo.

– Skoro ty jesteś pewien...

– Jestem. Jeśli powiedzą, żeby udawać się do punktów ewakuacyjnych, znajdę cię.

– Okej. Ciężko mi cię tak zostawiać, ale... chyba nie dałabym rady dłużej tu siedzieć.

Zbliżyła się, żeby go przytulić, ale on się odchylił, opierając się na łokciach.

– Lepiej nie. Mogę zarażać.

– Jesteś taki troskliwy. Znasz drogę, prawda, kotku?

– Aha. Poczuję się znacznie lepiej, wiedząc, że jesteś bezpieczna.

Prawie wrzasnął z ulgi, kiedy zamknęły się za nią drzwi.

Dobra. Myśl na chłodno i powoli. Jeszcze raz wszystko przeanalizuj i się opanuj.

Wyrzucił ostatnie pigułki do muszli klozetowej w męskiej toalecie przy Audytorium Piaskowego Dziadka, zostały więc tylko jego ciuchy, rękawiczki i czapka. Bez trudu mógłby się ich pozbyć podczas imprezy, kiedy wszyscy będą zajęci balowaniem. Ale... co jeśli uroczystości zostaną odwołane? To zależy od tego, czy uda im się usunąć mechaniczną usterkę, czy cokolwiek to

tym razem było. Uda im się. Nie może się teraz tym zamartwiać.

Następna sprawa – czy znajomi dziewczyny go zapamiętali? Nie przyciągał uwagi, nie rozmawiał nawet ze swoją wybranką w barze i szczyił się swym nijakim wyglądem. Dzięki wieloletnim skrupulatnym badaniom wiedział, że ludzie skupiają się na oczywistych cechach – wąsach, okularach, jaskrawych ciuchach, utykaniu. Kamery monitoringu i systemy odczytu rysów twarzy nie powinny stanowić problemu – kiedy szedł za nią do jej kajuty, miał pochyloną głowę, a czapka ukrywała łysinę. Kiedy już pozbędzie się swoich rzeczy, nie będą go mogli zidentyfikować, a poza tym jego granatowa sportowa koszula i krótkie spodnie koloru khaki nieszczególnie się wyróżniały i można je było pomylić z uniformem noszonym przez obsługę niższej rangi.

Jest dobrze.

Dlaczego więc ciągle mu się wydawało, że coś przegapił?

Myśl.

To przyszło nagle, jak kubeł zimnej wody: zawieszka „Nie przeszkadzać, pływam po krainie snów”. Zrobiło mu się niedobrze na myśl, że kiedy wsuwał ją pod drzwi, nie miał już na rękach rękawiczek chirurgicznych. O Boże. Zostawił na niej swoje DNA i odciski palców. Czy mógłby się wytłumaczyć, że dotknął tabliczki, przechodząc obok?

Tak. Nie. Czym mógłby tłumaczyć pobyt na tym pokładzie? Pokój dziewczyny znajdował się piętro wyżej od jego kajuty, ale był usytuowany w połowie ślepego korytarza.

To kara za odejście od planu. Wszystko miało się odbyć dzisiejszej nocy, w sylwestra, kiedy każdy jest pijany i zajęty. Zwykle bywał bardzo ostrożny. Pan Przewodniczący. Nigdy żadnego ryzyka. Działał starannie.

Według systemu. Tymczasem ona siedziała sobie sama przy barze, wpatrzona smutnym wzrokiem w koleżanki tańczące i flirtujące z pozostałymi pasażerami z grupy singli. Zbyt dobra okazja, by ją przepuścić. Dał się skusić, a teraz musiał za to płacić. Istniała bardzo dobra przyczyna, dla której zawsze robił to w ostatnią noc rejsu – chaos towarzyszący opuszczaniu statku przez pasażerów następnego poranka znacznie zwiększał szanse na udaną ucieczkę. Większość jego dziewczyn przypominała sobie wszystkie szczegóły z dużym opóźnieniem. Po kilku dniach, a nawet miesiącach. A wtedy było już za późno. Poza tym na niezliczonych forach czytał, że pracowników ochrony szkolono, aby nakłaniali ofiary napaści seksualnych mających miejsce na pokładzie do rezygnacji z wnoszenia oskarżeń. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował Foveros, była jeszcze gorsza reputacja.

Jeśli jednak dziewczynę znaleźli, muszą wszcząć śledztwo. Foveros miał już

i tak złą opinię w kwestii bezpieczeństwa na pokładzie, do tego pojawiały się oskarżenia o nieprzestrzeganie przepisów sanitarnych. Próba ukrycia sprawy byłaby z ich strony głupotą.

Co go opętało?

Być może fałszywe poczucie bezpieczeństwa wywołał w nim fakt, że dotychczas wszystko szło jak z płatka. Pierwszego dnia zawsze poświęcał szczególnie dużo uwagi Marilyn – zjawiał się wcześniej i rezerwował jej pobyt w spa, upewniając się, że będzie zajęta, kiedy on dokona wstępnego przeglądu pasażerów. Noworoczne rejsy Foverosa zawsze przyciągały grupki rozochoconych singli, a on nie był wybredny w kwestii wieku. Preferował trochę pulchniejsze panie, blondynki lub rude. Nie powinny być zbyt pewne siebie. Raczej bierne niż przejmujące inicjatywę. Przez te wszystkie lata stał się prawdziwym ekspertem w rozpoznawaniu brzydkich kaczątek na imprezie, przeciętniaczek, drухen, które w ostatniej chwili zaproszono na wieczór paniński. Na noworocznych rejsach przebywały zwykle setki Brytyjek – do oporu wykorzystywały przecenione kajuty i tanie drinki. Imprezowały ostrzej niż Amerykanki i (jego zdaniem) miały zwykle niższą samoocenę.

Zauważył swoją dziewczynę tamtego wieczoru podczas happy hour w barze Piaskowego Dziadka, obserwował ją kątem oka, a Marilyn upijała się powoli koktajlami Mai Tai za pół ceny. Zawsze go zaskakiwało, jak szybko potrafi rozpoznać swoje dziewczyny, jakby to one go wzywały. Była idealnie w jego typie, piętnaście czy dwadzieścia kilo nadwagi, rzadkie blond włosy, przesiadująca na obrzeżu dużej grupy trzydziestolatków śmiejących się nerwowo ze swoich własnych żartów. Drugiego dnia zobaczył ją w kolejce po pizzę, z zaczerwienionymi od zbyt długiego przebywania na słońcu udami i ramionami i wtedy stało się jeszcze bardziej oczywiste, że jej grupa odstawiła ją na bok (cieszyło go jej ponure spojrzenie). Kolejny fragment układanki znalazł się na właściwym miejscu, kiedy przeprosiła i wyszła, a on podążył za nią, w odpowiedniej odległości, do jej pokoju – schodami, nie windą. Gary zapamiętał numer kajuty, M446, i poszedł dalej.

A wczoraj wieczorem, no cóż... wszystko się po prostu idealnie ułożyło. Marilyn była padnięta po dniu spędzonym w Cozumel. Zapisał się razem z nią na wycieczkę do kurortu morskiego połączoną ze zwiedzaniem nudnych ruin kultury Majów (Marilyn, podobnie jak większość pozostałych rejsowiczów, cały czas narzekała na upał i komary), a ona, wyczerpana po wyjątkowym jak na nią natężeniu aktywności fizycznej, zasnęła niemal natychmiast po powrocie na statek. Wymknął się, chcąc jedynie przeprowadzić dalszy rekonesans i upewnić się w stu procentach, że dziewczyna, którą wybrał, jest Tą Jedyną.

Siedziała sama i czekała na niego.

Nigdy nie rozstawał się ze swoimi narzędziami – gdyby Marilyn znalazła jego ulubioną torebkę, nie wyszłoby to nikomu na dobre. Bez przeszkód wszedł do męskiej toalety, gdzie schował okulary do kieszeni i założył czapkę. Bez przeszkód mógł się przekonać, że barman i otaczający go klienci są zajęci swoimi sprawami. Bez przeszkód wsypał proszek do jej szklanki z drinkiem. Bez przeszkód siedział na tyłach, obserwując, jak jego wybranka traci orientację. Bez przeszkód poczekał, aż dziewczyna chwiejnym krokiem wyjdzie z baru. Bez przeszkód patrzył, jak ona wtacza się do windy, a sam zszedł po schodach na jej piętro. Bez przeszkód podązał za nią korytarzem, czując, jak przyśpiesza mu tętno, a między nogami pulsuje niecierpliwość. Bez przeszkód pomógł jej, kiedy nie dała sobie rady z kartą pokojową. Bez przeszkód wepchnął się do środka, mamrocząc pod nosem, że chce jedynie pomóc. Bez przeszkód...

Gary podskoczył, słysząc siedem głośnych sygnałów powtarzanych przez system nagłośnieniowy, po których nastąpił komunikat:

– Dzień dobry, panie i panowie, tu ponownie Damien, wasz opiekun rejsu.

Obecnie prosimy państwa o spokojne i ostrożne przemieszczenie się w stronę wyznaczonych punktów ewakuacyjnych. To nie są ćwiczenia, ale nie ma powodów do niepokoju. Członkowie załogi pomogą państwu w odnalezieniu właściwych punktów, które są wyraźnie oznaczone na wewnętrznej stronie drzwi w państwa pokojach, jak też na Kartach Rozrywki Foveros. Powtarzam, nie ma powodu do niepokoju. Państwa bezpieczeństwo jest dla nas priorytetem.

Z korytarza Gary słyszał podniesione głosy, trzaskające drzwi i odgłosy biegnących stóp. Nie poruszył się, nasłuchując tylko, jak chaos na zewnątrz powoli gaśnie.

Znowu odliczył od stu do zera, a kiedy doszedł do pięćdziesięciu, usłyszał, jak ktoś – najprawdopodobniej pracownik obsługi kajut – puka do drzwi. Od ciągłego zaciskania i rozprostowywania bolały go palce. Poczł skurcz jelit. Czy powinien się schować? Mógłby wcisnąć się do szafy. A jeśli steward dostał polecenie przeszukania całej kajuty? Nie będzie to dobrze wyglądało, jeśli znajdzie go skulonego w szafie.

To miała być jego czwarta dziewczyna. Jego szczęśliwa liczba.

Pomógł jej dojść do łóżka. Mówiła niewiele, mamrotała, że jest jej niedobrze, czy coś w tym rodzaju. Opadła bezwładnie na plecy, a jej oczy zaszły mgłą. Kiedy napięcie zniknęło z jej twarzy, zaczął działać. Na początku nie pozwolił sobie na dotykanie, tylko patrzył. Potem leciutko, delikatnie przesunął rękoma po jej udach, piersiach i tułowiu. Obcisłe krótkie spodenki, bluzka na ramiączkach. Podciągnął ją do góry, odsłaniając cielisty biustonosz. Musiał ją

przewrócić na brzuch, żeby go odpiąć, i właśnie miał to zrobić, kiedy dziewczyna zakaszłała, zbulgotała, a on odskoczył w momencie, kiedy z jej ust trysnęły wymioty. Zadrżała i jeszcze raz zakaszłała. Dławienie. Dławiła się. On...

Ktoś walił pięścią w jego drzwi. Gary siedział nieruchomo. Ugryzł się w język, wbrew wszystkiemu mając nadzieję, że ktokolwiek to jest, pójdzie dalej. Zegar tykał, drzwi się otworzyły, a do środka zajrzał mężczyzna o azjatyckich rysach twarzy. Nie był ich stewardem, tę funkcję pełniła ładna Filipinka, którą Marilyn natychmiast polubiła.

– Źle się pan czuje, proszę pana? – zapytał steward. – Nie słyszał pan, jak pukałem?

– Nie, czuję się dobrze. Jestem tylko zmęczony.

– Proszę pana, musi pan udać się do punktu ewakuacyjnego. Wie pan, jak tam dojść?

– Sprawdza pan wszystkie kajuty?

Steward zmarszczył brwi.

Gary nie mógł uwierzyć, że powiedział coś tak głupiego.

– Chodzi mi o to, czy sprawdza pan, czy wszyscy są bezpieczni.

– O tak, proszę pana. Państwa bezpieczeństwo jest dla nas ważne.

– Muszę się ubrać.

– Proszę się pośpieszyć. Wróć tu.

A więc tak to wygląda. Jeśli jeszcze jej nie znaleziono, jeśli jakimś cudem jej znajomi lub pracownicy jej nie odkryli, teraz nie ma już szansy, żeby pozostała niezauważona. Nałożył krótkie spodnie i koszulę, próbując nie myśleć o brudnych ciuchach w rogu kabiny. Potem wziął głęboki oddech i wcisnął stopy w sandały.

Jedyna opcja to iść w zaparte.

Nie sprawdził nawet, czy żyje, ale i tak był tego pewien. Jego instynkt podpowiadał mu, że umarła. Dziewczyna zadławiła się na śmierć, a kiedy Damien świergotał na ekranie telewizora, ona uderzała grzbietem dłoni o materac, pach, pach, pach. „...koniecznie sprawdźcie naszych słynnych stand-upowców w Audytorium Gwiazdowego Marzyciela...”, pach, pach. „...a tylko przez krótki okres zegarki Xenus sprzedawane będą z niesamowitą czterdziestoprocentową zniżką...”. Po kilku trudnych do zniesienia minutach z jej gardła wydobył się dźwięk... nie tyle rżenie, ile syk umierającej. Ostatni wydech, kapitulacja. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami

swojego postępowania, zepchnął ją nogą z dwuosobowego łóżka w szczelinę oddzielającą je od ściany i rzucił na nią kołdrę.

To był jego największy błąd. Teraz było wiadomo, że brał w tym udział ktoś jeszcze. Gdyby po prostu zostawił ją umierającą na łóżku, najprawdopodobniej za przyczynę jej śmierci zostałyby uznane upojenie alkoholowe.

Powoli wyszedł na pusty już korytarz i pomachał w stronę stewarda, który sprawdzał ostatnie pokoje i przesuwiał czerwone karty przez zamki z czujnikami.

– Dziękuję, że pan poczekał! – zawołał Gary. – Przepraszam, jeśli sprawiłem kłopot.

Dobrze. Mówił spokojnym i opanowanym tonem. *Mężczyzna, którego spotkałem, nie robił wrażenia wystraszonego ani winnego*, wyobraził sobie stewarda rozmawiającego z szefem ochrony – albo, nie daj Boże, kimś z FBI, Scotland Yardu czy jakiejś innej agencji, która otrzymała za zadanie przeprowadzić śledztwo w sprawie śmierci brytyjskiej pasażerki.

– Żaden problem, proszę pana. Proszę się pośpieszyć. Kamizelka ratunkowa czeka na pana w punkcie ewakuacyjnym.

Gary ruszył sztywno w kierunku schodów, szurając sandałami po dywanie. Tutaj panował większy mrok, a metalowe poręcze na klatce schodowej były rozgrzane od dotyku niezliczonych rąk. Pociągnął nosem. Marilyn miała rację, z dolnego pokładu unosił się zapach dymu. Przyśpieszył kroku i zawahał się, kiedy dotarł do piętra swojej dziewczyny.

Bez trudu mógłby teraz szybko skrócić i pobiec korytarzem do jej pokoju. Zrobił kilka kroków w stronę kolejnej kondygnacji, po czym zawrócił i ruszył w kierunku wejścia na jej pokład. Znowu poczuł skurcz jelit – nie mógł uwierzyć, że to robi, ale coś przejęło nad nim kontrolę i nie mógł się zatrzymać.

W drzwiach kajut po drodze do jej pokoju tkwiły czerwone karty oznaczające, że nikogo nie ma w środku. Korytarz ciągnął się niczym optyczna iluzja, a jego koniec ginął w ciemności. W pośpiechu dotarł do jej drzwi, a tam zamarł, spostrzegłszy, że również na jej drzwiach umieszczono czerwoną kartę.

Ktoś sprawdził kajutę. Jeśli ją znaleźli, należało się spodziewać obecności ochrony, chyba że firma już teraz próbowała ukrywać sprawę. *A może mimo wszystko przeżyła. Może jest w izbie chorych, oszołomiona i zagubiona, próbując poskładać do kupy wydarzenia z poprzedniej nocy.* Wycofał się, poruszając się tak szybko, jak się dało, a kiedy dotarł do schodów, nagle zrozumiał: zapomniał zasłonić twarz przed kamerami monitoringu.

Służebnica diabła

Althea ułożyła usta w uśmiech zarezerwowany wyłącznie dla najtrudniejszych pasażerów i poczekała na mężczyznę ociężałe zmierzającego korytarzem w jej kierunku. Pan Lineman, z pokoju V23. On i jego żona byli naprawdę obrzydliwi, zostawiali brudną muszlę klozetową i przemoczone ręczniki na podłodze.

– Dzień dobry, panie Lineman! – zawołała, usiłując nadać swojemu głosowi pokorny zaśpiew. – Powinien już pan być w swoim punkcie ewakuacyjnym.

Dyszał ciężko, policzki miał zaczerwienione od wysiłku, jakim było przejście jakichś stu metrów po schodach. Przyćmione światła awaryjne podkreślały zmarszczki na jego obwisłej twarzy. Kolana uginały się pod ciężarem, jaki musiały dźwigać.

– Co, do diabła, stało się z tym cholernym statkiem?

– Bardzo przepraszam, panie Lineman, ale wiem tyle co pan.

To w zasadzie nie było kłamstwo – właśnie ucinając sobie drzemkę, gdy rozległ się alarm Bravo – ale od Marii, swojej przełożonej, dowiedziała się, że pokład B ewakuowano z powodu dymu. Althea nie odczuwała niepokoju. Przez cztery lata pracy w Foverosie przeżyła kilka takich incydentów, a Maria twierdziła, że pożar nie jest duży.

– Dlaczego, do diabła, nie możemy zostać w swoich pokojach?

– Ze względu na własne bezpieczeństwo, panie Lineman.

Zatrząśł podgardlem.

– Myślałem, że nie ma zagrożenia. Damien mówił, że nic nam nie grozi.

Ciągle się uśmiechając, odpowiedziała:

– To prawda, ale standardowe procedury w podobnych sytuacjach nakazują kapitanowi zgromadzić pasażerów w punktach ewakuacyjnych. Niestety muszę pana prosić o natychmiastowy powrót do swojego punktu.

– Wróciłem po lekarstwo. Chcecie, żebym się rozchorował?

Nie. Chciałabym, żebyś umarł po długich męczarniach.

– Oczywiście że nie, panie Lineman. W drodze do pokoju powinien panu towarzyszyć członek załogi. Czy chce pan, żebym je panu przyniosła?

– Dam sobie radę. – Zerwał czerwoną kartę, którą założyła na klamkę drzwi do jego pokoju. – Co to jest, do diabła?

– To znak, że pana pokój został sprawdzony i jest pusty, panie Lineman.

– Hmm. – Rzucił kartę na podłogę, włożył do zamka własną i zamknął się w apartamencie.

Oparła się o ścianę i przeciągnęła jak kotka, czekając, aż znowu wyjdzie. Ta suka Maria wścieknie się, jeśli za chwilę nie skończy obchodu, a musi jeszcze sprawdzić rewir Trining na piątce od strony rufy – miała zamiar zrobić to kilka godzin temu. Ta leniwa *puta* namierzyła ją w czasie lunchu i powiedziała, że w połowie porannej zmiany zaczęła rzygać, ale Althea podejrzewała, że tamta znowu pije. Trining dostała już naganę – to był jej trzeci dzień na chorobowym w tym miesiącu – i obiecała Althei pięćdziesiąt dolarów za zastępstwo. Dodatkowa kasa się jej przyda, ale dziś akurat obyłyby się bez szamotaniny. Nogi ciążyły jej ze zmęczenia. Nie sypiała zbyt dobrze. Przekonywała samą siebie, że jest cały czas wyczerpana, bo zbyt ciężko pracuje i bierze na siebie zbyt wiele obowiązków.

O innej możliwej przyczynie wołała nie myśleć.

Głos Damiena buczał w głośnikach. Opiekun wycieczki powtarzał wciąż tę samą wiadomość. Facet kocha swój głos. Althea nigdy z Damienem nie rozmawiała, ale Rogelio, jedyny Filipińczyk pracujący jako zastępca opiekuna rejsu, twierdził, że to egoista z sercem z kamienia. Rogelio... to ktoś, za kogo powinna wyjść. Przystojny, pracowity i zawsze uprzejmy. Przeciwnieństwo Joshuy.

Z kajuty pana Linemana dobiegł odgłos spuszczonej wody, a kilka chwil później pojawił się on sam, unosząc w ramionach sporych rozmiarów reklamówkę z apteki Walgreens. Ponownie się uśmiechnęła, ale on bez słowa ciężkim krokiem przeszedł obok niej.

– *Putang ina mo* – powiedziała pod nosem.

Zatrzymał się i odwrócił, wlepiając w nią lśniąca świńskie oczka.

– Co to miało być?

Cholera.

– Słucham?

– Co przed chwilą powiedziałaś? Co to za język?

– Tagalog, panie Lineman.

– Taga... co?

– Tagalog. Język filipiński. – *Ty niedouczony świński bękarcie.* – Po prostu

życzyłam panu powodzenia – skłamała.

– Naucz się mówić po angielsku – mruknął pod nosem.

Althea bardzo chciała powiedzieć temu idiocie, że posługuje się biegle angielskim, hiszpańskim i tagalogiem i potrafi przeklinać w pięciu innych językach, podczas gdy on sam ledwo opanował jeden, ale straciłaby premię, gdyby dał jej negatywną ocenę.

– Bardzo pana przepraszam, panie Lineman. Nie chciałam pana urazić.

Wyglądał na nieco udobruchanego. Tym razem uważnie obserwowała, jak z mozołem się oddala. Statek nabierał coraz większego przechyłu, staruch w każdej chwili mógł stracić równowagę. *Dobrze. Przewróć się, bastardo, przewróć.*

Ponownie założyła czerwoną kartę na drzwi Linemana, a potem sprawdziła apartament zajmowany przez dwie seniorki, Helenę i Elise. Nienaganny – ich łóżka wyglądały dokładnie tak, jak je zostawiła po wysprzątaniu pokoju wcześniej tego samego wieczoru. Spodziewała się od nich dużego napiwku. Althea pracowała na wystarczająco wielu statkach i umiała rozpoznawać klientów skłonnych do dawania dużych napiwków, a nigdy nie robili tego ci, którzy co godzinę domagali się dodatkowych butelek z wodą, jęczeli na temat działania klimatyzacji albo biadolili, jeśli co wieczór nie ułożyła ręcznika w kształcie innego pierdzielonego zwierzątka.

Podeszła do ostatniego apartamentu – V27 – kajuty medium. „Robota diabła”, tak nazwałaby to jej *mamita*. Pani del Ray była bez wątplenia starą zręczliwą jędzą, ale była też hojna – Althea zarobiła już coś ekstra za przymykanie oczu na butelki z alkoholem w jej pokoju. Kiedy tylko przesunęła swoją uniwersalną kartę pokojową przez zamek, drzwi otworzyły się z rozmachem, a w jej kierunku rzuciła się szczupła asystentka pani del Ray, Maddie.

– Althea! Myślałam, że to lekarz.

– Źle się czujesz?

– Ja nie. Celine. Pani del Ray.

Althea weszła za nią do sypialni, gdzie pani del Ray siedziała na swoim wózku inwalidzkim, wpatrzona nieruchomo w wyłączony ekran telewizora. W pokoju czuć było alkohol.

– Celine? Celine? Przyszła Althea – powiedziała Maddie śpiewnym głosem, jakby zwracała się do dziecka.

Pani del Ray podniosła wzrok, kołyszając głową, a jej oczy, wydawało się, niczego nie dostrzegają. Althea uśmiechnęła się i pomachała dłonią, witając się

nieśmiało.

– Co się stało? – zapytała. Skierowała wzrok na stojącą obok telewizora pustą butelkę po J&B. Ta kobieta za dużo pije. Althea własnoręcznie wrzucała pozostawione przez nią puste butelki do kruszarki szkła. Może dlatego babka się rozchorowała.

– Nie wiem. Dziwnie się zachowuje. Zadzwoiłam po tego pieprzonego... przepraszam. – Althea grzecznie skinęła głową. – Zadzwoiłam po lekarza, jak tylko statek się zatrzymał, ale nikt się jeszcze nie zjawił.

– Próbowала pani dzwonić jeszcze raz?

– Tak. Bez przerwy wydzwaniam. Nikt nie odbiera.

Althea odpięła krótkofalówkę i wywołała swoją przełożoną.

– Mario? Mario, zgłoś się. – Usłyszała jedynie syk zakłóceń. Spróbowała ponownie, z takim samym rezultatem. *Susmaryosep*.

– Mogę skorzystać z telefonu, Maddie?

– Proszę bardzo.

Althea podniosła słuchawkę i wykręciła numer izby chorych, ale słyszała tylko powtarzający się sygnał. Potem zamierzała połączyć się z działem gospodarczym i obsługą klienta, jednak znów usłyszała sygnał zajętego numeru.

– Osobiście pójde do izby chorych i powiem, żeby pilnie przysłali lekarza.

– Dziękuję.

– Nie ma za co – odpowiedziała Althea odruchowo. Nie miała nic przeciwko Maddie. Asystentka Celine była dla niej zawsze uprzejma, ale nie w protekcyjny ani nadmiernie przyjacielski sposób. Poza tym najwyraźniej była zaniepokojona. Być może tej starej kobiecie naprawdę coś jest.

Althea wybiegła z pokoju i jeszcze raz spróbowała użyć krótkofalówki. I znów trzask zakłóceń. To najgorsze, co mogło jej się przydarzyć. Sprawdziła, czy w korytarzu od lewej burty nie ma Electry, która zajmuje się obsługą pokoi w tym rejonie – ale nigdzie jej nie zauważyła. Najszybciej do izby chorych na Pokładzie Trzecim dotrze schodami dla pasażerów, choć obsługa nie ma tam wstępu. Postanowiła zaryzykować. Większość załogi powinna teraz przebywać w punktach ewakuacyjnych, zajmując się pasażerami, lub usuwać awarię w siłowni, więc pewnie takie złamanie zasad ujdzie jej na sucho. Zbiegała na coraz niższe pokłady. Wstrzymała oddech, gdy dotarła do półpiętra na szóstce, gdzie dwóch mechaników pomagało kilku utyskującym pasażerom wydostać się z jednej z unieruchomionych wind.

Gdy zbliżyła się do drzwi izby chorych, wyczuła powiew dymu przenikający

przez pofałdowaną folię, która zasłania wejście do I-95 naprzeciwko. Nacisnęła dzwonek przy drzwiach i czekała. Nic. Poruszyła klamkę, a kiedy ta ustąpiła, Althea weszła do środka. Wąska poczekalnia, apteka i recepcja były puste, ale zza drzwi na drugim końcu poczekalni dobiegały podniesione głosy. Podeszła do nich, stanęła na palcach i zajrzała do środka przez matową szybę w drzwiach. Nowy lekarz zakładał maskę tlenową na twarz histeryzującego członka załogi ubranego w zabrudzony niebieski kombinezon. Obok niego pielęgniarz zajmował się mężczyzną w białych oficerskich ciuchach, który również był podłączony do aparatu tlenowego. Ale jej uwagę przykuł człowiek na noszach ustawionych najbliżej wejścia. Leżał całkowicie nieruchomo na boku, z wyciągniętą ręką. Płaty martwej skóry zwisały z jego przedramienia niczym obsceniczna koronka, odsłaniając fragment żółto-czerwonej, wilgotnej tkanki. Jak gdyby wyczuwając jej spojrzenie, podniósł wzrok i popatrzył prosto na nią. W jej oczach pojawiło się współczucie, ale on nie zareagował. Jego oczy były puste, tak jakby schował się głęboko w sobie, próbując poradzić sobie z bólem. Widziała wcześniej poważne oparzenia – akurat odwiedzała mamę w Binondo, kiedy ogień strawił pobliską fabrykę – ale ten widok i tak przyprawił ją o mdłości. Lekarz pośpieszył do ofiary poparzenia i delikatnie położył dłoń na jej czole.

Althea, drżąc, wróciła do poczekalni. Krzyki dobiegające z gabinetu zamieniły się w szept. Pożar musiał być większy, niż jej mówiono. Na domiar złego, tu, na dole, temperatura szybko rosła. Klimatyzacja nadal nie działała. Kobieta nie wiedząc, co zrobić, zaczęła chodzić w kółko.

Poprzedni lekarz, Kubańczyk z zepsutymi zębami, został podobno zwolniony za molestowanie jednej z rumuńskich kelnerek obsługujących załogę, ale jego zastępca miał miłą twarz. Zastanawiała się, czy w jej stanie poprosić go o pomoc, ale odrzuciła ten pomysł. Nie powinna tak myśleć. Przesunęła dłoń po brzuchu. Jeśli naprawdę jest w ciąży, wciąż jeszcze nic nie widać. Najwyżej drugi miesiąc. Być może Joshua spełnił swoje pogroźki i w końcu zrobił coś z jej pigułkami. *Bastardo*. Kiedy ostatnio była w domu, pokłócili się, bo nie chciała gotować dla niego i jego braci. Jak śmiał oczekiwać, że będzie go obsługiwała po tym, jak zaharowywała się na statkach, żeby ich wszystkich utrzymać! Do dziś na to wspomnienie coś w jej wnętrzu zaczynało płonąć z wściekłości. Wiedział, że nic nie przeraża jej bardziej niż perspektywa pójścia w ślady jej siostry, zmordowanej kobiety o szarej cerze, żyjącej w nędzy w Quezon z piątką dzieci. Czego mógł się spodziewać po jej ciąży? Na pewno zostałyby zwolniona, pieniądze by się skończyły, a wszyscy znaleźliby się o krok od zamieszkania w slumsach. On i cała jego pierdzielona rodzinka. *Cóż, ależ niespodzianka. Ta chwila jest bliżej, niż myślisz.*

Sama jest sobie winna. Powinna wyjść za Amerykanina z pieniędzmi, a nie głupiego Filipińczyka, który jak idiota dał się zwolnić z pracy na statku. Ale nie, zakochała się – ha!, zakochała! – w cholernym pomocniku kelnera z pieprzykiem pod okiem, który obiecał jej, że będą się razem wspinać po szczeblach kariery. Pewnie nie da rady się z nim rozwieść – ich rodziny nigdy by tego nie zaakceptowały – ale może go zostawić. Zaoszczędzić i rozpocząć nowe życie.

Taki miała plan – dobry plan – ale jeśli jest w ciąży, może o tym zapomnieć. Przepracowała zaledwie dwa miesiące z dziesięciomiesięcznego kontraktu, nie ma więc szansy, żeby mogła ją ukryć.

– Co ty tutaj robisz? – Althea odwróciła się i zobaczyła wpadającą przez drzwi wejściowe rosnącą kobietę z włosami pofarbowanymi na pomarańczowo, w wygniecionym uniformie pielęgniarki. – Jesteś chora?

Althea opowiedziała o przypadku pani del Ray.

Kobieta odpowiedziała jej zmęczonym uśmiechem.

– Ach. Pewnie Bin odebrał wcześniej telefon, zanim tu się zrobiło gorąco.

– Ci mężczyźni z obrażeniami z pożaru... – Althea wskazała drzwi. – Przeżyją?

Kobieta zasznurowała wargi.

– Weszłaś tam? To strefa tylko dla pacjentów.

– Bardzo przepraszam – wymamrotała Althea, odruchowo przestawiając się na tryb ugrzeczniony. – Nikogo tu nie było. Próbowалаm znaleźć lekarza.

– Aha. Okej. – Pielęgniarka przesunęła ręką po potarganych włosach.

Miała ciemne kręgi pod oczami, a skóra na jej nosie i policzkach była czerwona od popękanych naczynek. Alkoholiczka. Althea знаła te objawy.

– Moja przełożona twierdzi, że pożar nie był aż tak duży. – Althea próbowała wyczuć sytuację.

– Wygląda to gorzej niż jest w rzeczywistości, nie martw się. Muszę tam wrócić. Dziękuję za informację. V dwadzieścia siedem, mówisz?

Althea potaknęła i spełniwszy zadanie, zniknęła za plastikową zasłoną, ruszając w dół I-95. Rewir Training znajdował się na piątym pokładzie od rufy – co najmniej pięć minut spacerem. Biegła korytarzem ze świadomością, że powietrze robi się coraz bardziej duszne, a zapach dymu tym mocniejszy, im bardziej zbliża się do rufy. Wymieniła pozdrowienia z grupą kelnerów, którzy minęli ją w pośpiechu, niosąc tace pełne butelek z wodą, ale nie potrafili jej powiedzieć nic więcej na temat całej sytuacji niż to, co już wiedziała.

Przebiegając obok biur obsługi, usłyszała warknięcie Marii:

– Altheo!

Althea zamarła, a następnie odwróciła się w jej stronę ze spuszczonego wzrokiem.

– Próbowałam się z tobą skontaktować, Altheo.

– Przepraszam. – Althea popukała w radio. – Znowu nie działa.

– Sprawdziłaś, czy w twoim rejonie nikt nie pozostał w kajucie? Postępowałaś zgodnie z procedurami?

– Tak, Mario. Ale jedna z moich pasażerek jest chora i potrzebuje lekarza. Dzwonili do izby chorych, ale nikt nie odebrał.

Maria posłała jej groźne spojrzenie, jak gdyby to Althea osobiście odpowiadała za zły stan zdrowia pasażerki. Któregoś dnia, obiecała sobie Althea, ta *puta* będzie przed nią klęczeć. Wtedy każe jej zreć glebę i tarzać się po ziemi.

– Sprawdzę to. Który pokój?

– V dwadzieścia siedem. To pasażerka, która przybyła samolotem, pani del Ray. Byłam w izbie chorych i przekazałam informację. Czy mogę odejść?

Ochrona na pewno sprawdza już, czy wszystkie karty są na miejscu, a Trining będzie miała do niej pretensje, jeśli jej rewir nie zostanie sprawdzony.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Trining jest chora? – zapytała Maria złowrogo cichym głosem.

Pierdzielona Trining. Następnym razem Althea za cholere nie zgodzi się jej pomóc.

– Myślałam, że Trining sama o tym poinformowała.

– Twierdzi, że zgodziła się sprawdzić dziś jej rejon.

Althea przybrała swój najbardziej niewinny wyraz twarzy.

– Naprawdę?

Maria uniosła namalowane kredką brwi. Nigdy nie były równe – jedna zwykle nakreślona wyżej od drugiej, a obie gryzły się z jej blond włosami. *Naucz się korzystać z lustra, puta.*

– Mamy szczęście, że nie było żadnych skarg. Twierdzi, że nie zaczęła nawet wieczornego obchodu.

– Przepraszam, Mario. Widocznie nastąpiło nieporozumienie.

– Paulo sprawdził już, czy pokoje Trining są puste, ale chcę, żebyś upewniła się, że zrobił to dokładnie.

– Czy to nie należy do zadań ochrony?

– Kwestionujesz moje polecenie?

– Nie, Mario.

– Kiedy skończysz, udasz się do punktu ewakuacyjnego i będziesz czekać na dalsze instrukcje.

– Tak, Mario. Dziękuję, Mario.

Nienawidziła się płaszczyć, ale jeśli chciała mieć szanse na awans na stanowisko kierownicze, potrzebowała pozytywnej oceny. Nie żeby na tej łajbie mogła żywić na to wielkie nadzieje. Decydował klucz narodowościowy – Maria pomagała jedynie innym Rumunom. Tak wyglądało życie na statku. Czasem działało to na twoją korzyść, czasem nie. I nie miało znaczenia, że angielski jest jej językiem ojczystym. Jej narodowość przemawiała przeciwko niej. Ktoś musi wykonywać czarną robotę. Dwa lata zabrało jej awansowanie z pozycji obsługi załogi (pasażerowie potrafili być odrażający, ale to i tak nic w porównaniu z niektórymi oficerami) i objęcie pożądanego stanowiska na pokładzie dla VIP-ów.

Pchnięciem otworzyła służbowe drzwi prowadzące na niższe pokłady, wyczuwając po raz kolejny swąd dymu. Nie znosiła tego odcinka schodów – do każdego półpiętra prowadziło trzynaście stopni, a ona odliczała je na głos, neutralizując klątwę. Wiedziała, że to żalosne, ale nie potrafiła do końca pozbyć się przesądów z dzieciństwa – wciąż jeszcze przekręcała talerz, kiedy ktoś odchodził od stołu w mesie.

Otwierając drzwi prowadzące do rejonu Trining, kątem oka dostrzegła szybki ruch na końcu ciemnego korytarza. Ktoś biegł w jej kierunku – jakaś niewielka postać. Światło było tu o wiele gorsze niż na jej piętrze, ale wydało jej się, że to dzieciak, chłopiec. Jak to możliwe? Bywała na rejsach z zepsutymi amerykańskimi bachorami panoszącymi się, jakby statek należał do nich, z rodzicami wydzierającymi się na członków załogi za każdym razem, kiedy któryś z tych małych gnojzków skaleczył się albo zgubił, ale rejsy noworoczne dozwolone były od lat osiemnastu. Światła awaryjne zamigotały, przez chwilę otaczając ją ciemnością, po czym nagle z sykiem zapaliły się ponownie. Dzieciak – o bladej cerze, ciemnych włosach i na bosaka – stał teraz dwadzieścia metrów przed nią.

– Oj! – krzyknęła, mrugając, kiedy światła ponownie zgasły. Zwalczyła chęć odwrotu do służbowego przejścia.

Światła znowu rozbłysły – tym razem jaśniej – ale dzieciak... dzieciak zniknął.

Odruchowo się przeżegnała, podskakując na widok wysokiej postaci, która

wychynęła zza zakrętu na końcu korytarza. Odetchnęła głębiej, rozpoznawszy białą koszulę i czarne spodnie jednego z pracowników ochrony. Czy dzieciak był wytworem jej wyobraźni? Czy umysł płątał jej figle? Funkcjonowała, śpiając mniej niż cztery godziny na dobę, więc było to możliwe.

Ochroniarz był coraz bliżej. Jeden z członków hinduskiej mafii o kanciastej twarzy, górujący nad nią wzrostem.

– Widziałeś tam jakiegoś pasażera? – zapytała go, zdziwiona tym, jak bardzo jest spokojny.

Popatrzył na nią tępo.

– Nie. – Wskazał palcem czerwone karty umieszczone w zamkach. – Skończyłaś?

– To nie mój rejon.

– To co tu robisz? – Przesunął rękę w kierunku krótkofalówki przymocowanej do pasa. – Wszyscy członkowie załogi muszą natychmiast zgłosić się w swoich punktach ewakuacyjnych.

– Wiem. Moja przełożona kazała mi sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

– I jest?

– Nie jestem pewna. – Nie chciała mu powiedzieć, co widziała, na wypadek gdyby to jednak była tylko jej wyobraźnia. Ale ten dzieciak – jeśli w ogóle był tam jakiś dzieciak – musiał zniknąć w jednej z najbliższych kajut, choć dałaby głowę, że nie słyszała skrzypienia otwieranych ani zamykanych drzwi.

– Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli jeszcze raz sprawdzę kilka pokoi? Steward, którego wysłano w tym celu, jest nowy.

Dobrze. Kłamstwo, ale brzmiące rozsądnie. Oczekiwała, że ochroniarz będzie się z nią spierał, ale on tylko dalej się w nią wpatrywał – może wyczytał coś z jej twarzy – a potem machnął ręką, jakby mówił „możesz iść”.

Chłopak mógł po zgaśnięciu światel wślizgnąć się do jednego z trzech pokoi. Otworzyła pierwszy, zajrzała do łazienki, potem omiotła wzrokiem główne pomieszczenie, otwierając szafę i sprawdzając, czy dzieciak się tam nie schował. Nie było po nim śladu, ale w pokoju panował bałagan, pościel była zwinięta w kulę, a z kosza na śmieci wysypywały się puste puszki po piwie Coors. Było jasne, że Trining nie pofatygowała się w ogóle na swój rewir tego ranka, a Paulo zapukał tylko do drzwi kajut i pooznaczał je kartami, nie sprawdzając ich wystarczająco dokładnie. Trining musiała mieć po swojej stronie Boga i wszystkie jego anioły – to cud, że nikt się nie poskarżył.

Zaglądając do następnego pokoju, rzuciła okiem na ochroniarza, ale ten tylko

bawił się swoją krótkofalówką. Kiedy tylko otworzyła drzwi, owionął ją kwaśny smród rzygowin. Zawahała się, a następnie oparła drzwi o magnes i weszła do środka. Łazienka była pusta, a reszta pomieszczenia wydawał się niezamieszkała. Rozejrzała się, szukając źródła smrodu i uświadamiając sobie jednocześnie, że czuje inny zapach, moczu. Był lekki, ale wyraźny.

Ominęła róg niezasałanego łóżka. Między ścianą a brzegiem materaca leżała rzucona tam kołdra, a spod niej wystawała para brudnych i poszarzałych stóp. Krzyknęła i cofnęła się, uderzając o szafkę z lustrem i zrzucając na podłogę torbę z kosmetykami.

Ochroniarz w ciągu paru sekund znalazł się w pokoju, zatykając nos.

– Co się dzieje?

– Podejdź tu – wyszeptała. – Patrz.

Uważnie przyglądała się twarzy ochroniarza, gdy ten lustrował kajutę. Wzdrygnął się i po omacku sięgnął po swoją krótkofalówkę.

– Centrala, zgłoś się. Centrala.

Rozległy się syki i trzaski. Uderzył ręką w urządzenie.

Althea nie mogła oderwać wzroku od tych stóp. Należały do kobiety, a ona nagle przypomniała sobie coś, co powtarzała jej *lola*, gdy Althea była dzieckiem: buty zmarłych należy jak najszybciej zdjąć, by nie ciążyły na drodze do nieba. Ledwie świadoma tego, co robi, chwyciła kołdrę, próbując ją odkryć, ale ochroniarz położył jej rękę na ramieniu. Jego dłoń wydawała się tak gorąca, że mogła poparzyć skórę.

– Czekaj.

Ochroniarz wszedł na łóżko, przesunął się po nim i delikatnie podniósł kołdrę na wysokości głowy kobiety, odsłaniając kosmyk włosów o kolorze słomy. Pochylił się, sprawdził tętno, a następnie ułożył kołdrę w dokładnie taki sam sposób.

– Czy one nie żyje? – wyszeptała Althea.

– Tak.

Przez kilkanaście sekund stali w milczeniu. Ochroniarz odchrząknął.

– Muszę stąd wyjść i złapać lepszy sygnał. Niczego nie dotykaj. – Złagodził ton. – Dasz radę zostać tutaj sama?

Przytaknęła.

– Powtarzam, proszę, nie dotykaj niczego. – Wszedł w pośpiechu, zostawiając ją sam na sam z ciałem.

Włoski na jej karku zatańczyły. Althea zamknęła oczy, jeszcze raz się

przeżegnała i po raz pierwszy od wielu miesięcy odmówiła modlitwę.

Siostry samobójczynie

Helen uważała, że bycie jedną z nielicznych osób po sześćdziesiątce na pokładzie ma swoje zalety. Wraz z Elise dostały do dyspozycji leżaki, podczas gdy wszyscy inni przebywający w punkcie ewakuacyjnym musieli zadowolić się miejscem na podłodze. Czuła się w miarę komfortowo, choć obyłyby się bez hałasu. Obok miejsca, w którym siedziały, grupa mężczyzn i kobiet flirtowała ze sobą w nachalny sposób, usiłując znaleźć się w centrum zainteresowania. Najgłośniejszy z całej gromady, zbudowany jak rugbista facet po trzydziestce z parą anielskich skrzydeł przyczepionych do owłosionych pleców, narzekał, że zawieszono działanie barów.

– W końcu po to człowiek jedzie na pieprzony rejs, co nie? – powtarzał wciąż, cedząc przez zęby. – Wypić i się pośmiać. A jeśli statek ma odstawić „Titanica”, chcę być zalany w trupa.

Nieopodal para Amerykanów przypominających gigantyczne skrzeczące ropuchy głośno uskarżała się każdemu, kto chciał słuchać, że już nigdy nie popłynie z Foverosem. Raz czy dwa widziała ich w restauracji, zamawiających wszystkie pozycje z menu. Ani razu nie podziękowali kelnerowi.

Był też Jaco, okrętowy człowiek orkiestra w stylu marimba/rock/reggae (jeśli akurat na to było zapotrzebowanie), który fałszując, kończył właśnie akustyczną wersję *By the Rivers of Babylon*. Pojawił się dwadzieścia minut temu, najprawdopodobniej wysłany przez Damiena z misją odwodzenia pasażerów oczekujących na zezwolenie na opuszczenie punktu ewakuacyjnego od myśli o buncie. Nie wydawał się przejęty faktem, że nikt nie zwraca na niego najmniejszej uwagi. Prawdę mówiąc, z tego, co zauważyła Helen, bycie powszechnie ignorowanym musiało być częścią jego obowiązków. Widywała go na całym statku, raz jako gospodarza wieczorku poświęconego Michaelowi Jacksonowi, kiedy indziej pozostającego na drugim planie podczas karaoke. Złapała kontakt wzrokowy z Elise i obie podziękowały mu nieśmiało brawami. Jakby chcąc ukarać je za wspaniałomyślność, przeszedł do chaotycznej wersji *Jail House Rock*.

– Szkoda, że od muzyków nie wymaga się dziś pójścia na dno razem ze statkiem – powiedziała rzeczowym tonem Helen, a Elise się zaśmiała.

Członkowie załogi przydzieleni do ich punktu ewakuacyjnego – pulchna Australijka o kamiennym spojrzeniu i Filipińczyk z kośćmi policzkowymi jak

u supermodelki – już dawno darowali sobie przypomnienie pasażerom o zakazie filmowania komórkami przebiegu wydarzeń, a teraz zajęci byli pogawędką, od czasu do czasu częstując drętwą gadką tych, którzy zadreczali ich pytaniami o informacje. Bez wątpienia ludzie wymachujący na wszystkie strony swoimi iPhone'ami robili to w nadziei, że jeśli statek rzeczywiście „odstawi «Titanica»”, sprzedadzą zdjęcia którejs ze stacji telewizyjnych. Co było mało prawdopodobne. Jeśliby „Piękny Marzyciel” miał zatonać, już dawno by to nastąpiło. Były z Elise w restauracji, zastanawiając się, jakie wybrać przystawki, kiedy statkiem zakołysało i przestał płynąć, a światła zgasły. Po kilku sekundach wstrząsającej ciszy rozległ się pojedynczy, wysoki wrzask, a następnie, wśród hałasu upuszczanych sztuców i gwaru podniesionych głosów, ich współbiednicy ruszyli – prawie jak jeden mąż – w stronę drzwi wyjściowych. One pozostały na swoich miejscach, w spokoju dopijając swoje nieprzyzwoicie drogie koktajle z szampanem, podczas gdy inni mijali ich stolik, bezceremonialnie odpychając równie zdezorientowanych pracowników obsługi. Kilka osób najwyraźniej podporządkowało się prośbom opiekuna rejsu o powrót do kajut. Większość uciekła prosto na Pokład Lido, gdzie znajdowały się łodzie ratunkowe. Jednak teraz, kilka godzin po tym, jak poinstruowano ich o potrzebie przejścia do punktów ewakuacyjnych, początkowa panika ustąpiła miejsca nudzie i irytacji.

– Która godzina? – zapytała Elise.

– Dziesięć po jedenastej.

– Już tak późno, mówisz?

Obie jednocześnie westchnęły.

– Nie możemy tego zrobić teraz, kiedy statek nie płynie – powiedziała Helen, stwierdzając rzecz oczywistą. – Wyłowią nas i tyle.

– Myślisz, że zawracaliby sobie głowę?

– Jeśli ktoś nas zobaczy, to całkiem możliwe. – W pierwszym dniu rejsu ustaliły, gdzie to zrobią – na Pokładzie Spokoju, na rufie statku. Główna impreza miała się odbywać na Pokładzie Lido i zgodziły się co do tego, że nikt nie zauważy dwóch starszych pań przechodzących o północy przez reling. Niestety zanosilo się na to, że nie będzie żadnej imprezy.

– Zawsze zostają nam tabletki nasenne – powiedziała Elise.

– Zbyt ryzykowne. – Ale nie tylko o to chodziło. Helen w głębi serca postanowiła, że zrobią to tak, jak zaplanowały. W wodnym grobowcu. Zbadala temat i wiedziala, że utonięcie nie jest bezbolesne – wręcz przeciwnie – ale tabletki nasenne mogły pomóc, co oznaczało również, że nikogo nie będzie musiało prześladować wspomnienie odkrycia ich ciał. Jeśli zrobią to

prawidłowo, po prostu znikną bez śladu.

– No cóż, gra się do ostatniego gwizdka – powiedziała Elise.

Helen zamknęła oczy i spróbowała odciąć się od odgłosów otoczenia. Teraz, kiedy ich plan został udaremniony, musiała zrobić rachunek sumienia. Zakładała, że w miarę upływu godzin ogrom tego, co planowały, może w końcu do niej dotrzeć. Ale tak się nie stało. Doskonale rozumiała, że jej podejście do kwestii odebrania sobie życia było anormalne pod względem psychologicznym, i wciąż po części odczuwała oszołomienie – nie można było tego uczucia nazwać szczęściem, choć niewiele się od niego różniło – którego doznała pięć miesięcy temu, po podjęciu decyzji.

To Elise wpadła na pomysł, żeby zrobić to podczas rejsu. Helen nigdy na takim nie była i spodobał jej się pomysł przeżycia ostatnich dni na luksusowym wycieczkowcu z pościelą z egipskiej bawełny i posiłkami niczym z pięciogwiazdkowego hotelu. To miało być jej własne wcielenie Blanche Dubois, która pragnęła umrzeć po zjedzeniu zatrutego winogrona, a odchodząc, trzymać za rękę przystojnego lekarza okrętowego. Ale nie było jej to pisane. Elise zarezerwowała bilety na rejs z Foverosem – dobrze wspominała wycieczkę z tą firmą z lat osiemdziesiątych – a mimo że bardzo swobodnie poruszała się po Internecie, mnóstwo recenzji z zaledwie jedną gwiazdką, jakie „Piękny Marzyciel” otrzymał na stronie SzczerzyRejsowicze.com, wyjątkowo uszło jej uwagi. Helen była oburzona, kiedy przeczytała niektóre z nich – na przykład pewien pasażer odkrył, że z kranu w łazience cieknie mocz. Pomyślała jednak: bez przesady. Czy naprawdę może być aż tak źle?

Owszem, było źle, ale nie beznadziejnie. Szczerze mówiąc, pierwsze trzy dni rejsu nie były aż tak paskudne, jak się spodziewała, choć drugiego dnia przeżyła kilka ponurych godzin po przyplłynięciu na prywatną wyspę Foverosa.

– Czyż nie jest piękna? – wzdychała para siedząca przed nimi, kiedy statki pomocnicze dowoziły ich do portu, ale Helen dostrzegła jedynie tandetny bałagan, piękną niegdyś wyspę zżeraną przez nowotwór sklepów handlujących masowej produkcji badziewiem. Obok „Pięknego Marzyciela” cumowały tu dwa inne statki Foverosa i Helen była przerażona widokiem wylewającej się z nich ludzkiej masy, która już po chwili zalewała strefę bezcłową. Razem z Elise znalazły ocienione miejsce obok plażowego baru w stylu statku pirackiego i choć robiła dobrą minę do złej gry, cały dzień była w apatycznym nastroju. Po powrocie na pokład stała się bardziej niż przedtem uczulona na ludzi, którzy wszędzie wokół opychali się śmieciowym żarciem, żłopali opalizujące drinki i zostawiali na stołach niedojedzone posiłki, które inni musieli po nich sprzątać.

Później na scenie zbudowanej na Pokładzie Lido zobaczyła tańczącą

samotnie kobietę, bez skrępowania dającą się ponieść dźwiękom popowej piosenki. Znajomy przyniósł jej talerz z jedzeniem, a ona tańczyła dalej, mimowolnie napychając usta frytkami i nie gubiąc ani jednego kroku. Helen spojrzała w oczy Elise i obie wybuchły śmiechem. Wciąż nie była pewna, dlaczego akurat ta scena wyrwała ją z egzystencjalnego marazmu, jeśli tak właśnie można określić ten stan, ale niespodziewanie rozpacz przestała ją tak dogłębnie wypełniać. Cóż za paradoks: miała umrzeć – sama podjęła taką decyzję – ale nie chciała umierać, czując się w ten sposób. Nie chciała być kolejną żalospisną staruchą, która zarezerwowała bilet na rejs po obniżonej cenie tylko po to, by popełnić samobójstwo.

Tak, szczerze powiedziawszy to była jedyna sytuacja, kiedy czuła się przytłoczona. Bardzo spodobała jej się wczorajsza wycieczka do Cozumel. Wynajęły rozklekotanego jeepa w mocno podejrzanym wypożyczalni aut, a ona obwiozła je po wyspie, zatrzymując się na opustoszałym odcinku plaży, gdzie popluskowały się w falach. Wypiły po dwie Margarity w barze o nazwie Tłusty Wtorek, a potem chichotały przez cały obowiązkowy pobyt w wolnocłowym supermarkecie w drodze powrotnej na statek, podpuszczając się nawzajem, która znajdzie straszliwsze kuriozum. Po obiedzie zabawiały się w galerii, pozując do zdjęć. Można je było zrobić z tancerką niosącą owoce na głowie lub przy fortepianie. Obie uznały za zabawny fakt, że te śmiechu warte fotki będą ostatnim dowodem ich istnienia, potwierdzeniem, że były szczęśliwe do samego końca.

Z zamyślenia wyrwał ją hałas dochodzący z głośników:

– Dobry dzień, panie i panowie, tu Damien, wasz opiekun rejsu. Chcielibyśmy podziękować wszystkim za cierpliwość. Domyślcie się pewnie, że wciąż pracujemy nad usunięciem usterki technicznej, ale to nie potrwa długo. Kapitan zdecydował, że obsługa barów zostanie wznowiona, a my rozpoczniemy odliczanie do...

Głos Damiena utonął w przeszywającym uszy aplauzie, punkt ewakuacyjny błyskawicznie opustoszał, a towarzystwo gromadnie ruszyło w stronę barów.

– Masz na coś ochotę? – zadała pytanie Elise.

– Nie, dzięki. – Elise ziewnęła. – Ups. Robię się senna. Ostatnia rzecz, jaką spodziewałam się dziś poczuć.

Helen znów spojrzała na zegarek. Jedenasta trzydzieści. Była pewna, że w okolicach Pokładu Spokoju wciąż kręci się zbyt wiele osób, by podjąć ryzyko, a i tak nie mogły nic zrobić, dopóki nie połkną tabletek nasennych i nie odczekają pół godziny, aż te zaczną działać. Zopiclone został w ich pokoju – Elise zapomniała wrzucić do torebki buteleczki z tabletkami, kiedy usłyszały

połączenie przejścia do punktu ewakuacyjnego.

Anioł z owłosionymi plecami wrócił do swojej grupy, triumfalnie unosząc trzy wiaderka z piwem, a tuż za nim podążała kobieta w cieniutkiej czerwonej tunice, dźwigając tacę z kieliszkami wypełnionymi fioletowym płynem. Włochaty walnął dwa kielonki, objął kobietę w czerwieni i zaczął ją obślinać. Zachichotała i przywarła do niego. Pocałował ją namiętnie i wsadził jej rękę pod sukienkę, obnażając fragment opalonego na czerwono uda i wyblakły tatuaż, który przypominał Elmera Fudda.

– Wyobrażałaś sobie kiedyś, że mogłabyś się w ten sposób publicznie zachowywać? – Elise wyraziła swoją dezaprobatę.

Znajomi Włochatego zaczęli mu dopingować, a widok jego grubego, natarczywego jęzora przyprawiał Helen o lekkie mdłości.

– Wróćmy do pokoju i zdecydujemy, co dalej.

– Nie mówili, że już można – powiedziała Elise.

– Od kiedy przestrzegamy przepisów?

Elise się zaśmiała.

– Cholera, co racja to racja. Chodźmy. Przynajmniej będziemy się mogli napić. Przyznaję, że muszę skorzystać z łazienki.

Helen wstała, krzywiąc się pod wpływem wbijającego się w jej nogi kłującego bólu. Słabe krążenie. Od lat miała tę dolegliwość (na szczęście już niedługo). Wyciągnęła rękę, pomagając wstać przyjaciółce.

– Och, dzięki, kochana – wysapała Elise. Jej waga była jedynym tematem, którego unikały, a dla Helen głównym powodem do obaw był mechaniczny aspekt ich planu – nie była pewna, w jaki sposób Elise ma zamiar przepchnąć się przez reling, gdy nadejdzie na to czas.

– Patrz. – Elise lekko trąciła ją łokciem. Szczupła kobieta o ciemnych włosach biegła przez tłum, najwyraźniej szukając kontaktu z którymś z członków załogi. – Czy to nie ta babka wcześniej była z tym medium? Celine... jak jej tam?

– Celine del Ray. – Helen nigdy nie słyszała bardziej sztucznie brzmiącego nazwiska.

Na całym statku widywały wyretuszowane fotografie Celine promujące spotkania z nią przeznaczone „tylko dla Przyjaciół”. A Celine zachowała się niegrzecznie, cholernie niegrzecznie, kiedy spotkały ją w korytarzu w drodze do restauracji.

Helen próbowała podsłuchiwać, ale słowa kobiety zagłuszyły okrzyki

otaczających ją coraz bardziej pijanych ludzi. Filipińczyk z załogi, do którego podeszła kobieta, odpiął krótkofalówkę i zaczął do niej mówić. Zmarszczył brwi, popukał w nią, a potem pokręcił głową w przeproszającym geście. Po gorącej wymianie zdań kobieta podniosła dłonie i zaczęła przyglądać się tłumowi, aż jej wzrok zatrzymał się na twarzy Helen.

– Oho – wyszeptała Helen do Elise – zdaje się, że idzie w naszym kierunku.

Faktycznie, kobieta przepychała się przez grupki imprezowiczów, podchodząc coraz bliżej do nich. Powitała je słabym, nerwowym uśmiechem.

– Przepraszam, że panie niepokoję, ale zdaje się, że miałyśmy okazję poznać się wcześniej. Mieszkacie na tym samym pokładzie, co moja szefowa. – Ledwie rozpoznawalny regionalny akcent – chyba z Midlands, od czasu do czasu zakłócany amerykańsko brzmiącą samogłoską.

– O, tak – powiedziała Elise. – Pani jasnowidz.

– Pani medium, dokładnie rzecz biorąc.

– Jest jakaś różnica?

– Oczywiście – włączyła się Helen. – Media rozmawiają ze zmarłymi, a jasnowidze odczytują przyszłość...

Kobieta jeszcze raz sztywno uśmiechnęła się do Helen.

– Tak. – Zdmuchnęła z czoła kosmyk włosów. Helen dostrzegła wszystkie mięśnie na jej przedramieniu – była zdecydowanie za chuda, niemal anorektyczka, i kipiała nerwową energią.

– Proszę posłuchać... Wiem, że Celine zachowała się dziś wobec pań niegrzecznie, i przepraszam za to. Czasami taka jest. Tylko że ona... rozchorowała się.

– Bardzo mi przykro, złotko – powiedziała Elise.

– Zastanawiałam się... Proszę sobie wyobrazić, muszę znaleźć lekarza i sprowadzić go do niej. Przysłali pielęgniarkę, ale posiedziała tylko pięć minut, a ja wciąż się niepokoję. Czy nie miałyby panie nic przeciwko temu, by jej popilnować, kiedy pójdę go poszukać?

– Co jej dolega? – zapytała Helen.

– Nie jestem pewna. Nie jest sobą, wygaduje jakieś dziwne rzeczy. Czekam już trzy godziny. Jeśli to udar czy coś takiego, nie chcę jej zostawiać samej.

– Ja mogłabym pójść po lekarza – powiedziała Helen.

– Najlepiej będzie, jak ja to zrobię. Nie zajmie mi to dużo czasu, obiecuję.

Helen spojrzała na Elise.

– Nie mamy innych planów, prawda?

– Nie w tej chwili – odparła Elise.

Na twarzy kobiety pojawiła się ulga, a bruzdy na czole zniknęły.

– Będę ogromnie wdzięczna, naprawdę. Mam na imię Maddie, tak à propos.

– A ja Helen, to jest Elise.

Ruszyły za Maddie przez pokład, później rampą w dół na Pokład z Widokiem, następnie przeszły przez brudne szklane drzwi prowadzące na schody i skierowały się do wind.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić, Helen? – wymamrotała cicho Elise, z trudnością łapiąc oddech.

Helen wzięła Elise pod rękę.

– Może zapytamy Celine, co nas czeka w przyszłości?

Elise zachichotała, a Maddie, która kroczyła na przedzie, odwróciła się i spojrzała na nie.

– Nie zwracaj na nas uwagi, złotko – powiedziała Elise.

Maddie w pośpiechu przemierzyła korytarz na pokładzie dla VIP-ów, otworzyła pokój kilka drzwi dalej od ich kajuty i wprowadziła je do środka. Cuchnęło tu jak w gorzelnii, ale poza tym apartament był idealną kopią tego, w którym mieszkały – łącznie z turkusową kolorystyką i pospolitą pastelowością aniołków. Celine siedziała na wózku inwalidzkim obok telewizora, z głową przechyloną do tyłu i lekko otwartymi ustami. Helen zauważyła, że spod opadniętych powiek śledzi, jak poruszają się po pokoju.

Maddie dotknęła ręki szefowej.

– Celine. To jest Helen, a to Elise. Zostaną tu, a ja poszukam lekarza, okej?

Celine coś odburknęła. Zdaniem Helen przypominała nie tyle jasnowidza, ile podstarzałą kosmetyczkę. Upięte wysoko tlenione włosy, krwistoczerwone pazury i skóra nosząca ślady wielu lat liftingów i chemicznych peelingów.

– Wiesz, dokąd trzeba iść? – zapytała Elise Maddie.

– Tak. Mam plan statku. Naprawdę jestem wam bardzo wdzięczna – powiedziała Maddie i rzuciwszy im ostatnie spojrzenie, ruszyła w kierunku drzwi. – Wrócę tak szybko, jak się da.

Elise usiadła na łóżku i bez przekonania zapytała:

– Co teraz?

Helen podeszła do wózka Celine.

– Cześć, Celine. Jak się czujesz?

Celine unikała jej wzroku i zaczęła poruszać ustami, jakby coś przeżuwała.

– Nie sądzisz, że mogła mieć udar? – spytała Helen Elise.

Elise wzruszyła ramionami, gestem naśladując nalewanie płynu z butelki do szklanki.

Helen chwyciła nadgarstek Celine i wyczuła jej tętno, które było mocne i spokojne. Z bliska dostrzegła grubą makijaż nałożony na delikatnie zarysowane policzki Celine, fałdy upudrowanej skóry na podbródku oraz ręce i szyję, które zawsze zdradzały prawdziwy wiek. Przyszła jej do głowy linijka wiersza, który nigdy jej się nie podobał: *O gruba biała kobieto, co nie kocha jej nikt...*

Celine podniosła głowę, oblizwała wargi i spojrzała prosto na nią.

– Celine? Słyszysz mnie?

Helen była pewna, że zauważyła jakiś przebłysk w błękitnych, zażawionych oczach kobiety.

– Myślisz, że mogę skorzystać z łazienki, Helen? – zapytała Elise.

– Oczywiście. – Helen uśmiechnęła się do niej. Elise była jedną z tych osób, które anonsują potrzebę udania się do toalety.

Dla Helen było to raczej urocze niż irytujące.

– Helen? – powiedziała Elise, zatrzymując się przed drzwiami do łazienki. – Helen? Tam chyba ktoś jest.

– Niemożliwe.

Elise zapukała do drzwi.

– Halo? – Elise przyłożyła ucho do drzwi i gestem przywołała Helen. – Posłuchaj.

Elise miała rację. Z wewnątrz dobiegał cichy dźwięk – kobiecy głos nucący jazzową melodię. Al Johnson czy coś takiego. Helen zdusiła w zarodku ukłucie tęsknoty – Graham potrafiłby ją rozpoznać. Zapukała do drzwi.

– Halo? Jest tam ktoś? – Nucenie nagle ustało. – Może to z kajuty obok?

– Myślisz?

– A cóż by to mogło być? Proszę, porusz klamką.

– O nie – powiedziała Elise. – Ty to zrób.

Helen zawahała się, a potem otworzyła drzwi. Wewnątrz unosił się zapach lawendy, ale łazienka była pusta.

Elise zadrzała.

– Tfu. Aż mnie ciarki przeszły.

Zniknęła w środku, a Helen wróciła do Celine. W kajucie nie było czym oddychać, więc podeszła do balkonu i otworzyła drzwi na całą szerokość, oddychając głęboko, i właśnie wtedy kątem oka dostrzegła ledwo zauważalny ruch. Za jej plecami ktoś był – mężczyzna – widziała jego odbicie w szybie drzwi balkonowych. Wysoki, z szerokimi ramionami i zamazaną twarzą. Odwróciła się powoli, a serce podeszło jej do gardła.

W pokoju nikogo nie było.

Prawie krzyknęła, kiedy z łazienki dobiegł dźwięk spuszczonej wody. Wyszła z niej Elise, otrzępując dłonie.

– Helen? Dobrze się czujesz?

Helen zmusiła się do uśmiechu.

– Dobrze.

– Powiem ci jedno, mam nadzieję, że Maddie się pośpieszy. Należę nam po drinku.

Podczas gdy Elise nalewała im sporej wielkości podwójne drinki, Helen jeszcze raz spojrzała na drzwi balkonowe. Stres, to wszystko. Wyczerpanie. Umysł płatał jej figle.

– Ciach babę w piach. – Elise mrugnęła porozumiewawczo, podając jej szklankę. Helen nie należała do amatorów whiskey, ale wychyliła napój z wdzięcznością, a ciepło w przełyku pomogło jej wrócić do równowagi. Przysiadły na łóżku.

Na znajdującym się nad nimi Pokładzie Lido rozległy się brawa, a Elise stuknęła szklanką w szklankę Helen.

– Szczęśliwego Nowego Roku, złotko.

– Szczęśliwego Nowego Roku.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Celine – powiedziała Elise.

Celine powoli podniosła głowę, a następnie obdarzyła je bardzo inteligentnym i, jak wydało się Helen, niemalże złośliwym uśmiechem.

– Taki właśnie będzie – powiedziała. – Zobaczycie.\

Anioł miłosierdzia

Jesse wciąż nie odważył się oddychać przez nos. Widywał (i miał okazję wachać) rzeczy znacznie gorsze – praktykę odbył w szpitalu Makiwane, do kurwy nędzy – ale w zamkniętym pomieszczeniu odór kwasów żołądkowych i rozkładu naprawdę zaczynał mu doskwierać. Jego pierwsza śmierć na pokładzie i to jeszcze w samym środku tego całego bałaganu.

Ram, wyższy rangą z dwóch ochroniarzy, którzy czekali przy drzwiach, odchrząknął.

– Jak długo jeszcze, panie doktorze?

– Prawie skończyłem. – Jesse przyznawał to z niechęcią, ale przy pracownikach ochrony statku czuł się jak tchórzliwy gówniarz, szczególnie przy Ramie, o którym krążyły legendy.

Według Marthy, źródła wszelkich okrutnych plotek, Ram był eks-Gurkhiem, weteranem z Afganistanu, i zdecydowanie nie należało z nim zadzierać. Devi, towarzyszący mu strażnik, był bardziej tajemniczy. Niemal o głowę wyższy od swojego szefa i w odróżnieniu od innych pracowników ochrony gładko ogolony – pozostali nosili niemal identyczne wąsy. Jesse nigdy przedtem z nim nie rozmawiał, choć widział go raz czy dwa w kantine dla załogi.

– Może pan określić czas zgonu? – To Devi. Jego szef rzucił mu pełne nagany spojrzenie.

– Nie jestem patologiem – westchnął Jesse. Zmierzył temperaturę głęboką ciała dziewczyny, biorąc poprawkę na fakt, że zanim statek stanął, klimatyzacja działała na maksa. Można było wyraźnie dostrzec fioletowy odcień czerwonych plam opadowych na udach i brzuchu dziewczyny, a zeszywnienie było wciąż zauważalne, ale nie miał sprzętu, żeby zrobić cokolwiek więcej. Objawy widoczne na ciele wskazywały na to, że śmierć nastąpiła co najmniej dwanaście, być może nawet osiemnaście lub dwadzieścia godzin wcześniej. Musiał być bardzo ostrożny. Nie mógł ryzykować, bo mogło się to na nim zemścić.

– Nie słyszeliście tego ode mnie, ale zmarła mniej więcej dwanaście do dwudziestu godzin temu.

– Zmarła wcześniej rano? – zapytał Ram.

Jesse wzruszył ramionami.

– *Ja*. Moim zdaniem tak. Ale powtarzam, nie mogę mieć pewności.

– Czy ciało mogło być przenoszone?

– Wątpię. Oznaki wskazują, że leży tu od dłuższego czasu. Dlaczego pokojówka nie znalazła jej wcześniej? – Paulo, steward Jessego, odwiedzał jego kajutę dwa razy dziennie.

– Sprawdźmy to – powiedział Ram. – Porozmawiamy z pokojówką tej dziewczyny i innymi osobami z jej grupy.

– Grupy?

– Należała do grupy przebywających na pokładzie singli – wyjaśnił Devi. – Będziemy też potrzebowali...

– Kołdry, pod którą leżała – przerwał mu Ram. – Czy mogła się nią przykryć, kiedy spadła z łóżka?

– Nie, proszę pana – powiedział Devi, zanim Jesse zdążył odpowiedzieć. – Zrobiłem zdjęcia miejsca zbrodni, kiedy sprawdzałem, w jakim jest stanie. To oczywiste, że ktoś próbował ją ukryć.

– Tego nie możemy być pewni – odparł Ram.

Jesse zauważył, że Devi zaciska wargi, ale nie zaprzeczył swojemu przełożonemu.

– Kto ją znalazł? – zapytał Jesse.

Devi spojrzał na Rama, a potem odpowiedział:

– Pokojówka, którą spotkałem, kiedy sprawdzała kajuty pod nieobecność pasażerów.

– Czy są jakieś oznaki przemocy fizycznej? – zapytał Ram.

– Napaści seksualnej?

– Tak.

– Miała podwiniętą bluzkę, ale poza tym jej rzeczy są nietknięte. Nie ma widocznych obrażeń. Będziemy mądrzejsi po sekcji. – Co, dzięki Bogu, nie będzie już jego problemem. – Trzeba ją zabrać do kostnicy. Nie możemy jej tu zostawić w takiej temperaturze.

Przypomniał sobie całą procedurę – na szczęście poświęcił trochę czasu na przestudiowanie wytycznych agencji. O sytuacji należy powiadomić kapitana, a ten będzie musiał polecić działowi technicznemu schłodzenie kostnicy, jeśli to w ogóle będzie możliwe przy braku zasilania. Chryste. Ochrona skontaktuje się z władzami w Miami lub na Bahamach, gdzie statek jest zarejestrowany, ale to

on będzie musiał powiadomić ubezpieczyciela, główne biuro firmy, agencję i rodzinę pasażerki. Jak jednak miał to zrobić przy awarii całego systemu satelitarnego i radiowego, pozostawało poza zasięgiem jego wyobraźni. Ten dodatkowy aspekt rozpięduchy, w jaką nagle zamienił się jego nocny dyżur, odkrył przypadkowo, usiłując bez skutku skontaktować się z obsługą naziemną i przekazać informacje o ofiarach pożaru.

Otarł twarz. Panika wyływała z niego falami. Nigdy – nawet wtedy, kiedy o włos nie stracił prawa do wykonywania zawodu – nie czuł się tak bezsilny. Nie potrafił radzić sobie ze stresem. Wiedział, do czego może to doprowadzić.

– I nie może pan spekulować co do przyczyny śmierci? – zapytał Devi.

– Mogę spekulować, ile tylko pan zechce – odparł Jesse, na co Ram zareagował zmarszczeniem brwi. Nerwy sprawiały, że Jesse robił się impertynencki. – Jej drogi oddechowe mogły zostać zablokowane przez wymioty. Niewykluczone, że to ją zabiło.

– Myśli pan, że w grę wchodzi narkotyki?

– Bez badania krwi niczego nie mogę stwierdzić.

– Może któryś z jej znajomych próbował ją ukryć – powiedział Ram, wpatrując się w niego niepokojąco intensywnie. – Może wszyscy razem pili, może dziewczyna źle się poczuła, a oni się wystraszyli, że będą mieli problemy. Czy to prawdopodobne?

– Nie jestem detektywem.

– Ale to możliwe, że zmarła na skutek przedawkowania alkoholu lub narkotyków?

– Możliwe. To jednak nie tłumaczy, dlaczego ktoś zakrył ją kołdrą...

– Dziękuję, panie doktorze – przerwał mu Ram.

– Dopilnuję, by ciało znalazło się w kostnicy.

– Dobrze. Najlepiej będzie, jeśli stanie się to, zanim pasażerowie otrzymają zgodę na powrót do kajut. Zabezpieczymy teren.

– Jestem wam jeszcze do czegoś potrzebny?

– Na razie to wszystko.

– Czy mam poinformować kapitana?

– To już załatwione.

– Świetnie. W takim razie... żegnam panów.

Jesse przecisnął się między ochroniarzami. Schylając się, przeszedł przez drzwi służbowe, przystanął i zaczął pięściami uderzać w uda. *Oddychaj. Dasz*

radę. Nie jest sam, musi o tym pamiętać. Bin i Martha mu pomogą. Może na nich polegać. Ostrzegano go, że noworoczne rejsy mogą być trudne, ale nikt nie spodziewał się czegoś poważniejszego niż problemy związane ze spożyciem alkoholu i zwyczajowy wysyp alergii pokarmowych – szybko zrozumiał, że jego najcenniejszym narzędziem na terenie statku jest pen z adrenaliną.

Zbiegał po schodach w kierunku I-95, a im niżej był, tym powietrze bardziej cuchnęło. Ciągące się przez całą długość statku przejście służbowe zwykle tętniło życiem przez całą dobę, ale tej nocy oprócz kilku wyczerpanych kelnerów palących elektroniczne papierosy we wnęce obok biura intendenta nie było tu nikogo, a awaryjne światła maskowały brzydotę zaniedbanych podłóg. Pod jego stopami podłoga jakby falowała, choć nie mógł być pewien, czy dzieje się tak na skutek awarii stabilizatorów (miał małe pojęcie na temat mechaniki okrętowej), czy jego wyczerpania. W najbliższym czasie nie miał też szans na przerwę – Bin przyniósł mu wcześniej miskę z warzywnym curry, ale jedzenie wystygło, pozostawione na jego biurku. *Nie pozwól na to, nie poddawaj się. Wiedział, jak to jest: Hej, Jesse. No dalej, brachu. Ten jeden raz. Nikt nie musi wiedzieć. Wyluzuj, zasługujesz na to.*

Nie.

Tego towaru nie zabraknie. Nikt się nie dowie.

Nie.

Zmusił się do myślenia o ofiarach pożaru. Zastępca intendenta i mechanik, którzy nawdychali się dymu, byli w stanie stabilnym, ale wciąż obawiał się o Alfonsa, inżyniera z poparzeniami drugiego stopnia. Zastosował opatrunki przeciwpoparzeniowe, ale facet był w stanie apatii, jakby przeżył szok, co Jessemu wydawało się dziwne. Nie znał zbyt dobrze Alfonsa – inżynier raczej trzymał z innymi włoskimi oficerami – ale dwa tygodnie temu leczył go z paskudnej infekcji ucha. Alfonso brał ból na klatę, grając twardziela i opowiadając kawały.

Następnie miał dwa przypadki wymiotów i biegunki – jeden u pasażera, drugi u stewarda. Modlił się, żeby nie były to początki wirusa. Epidemie na statkach wycieczkowych zawsze trafiają do gazet, a w połączeniu z pożarem mogło to oznaczać koniec i tak już mizernej reputacji firmy Foveros.

Łokciem otworzył drzwi do izby chorych, a tam przywitały go dwa identyczne, zmęczone uśmiechy Bina i Marthy zalegających na kanapie w poczekalni. Rzucił torbę na biurko, a Bin natychmiast poderwała się, żeby wysterylizować sprzęt.

– Co z nimi? – zapytał Marthę, wskazując głową na drzwi do gabinetu zabiegowego.

– Śpią. Stwierdziłam, że najlepiej będzie przetrzymać ich tutaj przez całą noc.

– Ten z poparzeniami też?

– Tak. Dałam mu coś na uspokojenie i zasnął jak dziecko.

– Dobrze. – Przynajmniej jeden mały plus.

– A ta dziewczyna? – zapytała Martha.

– Nie żyje. Chyba od dłuższego czasu.

– O, nie. Jak długo?

– Dwanaście, osiemnaście godzin.

Martha zaklęła, a zwykle nieporuszony Bin przestał zajmować się sobą, wciągnął powietrze przez zęby i zapytał:

– Była w swoim pokoju?

– *Ja*. Leżała obok łóżka.

– Dziwne. Pokojówka powinna ją znaleźć wiele godzin temu.

– Wiem. Przerąbane. Wygląda na działanie osób trzecich.

Martha znowu zaklęła.

– Co się stało?

– Nie jestem pewien. Może spartolona napaść na tle seksualnym.

– Zgwałcono ją?

– Nie wiem. Trzeba poczekać na sekcję.

– Biedna dziewczyna. – Martha mówiła mu wcześniej, że przez lata miała do czynienia z kilkoma przypadkami podejrzeń o gwałty na pokładzie. W magazynie mieli zestawy pierwszej pomocy na wypadek gwałtu. Mimo to, o ile wiedziała, żadna ze spraw nie skończyła się udowodnieniem winy.

– Chryste. Mam nadzieję, że wszystko dobrze zrobiłem. Ram tylko czekał, aż powiem, że śmierć była wynikiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności.

Martha się zjeżyła.

– Ostaniam rzecz, jakiej chcą, to antyreklama.

– Cały czas nie jestem pewien, czy zrobiłem wszystko, co mogłem. Słaby ze mnie patolog czy kryminalistyk.

– Przestań się biczować. – Martha poklepała go po dłoni. – Świetnie dajesz sobie radę. Jutro wracamy do portu.

– Tak myślisz? Muszę to zgłosić. Czy Wi-Fi już działa?

– Nie.

Chryste.

- W ogóle? A radio?
- Wszystko głucho.
- Co powiedział facet od IT?
- Wszyscy są skonfundowani – powiedział Bin.
Skonfundowani. Typowe słowo z repertuaru Bina.
- Więc jesteśmy odcięci od cywilizacji?
- Na tę chwilę. Ale nie martw się – powiedziała Martha niezbyt przekonującym tonem. – Znajdą jakieś wyjście, na pewno.
- Mam nadzieję. A ta dziewczyna... trzeba ją przenieść do kostnicy.
- No to się szykuje niezły ubaw przy niedziałających windach – westchnęła Martha. – Możemy to zrobić z Binem. Znamy zasady.
Jesse uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.
- Coś jeszcze, o czym powinienem się dowiedzieć? Co z tą dwójką, która narzekała na wymioty?
- Bez zmian – zameldował Bin. – Zajrzałem do tej z podejrzeniem udaru...
- Do kogo? Dlaczego nic o tym nie wiem? – warknął Jesse, ale zaraz podniósł rękę. – Przepraszam.
- Nie obwiniaj teraz Bina. To przeze mnie – powiedziała Martha. – Nic ci nie mówiłam, bo tyle miałeś na głowie. Chodzi o medium.
- O co?
- To pasażerka z jednej z grup specjalnych na pokładzie. Przyleciała samolotem.
- I? – Jesse zwrócił się do Bina.
- Zauważyłem tylko oznaki upojenia alkoholowego.
- Nie było symptomów udaru?
- Wiem, czego powinienem szukać, Jesse – powiedział Bin, nawet nie próbując się bronić. – Ani zapadłych policzków, ani utraty czucia, a źrenice były normalnych rozmiarów. Porządnie załatywało od niej alkoholem. Dałem jej dwie aspiryny.
- Pomogą na kaca – westchnęła Martha.
Jesse przesunął dłonią po twarzy.
- Co za koszmarna noc.
- Spokojnie, Jesse. Naprawdę świetnie sobie radzisz.

– Serio?

– Tak.

– Dzięki.

Nie wiedział, co by zrobił bez Marthy. Pomagała mu od momentu, kiedy zjawiał się na pokładzie, cierpliwie tłumacząc procedury, żargon, skróty i okrętową kulturę. Bin był dla niego równie miły, ale trzymał się raczej na dystans, a jego etyka zawodowa lekko onieśmiała Jessego. Wiedział, że oboje są ciekawi, dlatego zdecydował się na pracę w Foverosie – na samym dnie branży rejsów wycieczkowych – i raz czy dwa był bliski zwierzenia się Marcie. Prawie wyrzucił z siebie swoją żalną historię. Lubiała wypić; wątpił, żeby go oceniała. Przecież wszyscy popełniamy błędy, prawda? To się mogło przydarzyć każdemu. Czasem wyobrażał sobie, jak by to było ożenić się z kobietą taką jak ona – solidną, niezawodną, ciepłą, zabawną, obiektywną. Ale ona miała w Irlandii męża, dwóch dorosłych synów i zdecydowanie nie była w jego typie (jeśli w ogóle jeszcze miał jakiś typ). Zawsze namawiała go, żeby poderwał którąś z brytyjskich tancerek albo posągowych pracownic personelu z Europy Wschodniej. Odnosił wrażenie, że przez te parę lat zaliczyła jeden, a może trzy skoki w bok – w końcu przygodne romanse należały do plusów życia na statku.

Ale seks był ostatnią rzeczą, o jakiej mógł myśleć. Pragnął jedynie zachować czyste konto. *Nie wszystko naraz.*

– Powinienem zacząć wypisywać papiery.

Otworzyły się drzwi i do środka wpadła wysoka, szczupła kobieta z burzą czarnych włosów. Wskazała na niego palcem.

– Pan jest lekarzem? – zanim mógł odpowiedzieć, mówiła dalej: – Ma pan w dupie pasażerów? Od dwóch godzin czekam, aż pan przyjdzie zbadać moją szefową!

Nie wiedział, co powiedzieć, cofnął się, oddalając od niej.

– Ja...

– Chodzi o podejrzenie udaru, szefie – poinformował go Bin.

– Proszę się uspokoić – powiedziała Martha, stając między Jessem a kobietą.

– Pan doktor przyjdzie, kiedy będzie gotowy.

– Kiedy będzie gotowy? Żartuje pani?

Jeśli Bin mylił się co do upojenia alkoholowego pacjentki, wszyscy znajdują się po szyi w *kak*. Nie byli przygotowani na leczenie rozległego udaru mózgu – w tego typu poważnych przypadkach wysyłano zwykle prośbę o pomoc do służb naziemnych – ale nie miał zamiaru dzielić się tą informacją.

– Oczywiście – powiedział. – Już idę.

– No... to dobrze. – Kobieta odgarnęła włosy z twarzy. Raczej zjawiskowa niż ładna. Z wyglądu całkiem podobna do Farouki. *Nawet nie zaczynaj.*

Jesse zwrócił się do Marthy i Bina:

– Poradzicie sobie z tamtą sprawą?

Bin skinął głową.

– Czy może pani podać dane pacjentki, pani...?

– Maddie. Mam na imię Maddie. – Z wściekłością popatrzyła na Bina. – Ten pielęgniarz ma wszystkie dane.

Martha bezgłośnie powiedziała „przepraszam”, kiedy brał torbę i wychodził z izby chorych w ślad za Maddie. Szła przodem i ostro ruszyła schodami w górę, a on musiał biec, chcąc dotrzymać jej kroku. Cały czas zamierzał skorzystać z pokładowej sali gimnastycznej, ale dotychczas mu się to nie udało. Teraz, kiedy skończył z dietą petydynową, nabierał ciała. Czuł, jak jego śmieszne białe spodnie wbijają mu się w brzuch na wysokości pasa. *Gdyby tylko Farouka mogła mnie teraz zobaczyć. Wróciłaby z prędkością pocisku.* Ciekawe, co robi dziś wieczorem. Może rozjaśnia uśmiechem Kalk Bay. Impreza z przyjaciółmi. Jej przyjaciółmi, którzy kiedyś byli ich przyjaciółmi.

Po statku rozeszło się dalekie echo braw.

– Szczęśliwego Nowego Roku – powiedział pod nosem.

Maddie zatrzymała się na szczycie trzeciego piętra i spojrzała przez ramię.

– Jest taki? – zaczęła, aż dogoni ją, łapiąc oddech.

– Mhm, źle się zaczął. Noc z piekła rodem. Ile lat ma pacjentka?

– Celine rozpowiada, że sześćdziesiąt pięć, ale według paszportu jest dziesięć lat starsza. – Uśmiechnęła się do niego przelotnie.

– Historia choroby? Udary, zawały, cokolwiek w tym stylu?

– Nie. Ma problemy z biodrami, więc zwykle porusza się na wózku inwalidzkim. Może chodzić, ale na bliskie odległości.

– Alkohol, papierosy?

– Lubi wypić.

Maddie skrzyła na następnym piętrze, a on podążył za nią korytarzem w kierunku jednego z apartamentów dla VIP-ów. Otworzyła drzwi i niecierpliwym gestem nakazała mu wejść.

W środku przywitały go dwie starsze panie, jedna chuda, jedna otyła (ciocia Sponge i ciocia Spiker, pomyślał złośliwie), przycupnięte na brzegu łóżka,

z pustymi szklankami po whiskey w dłoniach. Jeszcze jedna kobieta – to ona musiała być pacjentką – siedziała z zamkniętymi oczami na wózku inwalidzkim przed telewizorem.

– Nic gorszego się nie działo? – Maddie z niepokojem zwróciła się do kobiet.

– Raczej nie – powiedziała ciocia Spiker z szorstkim brytyjskim akcentem. Wyglądała na siedemdziesiąt lat, a jej skóra miała brązowy odcień, świadczący o życiu spędzonym na powietrzu.

– Zaraz jak wyszłaś, zachowywała się niemrawo, ale teraz się rozgadała.

– Oj, rozgadała, i to jak – odezwała się druga kobieta, Amerykanka, mniej więcej w tym samym wieku. Miłe oczy, zaczerwieniona cera nadciśnieniowca. – Mówiła naprawdę dziwaczne rzeczy.

– Co na przykład?

– Na przykład, że nie jest pewna, czy to się uda.

– Co ma się udać?

– To. Nic więcej nie powiedziała.

– Celine? – powiedziała Maddie. – Przyszedł lekarz.

– Dzień dobry, Celine – odezwał się Jesse. – Teraz panią zbadam, sprawdzimy, czy u pani wszystko tip-top.

Celine wydała z siebie dźwięk będący połączeniem chrząknięcia i śmiechu. Jesse wyjął kieszonkową latarkę i sprawdził jej tęczówki. Obie były w normie. Następnie wyciągnął z torby ciśnieniomierz i założył na jej ramię mankiet.

– Tylko zmierzę pani ciśnienie, Celine.

– Nie musi pan do mnie przemawiać jak do idiotki, doktorze.

– Celine! Ty mówisz – wyrzuciła z siebie Maddie.

Celine zachichotała.

– Dlaczego miałabym nie mówić?

– Byłaś... na jakiś czas straciłaś świadomość. Martwiłam się o ciebie.

– Nie musisz się o nic martwić. – Celine pomachała palcami w kierunku dwóch starszych pań. – Siedziałyśmy sobie z moimi nowymi przyjaciółkami, prawda? Jak to między dziewczynami, poznałyśmy się bliżej.

– Czy czuła pani ból głowy, słabość lub drętwienie kończyn, Celine? – zapytał Jesse.

– Nie. Wszystko tip-top, doktorze.

Napompował mankiet.

– Zadam pani kilka pytań, okej? Zaczniemy od łatwego. Jak się pani nazywa?

Uśmiechnęła się do niego szeroko, odsłaniając zęby.

– Celine del Ray, medium gwiazd. A pan?

– Jestem doktor Zimri.

– Zimri. Ciekawe. Król Izraela, zgadza się? A pana imię, doktorze?

– Jesse.

– Jesse. Jak ten wyjęty spod prawa?

– *Ja*. Mój ojciec uwielbiał westerny.

– Doprawdy.

Bez wątpienia była w dobrej formie.

– Może mi pani podać dzisiejszą datę, Celine?

– Zależy, w jakiej strefie czasowej jesteśmy.

– Kto jest prezydentem Stanów Zjednoczonych?

– Co jest z tymi pytaniami? – Celine przytknęła opuszki palców do czoła. –

Chwila... wyczuwam... Ktoś tu się zbliża z tamtej strony. Kim jest młoda kobieta w pana życiu, która odeszła, doktorze? Jest dziwnie smutna. Jakaś zdrada. I ból. Ból fizyczny.

Jesse zamrugał, czując na karku lodowaty oddech.

– Nie jestem pewien, co...

– Ona jest medium – wyjaśniła Maddie.

– Widzę martwych ludzi – powiedziała Celine, puszczając do niego w nienaturalny sposób oko. – Tylko że, jak zawsze powtarzam, śmierci nie ma. Prawda, Maddie?

Jesse odchrząknął.

– Odczuwała pani ból głowy lub karku, Celine?

Zarechotała.

– Bez bólu nie ma zwycięstwa. Wie pan, doktorze, zawsze chciałam umrzeć po zjedzeniu zatrutego winogrona, trzymając za rękę przystojnego lekarza okrętowego.

Brytyjka głośno westchnęła.

– Coś pani mówią te słowa? – zapytał ją Jesse.

– To cytat. Blanche Dubois. *Z Tramwaju zwanego pożądaniem*. – Ta Helen to się dopiero na syćkim zna, kurna – zahuczała Celine przesadnie akcentowanym głosem wuja Toma, na którego dźwięk wszyscy się skrzywili. –

O panocku, ale tyż się zna!

– Celine! – Maddie spojrzała na Jessego przepraszającym wzrokiem.

– Chyba czas na nas, Helen – powiedziała ciocia Spiker.

Obie kobiety wstały.

Maddie, która wciąż wpatrywała się w Celine z irytacją i ulgą jednocześnie, wstała i odprowadziła je do drzwi.

– Dzięki za wszystko.

– Nie ma za co, Maddie – odpowiedziała trochę sztywno Helen. – Dobranoc, Celine.

Kobiety wyszły, a Jesse usłyszał, jak Celine mamrocze coś pod nosem. Brzmiało to całkiem wyraźnie jak: „Dobranoc, lesby na noc”. Znowu puściła do niego oko.

– Mam czystą kartę zdrowia, doktorze?

– Na teraz tak. Przyjdę jutro na badanie kontrolne.

– Cudownie. Nie mogę się doczekać. – Celine wskazała na Maddie. – Czy mogłabyś przynieść mi z łazienki grzebień, Madeleine?

– Oczywiście.

Jesse zapakował ciśnieniomierz do futerału.

– To chyba wszystko. Proszę dać znać, jeśli...

Celine nagłym ruchem chwyciła Jessego za nadgarstek. Przyciągnęła go do siebie z zaskakującą siłą.

– Byłeś niegrzecznym chłopcem, co? Czas wszystko naprawić. Czeka cię jeszcze jeden test, doktorku. Tak jak was wszystkich. Pozostaje tylko pytanie: zdasz go czy nie zdasz?

Strażnik sekretów

Dziewczyna wciąż szlochała, a jej makijaż spływał po policzkach błotnistymi strumyczkami. Grzebała we włosach, próbując wyplątać z nich krzywo przyczepione diabelskie rogi.

– Niemożliwe. Jak to się stało? Czy to był wypadek? Przewróciła się, kiedy statek się zatrzymał, czy coś w tym stylu?

– To nie był wypadek, pani Williams – powiedział Devi, spojrzeniem szukając potwierdzenia u Rama. Jego przełożony poinstruował go, żeby zdradzał jak najmniej szczegółów dotyczących śmierci dziewczyny.

– O Boże. O nie. Chyba nie zrobiła tego sama, co? Nie zabiła się?

– Czy jest jakaś przyczyna, która każe pani wyciągać takie wnioski, pani Williams?

– Emma. Mam na imię Emma. Nie... Boże. Ale czy to zrobiła?

– Nie.

– Czyli co? Czy to... O matko... Została zamordowana? Jak to, do cholery?

– Nikt nie twierdzi, że to morderstwo, pani Williams – wtrącił się Ram. – Najprawdopodobniej śmierć nastąpiła na skutek nieszczęśliwego splotu okoliczności.

– Co to znaczy?

– Możliwe, że za dużo wypiła.

– Jak to, zmarła na skutek zatrucia alkoholowego?

– Nie możemy być tego pewni, dopóki nie zostanie przeprowadzone dalsze śledztwo.

– Boże. Kelly. Biedna Kelly. Była taka... Nigdy przedtem nie znałam kogoś, kto umarł. Oprócz mojej babki, ale ona była bardzo stara. Więc... jak wrócimy do Miami, czy będę musiała rozmawiać z policją? FBI i w ogóle?

Ram głośno westchnął.

– W tym momencie trudno powiedzieć.

Poprawiła ramiączka cieniutkiej czerwonej sukienki i oblizwała wargi, zapominając o łzach. Devi dostrzegł w jej oczach podniecenie, a sądząc po wyrazie obrzydzenia na twarzy Rama, ten zauważył to samo. Devi ukradkiem

westchnął. To oczywiste, że dziewczyna nic nie wie. Kiedy została zidentyfikowana jako najbliższa znajoma zmarłej pasażerki, Ram wysłał Deviego, by ten ją odnalazł. W końcu zlokalizował ją na Pokładzie Spokoju, usadowioną na obrzeżu jednej z wanien do jacuzzi i obejmującą mężczyznę z gołą klatką piersiową. Oboje popijali z butelki po soku Walgreens' – co jest ulubioną metodą przemycania alkoholu na pokład.

Devi ukradkiem rozprostował plecy i potarł oczy, które piekły z braku snu. Był na służbie już ponad dwadzieścia godzin, a od obiadu zdołał jedynie zjeść kanapkę i wypić colę. Ram jak zwykle nie wykazywał oznak zmęczenia, mimo że były to już późne godziny jego drugiej zmiany. Zdążyli porozmawiać z Trining Aquido, pokojówką pracującą na tym pokładzie i obsługującą kajutę dziewczyny, ale nie miała wiele do dodania. Stwierdziła, że rozchorowała się w połowie porannej zmiany, co tłumaczyło, dlaczego tak późno odkryto ciało. Aquido utrzymywała też, że Althea Trazona, która pierwsza trafiła na zwłoki, obiecała, że przejmie jej obowiązki, ale według ich przełożonej Trazona temu zaprzeczyła. Cokolwiek było prawdą, Devi czuł, że Trazona coś ukrywa. Nie miał wątpliwości, że szok na jej twarzy po odkryciu ciała był autentyczny, więc raczej nikogo nie kryła, ale fakt, że ze wszystkich kajut na pokładzie postanowiła sprawdzić właśnie tę, stanowił zbyt duży zbieg okoliczności. Na razie – choć nie do końca wiedział czemu – trzymał tę informację w tajemnicy, dopóki nie będzie miał okazji znowu porozmawiać z pokojówką.

Rozległo się pukanie do drzwi i Ashgar, który miał obserwować kamery monitoringu, wsadził głowę do pokoju i gestem przywołał Rama.

– Mogę z panem porozmawiać, sahib?

Przez półotwarte drzwi Devi spostrzegł Rogelia opierającego się o ścianę na korytarzu i ich oczy na chwilę się spotkały. Jako zastępca Damiana Rogelio nadzorował większość zajęć dla grupy singli i Ram najwidoczniej wezwał go na przesłuchanie, kiedy Devi po całym statku szukał dziewczyny.

Ram wstał i nakazał Deviemu, żeby kontynuował.

– Kiedy ostatnio widziała pani Kelly Lewis, pani Williams? – zapytał Devi. Trochę się rozluźnił po wyjściu Rama z pokoju.

– Hmm... wczoraj wieczorem. Znaczy, przedwczoraj.

– Dlaczego wcześniej nie zgłosiła pani jej nieobecności?

Emma skrzyżowała ręce w obronnym geście.

– Musiałam nie zauważyć.

– Dlaczego? Nie byliście znajomymi na wspólnej wycieczce?

– Tak. Ale, tak jakby, nie byliśmy najlepszymi kumpelami. Pojechała ze

mną tylko dlatego, że w ostatniej chwili odpadła Zoe. Kelly pracuje... pracowała... w naszym salonie na recepcji, a kiedy Zoe odpadła, zgłosiła się na jej miejsce.

– I obie należałyście do grupy singli?

Dziewczyna pociągnęła nosem i wytarła go wierzchem dłoni.

– Tak.

– Gdzie widziała ją pani ostatni raz?

– W Audytorium Piaskowego Dziadka. Kilkoro z nas udało się tam po powrocie z Cozumel. Kelly nie miała ochoty, ale w końcu zabrała się z nami.

– Piła?

– Jak wszyscy, no nie? Ale nie tak dużo. Parę drinków i tyle.

– Nie miała współlokatorki?

– Nie. Chciała mieć swoją własną kajutę, chociaż ja z Zoe planowałyśmy być razem. Kelly dopłaciła i w ogóle. Mieszkam z inną dziewczyną z grupy, Donna, ona jest Amerykanką.

– Czy Kelly podobało się na rejsie?

– Tak. Chyba. Nie wiem. Strasznie się cieszyła, że jedzie, nigdy nie była w Stanach, ale jak tylko weszliśmy na statek, już nie była taka zadowolona. Parę razy mówiła, że źle się czuje. Nie wszędzie z nami chodziła. Właśnie coś mi przyszło do głowy... Czy jej mama już wie? Zawsze dużo mówiła o mamie.

Devi się zawahał.

– Jej rodzina zostanie poinformowana najszybciej, jak będzie to możliwe. – Nie widział sensu rozprzestrzeniać wieści o awarii systemu satelitarnego.

– Boże. Załamię się. Myśli pan, że będą mieli do mnie pretensje? No, bo jakby... tylko przeze mnie tu się znalazła.

– Czy w czasie rejsu ktoś szczególnie się nią interesował?

– Kim, Kelly? Nie. Był taki jeden, co się jej spodobał na szybkiej randce, ale z nikim się nie umówiła. – Dziewczyna spojrzała na niego i znowu pociągnęła nosem. – Chwila... dlaczego mnie pan o to pyta? Chyba pan mówił, że umarła, bo za dużo wypiła.

Devi nie zmienił wyrazu twarzy.

– Chciałbym jedynie dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

– Aha. Co się dzieje ze statkiem? Naprawiają go czy nie? Bo, tak jakby, jutro mam samolot. Wrócimy na czas?

– Inżynierowie pracują nad usunięciem usterki. – Devi odpowiedział

odruchowo, ale wiedział tylko, że pożar uszkodził przewody łączące silnik z generatorami.

„Piękny Marzyciel” był jednym ze starszych statków – mimo to jednak układ awaryjny powinien zablokować takie zagrożenie. Madan, z którym dzieli kajutę, był strażakiem, więc na pewno wie więcej.

– Gdzie ona teraz jest? – zapytała dziewczyna.

– To znaczy?

– Kelly. Gdzie teraz jest?

Ram wrócił, wybawiając go od konieczności udzielenia odpowiedzi.

– Devi. Proszę, chodź tu, chcę z tobą porozmawiać.

Dziewczyna zgarbiła się na krześle, a Devi wyszedł z pokoju i dołączył do Rama na korytarzu. Rogelio zniknął – Devi nie był pewien, czy czuje ulgę, czy rozczarowanie.

– Tak, szefie?

– Kapitan zwołał spotkanie kryzysowe z szefami wszystkich działów. Czy mogę ci zaufać w tej sytuacji? Musimy wykazać, że cały czas trzymaliśmy się procedur.

– Tak, szefie. Czy myśli pan, że powinienem teraz porozmawiać z pozostałymi osobami z grupy singli?

– Możemy to zrobić jutro, jeśli będzie taka potrzeba. – Ram nie dodał, co może z tego wynikać.

Statek zgodnie z planem miał wpłynąć do portu o ósmej rano – za sześć godzin. Bez względu na okoliczności na pewno się spóźnią, a to oznacza niezadowolenie pasażerów i dodatkowe obowiązki dla wszystkich pracowników ochrony. W normalnej sytuacji ich rola polegałaby na zabezpieczeniu miejsca zdarzenia i zebraniu zeznań od wszystkich świadków. Reszta przypadnie agencjom zewnętrznym.

– Czy satelita już działa, szefie?

Ram przez chwilę pocierał ręką oczy, po raz pierwszy okazując jakiegokolwiek oznaki zmęczenia.

– Nie. Wciąż nie ma dostępu do Internetu ani łączności radiowej.

– Jak to możliwe?

Ram wzruszył ramionami.

– Wysłano sygnały alarmowe, więc w razie potrzeby do rana otrzymamy pomoc zewnętrzną. Na tę chwilę proszę o zapanowanie nad tą sytuacją.

– Szefie, myślę, że najlepiej będzie, jeśli sprawdzę zdjęcia z monitoringu z dzisiejszego ranka. Jeśli ktoś był w kajucie, możliwe, że da się go zidentyfikować.

– Nie pracujesz już w kryminalnych, Devi – powiedział Ram ściszym głosem.

Devi z trudem zachował beznamiętny wyraz twarzy. Często zastanawiał się, jak dużo Ram wie o jego przeszłości. Jego szef nigdy nie spytał, dlaczego obiecujący młodszy inspektor z widokami na karierę postanowił się zaokrętować, a Devi czasem zastanawiał się, co by w takiej sytuacji odpowiedział. W końcu miał zbyt wysokie kwalifikacje jak na takie stanowisko. Pozostali bez wyjątku przeszli jedynie szkolenie dla pracowników ochrony. Ashgar, na przykład, pracował w hotelu w jednym z turystycznych ośrodków. Innym za rekomendacje posłużyły znajomości.

– Musimy sprawiać wrażenie, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy – kontynuował Ram. – Ale nie będę zadowolony, jeśli po statku rozejdą się wieści, że na pokładzie znajduje się zboczenie. Liczę na dyskrecję.

Ram przerwał i spojrzał Deviemu prosto w oczy.

– Akurat ty powinienesz wykazać się w tej kwestii doświadczeniem.

Devi próbował oblizać wargi, ale czuł suchość w ustach.

– Jasne, szefie.

– Dobrze. Proszę odprowadzić pasażerkę do kajuty.

Ram oddalił się, dając Deviemu chwilę na zaczerpnięcie oddechu. *Akurat ty powinienesz wykazać się w tej kwestii doświadczeniem.* Czyżby Ram miał na myśli, że jako były funkcjonariusz znanej z korupcji policji stanu Maharasztra Devi miał doświadczenie w trzymaniu języka za zębami? Innego wyjaśnienia być nie mogło – zachowywał przecież wyjątkową ostrożność. Nawet Madan nie wiedział o jego przelotnych spotkaniach z Rogelitem.

Devi wrócił do biura ochrony i poinformował dziewczynę, że może wrócić do kajuty. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa, kiedy odprowadził ją przez przejście służbowe na główny pokład na poziomie piątym. Przy niepracującej klimatyzacji powietrze było ciężkie, ale duchota mu nie przeszkadzała – nie znosił wionącego z rur sztucznego chłodu. Praca była nudna do szaleństwa, ale dostęp do świeżego powietrza czynił ją znośną.

Współlokatorka Emmy podeszła do drzwi, gdy tylko się otworzyły.

– Co się dzieje?

– Chodzi o Kelly – załkała dziewczyna. – Ona nie żyje.

Devi zostawił je same. Zakazywanie im rozprowadzania o sprawie nie miało większego sensu.

Wrócił po swoich śladach, wszedł do przejścia służbowego i zamiast udać się w kierunku swojej kajuty, ruszył do centrum monitoringu. Ram nie powiedział, że Devi ma nie przeglądać zdjęć z kamer przemysłowych, a jako że monitory i kamery analizujące ruch postaci podłączone były do systemów pomocniczych, działały cały czas dzięki zasilaniu awaryjnemu.

Pomieszczenie ochrony śmierdziało potem i nieświeżym oddechem. Ashgar przysypiał z głową na klatce piersiowej. Na ekranach pasażerowie wciąż kotłowali się na Pokładzie Lido – stłoczona grupka siedziała obok sceny, inni moczyli stopy w basenie. Jakaś para spleciona w uścisku zajmowała jedną z wanien jacuzzi na Pokładzie Spokoju, który powinien zostać zamknięty godzinę temu. Ktoś powinien poprosić ich o opuszczenie tej strefy, ale to mogło poczekać. Przysunął krzesło obok Ashgara i usiadł. Wcześniejsze zmęczenie zniknęło i niespodziewanie poczuł przypływ energii, tak jak kiedyś, zanim jego umysł pokryła rdza żmudnej pokładowej codzienności. Na krótszych rejsach nie było prawie żadnych emocjonujących sytuacji: okazjonalne pijackie bójki lub nieistotne incydenty z przemycaniem na pokład alkoholu lub narkotyków – głównie marihuany.

Lekarz stwierdził, że dziewczyna nie żyje od dwunastu do osiemnastu godzin. Oznaczało to, że dla pewności trzeba znaleźć zdjęcia z okresu między drugą w nocy a szóstą rano. Na szczęście kamery na pokładach pasażerskich rejestrowały ruch, dzięki czemu nie musiał przewijać całych godzin filmu ukazującego puste korytarze. Wpisał polecenie i rozsiadł się, oglądając materiał.

3.01 – Rozbawiona afroamerykańska para chwiejnym krokiem przemierzyła korytarz. Kobieta żartobliwie spoliczkowała mężczyznę, który przycisnął ją do ściany korytarza. Pocałowali się namiętnie, a potem weszli do pobliskiego pokoju.

3.32 – Kelner z obsługi pasażerów wysunął się z wejścia służbowego prowadzącego do windy dla pracowników, niosąc na ręku tacę z potrawami przykrytymi plastikiem. Zapukał do drzwi w połowie długości korytarza, otworzył mu biały mężczyzna w ręczniku. Kelner wszedł do środka. Wyszedł dwie minuty później, wykonał obsceniczny gest w stronę drzwi do kajuty i zniknął w windzie dla personelu.

4.17 – Kobieta odpowiadająca budową ciała i kolorem skóry wyglądowni Kelly Lewis wyszła zza zakrętu od strony klatki schodowej. Trzydzieści sekund później pojawił się mężczyzna w czapce bejsbolówce. Kobieta poruszała się niepewnie, dla utrzymania równowagi podpierając się ręką o ścianę.

Devi poczuł krople potu na skórze głowy. Zatrzymał film i powiększył obraz: to bez wątpliwości ofiara. Upuściła na podłogę swoją kartę, a mężczyzna pośpieszył jej z pomocą. Pchnięciem otworzył drzwi i wszedł za nią do kajuty.

4.38 – Mężczyzna wyszedł, założył na klamkę zawieszkę z napisem „Nie przeszkadzać” i pobiegł z powrotem w kierunku klatki schodowej.

Teraz Devi wiedział już na pewno, że dziewczyna była celem napaści. Zanotował, że musi sprawdzić zdjęcia z Audytorium Piaskowego Dziadka, gdzie bez wątplenia mężczyzna namierzył swoją ofiarę. Ponownie obejrzał film, z nadzieją, że program do identyfikacji twarzy rozpozna napastnika Kelly. Ale komputer miał zbyt mało punktów identyfikacyjnych, by dokonać porównania. Twarz mężczyzny zasłaniała czapka, a on sam miał spuszczoną głowę. Devi musiałby sprawdzić, kto z grupy singli przypomina tego mężczyznę: biały, krępy, mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu. Rogelio wiedziałby, kto odpowiada takiemu opisowi.

A co z zawieszką „Nie przeszkadzać”? Nie przypominał sobie, żeby ją widział. Może usunął ją steward, którego wysłano, aby sprawdził pokoje.

Nie pracujesz już w kryminalnych, Devi.

Ram miał rację. Można to zostawić amerykańskim władzom, ale...

Ale. Być może w ten sposób chciał wszystko naprawić. Zadośćuczynić za to, co zrobił – lub czego nie zrobił. Wciąż widział tę dziewczynę, z bezwładnymi kończynami, oczami pozbawionymi wyrazu, niewiele starszą niż jego kuzynka Misha. Kobieta, która przyprowadziła ją na posterunek, histeryzowała, nie mogła zrozumieć, dlaczego jej podopieczna krwawi. Mógł powalczyć o tamtą dziewczynę. Powinien był o nią powalczyć. Ale uczucia jego rodziny okazały się dla niego ważniejsze niż sprawiedliwość.

Tchórz.

Nie da rady nikomu pomóc, jeśli pozwoli, żeby jego mózg rozdziobywał przeszłość jak ptak żerujący na padlinie.

Na poprzednim statku dwukrotnie doszło do napaści seksualnej, za każdym razem zamieszani w to byli członkowie załogi. Kelnerka oskarżyła jednego z pomocników inżyniera o napaść na pokładzie towarowym, a członek załogi został zatrzymany po tym, jak wszedł do windy z pewną nastolatką i składał jej nieprzyzwoite propozycje. W następnym porcie wsadzili faceta do samolotu do Indii – standardowe postępowanie mające na celu uniknięcie zaangażowania amerykańskich władz i zainteresowania historią ze strony prasy. Rodzina nastolatki otrzymała odszkodowanie i na tym sprawa się zakończyła. Ale teraz było inaczej. Mężczyzna, który śledził Kelly, wiedział dokładnie, co robi.

Jeśli nie zostanie powstrzymany, zaatakuje jeszcze raz.

Devi po raz kolejny przejrzał zdjęcia, a następnie wpisał przybliżoną godzinę, kiedy wraz z Altheą Trazoną odkryli ciało. Trazona była rozdrażniona, gdy po raz pierwszy spotkali się na korytarzu. Powinien przepytac ją dokładniej, ale może zrobić to jutro.

Na ekranie pojawiła się Trazona przechodząca przez drzwi dla personelu, a Devi spotkał ją kilka minut później. Zatrzymała się, położyła rękę na gardle, ruszyła do przodu, a jej usta poruszyły się, jakby coś mówiła. Na jej twarzy pojawiła się konsternacja, a następnie strach. Światła na korytarzu zgasły, zaczęła działać podczerwień, zamieniając jej oczy w upiorne czarne kule. Przez chwilę na obrazie pojawiły się czarno-szare zakłócenia, a następnie...

Devi wydał z siebie okrzyk i podskoczył na krześle, budząc Ashgara, który się poruszył, mruknął, i znowu zasnął.

Trzęsącymi się palcami Devi cofnął film i zamarł w oczekiwaniu. To, co zobaczył – albo wydawało mu się, że zobaczył – nie mogło być prawdziwe.

A jednak cały czas tam było: ręka, a właściwie dłoń, zasłaniająca obiektyw kamery.

DZIEŃ 5



Blog Dzika Karta

żebyście nie musieli robić tego wy Nieustraszony w walce z oszustami,

1szy st.

Szczęśliwego Nowego Roku.

Tyle że nie do końca tak się zaczął. Przynajmniej nie mnie.

Po pierwsze: przepraszam. Wiem, że obiecywałem codzienne posty o moich wysiłkach prowadzących do zdemaskowania Hieny, ale po drodze sporo się wydarzyło.

Statek się rozpierdził i oficjalnie mogę potwierdzić, że jesteśmy zdani sami na siebie gdzieś na środku Zatoki Meksykańskiej. Tak, przeczytaliście dobrze, albo przeczytacie, kiedy będę mógł to opublikować. Wi-Fi nie działa i nie ma zasięgu. Przyszło mi do głowy, że to po to, by ludzie nie wysyłali wściekłych anty-Foveroskich tweetów, ale zobaczymy. Członkowie załogi, z którymi rozmawiałem, wiedzą tyle co i my (czyli tak naprawdę nie wiedzą nic). Statek ma zawinąć do portu w Miami za pięć godzin (o 8 rano), ale to się na pewno nie uda, bo cały czas tkwimy nieruchomo na morzu. Czekamy jedynie na kolejne wiadomości, przekazywane nam przez Damiana, opiekuna rejsu, który nie dość, że ma swój własny kanał TV, to zaczyna każde zdanie od „Dobry dzień”. Jest Australijczykiem i chce, żebyśmy o tym wiedzieli. Nie jest moim zamiarem dissowanie Australijczyków – szczerze mówiąc, Damien jest jedynym, który mnie kiedykolwiek zirytował – gościa pewnie wyrzucili z własnego kraju za bycie dupkiem. Są też inne wałki. Zeszłej nocy po kilku godzinach spędzonych w punkcie ewakuacyjnym z grupką studenciaków jarających zioło przy użyciu elektronicznych papierosów (nie miałem ochoty – patrz niżej) wróciłem do swojego pokoju (ponurej nory na Pokładzie Piątym, czyli Majestatycznym) tylko po to, by odkryć, że trzy pokoje dalej ochrona odgrodziła i zalepiła drzwi wejściowe taśmą jak na miejscu zbrodni. Zrobiłem zdjęcie, opublikuję, kiedy tylko będę mógł.

Dlaczego nic ostatnio nie pisałem? Byłem chory. Grypa żołądkowa, w czasie

której modlisz się do bogów, by odebrali ci życie. Czułem się tak, jakby całe moje ciało próbowało wywrócić się na drugą stronę. Zaczęło się godzinę po tym, jak statek wypłynął z Miami. Rozglądałem się, szukając jakichkolwiek śladów Hieny, kiedy... OK, raczej nie chcecie znać szczegółów. Wyobraźcie sobie obraz Jacksona Pollocka, tyle że wydalany z dwóch końców naraz. Tak. Wielkie propsy dla Trining, pokojówki z mojej kajuty. Ma kobieta żelazny żołądek. Drugiego dnia przyszła do mnie pielęgniarka i za 97 dolców powiedziała tylko, że poza nawadnianiem organizmu nic nie da się zrobić. Ciągle czuję się niewyraźnie.

OK. A teraz temat, dla którego czytacie tego bloga.

Jak wiecie, nie udało mi się zapisać do Przyjaciół Hieny, ponieważ wszystkie miejsca zostały wykupione w kilka minut po ogłoszeniu „Rejsu z Celine del Ray” na Zoopie i Fejsie, a zeszłej nocy, spodziewając się, że to moja ostatnia szansa na bezpośrednią konfrontację z nią, zwlokłem swoje obolałe ciało z łoża boleści i słaniając się, poszedłem na jej ostatni występ z zamiarem wkręcenia się tam bez wejściówki. Subtelne to nie było. Udało mi się ukradkiem wejść do Audytorium Gwiazdznego Marzyciela (tak samo kiczowatego jak jego nazwa) i natrafić akurat na moment, w którym Hiena udawała dickensowskiego cwaniaczka. Ciągle czułem się fatalnie, a wiedząc, że w każdej chwili mogę rzygnąć, zapytałem ją o Lillian Small. Niewiele udało mi się nakręcić, bo choroba upomniała się o swoje ze zdwojoną siłą. Ale fakt, że statek się zatrzymał, nie jest dla mnie czymś do końca złym. Dzięki temu będę miał jeszcze jedną szansę na konfrontację ze starą oszustką. Zrobię apdejta, jak będę wiedział więcej.

Asystentka więdźmy

Maddie podniosła się zbyt szybko, mrużąc oczy pod wpływem rażącego słońca. Po nocy spędzonej na kanapie w apartamencie Celine w szyi czuła rwący ból, a jej T-shirt kleił się do pleców. Nie pamiętała, kiedy przysnęła – musiała odlecieć, czekając, aż zaśnie Celine. Ale teraz łóżko szefowej było puste, a koc zaledwie pofałdowany.

– Celine?

Żadnej odpowiedzi. Musi być w łazience. Maddie zadrżała, słysząc pisk systemu nagłośnieniowego, a wazeliniarski głos Damiena oznajmił:

– Dobry dzień, panie i panowie, tu Damien, wasz opiekun rejsu. Chciałem jedynie przekazać najnowsze informacje na temat naszej sytuacji. Jak zapewne zauważyliście, wciąż odczuwamy problemy związane z awarią zasilania, nie ma jednak powodów do niepokoju odnośnie państwa bezpieczeństwa i dobrego samopoczucia. Zdajemy sobie sprawę, że wielu z państwa ma na dziś rano zaplanowane loty powrotne, i chcielibyśmy zapewnić, że ta kwestia zostanie wkrótce wyjaśniona. Na tę chwilę zwracamy się z uprzejmą prośbą o powstrzymanie się od składania w związku z tym zapytań do obsługi klienta. Z przykrością informujemy również, że ponieważ restauracje są obecnie zamknięte, śniadanie zostanie podane w bufecie Lido, gdzie nasi pracownicy zrobią, co w ich mocy, by zapewnić państwu wygodę i wszystkich nakarmić.

Maddie sprawdziła godzinę na komórce: dziesięć po ósmej. Wraz z Celine miały zarezerwowane bilety na lot powrotny na La Guardię wczesnym przedpołudniem, jeśli więc statek ruszyłby mniej więcej w ciągu godziny, miałyby szansę zdążyć. Przeciągała się tak długo, aż poczuła, że mięśnie pleców się rozluźniły, wstała i zachwiała się, próbując złapać równowagę. Chryste, statek miał teraz lekki przechył na lewą burtę – przeczyło to informacjom, jakoby sytuacja była pod kontrolą. Po cichu podeszła do drzwi łazienki.

– Celine? Jesteś tam?

Zajrzała do środka, wyczuwając w powietrzu lekki zapach Poison, perfum swojej pracodawczyni. Celine tam nie było, ale w jej kosmetyczce panował bałagan – pudełko na sztuczne rzęsy leżało otwarte obok zlewu – więc najwyraźniej czuła się tego ranka lepiej. Dziwne jednak, że poszła dokądkolwiek sama; nie można przewidzieć, czy nie podejdzie do niej któryś

z Przyjaciół, prosząc o autograf lub spontaniczny odczyt. Nie mogła odejść zbyt daleko, może wybrała się na basen lub na któryś z głównych pokładów, jedyne miejsca z rampami dla wózków inwalidzkich. O ile nie zdecydowała się iść o własnych siłach, co dotychczas jeszcze się nie wydarzyło. Zresztą to nie tłumaczyło braku wózka.

Maddie starała się nie patrzeć w lustro (wystarczy już złych wrażeń jak na jeden poranek), ochlapała policzki zimną wodą, wycisnęła kapkę pasty na opuszkę palca i wtarła ją w zęby. Nieustępliwy ból głowy wciąż ją męczył, pogrzebała więc w kosmetyczce Celine w poszukiwaniu Tylenolu Max. Najpierw kawa. Potem znajdziesz Celine. I Raya, którego zdecydowanie brakowało wczorajszej nocy. Idź do swojej kajuty, weź prysznic i się przebierz. Potem sprawdź, co słychać u Przyjaciół – powinnaś to zrobić wczoraj wieczorem.

Wyszła na korytarz, ledwo unikając zderzenia z dwojgiem otyłych pasażerów toczących się w kierunku schodów. Maddie wymamrotała przeprosiny, choć nie była niczemu winna. Spotykała ich przedtem w windzie i jeszcze nigdy nie widziała, żeby się uśmiechali. Tego ranka, w akcie biernej agresji, który Maddie, co prawda niechętnie, ale jednak pochwałała, oboje mieli na sobie dużych rozmiarów T-shirty z napisem



„Linie Wycieczkowe Foveros”.

– Co pani teraz o tym wszystkim myśli? – odezwał się do Maddie marudnym tonem mężczyzna. – Powiem pani – kontynuował, zanim zdążyła odpowiedzieć – to typowe dla Foveros. Obsługa klienta nie odpowiada.

Pomachał kartą śniadaniową.

– Szósta rano. Zapisałem tu. Szósta rano. Nikt nie raczył nam go dostarczyć.

– Jeśli nie ma prądu, mogą mieć problemy w kuchni – powiedziała Maddie.

– Ha! To niedopuszczalne. Mamy samolot powrotny do Galveston o trzynastej trzydzieści.

– Punkt trzynastej trzydzieści – powtórzyła jak echo kobieta.

Maddie uznała, że są małżeństwem, ale podobne krótkie fryzury i masywna budowa ciała wskazywały, że mogą też być bratem i siostrą.

– Jeśli się spóźnimy, polecą głowy – dodał mężczyzna.

Helen wyjrzała ostrożnie zza drzwi swojej kajuty, wybawiając Maddie od konieczności udzielenia odpowiedzi.

– A, to ty, Maddie. Myślałam, że może to Althea.

Tamtych dwoje na odczepne skinęło w stronę Maddie głowami i poczłapało w stronę schodów.

– Czy Celine czuje się dziś lepiej? – zapytała Helen.

– Na to wygląda. Nie ma jej w pokoju. Swoją drogą, nie widziałas jej przypadkiem?

– Nie. Elise i ja właśnie się obudziliśmy.

– Jeszcze raz dziękuję za waszą pomoc wczorajszej nocy. Nie wiem, co bym bez was zrobiła.

– Ależ to nic takiego.

Za ramienia Helen wychynęła Elise.

– O, hej, Maddie. Jak się dziś miewa Celine?

Maddie powtórzyła to, co powiedziała wcześniej Helen.

– Cieszę się, że stanęła na nogi. Maddie, czy mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie? Może zabrzmieć dziwnie.

Maddie prawie się zaśmiała.

– Od trzech lat pracuję dla medium, dziwne pytania to moja specjalność.

– Wczoraj... Helen i ja miałyśmy bardzo silne wrażenie, że w kajucie jest ktoś jeszcze. – Helen szturchnęła Elise i kazała się jej uciszyć. – Nic się nie stanie, jeśli o tym wspomnimy, Helen – ucięła Elise.

– Co masz na myśli? – spytała Maddie, niezbyt pewna, czy chce wiedzieć.

– Cóż, to zabrmi dziwnie. Ale słyszałyśmy muzykę. Ktoś śpiewał. Helen myślała, że śpiew dobiega może z którejś z sąsiednich kajut. Wciąż ją słyszę. – Zanuciła melodię, którą Celine śpiewała zaraz po zatrzymaniu statku.

Ta melodia przypominała Maddie o Lizzie Bean, mniej gadatliwym z dwójki duchów przewodników Celine. Przewodnicy Celine stanowili parę całkowitych przeciwieństw (jej szefowa na pewno nie była osobą subtelną): Archie, doświadczony życiowo urwis z biednych ulic Londynu, i Lizzie, doświadczona życiowo bywalczyni salonów z lat dwudziestych XX wieku, która równie dobrze mogła wyfrunąć ze stron *Wielkiego Gatsby'ego*. Był jeszcze Papa Noakes, choć Maddie tak naprawdę nigdy nie słyszała jego głosu. „Były niewolnik z Missisipi”, Papa Noakes zniknął z repertuaru Celine wiele lat

temu – Maddie wiedziała o nim jedynie dzięki pierwszemu wydaniu wspomnień Celine (z wydań elektronicznych i kolejnych reedycji został usunięty). Dziękowała swoim szczęśliwym gwiazdom, że został odstawiony na półkę, zanim nastąpiło internetowe szaleństwo. Mogła sobie tylko wyobrazić, jakim pysznym kąskiem byłby dla armii przeciwników Celine. Z drugiej strony, Celine odezwała się jego głosem poprzedniego wieczoru, zawstydzając wszystkich, a zwłaszcza lekarza, choć trzeba przyznać, że nigdy nie była szczególnie politycznie poprawna. Od czasu do czasu Maddie zastanawiała się, czy zatrudnienie asystentki będącej owocem wielorasowego związku nie miało przeciwdziałać wszelkim możliwym oskarżeniom o brak wrażliwości w tym zakresie.

– Może to Celine nuciła – powiedziała Maddie. Zdziwiło ją, że nie pomyślały o takim rozwiązaniu.

Helen wzruszyła ramionami.

– Być może. To nie ma znaczenia. Jestem pewna, że to tylko nasza wyobraźnia na przyspieszonych obrotach.

– Planowałyście na dziś powrót do domu? – Maddie zmieniła temat.

Elise wzięła głęboki oddech i spojrzała na Helen w znaczący sposób, ale wyłącznie one potrafiły to odczytać. Maddie zeszłej nocy była zbyt zestresowana, żeby zastanawiać się, co łączy te dwie kobiety. Na pewno nie są siostrami – przede wszystkim, Helen to Brytyjka, a Elise Amerykanka. Być może były kochankami – definitywnie istniała między nimi więź silniejsza niż przyjaźń.

– Daj znać, jeśli będziemy mogły coś zrobić – powiedziała Helen.

– Dobrze. Jeszcze raz dziękuję, naprawdę jestem wdzięczna za waszą pomoc.

Maddie powoli doszła na koniec holu i spojrzała przez szklany balkon w dół, na atrium. Kolejka marudnych pasażerów ciągnęła się od stanowiska obsługi klienta aż do barów z koktajlami. Niektórzy wciąż mieli na sobie imprezowe ubrania – mężczyźni z mięśniami piwnymi w białych prześcieradłach, kobiety w złotych sandałach i blond perukach, tu i tam zabłąkany diabeł. Para wyglądająca jak brat i siostra stanęła na końcu kolejki, przyłączając się do chóru niezadowolonych.

Ze swojego punktu obserwacyjnego Maddie dostrzegła, że kawiarnia Catalina Coffee jest zamknięta, co oznaczało, że nic, tylko trzeba napić się darmowej brei serwowanej w bufecie Lido. Przeszła przez galerię fotografii, w której krzykliwe szyldy błagały, by pamiętać, że „Wspomnienia trwają wiecznie!”, pchnięciem otworzyła szklane drzwi i znalazła się na pokładzie kąpielowym, wdychając słone powietrze z lekką domieszką oleju napędowego.

Z tupotem zbiegła po spiralnych schodach na główny pokład, na którym przebywało o wiele więcej ludzi niż zwykle o tej porze. Wszystkie leżaki były pozajmowane przez zwolenników kąpiele słonecznych, a sprzątający krzątali się tu i tam, zbierając śmieci i rozdając butelki z wodą. Większość członków załogi krążyła ze spuszczoneymi oczami, minimalizując ryzyko nawiązania kontaktu wzrokowego z pasażerami, poruszali się ukradkiem, niczym żołnierze czołgający się między minami.

Przebrnęła przez grupki zgromadzone wokół jacuzzi i sceny na otwartym powietrzu, przyglądając się twarzom w nadziei, że zobaczy wśród nich Celine. Zwykle wstrzymywała oddech, starając się nie wdychać ohydnygo odoru przypiekanych hot dogów i gotowanych pomidorów, buchającego całą dobę z zadaszonej strefy z miejscami siedzącymi, ale najwyraźniej tym razem nigdzie nie było ciepłego jedzenia. Działo tylko jedno stanowisko bufetu – gromada spoconych kucharzy przygotowywała kanapki. Maddie zaczęła się przepychać w kierunku stoiska z kawą, a ludzie rzucali w jej stronę nieprzyjemne spojrzenia, zacieśniając szeregi i przyciskając do piersi talerze. Kawa zachlupotała w kubku. Maddie od razu wiedziała, że jest zimna. Wysłała na zewnątrz z kubkiem w ręku, starając się nie nadepnąć na porzucone butelki po wodzie i coś, co mogło być przypominającym meduzę użytym kondomem, po czym ruszyła w stronę Pokładu Spokoju. Ciężko sobie wyobrazić, że Celine dotarła aż na ten poziom, ale warto rzucić okiem.

Ta strefa okazała się jeszcze bardziej zatłoczona, a tłum rozwydrzonych Brytyjczyków wypełniał jacuzzi.

Celine tam nie było.

Już miała się wycofać, kiedy w oko wpadł jej ciemnowłosy mężczyzna siedzący na leżaku koło stoiska z ręcznikami: bloger z wczorajszego wieczoru. Ze spuszczoną głową manipulował przy swoim iPhonie. Pod wpływem nagłej fali złości, zamiast iść dalej, mimowolnie rzuciła w jego kierunku:

– Lepiej się czujesz?

– Że co? – Spojrzał w górę, a ona zobaczyła swoje odbicie w bliźniaczych szklach jego awiatorów w stylu retro.

– Lepiej niż wczoraj. Spotkanie z Celine.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

– Byłaś tam?

– Jestem asystentką Celine. Więc owszem. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

Wzruszył ramionami.

– Nie za bardzo. Gdy tylko wszedłem na pokład, zacząłem rzygać jak pies. Cały czas nie czuję się zbyt dobrze.

– Och, bardzo mi przykro.

– Asystentką, mówisz? Dementi też dla niej pisujesz?

Maddie zastanawiała się, co odpowiedzieć, kiedy rozległ się sygnał zapowiadający kolejny komunikat Damiena.

– Dobry dzień, mówi wasz opiekun rejsu, Damien. Rok nie zaczął się najlepiej, a zatem zapomnijmy o zmartwieniach przy dodatkowej rozgrywce w bingo!

– Dzięki Bogu za Damiena – powiedział bloger. – Co byśmy bez niego, kurwa, zrobili?

Uśmiechnął się do niej ironicznie, czym ją zaskoczył.

– Masz pojęcie, co za gówno? – Pomachał swoim telefonem. – Bez sygnału, bez Internetu. Nie mogę się zalogować.

Dobiegł ich pisk, a Maddie spojrzała przez ramię i zobaczyła dwie kobiety w bikini wskazujące do jacuzzi wprost na siedzących w nim mężczyzn.

– Nie uważasz za dziwne, że nikogo jeszcze po nas nie wysłali? – kontynuował. – Helikoptera czy innego wycieczkowca? Ktoś powinien już tutaj dotrzeć. Siedziałem tu prawie całą noc. Zatoka jest upstrzona platformami wiertniczymi, a tymczasem nic nie widać. Żadnych świateł. Zero. Dzieje się coś, o czym nie chcą nam powiedzieć.

– Foveros ma bardzo złą prasę. Prawdopodobnie próbują wszystko wyciszyć. Uniknąć rozgłosu w mediach.

– Coś na ten temat wiesz, nie?

– Super. Masz mnie.

Sama się o to prosiła. Po co, do diabła, w ogóle gada z tym gościem? Skoro uparł się, żeby zabukować sobie miejsce na tym statku, musi być jednym z tych namolnych demaskatorów, którzy godzinami próbują nakłonić Celine, by ta odpowiedziała im na Fejsie, Zoopie czy Twitterze. Maddie, która obsługuje wszystkie te konta, nigdy nie wdawała się z nimi w dyskusję, polemikę ani nie zostawiała komentarzy na ich blogach. Od tego byli Przyjaciele. Czas iść dalej.

– Hej! Hej, czekaj. Przepraszam. – Zawahała się, a potem odwróciła. Chłopak zdjął okulary. Ciemnobłękitne oczy, jasne brwi, włosy miał na pewno ufarbowane. – Pewnie nie ma szans na wywiad.

– Nie ma.

– Jesteś z Anglii.

- Ale z ciebie bystrzak.
- Jeszcze jeden kąśliwy uśmiech.
- Od dawna pracujesz dla Celine?
- Powtarzam: żadnych wywiadów.
- Powiedz nieoficjalnie.
- Tak, jasne.
- Słuchaj, ja tylko robię, co do mnie należy. Musisz przyznać, że ta sprawa z Lillian Small jest przerabana. Udowodniono ponad wszelką wątpliwość, że Lori i Bobby Small zginęli w Czarny Czwartek, a jednak Celine...
- Celine twierdzi, że przekazuje tylko to, co mówią jej Duchy.
- Na jego twarzy pojawił się grymas, a Maddie cofnęła się o krok.
- Nie bój się, nie będę rzygał. Taki mam wyraz twarzy, gdy jestem zdegustowany. Nie rozumiem. Dlaczego dla niej pracujesz?
- Bo nikt przy zdrowych zmysłach by mnie nie zatrudnił.*
- Nie twoja sprawa.
- Przecież to hiena. Żeruje na ludziach pogrążonych w smutku.
- Daje nadzieję i spokój – odparła odruchowo.
- Serio? Przyniosła nadzieję i spokój Lillian Small?
- Nie muszę tego wysłuchiwać.
- Masz rację. Nie musisz. Nie sądzisz jednak, że powinnaś? Celine zbiła piekielną fortunę na ludziach pogrążonych w smutku.
- Ludzie chcą nadziei. Chcą myśleć, że...
- Że istnieje coś więcej? Że jest życie po śmierci?
- Tak.
- To mogę zrozumieć. Ale mówić kobiecie, że jej córka i wnuk żyją, kiedy przedstawiono niezaprzeczone dowody, że jest inaczej? Daj spokój.
- Nikt nie jest nieomylny. – Maddie skrzywiła się w myślach.
- To żaden argument i dobrze o tym wiesz. Przyznaj się. To jedna wielka ściema.
- Może wierzę w jej dar.
- Nie kupuję tego nawet na sekundę. Jesteś zbyt inteligentna. Nie wyglądasz na kogoś, kto mógłby dobrowolnie kogoś oszukać.
- Nawet się starasz. – Odwołanie się do jej samooceny było dobrym posunięciem. Nie mógł wiedzieć, że jej samoocena od dawna jest równie niska,

jak jej poczucie godności osobistej.

– Chyba już skończyliśmy.

– Czekaj. Jak ci na imię? – Znowu uśmiechnął się szeroko, w ten swój rozbrajający sposób. – Żebym wiedział, kogo obsmarować.

– Najpierw ty. Żebym wiedziała, kogo pozwać.

– Posługuję się imieniem Xavier.

– „Posługujesz się” imieniem Xavier? Ile masz lat, dwanaście?

Zaśmiał się – nie spodziewała się, że ten facet może z siebie wydać tak niski dźwięk.

– Nie podoba ci się? Coś jak pseudonim striptizerki? To moje prawdziwe imię, tak à propos.

– Jasne. Udanej pisaniny. Może w końcu trafisz na prawdziwy temat.

Zaśmiał się jeszcze raz, a ona mimowolnie odwzajemniła uśmiech. Nie jest idiotą. Wiedziała, że w swoim następnym wpisie rozerwie ją na strzępy, mimo to ich rozmowa niespodziewanie wprawiła ją w dobry nastrój.

– Do zobaczenia za jakiś czas – rzucił.

– Nie licz na to.

Przeszła jeszcze raz przez zadaszony bufet z miejscami siedzącymi. Celine musi być gdzieś na tym poziomie. Chyba że... *Cholera*. Czemu wcześniej o tym nie pomyślała? Mogła przecież wyjść z apartamentu i znowu źle się poczuć – może zabrano ją do izby chorych. Ray. Czas najwyższy, żeby drań znowu wziął się do roboty. Tak jak ona gnieździł się w jednej z tańszych kajut w trzewiach statku. Próbowwała sobie przypomnieć numer jego kajuty, potem zbiegła po schodach, mijając wejście na Pokład Promenady Snóff, kasyno i galerię sztuki. Neony nie działały, a bez nich wewnątrz statku było bezbarwne, jak starzejąca się tancerka rewiowa po zmyciu makijażu. Zbiegła kilka półpięter w dół, próbując nie oddychać przez nos. Powietrze tu na dole przypominało wstrętny wilgotny wywar, odrobinę doprawiony odchodami. Maddie przeszła przez korytarz, który prowadzi do pokoi z nieparzystymi numerami, i zapukała do kajuty Raya, a przynajmniej taką miała nadzieję, że to właśnie te drzwi.

– Tak? – odpowiedział senny głos. Przypominał głos Raya.

– Tu Maddie.

Minęła więcej niż minuta, zanim drzwi się otworzyły i stanął w nich Ray, przepasany ręcznikiem.

– Hej, Maddie – powiedział, mizdrząc się i przesuwając palcami po gołym torsie. – Gorąco, co nie?

Z wnętrza pokoju dobiegł chichot, a kobiecy głos zawołał:

– Pośpiesz się, Ray.

Odwrócił głowę.

– Za minutę wracam, mała.

Za jego plecami pojawiła się pulchna kobieta w skąpej bieliźnie, objęła rękoma jego klatkę piersiową, oparła mu brodę na ramieniu i oczami jak u pandy bez zażenowania gapiała się na Maddie. Jej skóra wyglądała jak patchwork białych i czerwonych śladów po opalaniu.

– Cześć.

– Cześć.

– Poznaj Maddie, mała. – Ray wygiął usta w pogardliwym uśmiechu. – Pracujemy razem.

– O, tak? – Kobieta ziewnęła i rozwarła ramiona. – Muszę wziąć prysznic.

Ray puścił do Maddie oko.

– Za chwilę do ciebie dołączę.

Kobieta znowu zachichotała i zniknęła w łazience. Maddie zmierzyła Raya gniewnym wzrokiem.

– Nie marnujesz czasu.

Wzruszył ramionami, a jego uśmieszek nie zniknął.

– Postanowiłem się sam zabawić, skoro nie chciałaś skorzystać z zaproszenia. Poznaliśmy się z nią w punkcie ewakuacyjnym. Hej, a ty gdzie właściwie byłaś?

– Miło z twojej strony, że zauważyłeś. – Szczerze mówiąc, miło ze strony Foverosa, że zauważyli. Nie pamięta, żeby ktoś z personelu liczył pasażerów. – Byłam z Celine. Naszą szefową, ogarniasz? Ona... coś jej się stało zeszłej nocy.

– O tak? Co? – Podrapał się po brzuchu i zmienił pozycję, pozwalając Maddie spojrzeć w głąb pokoju. Na podłodze roztaczała się apokaliptyczna sceneria: wszędzie puszki po piwie i talerze wysmarowane sosem koloru wyschniętej krwi.

– Widziałeś dziś rano Celine?

– A jak myślisz? Jak zauważyłeś, nie traciłem czasu.

– Muszę ją znaleźć.

– Powodzenia.

– Nie pomożesz mi?

– To takie trudne? Jesteś na statku. Ona porusza się na wózku inwalidzkim.

– To twój obowiązek, Ray. Zeszłej nocy prawie nie spałam.

– Nie tylko ty.

– Dobra. Wiesz co? Zapomnij o tym. Dzięki za nic.

– Słuchaj, Maddie. Wiesz co? Sama sprzątaj swój szajs.

– Co takiego?

– Mam dosyć twoich drwin, twojego poczucia wyższości.

Z tej strony w ogóle Raya nie znała.

– Dobra. Pogadaj sobie.

– Myślisz, że jesteś lepsza, tak? Cóż, mała, pozwól, że ci coś wyjaśnię. Jesteś zwykłą zakompleksioną Brytolką z pretensjami do całego świata. Wiesz, czego ci trzeba? Porządnego rż...

Wściekłość nadeszła nieoczekiwanie i całkowicie ją pochłonęła. Maddie wczepiła się obiema rękoma w jego klatkę piersiową.

– Powiem ci, czego mi trzeba, gnojku, wypierdalaj mi z oczu. – Kropelki jej śliny prysnęły na jego twarz. Wyraz szoku ustąpił miejsca rozbawieniu, co ją tylko jeszcze bardziej rozsierdziło.

Podniósł ręce.

– Elo. Spokojnie, tygrysku. Żartowałem tylko.

– Pierdol się. – Obróciła się na pięcie i pobiegła w stronę schodów, roztrzęsiona, a w jej uszach coś ryczało. Do diabła z jej kajutą i rzeczami. Tego by teraz nie zniosła. Uczepiła się poręczy. Cholerny, pieprzony Ray. Nie mogła pozwolić, żeby tak na nią działał. Zatrzymała się, żeby ogarnąć sytuację – powinna teraz udać się z powrotem do atrium i w ten sposób skrócić sobie drogę do izby chorych. Ledwie przeszła jedno piętro, kiedy przebiegł koło niej jakiś mężczyzna, ręką zasłaniając usta, jakby zaraz miał wymiotować.

Jezu. O Boże. Maddie skrzyżowała ramiona, schowała dłonie pod pachami i biegła, desperacko pragnąc zaczerpnąć świeżego powietrza. Swędziała ją skóra na głowie, dłonie zaczynały się pocić i czuła, jak powoli zaciska się jej gardło. Wpadła na balkon nad atrium, próbowała uspokoić bicie serca, które zachowywało się tak, jakby zaraz miało wyskoczyć z jej ust. Podłoga zakołysała się. Maddie poczuła, jak coś powoli porusza się w jej brzuchu.

– Maddie? – Spojrzała w górę i ujrzała pochylającą się nad nią Eleanor, jedną z Przyjaciółek. – Dobrze się czujesz?

Maddie początkowo nie mogła wydobyć z siebie słowa. *Jezu.*

– Proszę, spróbuj usiąść. – Eleonor masowała jej kark.

– Dobrze. Tylko... czuję się dobrze.

– Jesteś pewna?

Eleanor – wielbicielka zwierząt – desperacko próbowała skontaktować się z duchem swojego psa. Maddie poszukała w pamięci jego imienia – Denny, Dirk czy coś takiego. Idealne dla gwiazdora porno.

– Może przynieść ci trochę wody? Straszny tu tłok, prawda?

– Czuję się dobrze. – Wypowiadanie tych słów z jakiegoś powodu sprawiło, że rzeczywiście zrobiło się jej lepiej. Szczelina w gardle lekko się rozszerzyła.

– Bardzo dziękuję, Eleanor. Po prostu przez chwilę zakręciło mi się w głowie.

– Nic dziwnego. Jesteś za chuda, Maddie. Jadłaś już śniadanie?

– Nie. – A wczoraj nie jadła obiadu, w końcu nie zamówiła tego tosta z serem.

– Szukam Celine.

– Cóż, kochanie, nasza Celine jest w Audytorium Gwiazdnego Marzyciela.

– Co? – To nie może być prawda. – Jak to... Co ona tam robi?

– Hm... cóż... Tego ranka wstałam wcześniej i poszłam do bufetu sprawdzić, czy nie dostanę trochę muesli. Spałam dziś w nocy bardzo źle przez to całe zamieszanie, chociaż Damien mówi, że nie ma powodu do niepokoju... i wtedy zobaczyłam ją na Pokładzie Lido. Poprosiła, żeby zebrać wszystkich Przyjaciół.

– Celine zrobiła coś takiego?

– Święta kobieta. Jest już z nami od dwóch godzin, dzięki niej naprawdę czujemy się spokojniejsi. Wielu Przyjaciół bardzo się niepokoiło, szczególnie ci, którzy dziś mieli lecieć do domu, ale Celine powiedziała im, że wszystko będzie dobrze. Wracalam do kajuty, żeby wziąć swoje witaminy, ale to może poczekać. Mam cię do niej zaprowadzić?

– Poradzę sobie.

Eleanor cmoknęła z dezaprobatą.

– Nie zostawię cię tu samej w takim stanie.

Przełożyła rękę Maddie przez swoje pulchne ramię, otaczając ją zapachem perfum Lily of the Valley.

– Jak Celine się tam dostała?

– No przecież doszła, jakżeby inaczej. Nie powiem, trochę jej to zajęło, ale mówiła, że czuje się na siłach.

– A co z jej wózkiem?

– Och, pomogli jej Jacob i Jimmy. – Maddie pozwoliła Eleanor poprowadzić się obok opustoszałego kasyna i korytarza aż do wejścia na salę. W środku zgromadziła się niewielka grupa Przyjaciół, a Jacob, ubrany w lawendową kamizelkę, różowy krawat i koszulę w prążki, rzucił się pędem w ich kierunku.

– Maddie słabo się poczuła, Jacobie – powiedziała Eleanor, uwalniając Maddie i gładząc jej ramię.

– Och, biedactwo. Ale przyszedłeś w odpowiednie miejsce. Zajmiemy się tobą.

Maddie próbowała się uśmiechnąć. Zwykle myślała o Przyjaciółach jako o życiowych fajłapach – elementach ludzkiej układanki, w której zabrakło ważnego kawałka błękitnego nieba – ale teraz to oni ją otaczali opieką, podtrzymując na duchu.

– Opowiadałam właśnie Maddie, jak wspaniale Celine zachowuje się wobec nas – powiedziała Eleanor.

Jacob entuzjastycznie pokiwał głową.

– O tak. Celine i Archie. Archie jest dziś bardzo rozmowny. Według Celine, Duch chce, byśmy wiedzieli, że łatwo sobie z tym wszystkim poradzimy.

– Jacobie, powiedz Maddie, co Archie powiedział ci o Kathy – poprosiła Eleanor.

– Kathy? – zapytała Maddie.

– Jego siostrze. Pamiętasz, Maddie. Pojawiła się wczoraj w nocy. Zaginęła w Święto Dziękczynienia.

Oczywiście. Jak mogłaby o tym zapomnieć? To ona przekazała Celine szczegóły po tym, jak Jacob zwierzył się jej podczas pierwszego spotkania. Kolejne ukłucie wstydu.

Oczy Jacoba nagle stały się nieobecne.

– Tym razem przyszedł razem z Archie. Powiedział, że ma na sobie swoją ulubioną białą sukienkę i że pragnie, bym wiedział, co dokładnie się z nią działo. – Maddie znów poczuła mrowienie w palcach i wbiła paznokcie w skórę dłoni. – Archie opowiedział mi całą historię. Kathy uciekła do San Francisco, przez jakiś czas tam mieszkała, ale dostała się w złe towarzystwo. – Głos mu się obniżył. – Zmarła sama w zabitym deskami mieszkaniu, rok po tym, jak nas zostawiła. Przedawkowała narkotyki.

– Bardzo mi przykro – odpowiedziała Maddie. W co, do diabła, zabawia się Celine? Miała przynosić nadzieję, nie rozpacz.

– Nie przejmuj się. Chciałem wiedzieć, musiałem wiedzieć. Kathy czeka, aż

do niej dołączyć. Będzie na mnie czekać, kiedy przejdę na tamten świat.

– Jakież to inspirujące – westchnęła Eleanor.

Szklane drzwi były uchylone na tyle, że Eleanor mogła wślizgnąć się do środka – każdy choć odrobinę większy miałby z tym problem – a Maddie ruszyła za nią w głąb pogrążonego w mroku audytorium. Annabeth i Jimmy, jedno z niewielu małżeństw, jakie zapisały się na rejs z Celine, rozgdakali się na jej widok. Maddie wymamrotała niewyraźne słowa powitania i podeszła do sceny, na której stała Celine, pogrążona w rozmowie z Leilą.

Celine podniosła wzrok i ich oczy się spotkały.

– Dziękuję ci, moja droga – powiedziała Celine do Leili. – Jestem teraz potrzebna Madeleine.

Leila rzuciła w stronę Maddie jeden z najbardziej ulotnych uśmiechów, potem bez jednego słowa protestu oddaliła się, jakby pociągana niewidzialną nitką. Maddie wgramoliła się na scenę.

Celine przechyliła głowę na bok, przyglądając się jej uważnie.

– Wyglądasz na zmęczoną, Madeleine. Zregenerowałaś się? Kiedy wychodziłam rano, spałaś jak zabita.

– Właśnie, skoro sama o tym wspominasz. Czemu mnie nie obudziłaś?

– Potrzebowałaś odpoczynku.

– Jak się czujesz, Celine? Jesteś pewna, że powinnaś to robić? – Czymkolwiek to, do diabła, było. Nic tu się nie zgadzało. Celine spędziła cały rejs, unikając Przyjaciół, a teraz, ni stąd, ni zowąd, była ich najlepszą przyjaciółką.

– Czuję się cudownie. Po prostu cudownie. Jak nowo narodzona.

Maddie musiała przyznać, że rzeczywiście Celine pierwszy raz od wielu miesięcy wygląda tak dobrze. Jej makijaż nie był tak krzykliwy jak zwykle, dzięki czemu sprawiała wrażenie osoby młodszej i mniej zblazowanej.

– Jacob i Eleanor mówili, że poprosiłaś ich dziś rano o zebranie tu wszystkich Przyjaciół. Jaki masz plan?

– Ludzie są zaniepokojeni, Madeleine. Wszyscy musimy wykonać swoje zadanie.

– Okej. Czy mogę prosić, żeby prawdziwa Celine już wróciła?

– Och, jest tu gdzieś. Na pewno wkrótce się ujawni. Ale wiedz, że mam zamiar pomóc tylu ludziom, tak wielu, ilu tylko zdołam.

– Co masz na myśli, mówiąc o „pomaganiu”?

– Ludziom trzeba wskazywać drogę. Potrzebują przewodnika. Jestem tu, by służyć im pomocną dłońią. Ja i Duch, rzecz jasna.

– Powiedz mi, że robisz sobie jaja, Celine.

Celine złapała ją za rękę. Palce szefowej były lodowate, mimo że w audytorium, tak jak na całym statku, panował zaduch.

– Gdzie Ray?

– W swojej kajucie.

– No cóż, wcześniej czy później wróci. Wszyscy tak robią, o ile tylko wiedzą, co dla nich dobre. – Celine puściła do niej oko. – Idź, znajdź sobie miejsce. Obejrzyj show. Myślę, że ci się spodoba.

– Myślę, że nie powinnaś tego robić, Celine.

– Moja droga, urodziłam się, by to robić.

– Zeszłej nocy...

– Idź, usiądź sobie, Maddie – powiedziała Celine, a jej głos zmienił barwę z przesłodzonej na delikatną, co było pocieszające. Z nadwrażliwą Celine Maddie potrafiła sobie radzić. – Nie chcesz chyba robić scen, prawda?

– Celine, proszę, powiedz mi, co masz zamiar...

– Dość. Idź, już.

Maddie nie miała siły na kłótnie. Celine odgrywała taką rolę z przyczyn znanych tylko jej samej. Być może miało to coś wspólnego z oskarżeniami blogera z zeszłego wieczoru. Być może miała nadzieję, że Przyjaciele wystąpią w jej obronie, kiedy Xavier (czy jak on tam się naprawdę nazywa) rzygnie swoim filmikiem po całym Internecie. Być może coś w Celine pękło, a przez to odsłoniło się jej nowe, altruistyczne oblicze.

Maddie przeszła do boks na skraju sali. Zauważyła technicznego – dzieciaka, którego Celine wczoraj obsztorcowała – zajętego rozmową z Juanitą, a ta ukradkiem pomachała w jej kierunku. Maddie padła na siedzenie, z bólem głowy pulsującym w skroniach, i czekała. W Audytorium Gwiazdneho Marzyciela zapadła cisza, Celine wjechała na scenę, a Maddie nie mogła pozbyć się wrażenia, że za chwilę obejrzy obłąkaną prorokinię przemawiającą do swoich wyznawców.

Człowiek potępiony

Gary leżał najciszej, jak mógł, obserwując, jak pot skrapla się na włoskach na jego brzuchu. Marilyn wyszła z pokoju godzinę temu, narzekając, że nie może oddychać. Planował zostać w kajucie aż do usunięcia awarii, ale bez klimatyzacji ta szybko zamieniała się w saunę. Temperatura i niski poziom cukru w jego krwi przyprawiały go o mdłości. I tak nie potrafiłby pozostać tu dłużej, bez względu na warunki. A sen nie wchodził w rachubę. Gary nie był w stanie uciszyć dialogu szalejącego w jego myślach, od kiedy wrócili z Marilyn z punktu ewakuacyjnego wczoraj w nocy, i udało mu się zdrzemnąć jedynie na chwilę. Przynajmniej wrócił stamtąd bez szwanku. Cały czas był wyczulony na każdy sygnał, wzdrygając się za każdym razem, kiedy mijali go ochroniarze lub członkowie załogi, ale Marilyn nie skomentowała jego zachowania. Powinien, zdaje się, podziękować za to jej znajomym wycieczkowiczom. Zmonopolizowali całą rozmowę, nieproszeni omawiając bez przerwy stan rynku mieszkaniowego w Minnesocie, dzięki czemu mógł przycisnąć się w ciemnym kącie i możliwie jak najmniej rzucać się w oczy.

Przyszliby już po ciebie, gdyby mieli taki zamiar. Wyluzuj. Ale co z zawieszka „Nie przeszkadzać”? Co, jeśli ją mają?

Jeśli nawet, to co z tego? Nawet jeśli w ogóle sprawdzą, czy są na niej odciski palców, przecież twoich nie ma w żadnych archiwach.

Po powrocie do portu mogą pobrać odciski od wszystkich.

Nawet jeśli, to co? Czysty zbieg okoliczności. Mają inne zmartwienia. Wrócisz wolny do domu. Najgorsze będziesz miał za sobą.

Monitoring – mogą mnie rozpoznać. Nie ma szans.

Serio? A wczorajsza noc? Jak wyjaśnię, dlaczego poszedłem do jej kajuty?

Byłeś w szoku, dezorientowany po nagłym zatrzymaniu statku. A DNA? W jej pokoju pełno jest mojego DNA.

Nie będą pobierać próbek od wszystkich.

Tego nie możesz być pewien.

Będą chcieli wyciszyć sprawę. Wiesz, jak to wygląda. Zdążyli już sami siebie przekonać, że przyczyną śmierci było zatrucie alkoholowe. Dlaczego nie przesłuchują załogi i pasażerów?

Musiał w to wierzyć.

Wstał z łóżka i pokuśtykał do łazienki, nieco zdezorientowany przechyłem statku na lewą burzę. Odzyskał równowagę i starał się nie patrzeć na rzeczy, które zostawił poprzedniej nocy w łazience, a które Marilyn rozwiesiła na lince pod prysznicem. Woda trysnęła z kranu, a on ochlapał nią policzki. Postanowił nie marnować czasu na golenie – każda zmiana wyglądu mogła pomóc. Spryskał się dezodorantem, włożył świeżą koszulę i parę krótkich spodni, po czym wyszedł z kajuty i skierował się w stronę schodów. Członek załogi polerujący poręcze przyjrzał mu się zmęczonym wzrokiem, kiedy przechodził obok, potykając się na skutek przechyłu schodów. Przeszedł przez atrium, przepychając się przez zbitą gromadkę zdenerwowanych ludzi czekających na swoją kolej i możliwość wyżycia się na pracownikach obsługi klienta. Kobieta na początku kolejki wrzeszczała:

– Moje psy są w schronisku. W schronisku! Miałam je dziś odebrać.

Wchodząc na Pokład Lido, zderzył się ze ścianą hałasu. Całe miejsce wypełniali ludzie, a wszystkie leżaki były zajęte. Światło raziło go w oczy, a ocean, w obramowaniu relingów, falował leniwie.

– Na pewno niedługo do nas dotrą – mówił mężczyzna w średnim wieku do grupy zgromadzonych wokół niego kobiet, smarujących się nawzajem kremem do opalania. Przeszedł nad wyciągniętymi nogami pasażerki wachlującej się egzemplarzem codziennego biuletynu rozrywkowego Damiena i rozejrzał się w poszukiwaniu Marilyn.

– Gary! – Wyciągnął szyję i zauważył ją stojącą obok wejścia do części bufetu z miejscami siedzącymi, wymachującą rękoma nad głową.

– Gary! Tutaj, kochanie!

Kiedy szedł w jej kierunku, ludzie odwracali się, żeby na niego spojrzeć, a on zaczerwienił się i pochylił głowę.

Marilyn siedziała przy stole w towarzystwie pary, która wyglądała młodziej i bardziej elegancko niż tych dwoje ludzi z zeszłej nocy. Nie był tym zaskoczony; oczekiwał, że żona przejdzie na bardziej zielone pastwiska.

– Hej, kochanie – zaszczebotała na powitanie. – Poznaj Samanthę i Masona Patchulików.

Facet – pod trzydziestkę, kamienne spojrzenie, podgolone włosy, spalona skóra na głowie – skinął w jego stronę.

– Niezłe wakacje, co?

– Musisz na to patrzeć jak na przygodę, kochany – powiedziała łagodnym tonem kobieta o imieniu Samantha, krzyżując nogi i posyłając Gary'emu

wystudiowany uśmiech. Sztuczny biust, sztuczne włosy, wybielone zęby. Kobieta z prefabrykatu. Nie w typie Gary'ego.

– Szkoda tylko, że nie mogę poinformować rodziców o tym, co się dzieje. Foveros chyba da wszystkim znać? Za godzinę mają wyjechać, żeby nas odebrać z lotniska.

Gary rozejrzał się za pustym krzesłem, ale wszystkie były zajęte. Nie miał więc wyjścia i dalej stał przy stole w niezręcznej pozycji.

– Samantha i Mason są z Michigan – powiedziała Marilyn, niepomna na jego niewygodę.

– Och, naprawdę? To bardzo fajnie.

Mason pokręcił głową, jakby Gary powiedział coś nieskończenie głupiego.

– Tak uważasz? W domu tylko odmrażamy sobie tyłki. Pomyśleliśmy, że w ostatniej chwili złapiemy trochę słońca, zabukowaliśmy last minute, za dobrą cenę, no i popatrz, co za to dostaliśmy. Stoimy. Nie zdążymy na samolot. Powinni w ramach rekompensaty wykupić nam bilety w klasie biznesowej. A przynajmniej zaproponować darmowy rejs.

Oczy Marilyn zapłonęły.

– Och, o tym nie pomyślałam. Myślisz, że mogą tak zrobić?

– Jeśli dbają o swój interes i nie chcą, żebyśmy ciągnęli ich tyłki po sądach, to owszem. Jeszcze ich pozwę za utratę dochodu.

Powodzenia, pomyślał Gary. Podczas dokonywania rezerwacji przeczytał umowę. Czytał je uważnie co roku i wiedział, że Foveros dba o swój interes, i to bardzo dobrze i w szczególności. Firma mogła, praktycznie rzecz biorąc, sprzedać pasażerów somalijskim piratom, a klient i tak nie miałby szans w sądzie.

– Słuchaj, Gary – kontynuował Mason. – Marilyn mówiła właśnie, że jesteś nauczycielem, hę?

– Jestem, zgadza się.

– W liceum?

– Gimnazjum.

– Uczy ten, co nie potrafi robić, dobrze gadam?

Gary zmusił się do sztywnego uśmiechu.

– Coś w tym stylu.

– Hej, mną się nie przejmuj. Jaja sobie robię. Ja działam w budowlance.

– Ma firmę – mizdrzyła się Samantha, pocierając jego udo.

– Tak. Założyłem własną firmę. Sam sobie szefem. Sam sobie ustalam

godziny.

Mason najwyraźniej był jednym z tych facetów, którzy zawsze muszą mieć ostatnie słowo. Gary dobrze takich znał. Widział świeżo upieczonych Masonów codziennie na szkolnym boisku. Sam nigdy nie był jednym z nich – ani jedną z ich ofiar, jeśli o to chodzi. Wiedział, jak chować głowę, znikać, mieszać się z tłumem. Był ekspertem w unikaniu konfliktów w pokoju nauczycielskim i sporadycznych rodzicielskich skarg w pracy. Doskonale też się orientował, co myślą o nim jego uczniowie: pan Johansson, najnudniejszy nauczyciel świata. Rzadko miewał jakiegokolwiek problemy na lekcjach. Odnosił wrażenie, że jego uczniom nie chce się z nim drażnić. Sami doszli do tego, że w pracy stwarza tylko pozory.

Rozejrzał się, szukając kogoś z grupy jego dziewczyny. Możliwe, że skryli się pod jednym z prześcieradeł, które ktoś przymocował do relingu jako osłonę przeciwsłoneczną.

– Widzieliście, co podają na śniadanie? – powiedziała Marilyn do nikogo w szczególności. – Kanapki!

– No właśnie, nieźle, co? – westchnęła Samantha. – Zapytałam jednego z obsługi, a on stwierdził, że nie mogą zbyt wiele zrobić, ponieważ nie ma prądu.

Mason (co to w ogóle za imię: Mason?) pokręcił głową.

– Powinni mieć przygotowany układ wspomagający.

– Układ wspomagający? – zapytała Marilyn.

– System awaryjny, który stosuje się w sytuacjach podobnych do tej. Takie są przepisy. Widziałem w programie *Rejsowicze krytykują*. Wszystkie statki Foverosa miały być w to wyposażone po incydencie z „Pięknym Cudem”.

– Musisz być bardzo inteligentny, skoro wiesz takie rzeczy! – powiedziała Marilyn, patrząc na Masona z zachwytem. Gary nienawidził jej z to.

– Przynajmniej powinni wysłać któryś ze swoich statków, żeby sprawdził, co się z nami dzieje. Albo helikopter, cokolwiek – powiedział Mason. – Hej! – zaczepił przechodzącego obok członka załogi odbywającego bieg z przeszkodami polegający na zbieraniu plastikowych kubków po napojach i porzuconych butelek po wodzie wśród rozciągniętych na ziemi ciał. – Kiedy wreszcie dowiemy się, co się dzieje?

– Kapitan wkrótce wygłosi komunikat, proszę pana – odpowiedział tonem wylugowanym z jakiegokolwiek modulacji członek załogi.

– Właśnie to wciskają nam od samego rana. Gówno prawda.

– Kotku – powiedziała Samantha. – To nie jego wina.

- Dość mam tego gówna. Zapłaciłem sporo pieniędzy, żeby tu się znaleźć.
- Wiem, kochanie. Mówię tylko, że...
- I nie mów mi, co mam robić.
- Przecież nie mówię.
- Ta? Bo tak to zabrzmiało.
- Przepraszam, kotku – powiedziała Samantha z kapryśną miną małej dziewczynki.

Oczy Marilyn załśniły w reakcji na tak niespodziewaną rozrywkę. Mason wypiął klatę niczym kogut i machnął na członka załogi, pozwalając mu odejść. Mężczyzna oddalił się tylko po to, by zostać zaatakowanym przez kolejną zadającą te same pytania grupkę ze stolika obok.

– Będzie dziś gorąco – wymamrotała Samantha, bawiąc się ramiączkami swojej bluzki.

– Właśnie mi się przypomniało – odezwała się Marilyn, odwracając się w stronę Gary’ego. – Kochanie, zostawiłam w kajucie swój kapelusz. Czy mógłbyś mi go przynieść? Ugotuję się tu bez niego. Zajdź przy okazji do obsługi klienta i sprawdź, co się dzieje.

– Jasne. – Przynajmniej dzięki temu będzie mógł znaleźć się z dala od Patchulików. Miał nadzieję, że Marilyn też się wkrótce znudzą. Jeśli nie, znowu musiałyby udawać chorobę i znaleźć miejsce na statku, w którym mógłby się ukryć i gdzie nie byłoby tak duszno jak w kajucie.

– Może mi to zająć trochę czasu. Kolejka wyglądała na... – Zamarł, widząc ochroniarza idącego wzdłuż pokładu kąpielowego. Gary mógłby przysiąc, że ten patrzy prosto na niego.

– Kochanie? – Marilyn i Patchulikowie przyglądali mu się ze zdziwieniem. – Dobrze się czujesz?

– Przepraszam. Oczywiście, że tak. Pójdę już. Do zobaczenia później.

Gary przedarł się przez motłoch i zmierzał w kierunku serca statku. Kolejka do obsługi klienta zrobiła się niemal dwa razy większa, tak jak zgiekł podniesionych głosów. Przeszedł skrótem przez galerię sztuki i pogalopował w kierunku swojego pokładu. W odróżnieniu od hałasu na zewnątrz i w atrium, na niższych pokładach panowała cisza nie z tej ziemi. Gdzieś trzasnęły drzwi, a on aż podskoczył. Powtarzał sobie, że ma nie zachowywać się jak idiota. Przecież dopiero co był tu na dole. Niskie sufity i niekończące się korytarze zwykle nie działały na niego deprymująco, nawet lubił myśleć, że huśta się w tajemniczych podziemiach, otoczony wieloma milami oceanu, ale teraz z jakiegoś powodu zaczął się denerwować. Światła świeciły słabiej niż

wcześniej – był tego niemal pewien, a malowane techniką sitodruku ścienne malowidła, na których aniołki niezmiennie toczyły ze sobą zapaśnicze pojedynki, stanowiły teraz jedynie rozmazaną mieszaninę tłustych rączek i pustych oczodołów. Jaskrawy dywan zdawał się oddychać. Znowu trzasnęły drzwi, a potem usłyszał równomierny dudniący dźwięk. Bicie chorego serca. Jakby ktoś biegł obok niego.

Odwrócił się. Poza nim nie było tam nikogo.

– Halo?

Nagle poczuł skurcz jelit. Po omacku zaczął szukać swojej karty i upuścił ją na dywan. Włoski na jego rękach i karku nastroszyły się, a serce zaczęło szybciej bić. Gary nie uważał się za kogoś o wyjątkowo bujnej wyobraźni, ale odniósł bardzo silne wrażenie, że jest tam zupełnie sam. Jedyne pasażer na całym, pustym statku. Puk, puk, puk – ponownie się odwrócił, ale korytarz był pusty. Wciąż nie miał pewności, skąd dochodzi ten dźwięk: spod jego stóp czy może z jednej z kajut. Znow spróbował otworzyć drzwi, tym razem mu się udało. Oparł je o magnes, usiłując włączyć światło. Nie działało. Jego koszula była całkowicie przepocona, więc zdjął ją i po omacku poszukał w szafie innej. Ogarnęło go mocne, naglące wrażenie, że musi stamtąd uciekać, ale ponownie poczuł skurcz jelit i nie miał innego wyjścia, jak iść do łazienki. Ledwo zdążył. Przycisk spłuczki wydał głuchy dźwięk. Spróbował jeszcze raz. Nic. Chrzanić to.

Uciekaj, uciekaj, uciekaj.

W pośpiechu wypadł na korytarz i niemal zaczął biec, kiedy zdał sobie sprawę, że zapomniał kapelusza Marilyn. Zawrócił z niechęcią. W kajucie śmierdziało jego odchodami, aż zaczął się dławić. Kapelusz, różowy słomiany bibelot kupiony na ulicy w Cozumel, zwisał niewinnie z krawędzi telewizora. Ruszył po niego, prawie miał go w ręku, kiedy usłyszał, jak za jego plecami zatraskują się drzwi. Rozejrzał się wokół siebie w popłochu, wyczuwając ruch w ciemności. Miał wrażenie, że na drugim końcu pokoju drżą dwa ciemne kształty.

Gary zaczął się cofać, aż górną częścią łydek oparł się o łóżko.

Wszystko w porządku, w porządku, w porządku. Nikt ci nic nie robi, nikogo tu nie ma, po prostu...

Wrzasnął, niechcący ugryzł się w język. Poczuł, jak na jego klatce piersiowej ląduje jakiś ciężar, wyciskając z płuc resztki oddechu. Próbował się zamachnąć, ale nie mógł – lub nie potrafił – poruszyć rękoma. Leżał sparaliżowany, niezdolny do ruchu, czując, jak lodowaty oddech muska jego policzki, a po udzie powoli pełzną zimne palce.

Służebnica diabła

– Nie udało mi się dziś rano wysłać nikogo do twoich kajut – powiedziała Maria do Althei w ramach powitania. – Trining wciąż choruje, a Joan twierdzi, że jest niezdolna do pracy.

Althea w odpowiedzi skinęła głową. Na twarzy Marii brakowało dziś brwi, na ich miejscu widniały jedynie dwie smugi. Wyglądała przez to, jakby jej rysy twarzy powoli zanikały. Może jutro nie będzie miała nosa, potem znikną oczy, usta i zastąpi je gładka, pozbawiona wyrazu skóra. Althea otrząsnęła się w myślach – co jej przychodzi do głowy? Przejechała językiem po zębach. Poprzedniej nocy dręczyły ją hiperrealistyczne koszmary. Mężczyzna z zardzewiałymi kombinerkami – nie widziała jego twarzy – wyrwał jej po kolei wszystkie zęby. Wciąż w głowie słyszała trzask każdego wydzieranego z dziąseł korzenia. Jej *lola* święcie wierzyła, że sny mają znaczenie, a Althea słyszała gdzieś, że kobiety w ciąży częściej męczą koszmary. No i jeszcze ten chłopiec... nie nawiedził jej w snach, co z jakiegoś powodu pogarszało tylko sprawę.

– Altheo? Słuchasz mnie w ogóle?

– Wybacz, Mario. Czy mogłabyś powtórzyć to, co przed chwilą mówiłaś?

– Mówiłam, że ochrona chce z tobą porozmawiać tak szybko, jak to możliwe.

– Tak, Mario. – Althea spodziewała się tego. Musi ułożyć sobie całą historię. Nie powinna im raczej mówić, że właśnie do tej kajuty zaprowadził ją urojony chłopiec. Ani przyznawać, że powoli traci zmysły. Kiedy wysoki ochroniarz wrócił do pokoju martwej dziewczyny w towarzystwie starszego rangą oficera i pozwolili jej odejść, Althea uciekła do swojej kajuty. Wdzięczna za to, że nie było tam Mirasol, jej współlokatorki, zwinęła się w koc i zacisnęła mocno powieki, udając brak świadomości. Miała to wytrenowane, robiła tak zawsze w domu, próbując uniknąć zalotów Joshuy. Jakiś czas później – mogły minąć minuty albo godziny – zasnęła. Jak przez mgłę pamiętała, że rano Mirasol próbowała ją obudzić, ale kiedy już wyczołgała się z łóżka – spóźniona o trzy godziny na swoją zmianę – kajuta była pusta. A teraz jej mózg przypominał rozgotowany ryż. Musiała oczyścić umysł i wyostrzyć myślenie.

Maria potarła palcem łysinę, która pojawiła się w miejscu jej brwi.

– Wiem, co się stało zeszłej nocy. Wiem o martwej pasażerze.

– Zostałaś poinformowana przez ochronę? – Althea jeszcze nikomu nie wspominała o dziewczynie, ale nie zdziwił jej fakt, że Maria o niej wie. Maria zawsze wiedziała wszystko o swoim personelu, a to, że rozmawiała z ochroną, nie było niczym niezwykłym.

– Tak. Chcieli porozmawiać z Trining. To musiał być szok. Jesteś w stanie dziś pracować?

Althea zastanowiła się, czy nie odpowiedzieć, że nie, nie jest w stanie pracować, ale co innego miałyby robić? Jedyne, co jej pozostawało, to siedzieć w kajucie lub mesie, zadręczać się wspomnieniem chłopca i czekać, aż technicy naprawią usterkę lub Foveros wyśle statek ratunkowy. Poczowała ukłucie w okolicy podbrzusza. Krótki, ostry ból. Przypomniało jej to, że ma jeszcze jeden powód do zmartwień.

– Jestem w stanie pracować.

– Dobrze. – Lekki uśmiech. Do Althei dotarło, że nigdy wcześniej nie widziała, jak Maria się uśmiecha. – Jesteś najlepsza z całego mojego zespołu.

Althea zamrugła, zaskoczona dreszczykiem dumy, jaki poczuła po tym niespodziewanym komplementem.

– Dziękuję, Mario.

– Powinnaś o tym wiedzieć. Trining idzie w odstawkę. Po powrocie do portu zabiorą ją prosto na lotnisko.

– Ale... jest dobrym pracownikiem – odpowiedziała Althea, wiedząc, że tego się od niej oczekuje, choć zwolnienie Trining zupełnie jej nie obchodziło. To ta głupia *puta* powinna znaleźć dziewczynę, nie Althea. Jasne, będzie jej brakowało dodatkowej gotówki, którą płaciła Trining za sprzątanie jej bałaganu, ale istnieje mnóstwo sposobów na ekstra zarobek – Althea nie bała się brudnej roboty.

– Powiedziałaś jej?

– Nie. Ale już niedługo. Jest jeszcze coś. Kilka pomp próżniowych odpowiedzialnych za działanie instalacji sanitarnej uległo awarii.

– W jakich strefach?

– Zgłaszano problemy z większością toalet publicznych, w pokojach na śródkręciu i na rufie.

– A w strefie dla VIP-ów?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale musisz przekazać informację swoim pasażerom. Niedługo zostanie nadany komunikat. Już mówiłam pozostałym. Znasz procedurę.

Althea ją znała. Wraz z pozostałymi stewardami będą musieli rozdać pasażerom worki na nieczystości, przez co jej dzień stanie się wyjątkowo paskudny. Miała do czynienia z taką sytuacją miesiąc po rozpoczęciu poprzedniego kontraktu, kiedy awaria napędu unieruchomiła instalację sanitarną i spowodowała kilkudniowy pobyt statku w Cozumel. Wtedy jednak na pokładzie nie było pasażerów. Na czas naprawy przeniesiono ich na ląd. Althei przeszło przez myśl, żeby jednak powiedzieć Marii, że nie może pracować. Ale jeśli okaże się godna zaufania, jej szanse na awans wzrosną. *Jesteś najlepsza z całego mojego zespołu.*

– Mario... czy wiesz, kiedy przybędzie pomoc?

– Nie. Nie mam takich informacji.

Althea była pewna, że Maria wie więcej, niż mówi. Paulo, jeden ze stewardów obsługujących załogę, mówił jej, że więcej niż raz widział, jak wślizguje się do kajuty drugiego oficera.

– Pasażerowie będą się dopytywać.

– Powiedz im, że jak tylko będziemy coś wiedzieć, zostanie wydany komunikat.

Althea wątpiła, że to wystarczy. Było niemal południe, cztery godziny po planowanym zawinięciu do portu w Miami.

– Czy powinnam najpierw porozmawiać z ochroną? – Althea nie była pewna, która perspektywa jest bardziej zniechęcająca: przesłuchanie przez hinduską mafię czy gniew pasażerów dowiadujących się, że muszą załatwiać potrzeby do plastikowych worków.

– Nie. Zanim pójdziesz porozmawiać z ochroną, upewnij się, że twoim pasażerom zapewniono wszelkie wygody. Powiem im, że przyjdiesz po skończeniu zmiany.

– Dziękuję, Mario. Czy mogę najpierw pójść do mesy i coś zjeść? – Althea nie była głodna; ukłucie, które poczuła w brzuchu, nie było spowodowane brakiem jedzenia, ale chciała pozbierać myśli, zanim stanie twarzą w twarz z czekającym ją dniem.

– Tak. Ale spiesz się. I, Altheo...

– Tak?

– Gdyby... gdyby sytuacja się pogorszyła, mogę na ciebie liczyć, prawda?

Kim była ta nowa Maria? Althea z trudem mogła wyobrazić sobie sytuację jeszcze gorszą niż obecna. Foveros na pewno niedługo zacznie działać i wyśle załogę zastępczą.

– Oczywiście.

Wyszła z biura działu gospodarczego i niemal wpadła na dwóch członków załogi dźwigających z magazynu paczki z czerwonymi plastikowymi workami na nieczystości. Mirasol pomagała je rozpakowywać. Wzdrygnęła się na widok Althei.

– Przepraszam, Altheo – powiedziała w pośpiechu. – Próbowałam cię dziś rano budzić, ale nie chciałaś ruszyć się z łóżka.

– Wiem. Nie gniewam się.

Przyjęła westchnienie ulgi Mirasol z rozbawieniem.

– Altheo... czy to prawda, że pasażerka z rejonu Trining nie żyje?

– Kto ci o tym powiedział?

– Angelo.

Oczywiście. Angelo, jeden z pomocników kelnera i stary kumpel Joshuy od hazardu, potrafił natychmiast wyniuchać plotki jak szczur gnijące mięso.

– Nie słuchaj niczego, co gada Angelo. I trzymaj się od niego z daleka, Mirasol.

– Dlaczego?

Żebyś nie skończyła jak ja.

– Lubi wykorzystywać innych. – Dziewczyna była zbyt naiwna, a na statku pracowała zaledwie miesiąc.

Althea miała zamiar wziąć ją pod swoje skrzydła, ale na razie nie znalazła czasu. Pamiętała, jak sama czuła się całkowicie zdezorientowana, rozpoczynając pracę na statkach, w pewnym sensie właśnie przez to zaakceptowała zaloty Joshuy. Przyciągnęła ją jego pewność siebie. Głupota. Nie. Musi mieć oko na Mirasol, szczególnie biorąc pod uwagę wszystko, co się teraz dzieje.

Poza tym nigdy nie zaszkodzi mieć kogoś, kto jest ci winien przysługę.

– Usłyszał o tym od Paula, Altheo. Jeden z ochroniarzy pytał o zawieszkę „Nie przeszkadzać” na drzwiach pasażerki. Byli źli na Paula, bo powiedział, że położył ją razem z innymi z rejonu Trining. Właściwie dlaczego?

Bo myślą, że ten, kto zabił dziewczynę, musiał dotykać zawieszki.

– Na pewno mają swoje powody.

– Angelo powiedział, że Paulo może mieć kłopoty, bo nie sprawdził dobrze pokoi, zanim...

– Angelo nie powinien tyle gadać.

– Czy Maria dała ci naganę za spóźnienie, Altheo?

– Nie. Wszystko jest w porządku.

– Maria mówi, że muszę zająć się rejonem Trining po zakończeniu swojego obchodu. Nie lubię tam chodzić. Pasażerka, która zmarła... Czy to prawda, że ją zamordowano?

Pierdzielony Angelo.

– Nie wiemy, jak umarła.

– Altheo... a jeśli jej duch jest tam uwięziony? I jeszcze Angelo mówił, że jeden z mechaników widział Białą Damę, kiedy był...

– Gadasz jak wariatka. – Tylko kto tak naprawdę zwariował? To w końcu Althea widziała nieistniejących chłopców albo duchy nieistniejących chłopców.

Żadne dziecko nigdy nie zmarło na żadnym ze statków wycieczkowych, na których pracowała – to zdarzało się tylko osobom starszym i samobójcom. Na jej pierwszym statku wyskoczył za burtę pomocnik kelnera po kłótni z innym członkiem załogi, ponieważ jednak Foveros pływało na krótszych trasach, zejścia śmiertelne przydarzały się bardzo rzadko. Pomyślała, że przesady mimo to mają się dobrze, a legenda o Białej Damie jest najpopularniejszą opowieścią o duchach krążącą wśród załogi. Dama, mściwy duch zmarłej pasażerki, z niezrozumiałego powodu ubrany w suknię z epoki wiktoriańskiej, pomimo że większość statków Foverosa wybudowano w latach osiemdziesiątych, nawiedzała wszystkie statki, na których pracowała. Bardzo pracowity duch, ta cała Dama. Althea miała dość tej rozmowy.

– Wiesz, co robić z workami, Mirasol?

Dziewczyna skinęła głową.

– I postaraj się być uprzejma dla pasażerów. Niektórzy będą się na ciebie złościć.

– Wiem. Maria mi mówiła. Ale większość wyprowadziła się z niższych pokładów.

– Dokąd?

– Na zewnątrz. – Mirasol mocno zmarszczyła nos. – Mówią, że tam śmierdzi. Fe. Nie mają pojęcia, jak jest tutaj.

– Muszę się pośpieszyć. Jak skończę, pomogę ci w rewirze Trining. – Przy okazji będzie mogła ponownie sprawdzić Pokład Piąty, gdzie widziała chłopca.

– Dzięki, Altheo.

W mesie panowała atmosfera wyciszenia, a kilka osób drzemało z głowami na rękach. Przesunęła tacę po półce, mijając talerze z chlebem, plastrami sera i oliwkami. Nie było ciepłego jedzenia. Do miski nasypała wczorajszego ryżu,

zimnego i kleistego, nałożyła trochę posiekanych pomidorów i płat suszonej ryby. Przy koszu na odpadki Angelo plotkował z Pepe, pracującym jako pomoc kuchenna. Próbował nawiązać z nią kontakt wzrokowy, ale udała, że go nie widzi. Nie była w nastroju, żeby go dzisiaj wysłuchiwać. Tymczasem udała się w stronę stolika w rogu, przy którym siedział samotny Rogelio – miał prawo korzystać z kantyny oficerskiej, tym bardziej lubiła go za to, że mimo to jadał z krajanami.

Przywitała się z nim, ale on ledwo ją zauważył.

– Wszystko w porządku, Rogelio?

Wzruszył ramionami i nie chciał jej spojrzeć w oczy. A to do niego niepodobne. Zwykle był pełen energii, uśmiechnięty i w dobrym nastroju, nawet kiedy nie pełnił służby i mógł pozwolić sobie na pokazanie prawdziwej twarzy. Często urządzał w swojej kajucie trwające do wczesnych godzin rannych imprezy karaoke dla załogi, a Althea właściwie nigdy nie słyszała, żeby ktoś na niego narzekał.

– Wiecie coś więcej na temat tej sytuacji? – spytała. W końcu był prawą ręką Damiena.

– Pracują nad rozwiązaniem problemu.

– Daj spokój, Rogelio. Wiesz dużo więcej.

Pokręcił głową.

– Powinniśmy być w Miami wiele godzin temu. – Kiedy ostatnim razem pracowała na statku, który miał problemy, obsługa naziemna przybyła z pomocą w ciągu kilku godzin.

– Nic nie wiem.

– Co mówi Damien?

Na twarzy Rogelia pojawił się grymas.

– Większość czasu spędza na mostku z kapitanem.

Niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozległ się komunikat od samego Damiena. Krzątanina i pomruki w mesie umilkły pod wpływem złych wiadomości. Ale to Althea i reszta pracowników obsługi mieli iść na pierwszy ogień.

Rogelio odepchnął od siebie talerz.

– Muszę iść. Organizujemy dodatkowe rozrywki dla pasażerów.

Althea odruchowo przekreśliła swój talerz, kiedy odchodził od stołu. Głupota. Jest już przecież zamężna – nie musi odstraszać widma staropanieństwa za pomocą zabobonów. Ryż w jej żołądku skleił się twardą kulę.

Kiedy tylko Rogelio wyszedł z mesy, pojawił się koło niej Angelo.

– Co ci powiedział przystojniaczek, Altheo? Ze mną nie chce gadać.

– Nic.

– Oj, przestań. – Nieproszony usiadł naprzeciwko niej i nachylił się nad stołem. – Pepe mówi, że pracownikom kuchni kazano dziś bardzo oszczędnie gospodarować zapasami.

Althea sarknęła z ironią.

– Co może wiedzieć Pepe? Nie pracuje w głównej kuchni.

– Mówi, że to na wypadek gdybyśmy tu utknęli na dłuższy czas i trzeba było wysłać po nas holowniki. Pepe twierdzi, że przygotowują się na dwa dni bez zawijania do portu.

– Nie dojdzie do czegoś takiego.

– Tego nie możesz być pewna. Mamy szczęście, że są zapasy na następny rejs.

– Mirasol mówi, że znowu rozsiewasz plotki.

– A co mi pozostało?

– Nie musi wysłuchiwać twoich opowieści o duchach.

– Wielkie mi coś – zaszydził Angelo. – Może Rogelio dowie się czegoś więcej od swojego chłopaka.

– Damien nie jest jego chłopakiem.

Angelo wydał usta i przechylił głowę.

– Nie musisz w to wierzyć, jeśli ci z tym dobrze. Ktoś nim jest.

– Nie mam na to czasu, Angelo. – Wstała, wyrzuciła resztki swojego posiłku do kosza na odpadki i ruszyła w stronę strefy służbowej. Bez dostępu do windy będzie musiała dźwigać worki po schodach. Wzięła ich całkiem sporo i z trudem ruszyła w kierunku swojego rejonu.

Postanowiła rozpocząć od pana Linemana, z którym pójdzie najtrudniej. Wstrzymując oddech, zapukała do jego drzwi. Bez odpowiedzi – dziś rano anioły były po jej stronie. Zablockowała drzwi i rzuciła worki na kanapę. Tym razem apartament o dziwo nie przypominał chlewu; pasażerowie spakowali swoje rzeczy. Ich bagaże stały w rzędzie obok szafy. Wygładziła łóżko, usunęła z niego siwy włos – nie widziała potrzeby wymiany pościeli – a następnie przetarła szmatką telewizor.

Usłyszała ich, zanim zobaczyła: trzaśnięcie drzwiami do łazienki, następnie chlup wymiotów i jęki. Żona pana Linemana, o twarzy przypominającej pieróg

i ruchliwych oczkach, ledwo spojrzała w kierunku Althei.

– Jonny? – powiedziała w stronę drzwi do łazienki. – Jonny, wszystko w porządku?

Althea poczuła dreszcze. Miała nadzieję, że nie krąży tu żaden wirus. Może Trining jednak mówiła prawdę i rzeczywiście jest chora.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zapytała panią Lineman.

– Staliśmy w kolejce, kiedy źle się poczuł. To na pewno nie wina jedzenia, nawet nie doszliśmy do bufetu. – W łazience rozległ się odgłos spuszczonej wody. Kobieta spojrzała na worki. – Co tam masz?

No to jazda... Althea uśmiechnęła się w możliwie najbardziej niewinny sposób i wytłumaczyła, do czego mają służyć. Pani Lineman wpatrywała się w nią z nieukrywanym przerażeniem, a Althea żwawo otworzyła jeden z woreczków i włożyła go do metalowego pojemnika na śmieci.

– Nie będę... robić... no, sama wiesz czego do worka. Nie jestem jakimś prymitywem.

– To tylko na wszelki wypadek, pani Lineman. Macie państwo szczęście, urządzenia sanitarne na tym piętrze cały czas działają.

– Nic dziwnego. To przecież pokoje dla VIP-ów. Podwyższyli nam standard, bo się okazało, że nasz pokój jest mniejszy niż w reklamie.

– Pani Lineman, jak już wspomniałam, w tym momencie na państwa pokładzie nie ma awarii...

– Wszyscy dostaniecie za swoje.

Althea uśmiechnęła się najpiękniej, jak potrafi.

– Mogę jeszcze w czymś pomóc?

– Przynieś tylko więcej wody i ręczniki.

– Dobrze, proszę pani.

Pani Lineman prychnęła z dezaprobatą.

Althea ominęła ją w pośpiechu i prawie zdążyła wyjść, kiedy tamta wezwała ją ponownie.

Niech ją cholera.

Althea zawróciła, szykując się na stek wyzwisk, ale pani Lineman wyglądała na skruszoną.

– Nie zwracaj na mnie uwagi. Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałam. Jestem roztrzęsiona, nic więcej.

Przez małą chwilę Althea obawiała się, że kobieta się rozplacze. Nie była

w nastroju na udawanie współczucia.

– Proszę się o nic nie martwić, pani Lineman. Będzie dobrze, zobaczy pani. – Odgłos ponownie spuszczonej wody w łazience sprawił, że obie podskoczyły. – Proszę dać mi znać, jeśli będę mogła coś jeszcze zrobić.

Pani Lineman potaknęła w roztargnieniu, a Althea wymknęła się z pokoju.

Jej dwie ulubione seniorki, Helen i Elise, były nieobecne i z zadowoleniem stwierdziła, że ich łóżka są jak zawsze zasłane. Zostawiła czerwone worki w ich pokoju wraz z dodatkową butelką wody. Nie miała zamiaru brać za nią pieniędzy. Jej krótkofalówka zabrzęczała i kusilo ją, żeby to zignorować – to mogła być tylko Maria, sprawdzająca, czy Althea pracuje. Kliknęła przycisk odbioru, spodziewając się zwyczajowych trzasków i zakłóceń, ale głos Marii był głośny i wyraźny.

– Altheo, zgłoś się, Altheo.

– Jestem, Mario.

– Przyjdź natychmiast do mojego biura, bez odbioru. – W jej głosie dało się słyszeć lekkie drżenie. Althea próbowała odpowiedzieć, ale w słuchawce znowu zapanowała głucha cisza. Teraz będzie musiała zejść na sam dół, żeby dowiedzieć się, czego chce ta głupia *puta*.

Zapakowała brudne ręczniki i zaciągnęła je na służbowe schody, przeklinając niedziałające windy. Pod koniec dnia mięśnie jej ramion będą płonąć z bólu. Zbliżając się do wnęki u podnóża schodów, popularnego miejsca spotkań, usłyszała podniesione głosy. Paulo i kilku innych stewardów stali w zbitej grupce na korytarzu.

– Co się dzieje? – zapytała Althea.

– Chodzi o Mirasol – odpowiedział Paulo. – Została zaatakowana przez pasażera.

– Co? Kiedy?

– Przed chwilą. To ja...

– Gdzie ona jest?

– Maria zabrała ją do biura.

Althea ruszyła w pośpiechu I-95 i bez pukania wpadła do biura Marii. Mirasol siedziała naprzeciw biurka przełożonej z odchyłoną głową, przyciskając do nosa kulkę z chusteczek. Maria stała nad nią, a Altheę w innych okolicznościach ucieszyłoby zakłopotanie malujące się na zwykle zadowolonej z siebie twarzy szefowej.

– To prawda? – zapytała Althea. – Zaatakował ją pasażer?

Maria podniosła wzrok.

– Tak. To prawda.

– Dlaczego nie jest w izbie chorych?

– Nikogo tam nie ma. Zajmują się tym pasażerem.

– Co się stało?

– Rzucił się na nią, kiedy weszła do jego pokoju, żeby posprzątać.

– Zachowywał się jak wariat – powiedziała Mirasol. Mówiła stłumionym głosem. Wzięła głęboki oddech i odsunęła rękę od twarzy. – Bardzo źle to wygląda, Altheo?

Althea nie dostrzegła innych obrażeń poza zakrwawionym nosem.

– Nie. Przeżyjesz.

– Możesz jej popilnować, Altheo? – zapytała Maria. – Ochrona już się tym zajęła, ale muszę poinformować kierownika działu hotelowego, kapitana personelu i obsługę klienta.

– Oczywiście.

Althea zauważyła, że Marii trzęsą się ręce. Przeżywała poważny kryzys. To pożyteczna informacja. Maria obdarzyła ją rzadko widywanym uśmiechem i z wyraźną ulgą, tupiąc, wyszła z biura.

Althea przykucnęła obok Mirasol. Dziewczyna miała przekrwione oczy.

– Gdzie to się stało? W rejonie Trining?

– Nie. To był mój rewir. – Mirasol znów pociągnęła nosem, a Althea podniosła z biurka Marii pudełko z chusteczkami. Zawsze było pełne. W tym pokoju często płakano.

– Zanim... czułam, że coś jest nie tak, zanim jeszcze otworzyłam drzwi. Cały czas wydawało mi się, że ktoś mnie obserwuje.

– Znam to uczucie, Mirasol. To przez kamery monitoringu. Zwykle mija trochę czasu, zanim się do nich przyzwyczaisz.

– Nie. Nie to miałam na myśli. Musiałam sprawdzać, czy nikt się za mną nie skrada. Wszystkie moje pokoje były puste, brakowało też niektórych materaców. Ludzie wyprowadzili się z powodu smrodu. Byłaś tam na dole, Altheo? Jest coraz gorzej. Niektóre dywany są zalane, rury się zapchały i z toalet się wylewa. Muszą tam szybko wysłać ludzi z obsługi technicznej.

– A mężczyzna, który cię zaatakował? – Althea starała się nie okazywać niecierpliwości.

– Zapukałam do jego kajuty. Nikt nie odpowiedział, więc weszłam do

środka... Nie widziałam jego twarzy, ale wrzeszczał i płakał. Uderzył mnie, ale myślę, że to przez przypadek, chyba mnie nawet nie zauważył, a potem uciekłam. Był przestraszony, Altheo. Coś go porządnie wystraszyło. – Przerwała i wytarła oczy.

Naprawdę jest bardzo ładna. Althea musi być niezwykle czujna, jeśli chce, żeby Angelo jej nie zepsuł.

– Mów dalej.

– Chyba wiem, co to było. Zobaczyłam coś, kiedy uciekałam. – Mirasol się przeżegnała.

– Co widziałaś? – Althea poczuła kolejne ukłucie w brzuchu. – Chłopca?

– Chłopca? – Mirasol pokręciła głową. – Nie. Zobaczyłam ją, Altheo. Białą Damę.

– Nie mogłaś jej zobaczyć, Mirasol.

– Widziałam, Altheo. Uśmiechnęła się do mnie. Była...

– Nie ma żadnej Białej Damy, Mirasol – przerwała jej Althea, a jej głos zabrzmiał ostrzej, niż tego chciała. Mirasol spuściła wzrok na swoje dłonie. –

Przepraszam. Ale to tylko twoja wyobraźnia. Angelo wsadził ci ten pomysł do głowy, przestraszyłaś się i wydawało ci się, że ją widzisz.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę. Biała Dama nie istnieje, Mirasol.

Nie istnieją też *duwendes*, złe duchy, ani wiedźmy. I nie istnieją urojeni chłopcy.

Siostry samobójczynie

Komunikaty Damiena, opiekuna rejsu, pojawiały się coraz częściej, jeden bardziej głupkowaty od drugiego: „Pod prysznicem na cienko załatwisz się, kolego, na grubo zrób to do worka czerwonego”. Helen podejrzewała, że z jakiegoś znanego tylko jemu samemu spaczono powodu ta cała sytuacja go bawi. I nie umknęło jej uwadze, że brakuje prawdziwych informacji – jak na razie nie było żadnego komunikatu od kapitana ani wytłumaczenia, dlaczego Foveros nie wysłał jeszcze statków ratunkowych ani holowników, dzięki którym dopłynęliby do brzegu. Rzuciła wzrokiem na stertę czerwonych plastikowych worków, które ktoś zostawił, kiedy jej i Elise nie było. Na szczęście ich ubicacja wciąż działała, ale po ostatnim użyciu spłuczka wydała z siebie niepokojący zgrzyt.

– Helen?! – zawołała ją z łóżka Elise. – Przyniesiesz mi wody?

– Oczywiście. Jak się czujesz?

Elise uśmiechnęła się do niej dzielnie.

– Lepiej, dziękuję. Upał musiał mi się dać we znaki.

Były na Pokładzie Lido, stały w kolejce po śniadanie, kiedy Elise powiedziała, że słabo się czuje. Helen pomogła jej wrócić do apartamentu i namówiła, żeby na chwilę się położyła. Nie wyglądała dobrze. Miała poczerwieniałą twarz i ledwie otwierała oczy.

– Jesteś pewna?

– Aha. Chyba jeszcze się parę minut zdrzemnę. Okej?

– Oczywiście. – Helen nalała jej do szklanki letniej wody – lodówka w ich barku przestała działać – i postawiła ją przy łóżku. Nie mogąc się uspokoić, posprzątała pokój, a potem wzięła laptopa i czytnik e-booków Kobo i wyszła na balkon. Było tu parę stopni chłodniej niż w środku. Po powrocie z głównego pokładu poczuły uderzenie gorąca.

I tak należały do szczęśliwców, ich apartament z balkonem (choć widok częściowo przesłaniała łódź ratunkowa) zapewniał im przynajmniej minimum świeżego powietrza. Statek wciąż miał przechył i nic nie wskazywało na to, że płyną. Ocean był całkowicie nieruchomy, a wodę pokrywała mazista powłoka, która przypominała jej wieczko wyrzuconego kubka po herbacie.

Usiadła i odpaliła laptopa. Jej list pożegnalny cały czas widniał na ekranie, czekał, aż zostanie skopiowany i wklejony do treści e-maila. Napisanie tych trzech linijek zajęło jej kilka tygodni, a zamierzała go wysłać do swoich znajomych i bratanków Grahama, którzy na Facebooku przekazywali jej najnowsze wieści o swoim życiu. Zawsze mogła po prostu zmienić status na „martwa”.

Mało śmieszne.

Postanowiłam, że nie chcę dłużej żyć. Jestem w pełni władz umysłowych. Proszę, nie czujcie się winni z powodu mojej decyzji, nie podjęłam jej lekkomyślnie.

Kłamstwo, rzecz jasna. Nie należała do osób robiących cokolwiek lekkomyślnie, ale akurat ta decyzja była... Szukała słów, by to opisać – wręcz nonszalancka.

Uświadomiła to sobie przypadkiem w wyjątkowo jak na tę porę roku duszny czerwcowy dzień. Uprawiała ogródek, jak zawsze tocząc wewnętrzną rozmowę z Grahamem. Przycięła łądyżkę i nagle pomyślała: po co? Kogo obchodzi, czy żywopłot jest przycięty? Przed oczami zobaczyła pozostałą część dnia, zaplanowaną z wojskową precyzją, niepozostawiającą zbyt wiele czasu na myślenie. Ogródek od dziesiątej do dwunastej, później dłuższa wycieczka do Waitrose, spotkanie z miejscowym stowarzyszeniem Ratujmy Borsuka, w którym pełni funkcję sekretarza, potem od piętnastej do siedemnastej lektura, parę godzin telewizji, samotne przygotowanie obiadu dla jednej osoby, pigułka na sen, a jutro znowu to samo od nowa. Była zmęczona życiem z godziny na godzinę, byle wypełnić pustkę. Miała znajomych, oczywiście, ale ze wszystkich sił starała się nie być dla nich ciężarem, a oni byli zajęci swoim życiem i wnukami. Wypełniona szczególnym poczuciem uniesienia, otrzepała z rąk ziemię, w pośpiechu wróciła do domu i włączyła laptopa. Zaszokowała ją ilość informacji dla potencjalnych samobójców. Rzecz jasna istniały organizacje takie jak Exit International i Dignitas, mnóstwo poradni i setki stron internetowych wymieniających dziesięć najbardziej niezawodnych sposobów na zakończenie żywota. Nie kładła się przez dwadzieścia godzin, gdy w końcu trafiła na stronę razemlepiej.com, forum dla „tych, którzy nie chcą umierać sami”. Jej uwagę przyciągnął wpis „Świeżo Owdowiałej”, słodko-gorzka opowieść o tym, jak autorka próbuje wypełniać swoje dni: odkrywanie oryginalnych sposobów przedłużenia wyjazdów po sprawunki, praca na ochotnika we wszystkich miejscowych organizacjach charytatywnych, jakie udało jej się odnaleźć, zapisywanie się na korespondencyjne kursy nauki hiszpańskiego lub francuskiego. Bratnia dusza. Wiele godzin zajęło Helen sformułowanie odpowiedzi i co trzydzieści sekund odświeżała stronę w oczekiwaniu na

wiadomość. Przyszła po dziesięciu minutach: „Jak cudownie poznać inną łabędzicę!”. Tak właśnie Elise nazywała je dwie: łabędzice. Na zawsze zamknięte w czyścicu żałoby po swoich drugich połówkach.

Przez wiele tygodni codziennie rozmawiały przez Internet – poruszając każdy temat, od najmniejszych szczegółów życia codziennego, po długie, szczerze analizy przyczyn, dla których obie trafiły na tę stronę. Co ciekawe, choć teraz miały siebie nawzajem w postaci fizycznej, brakowało jej e-maili od Elise, a Elise również przyznała, że tęskni za wiadomościami od niej. Intymny charakter pisemnych wypowiedzi w pewien sposób zniknął z ich relacji osobistych, choć nie miały powodów do narzekań. Dziwne, jak bardzo nerwowa była przed pierwszym spotkaniem z Elise. Zaplanowały, że przed rejsem spędzą wspólnie kilka dni w skromnym hotelu w South Beach, a czekając przy barze na przyjazd Elise, Helen czuła podobne łaskotanie w brzuchu, jak przed schadzka z kochankiem. Czym zresztą w pewnym sensie ich spotkanie było. Czy może być coś bardziej intymnego niż wspólna śmierć? Przyzwyczyła się do ich codziennych rozmów i obawiała się, że po spotkaniu twarzą w twarz wszystko się zmieni. W końcu na papierze nie mogły się od siebie bardziej różnić: Elise, gospodyni domowa z Pensylwanii, i Helen, emerytowana prawniczka specjalizująca się w przepisach podatkowych. Helen, Brytyjka, odcytana i powściągliwa (wiedziała, że w kancelarii dorobiła się przezwiska „Królowa Śniegu”). Elise: otwarta, ciepła i niewstydzająca się swojego uzależnienia od pism dla pań i oper mydlanych. Helen, ateistka przez całe życie. Elise, regularnie uczęszczająca do kościoła. Żadna nie miała dzieci, jednak Helen, w odróżnieniu od Elise, ubolewającej nad tym brakiem w swoim życiu, nigdy nie widziała sensu w przekazywaniu swoich genów następnym pokoleniom. Naprawdę to, że w ogóle miały o czym rozmawiać, było cudem. Jednak kiedy tylko się spotkały, pojawiła się między nimi ta sama przyjacielska atmosfera, jaką stworzyły w Internecie – dowód na to, że przeciwieństwa mogą się nawzajem znosić.

Pozwoliła, by kursor zawisł nad ikonką „usuń”.

Wczoraj – jedenaście godzin temu – miała już nie żyć. Rozprostowała palce. Żyła teraz oficjalnie na kredyt.

Chcę umrzeć po zjedzeniu zatrutego winogrona, trzymając za rękę przystojnego lekarza.

Skąd Celine mogła wiedzieć, że Helen wcześniej tego samego wieczoru myślała o tym cytacie? Nie wzięła ze sobą egzemplarza *Tramwaju zwanego pożądaniem*, a czytnik e-booków zawsze nosiła przy sobie w torebce. Ta noc w ogóle była zatrważająca. Muzyka, którą słyszały w łazience, cienie, które widziała na szybie balkonowych drzwi. Wszystko to można wytłumaczyć, ale strach, który w niej był – prymitywne, potężne przecucie, że musi uciekać –

jeszcze teraz sprawiał, że czuła się nieswojo. Zamknęła komputer, powachlowała się i spróbowała ponownie dać się pochłonać *Perswazjom*. To mogła być jej ostatnia szansa na lekturę, ale nagle poczuła żal, że w jej czytniku jest tyle książek, których nigdy nie przeczyta. Przez kilka minut usuwała bardziej wstydlive pozycje – wśród jej Grahamów Greene’ów, José Saramagów i Davidów Mitchellów ukryła się kwitnąca kolonia romansideł. Nie mogąc się uspokoić, wróciła do środka.

Elise wymamrotała coś przez sen, zadrzała, a potem otworzyła oczy. Rozejrzała się dokoła zamglonym wzrokiem, jakby próbowała sobie przypomnieć, gdzie się znajduje.

– Jak się czujesz? – Helen uśmiechnęła się do niej.

– Helen... Przyśnił mi się. Rozmawiał ze mną.

– Peter?

Elise skinęła i nabrała powietrza.

– To było takie rzeczywiste, Helen.

– Wiem. – Ale Helen nie wiedziała. Graham jej się nie śnił, ale czasem, tylko czasem, miała wrażenie, że o poranku czuje na poduszce jego zapach.

– Powiedział, że mam przestać czuć się winna.

– Winna? Z jakiego powodu?

– Że wyszłam, kiedy umarł. Nie było mnie.

Jeszcze jedna rzecz, która je łączyła – Helen też nie było przy Grahamie, gdy ten wydawał ostatnie tchnienie.

– To nie twoja wina.

– Wiem, kochana. Helen... wciąż jeszcze chcesz to zrobić?

Czy chce? Po raz kolejny spojrzała w głąb siebie. Alternatywą był powrót do domu. Odłączyła ogrzewanie, opróżniła lodówkę i zamrażarkę. Wyobraziła sobie, jak jedzie taksówką z Heathrow, staje w drzwiach w dżdżysty wieczór, kładzie klucze na stole w holu, gdzie Graham ukrywał zapas papierosów, przechodzi przez zimną kuchnię pozbawioną jakichkolwiek charakterystycznych elementów. Śladów jego bytności.

– Tak, wciąż chcę to zrobić. A ty?

– Tak, kochana. Chcę.

Sytuacja Elise była pod wieloma względami znacznie gorsza od jej własnej – rachunki za opiekę medyczną Petera doprowadziły ją do bankructwa. Helen z chęcią pomogłaby jej, gdyby tylko poprosiła, ale ta nigdy tego nie zrobiła. Ale właściwie dlaczego miałyby prosić? Elise nie musiała się martwić, że popadnie

w dalsze długi. Realizując swój plan, były bardzo stanowcze. Helen, bez dzieci i żyjących bliskich krewnych, zastanawiała się nad przekazaniem swoich dość pokaźnych oszczędności na rzecz jakiejś uczciwej organizacji charytatywnej – może schroniska dla kotów – ale czy w dzisiejszych czasach jeszcze coś takiego istnieje? W takich chwilach wyraźnie słyszała głos Grahama – jakby stał tuż obok i mówił do niej. *Nie bądź cholerną idiotką, dziewczyno.*

– Znowu zasypiam, Helen – powiedziała Elise, a jej powieki zdążyły już opaść.

Helen trzymała Elise za rękę, aż jej oddech się wyrównał. Miłość. To właśnie czuła do Elise. I wiedziała, że to uczucie jest odwzajemnione. W pewnym momencie rozmawiały o zamieszkaniu razem, przeżyciu ostatnich dni we własnym mieszkaniu na Florydzie albo w domku letniskowym w St Ives. Ale to oznaczałoby jedynie odkładanie tego, co nieodwracalne. Lepiej zrobić to teraz, kiedy obie są na chodzie i w pełni władz umysłowych.

Wstała i zaczęła się przechadzać. Poczowała lekkie ukąszenie klaustrofobii. Nie była przyzwyczajona do takiego braku aktywności. Perspektywa samotnej włóczędzy po statku jej nie pociągała, ale krótki spacer nie zaszkodzi. Nagryzmoła notatkę dla Elise, która właśnie cicho pochrapywała, i ostrożnie wyszła na zewnątrz. Przyzwyczajała się powoli do specyficznego sposobu poruszania po przechylonym statku. Weszła na balkon i spojrzała w dół na atrium. Stanowisko obsługi klienta było już zamknięte i kilkunastu pasażerów błąkało się bez celu po okolicy. Baloniki bez uwięzi. Zeszła do głównych schodów i dalej, mijając biura IT i ciemne sklepy, których drzwi były zamknięte. Nie znalazła w nich nic, co chciałaby mieć, mimo ochów i achów Elise nad jakimiś błyskotkami i jej uwag, że tam, dokąd zmierza, nie będzie potrzebowała kolczyków z koralami.

Skreśliła w przypadkowy korytarz i zabłądziła do biblioteki, urządzonej w stylu mającym przypominać wiktoriański salon. Nie była ona pozbawiona swego uroku. Słumione oświetlenie pasowało do ciemnych – w sposób oczywisty podrabianych – antycznych mebli, a z jakiegoś powodu było tu chłodniej. Przejrzała książki zamknięte za drzwiczkami szklanych gablot, w większości wysłużone egzemplarze tanich wydań Jeffreya Archera i Jodi Picoult. Już miała usiąść na jednym ze skórzanych foteli, kiedy zdała sobie sprawę, że nie jest sama. Wokół stołu we wnęce stłoczyła się grupka trzymających się za ręce osób z zamkniętymi oczami. Jakiś krąg modlitewny. Czując się niezręcznie niczym intruz, Helen wzięła ze sobą egzemplarz *Pięciu osób, które spotkamy w niebie*, który leżał porzucony na jednym ze stolików, i wyszła z biblioteki.

Przeszła obok nieczynnego kasyna i baru z zamkniętymi okiennicami,

skinieniem głowy pozdrawiając Jaco, który przygotowywał się do występu na małej scenie zmontowanej obok baru przy kasynie. Znów poczuła dla niego odrobinę współczucia. Nie miał publiczności, zaledwie kilkoro członków załogi polerujących elementy wyposażenia. Szła dalej, mijając restaurację Senny Krajobraz obklejoną plakatami z napisem „Zamknięte” i wśliznęła się do boksu przed sklepem wolnoctwowym, obok wielkiego panoramicznego okna z widokiem na leniwy ocean. Dobrze ubrana para mniej więcej w jej wieku przechodziła obok wolnym krokiem. Helen poczuła, że ją obserwują, i udawała zagłębioną w lekturze.

– Dzień dobry – powiedziała kobieta.

– Witam. – Helen siłą woli próbowała zmusić ich do przejścia dalej.

– Mam nadzieję, że się pani nie pogniewa, ale wygląda pani na nieco zagubioną. Widziałam panią w restauracji Senny Krajobraz, pani również jest w późniejszej grupie posiłkowej, prawda?

Jasnoblękitne oczy kobiety na tle jej opalonej skóry wyglądały niemal na radioaktywne.

Helen przytaknęła i wbiła wzrok w kartki powieści, z nadzieją, że kobieta zrozumie aluzję.

Nie zrozumiała.

– Nie powinna pani być sama.

– Nic mi nie jest. Czytam.

– O! Pani jest Angielką!

– Tak. – *Idźcie sobie.*

Kobieta wcisnęła się do boksu koło niej, a jej towarzysz, jegomość o obwisłych powiekach, najprawdopodobniej mąż, usiadł naprzeciwko. Kobieta wyjęła telefon i zaczęła przeglądać zdjęcia.

– Byłam rok temu w Londynie. Kocham to miejsce. Chwileczkę. Proszę spojrzeć! – Kobieta podstawiała telefon tuż pod twarz Helen, a ta spojrzała na zdjęcie jej męża pozującego bez uśmiechu z księżną Dianą. – Przypomnij mi, jak się nazywa to miejsce, Jimmy?

– Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud.

– O tak, właśnie. Madame Tussaud. Jestem Annabeth, a to mój mąż Jimmy, tak w ogóle.

– Helen.

– Helen! Piękne imię. Miałam kiedyś ciotkę o imieniu Helen. Pamiętasz ją, Jimmy? – Potaknięcie. – Podróżujesz samotnie, Helen?

– Nie. Jest ze mną przyjaciółka. Ucina sobie teraz małą drzemkę w kajucie.

– Aha, zgadza się. Przypominam sobie, że widziałam cię z inną panią w restauracji, jak teraz o tym pomyślę. Nie dziwię się jej. Jest strasznie gorąco, prawda? Z Jimmym mieszkamy na Florydzie, więc nie musimy się martwić, że nie zdążymy na samolot do domu, ale tak wiele osób płynie na zupełnie innych falach. Och, Jimmy, słyszałeś, co właśnie powiedziałam?

Mężczyzna uśmiechnął się do niej, a jego grymas zdradzał długie lata cierpienia.

– Nie powinna pani być tu sama, Helen. Ludzie robią się nerwowi. No i jeszcze do tego te niedziałające łożenki. Może pójdiesz z nami? Jest nas spora grupa, pomagamy sobie nawzajem. W większości jesteśmy seniorami, choć teraz jest też paru młodszych.

Podszedł do nich kelner i milcząc, wręczył wszystkim po butelce wody. Annabeth chwyciła go za ramię. Żyły pod jej opaloną skórą przypominały dżdżownice.

– Dziękuję. Jak się pan czuje? Jak się miewa cała załoga?

– Wszyscy czujemy się dobrze, dziękuję pani.

– Jesteśmy wdzięczni za to, co dla nas robicie. Czy są jakieś nowe wieści?

– Nie. Proszę mi wybaczyć, proszę pani.

Rozluźniła uścisk i poklepała go po przedramieniu.

– Damien na pewno nas poinformuje, jak naprawią statek.

Kelner skinął głową i się oddalił.

– Helen. Weźmiemy panią pod swoje skrzydła. Proszę z nami pójść i poznać resztę gangu.

– Nie. Nic mi nie jest. Ale dziękuję.

– Nie zaakceptuję odmowy. Znam was, Anglików, jesteście tacy uprzejmi. Chodźmy, pozna pani wszystkich. Jesteśmy przyjaźnie nastawieni. Być może pozna pani również Celine.

– Celine del Ray?

– Tak! Pani ją zna?

– Poznałam wczoraj w nocy.

– W waszym punkcie ewakuacyjnym? – zapytał Jimmy, który wyglądał na zaskoczonego, że udało mu się wtrącić słowo.

– Och, ależ to cudowne – zaśmiała się Annabeth. – To dlatego jesteśmy z Jimmym na rejsie. Nasza przyjaciółka Leila zarezerwowała dla nas miejsca,

jak tylko dowiedziała się z Facebooka, że Celine udaje się na wycieczkę z Foverosem. Celine tak bardzo nam pomogła, prawda, Jimmy?

Pokiwał głową.

– Widzi pani, straciliśmy córkę – wyznała kobieta bez emocji.

– Bardzo mi przykro.

– Siedem lat temu, rak piersi.

– Niezmiernie mi przykro. To musiało być dla państwa potworne.

– Och, jakże to miłe z pani strony... A ja wtedy pomyślałam... Gdybym tylko mogła jeszcze raz z nią porozmawiać i upewnić się, że już nie cierpi, byłabym zdolna żyć dalej. Kiedy pierwszy raz poszłam do jasnowidza, Jimmy stwierdził, że oszalałam. Uważał rozmowę z tymi, którzy przeszli na drugą stronę, za niemożliwą. I wie pani, myślę, że głęboko w sercu ja też nie wierzyłam. Ci, do których chodziliśmy, oni... Łatwo było poznać, że nie mają pojęcia o tym, co robią. Odnośnie Celine też mieliśmy wątpliwości, prawda, Jimmy? – Annabeth pochyliła się do przodu. – Różne rzeczy się słyszało.

Mężczyźnie zatrzęsała się broda. Annabeth wyciągnęła rękę w jego stronę, ucisnęła jego dłoń i wymienili spojrzenia tak pełne oddania, że Helen niespodziewanie poczuła się wzruszona.

– Ale to, co powiedziała nam dziś rano... Ona ma w sobie coś niezwykłego. Prawdziwy dar. Czuliśmy się, jakby Julia była tu z nami. Jestem pewna, że dla pani też zrobi odczyt, jeśli tylko ją pani poprosi.

– Naprawdę czuję się dobrze.

– Musi być ktoś, z kim chciałaby pani nawiązać kontakt.

– Nie ma nikogo takiego. – A nawet gdyby był, ta opryskliwa i denerwująca kobieta, w której towarzystwie spędziły z Elise wczorajszą noc, byłaby ostatnią osobą, jaką by o to poprosiła.

– Nie wierzy pani w Ducha, Heleno?

– Nie jestem pewna, w co wierzę. – Kłamstwo. Nie była jednak w nastroju na nawracanie. Czasem naprawdę żałowała, że nie wierzy w Boga i w niebo. Od czasu do czasu zazdrościła Elise, która była pewna, że Peter będzie na nią czekać po śmierci. Helen nie miała takiej pociechy. Co zresztą miałyby powiedzieć Grahamowi, gdyby znowu go zobaczyła? Wszystko stało się tak nagle. Ze wszystkich możliwych miejsc padło akurat na siłownię. Ofiara nałogu palenia czterdziestu papierosów dziennie, który Graham podtrzymywał, od kiedy skończył szesnaście lat. Po rozpaczy nadeszła wściekłość, że ją zostawił. Mąż zawsze ją wspierał, dopingował, śmiał się z niej, sprawiał, że życie stawało się łatwiejsze. To frazes, ale był jej najlepszym przyjacielem. Wszystko robili

razem, nie potrzebowali nikogo innego. Bez niego życie było... szare. Właśnie tak. Nudne.

Helen wstała.

– Naprawdę powinnam wracać do swojej przyjaciółki.

– Pięć minut, Helen. Proszę tylko pozwolić pokazać sobie drogę do nas, zawsze będzie pani mogła przyjść później.

Będzie łatwiej, jeśli po prostu z nimi pójdzie. Tak czy inaczej, nie miała nic do stracenia czy zyskania. Kiedy tylko statek zacznie znowu płynąć, ona i Elise będą mogli ponownie przeanalizować swoje opcje.

Helen dała się zapędzić do wejścia do Audytorium Gwiazdneho Marzyciela, gdzie przywitała ją mała grupka mężczyzn i kobiet w średnim wieku. Sala była w miarę wypełniona, a większość krzeseł w audytorium zajęta. Na scenie grubawy dwudziestolatek grzebał przy miniaturowym przenośnym agregacie. Helen wypatrzyła Maddie siedzącą na stronie z opuszczoną głową.

– Znam ją – powiedziała do Annabeth.

– Maddie? Jest cudowna. Ona też jest z Anglii. Celine nie była w najlepszej formie przez pierwsze kilka dni rejsu i wtedy Maddie naprawdę wspaniale się nami zajmowała.

– Pójdę tylko do niej i przywitam się. Przepraszam.

– Ale jeszcze pani wróci, prawda? Chciałabym panią przedstawić.

– Och, wróć – skłamała Helen. Zamieni tylko parę słów z Maddie, a potem zabierze się stąd do wszystkich diabłów, zanim pojawi się Celine. Niektóre osoby siedzące na krzesłach drzemały, ale większość uśmiechała się do niej przyjaźnie, kiedy je mijała. To miejsce rzeczywiście robiło wrażenie oazy spokoju. Przytłumione oświetlenie, powietrze mniej duszne niż w jej apartamencie, co dziwne, biorąc pod uwagę liczbę przebywających w audytorium osób. Maddie nie podniosła wzroku, kiedy Helen podeszła do jej stolika, i ta musiała dotknąć jej ręki.

Dziewczyna podskoczyła, zrzucając swoją butelkę z wodą.

– Helen. Co ty tu robisz?

Helen spojrzała na stół, skąd obserwowali ją Annabeth i Jimmy.

– Zostałam zaproszona.

– Przyjaciele cię odnaleźli, co? Zapędzili tutaj?

– Przyjaciele?

– Przyjaciele Celine. Grupa, która zapłaciła ekstra, żeby popłynąć z nią w rejs. – Maddie machnęła ręką. – Nieważne.

- Gdzie Celine?
- Na zapleczu. Przygotowuje się. Zostawiłam ją tam.
- Przygotowuje się do czego?
- Do następnego seansu. Dzisiaj to będzie jej trzeci, dasz wiarę?
- Czyli czuje się zdecydowanie lepiej.
- O, tak. Powiedzielibyśmy nawet, że...

Bez żadnych fanfar i zapowiedzi na scenę wjechała Celine.

– I jak się wszyscy czujemy? – Jej głos rozniósł się po całej sali. Helen tęsknie spojrzała w stronę wyjścia. Postanowiła poczekać, aż publiczność przestanie zwracać na nią uwagę, i wtedy się wymknąć. – Przede wszystkim chciałam powitać nowych Przyjaciół. Jestem taka szczęśliwa, że mogliście do nas dołączyć. Wszyscy będziemy tu o siebie dbać. To bezpieczne miejsce. Tak długo, jak będziemy razem, nikomu się nic nie stanie. Wiedźcie o tym, że każdy z nas ma własnego anioła stróża i przewodników, którzy się nim opiekują. Może ich nie widzicie, ale potraficie ich wyczuć, prawda?

Przez publiczność przepłynęła fala aprobaty. Helen spojrzała na Maddie, ale ta wpatrywała się w grzbiety swoich dłoni. Wszyscy inni nieruchomo obserwowali Celine.

– Wiedźcie, że wasi aniołowie stróże i przewodnicy, i duchy tych, którzy przeszli nad drugą stronę, właśnie tu nadchodzą. Wiedźcie, że śmierci nie ma. – Celine przerwała, a Helen była prawie pewna, że kobieta patrzy prosto na nią. – Co nie znaczy, że życie nie jest cennym darem.

Sardoniczny uśmiech. Helen niepewnie zmieniła pozycję.

– Chwila... moi przewodnicy, Archie i tak mi bliska Lizzie Bean, dają znać, że nadchodzą ważne wiadomości i osoby, z którymi trzeba nawiązać kontakt.

Można było odnieść wrażenie, że cała publiczność jak jeden mąż wstrzymuje oddech.

– Mężczyzna... zbliża się mężczyzna. Tak. Wiedźcie, że jest tu ktoś, z kim próbuje nawiązać kontakt. Czy komuś coś mówi litera „G”? Chwileczkę... Uuuu. To wysoki mężczyzna. Przystojny. Lekki brzuszek, ale wszyscy jesteśmy ludźmi przecież... Tak drobne wady można wybaczyć, prawda, Przyjaciele?

Tłum zaniósł się śmiechem. Helen poczuła na skórze narastające uczucie mrowienia. Wiedziała, co teraz nastąpi.

– Wiedźcie też i to, ciało fizyczne nie jest czymś, o co musimy się martwić, kiedy już przejdziemy na drugą stronę. Teraz... wyczuwam... Wybaczcie mi, ale czuję, że muszę zaśpiewać. Nie mam najlepszego głosu, jednak mężczyzna,

który nadchodzi, chce, bym to zaśpiewała. „Mieszkała drzwi obok i miała przekonywania dar...” – Celine przerwała. – Czy to coś komuś mówi?

Helen poczuła, jak coś zaciska się wokół jej serca, i przez chwilę była pewna, że zwymiotuje. Uspokój się, nakazała sobie w duchu. To przebiegli ludzie, jasnowidze i media. Specjaliści od zimnego odczytu i naciągania.

– Nikomu? Teraz wyczuwam to naprawdę mocno. I wiecie co, czuję, że muszę kaszlnąć. – Cichy śmiech. – Dawno rzuciłam palenie, ale powiem wam, teraz mam sporą chętkę na papierosa.

Helen podniosła się sztywno.

– Do zobaczenia, Maddie – usłyszała własne słowa.

Maddie podniosła wzrok.

– Dobrze się czujesz?

– Muszę tylko zaczerpnąć powietrza.

Helen w pośpiechu ruszyła do wyjścia, przy okazji uderzając się piszczelą o krawędź stolika. Ledwo to poczuła.

– Helen? Dokąd idziesz? – usłyszała za sobą głos Annabeth.

Ruszyła biegiem, ocierając łzy z oczu – nie była pewna, czy pojawiły się na skutek szoku czy rozpacz. Przemknęła obok kasyna i zamkniętych czarnych drzwi Audytorium Piaskowego Dziadka, przez moment wystraszyła się swojego wymizerowanego odbicia w szybie. Niemożliwe, żeby Celine знаła tę piosenkę. Musiała być w ich apartamencie, może sprawdziła ją na Facebooku – na jej profilu było zdjęcie Roberta Craya z ostatniego koncertu, na którym widzieli go z Grahamem wiele lat temu w Londynie. To musiało być to. Zaczęła się rozluźniać. Tanie sztuczki.

Kiedy dotarła na pokład widokowy, oddech jej się uspokoił, ale zanim weszła do apartamentu, doprowadziła się do porządku. Ostatnia rzecz, której pragnęła, to niepokoić Elise.

– Elise?

Łóżko Elise było jednak puste, a pościel i poduszki leżały nieporządnie rozrzucone.

– Elise?

Z łazienki dobiegł zduszony okrzyk. Helen szarpnęła drzwi. Elise leżała na podłodze, spódnice miała w nieładzie.

– Niezbyt dobrze się czuję, Helen. Boli mnie głowa. Chyba... Chyba jestem...

Anioł miłosierdzia

Mężczyzna już twardo spał, ale Jesse wiedział, że będzie musiał go dobrze pilnować. Chryste, co to była za scena. Adrenalina wciąż buzowała w jego krwiobiegu po tym, jak razem z Binem zostali wysłani do kajuty tego człowieka, aby podać mu środki uspokajające. Znaleźli go skulonego w kącie, wrzeszczał za każdym razem, kiedy któryś z nich podchodził bliżej. Aż dwóch ochroniarzy musiało go przytrzymywać, zanim środek uspokajający zaczął działać.

Nowo przybyły nie był dla Jessego jedynym powodem do niepokoju. Alfonso wciąż znajdował się na granicy katatonii – właściwie nie zareagował, kiedy do sali zabiegowej przyprawiono rozhisteryzowanego pasażera. Jesse nie potrafił wydobyć z niego ani słowa. Opatrunek przeciwoparzeniowy powinien zrobić swoje – Jesse musiał go tylko zmienić najwcześniej następnego dnia (i daj Boże, żeby do tego czasu było już po wszystkim) – ale Alfonso ledwie tknął jogurt i banana przyniesione wcześniej przez Marthę, nie skorzystał też z przenośnej umywalki, którą przygotowali w małej łazience. Poza sprowadzeniem drogą powietrzną psychologa Jesse nie był w stanie zrobić niczego więcej.

Psychiczny pasażer, martwa dziewczyna, norowirus i inżynier na skraju katatonii. *Czy taka kupa gówna może jeszcze urosnąć?*

Martha z łomotem wpadła do zabiegowego i wrzuciła rękawiczki do kosza.

– Mamy jeszcze jedną, Jesse.

– Noro?

– Noro.

– Ilu to już?

– W sumie sześć osób. Troje z załogi i troje pasażerów. Ta mnie niepokoi. Pacjentka ma nadwagę i jest w starszym wieku. Jest osłabiona. Jej przyjaciółka znalazła ją bezwładną na podłodze łazienki.

– Chcesz ją tu sprowadzić?

– Nie. Zawsze najlepiej przeprowadzać kwarantannę u nich w kajutach.

– Iść do niej?

– I tak masz pełne ręce roboty. – Skinęła dłonią w kierunku psychologa. – Co

z delikwentem?

– Midazolam zadziałał, dzięki Bogu.

– Znamy przyczynę? Jakież objawy psychozy w przeszłości?

– Nic na razie nie wiemy. Ochrona próbuje znaleźć jego żonę.

– Jakież obrażenia?

– Miałem tylko okazję przeprowadzić powierzchowne badanie. Otarcia w górnej części ud i na nadgarstkach, rana tłuczona na czole. Najprawdopodobniej został poturbowany podczas przepychanki. Dwóch ochroniarzy musiało go obezwładnić.

– Cholipa. A Bin?

– Zajmuje się pracownicą, którą facet zaatakował, zanim go tu sprowadziliśmy. Nic poważnego, ale, co rozumiałe, kobieta przeżywa traumę.

Martha przyjrzała mu się od stóp do głów.

– Znalazłeś czas, żeby odpocząć?

– Nie. – Wciąż się trzymał dzięki zimnej kawie i niezliczonym puszkom coli, kofeina powodowała rozedrganie, które ledwie powstrzymywało wyczerpanie. – Przekazać kapitanowi, że powinniśmy ogłosić czerwony alarm?

Nie mieli – jak dotąd – wystarczająco dużo przypadków norowirusa, by alarm uzasadnić, ale trzeba dmuchać na zimne, szczególnie biorąc pod uwagę sytuację z układem napędowym. Złożył wniosek o spotkanie z kapitanem, ale na razie został on zignorowany.

Martha oparła się o nosze.

– To się na pewno bardzo wszystkim spodoba w połączeniu z całą resztą. Pasażerowie powinni przynajmniej zostać poinstruowani, jak używać środków do dezynfekcji dłoni.

Tak, jasne, pomyślał Jesse. Podczas całego pobytu na statku nigdy nie widział, żeby ktoś ich używał.

– Jak długo to jeszcze potrwa?

– Bóg wie.

– Słyszałeś coś nowego?

– Nie. Łączność cały czas nie działa.

– Obawiam się o kostnicę. Bez zasilania może tam być niewesoło.

– Nie martw się o to. Jest poniżej poziomu wody. Panuje tam wystarczająco niska temperatura.

Na razie.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka niepewnym krokiem wszedł mężczyzna w białym oficerskim mundurze. Jak większość załogi z mostka, wyglądał jak stereotypowy włoski przystojniak, nienaganny biały mundur i gładkie czarne włosy. Niewymuszony wdzięk. Przy oficerach Jesse zwykle czuł się beznadziejnie niekompetentny.

– Przepraszam? Czy mogę odwiedzić Alfonsa?

– Śpi. Nie powinno tu pana być.

– Ja przepraszam. – Oczy mężczyzny powędrowały w kierunku Alfonsa, który leżał całkowicie nieruchomo z zamkniętymi oczami. – Ja pukać w pierwsze drzwi, ale nikt nie przyszedł.

Jesse wymienił spojrzenia z Marthą, która odpowiedziała wzruszeniem ramion oznaczającym „ty decyduj”.

Czy może się stać coś złego? Być może mężczyzna sprawi, że Alfonso zacznie mówić.

– Proszę wejść.

Martha uśmiechnęła się do Jessego, okazując swoje wsparcie, i wyszła z sali.

Oficer podszedł do łóżka Alfonsa i zalał go potokiem słów po włosku. Włoski Jessego sprowadzał się właściwie do *Nessun dorma* i paru wyrażen slangowych, które znał ze słyszenia, nie miał więc pojęcia, co mówi oficer, ale cokolwiek to było, raczej nie pomagało.

Oficer – Baci, jak głosiła jego plakietka z nazwiskiem – zwrócił się do Jessego:

– Dlaczego Alfonso śpi? Widzę rękę, ale czy jest mu coś poza tym?

– Śpi prawie cały czas. Być może to reakcja na środki przeciwbólowe. To pana dobry przyjaciel?

– Pomógł mi znaleźć pracę na statkach. Pochodzimy z jednego regionu. On dla mnie jak ojciec. Ale jestem zaniepokojony. Musi wrócić do pracy. Pracuje w sterowni od pięciu lat. Nikt tak jak Alfonso nie zna się na silnikach i generatorach.

– Wie pan, co się zepsuło?

Przesadzone wzruszenie ramionami.

– Układ wspomagający nie zadziałał jak powinien. Teraz statek pracuje tylko na dwóch awaryjnych agregatach. Nie ma zasilania.

– Ale chyba potraficie to naprawić? – Jesse nie widział powodu, żeby miało być inaczej. Kiedy zaczynał pracę, oprowadzono go po statku, co prawda nie został wpuszczony do tętniących głębin maszynowni, ale widział warsztaty,

pomieszczenia pełne części zapasowych.

– Może. Ja nie wiem. Ja pracuję na mostku. Trzeci oficer.

Powiedział coś jeszcze do Alfonsa nieco ostrzejszym tonem, ale inżynier dalej nie reagował.

– Ja mogę spróbować go obudzić?

– Może pan spróbować.

– Alfonso! – Baci potrząsnął go za ramię z większą siłą, niż życzyłby sobie tego Jesse. Ale w tym momencie oczy Alfonsa zabłyśły, a on sam zadrżał, wydając z siebie zduszony krzyk. Strach, w jego oczach czał się tylko strach.

– Niech mu pan powie, że chcemy mu jedynie pomóc – powiedział Jesse. – Proszę spytać, czy odczuwa teraz ból.

Głos Baciego złagodniał, wydawało się, że Alfonso w ogóle go nie dostrzega, w końcu jednak najwyraźniej zaczął rejestrować jego obecność i całe swoje otoczenie. Baci zadał mu pytanie, a ten odpowiedział niskim, drżącym głosem. Przez kilka minut rozmawiali, cały czas Alfonso rozglądał się po pomieszczeniu. Baci wydawał się coraz bardziej poruszony odpowiedziami kolegi.

– Co on mówi? – włączył się Jesse.

Baci odwrócił twarz w jego kierunku.

– Ja nie wiem, jak to powiedzieć.

– Może pan przynajmniej spróbować?

– Mówi, że widział diabła.

– Co widział?

– Był tam, kiedy zaczął się pożar.

– Diabeł był w siłowni?

Wzruszenie ramion.

– *Si*. Nazywa go ciemną postacią.

– Dobra. Hmm... czy to u niego normalne?

– Nie. Jest religijny, ale nie ma... – Baci wykonał ruch ręką naokoło swojej głowy.

– Urojeń?

– *Si*.

– Może go pan zapytać, czy odczuwa ból?

– On zna angielski.

– *Ja*. Ale z nami w ogóle nie chce rozmawiać.

Alfonso powiedział coś jeszcze.

– Mówi, że ciemna postać jest teraz wśród nas.

Jesse się rozejrzył.

– Myśli pan, że ma na myśli drugiego pacjenta?

– Ja nie wiem.

Alfonso nagle odwrócił się na bok i zamknął oczy. Baci próbował przez kilka następnych minut wydobyć z niego odpowiedź, ale Alfonso milczał.

– Pan się nim zajmie?

– Oczywiście.

– Niedługo jeszcze raz przyjdę do niego. – Baci przygładził włosy obiema dłońmi. – Nie jest dobrze. Muszę wracać.

Jesse odprowadził oficera.

– Kiedy dostaniemy jakieś odpowiedzi?

– *Scusi?*

– Kiedy odzyskamy połączenie internetowe? Muszę przynajmniej poinformować naziemne służby ratownicze.

– Rozmawiał pan z kapitanem?

– Próbowałem porozmawiać z kapitanem. – Jest bardzo zajęty.

Jeezuu.

– Proszę posłuchać, czy może go pan poprosić, żeby się ze mną skontaktował w sprawie niecierpiącej zwłoki?

– Zrobię, co będę mógł. Jestem tylko trzecim oficerem na mostku, więc nie mam zbyt dużych uprawnień.

– Muszę się z nim spotkać.

– Zrobię, co w mojej mocy – powtórzył Baci.

Jesse zdawał sobie sprawę, że czepia się tego biednego gościa – Martha, zajęta pisaniem raportów przy biurku, teraz przyglądała się mu z zaciekawieniem – ale nie był pewien, co poza pójściem na mostek i waleniem w drzwi jeszcze może zrobić.

– Wiecie przynajmniej, gdzie się znajdujemy?

– *Scusi?*

– Na morzu. Od jakiegoś czasu tylko dryfujemy. Wie pan, gdzie jesteśmy?

– Możemy skorzystać z manualnej nawigacji.

- Czy zatem zboczyliśmy z kursu? Czy to dlatego nikt nas nie odszukał?
- Dryfujemy, ale kontrolujemy prędkość i odległość.
- I?
- Muszę wracać na mostek.

Jesse pozwolił mu odejść.

- Wydobył coś z Alfonsa? – zapytała Martha.
- *Ja*. Co nieco.
- I co powiedział?
- Tylko tyle, że na statku jest diabeł.
- Sama mogłam mu to powiedzieć. Ale tak poważnie, co powiedział?
- Mówię poważnie. Powiedział, że to diabeł wywołał pożar.
- O matko.

Wychylił osad po ostatniej porcji kofeiny i próbował nie myśleć o cudownym zaworze bezpieczeństwa ukrytym za drzwiami apteki. Na pewno wygląda paskudnie. Musi się ogolić. Musi wziąć prysznic. Jego biały uniform jest pognieciony, brudny i poplamiony po zimnym curry zjedzonym w pośpiechu wczorajszej nocy.

Wrócił do gabinetu zabiegowego. Alfonso miał znowu zamknięte oczy, oddychał powoli i regularnie. Psychol był w dalszym ciągu nieprzytomny. Jesse rzucił okiem na trzecie, puste łóżko. Wyglądało zachęcająco. Mógł się na nim skulić, a po przebudzeniu być może dopłynęliby już do Miami i byłoby po wszystkim. Zacisnął powieki, a na ich wewnętrznej stronie zobaczył tańczące gwiazdy.

Zza drzwi do poczekalni dotarły do niego podniesione głosy, a chwilę później Martha wsadziła głowę do środka.

- Przyszła żona Gary’ego Johanssona. Chce się z nim zobaczyć.
- Czyja żona?
- Tego tam delikwenta.

Przeraźliwy wrzask wypełnił gabinet.

– Gdzie on jest? Chcę natychmiast się z nim zobaczyć! – Do środka wpadła kobieta z krótkimi czarnymi włosami, w króciutkich spodenkach. Nastrój miała podły.

- Psze pani – odezwała się do niej Martha. – Mówiłam pani, żeby poczekać na zewnątrz.
- Gdzie on jest?

Tuż za nią czał się ochroniarz o zmęczonym obliczu. Nie był jednym z tych, których Jesse spotkał po wezwaniu do kajuty dziewczyny. Ten tutaj – Pran – był młody i miał rzadki wąs.

Kobieta zauważyła swojego męża.

– Gary! – Przytruchtała do jego łóżka, a następnie wbiła wzrok w Jessego. – Po co ta kroplówka?

– Jesteśmy zmuszeniu podawać mu środki uspokajające, proszę pani.

– Uspokajające? Dlaczego?

– Był agresywny.

– Pokojówka twierdzi, że ją zaatakował – nierozsądnie odezwał się ochroniarz.

– Że co? Zaatakował? Kłamie. Gary nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Jest łagodny jak baranek.

– Proszę się uspokoić – wtrąciła się Martha. – Mamy tu jeszcze jednego pacjenta i nie chcemy nikogo zdenerwować, dobrze? – Uśmiechnęła się do kobiety, która trochę się uspokoiła.

– Gary? Gary, słyszysz mnie?

– Przez jakiś czas będzie nieprzytomny – powiedział Jesse.

– Co się z nim stało?

– Nie mamy pewności. Czy mąż miał w przeszłości problemy natury psychicznej?

– Nie! Co pan sugeruje?

– Próbuję tylko lepiej zrozumieć, z czym mamy do czynienia.

– Na pewno nikogo nie zaatakował. To niemożliwe.

– Czy jest na coś uczulony?

– Co?

– Czy ma jakieś alergie, o których powinniśmy wiedzieć?

– Nie. Nie ma. A, chwila. Nie lubi sera.

Trzeba oddać Marcie, że doskonale stłumiła śmiech.

Kobieta posłała Jessemu ostre spojrzenie.

– Nie ma na pokładzie amerykańskich lekarzy?

– Doktor Zimri posiada wszelkie kwalifikacje – powiedziała Martha.

Żona pacjenta nie wyglądała na przekonaną.

– Zajmie się nim pani, prawda? – skamlającym głosem zwróciła się do

Marthy.

– Tak, psze pani. Proszę teraz iść do siebie. Damy pani znać, kiedy się obudzi, tak właśnie zrobimy.

– Nie mieszkam w swoim pokoju. Jestem na Pokładzie Lido z przyjaciółmi.

– Na pewno się z panią skontaktujemy.

Martha odprowadziła ją do drzwi, a za nimi ruszył ochroniarz.

Tym razem Jessemu udało się położyć na pustych noszach. Pięć minut, obiecał sobie. Poprzedniej nocy prawie w ogóle nie spał. Rozzłościła go ta stara jasnowidzka. Potem całymi godzinami obsesyjnie rozmyślał o Farouce. W myślach tworzył na jej temat monstrialne wizje, wyobrażał ją sobie z innymi mężczyznami, szczęśliwszą niż kiedykolwiek przedtem, opowiadającą wszem i wobec, jak bardzo się cieszy, że nie są już małżeństwem. Możliwe, że do końca swoich dni będzie ciągnął za sobą wrak swojego starego życia niczym postrzępioną suknię ślubną.

Słaby. Jest słaby.

– Szefie, możesz tu podejść? – Tym razem to Bin.

– Chodzi o tę pokojówkę?

– Nie. O kostnicę. Pracownicy pralni twierdzą, że dochodzą z niej jakieś hałasy.

– Nie bądź śmieszny.

– Mówię tylko, co sam słyszałem, szefie.

– Sprawdziłeś to?

Bin pokręcił głową.

– Nie, szefie – przyznał chłopak, a Jesse zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy Bin nie jest przy nim pogodny i opanowany. – Powinieneś tam pójść.

– Poważnie?

Bin pokiwał przepaszająco głową.

Grupa rozdyskutowanych mężczyzn czekała tuż przed wejściem do pralni. Na widok zbliżających się Jessego i Bina zamilkli. Sama kostnica – pojedyncze pomieszczenie, do którego drzwi przypominały olbrzymi metalowy pojemnik na chleb – znajdowała się wewnątrz magazynu, za metalowymi drzwiami na prawo od pralni.

Jesse czuł ciężar spojrzeń zgromadzonych tu osób, z trudem otwierając drzwi do magazynu. Na statku ciężko było o wolne miejsce, a na podłodze walały się puszki z pomidorami i czerwone worki na nieczystości, które prawdopodobnie

trzymano w kostnicy, gdy ta nie była używana. Inaczej niż w większości kostnic, szufladę na ciało zamontowano tu we wnęce w pozycji poprzecznej. Jej wieko było zatrzaśnięte.

– Według mnie wygląda normalnie. Jesteście pewni, że to stąd dochodziły odgłosy? – Nawet gdyby ktoś walił w drzwi (niby kto?) od środka magazynu, trudno sobie wyobrazić, żeby dźwięk się rozchodził.

Jeden z mężczyzn, brzuchaty jegomość po czterdziestce z zębami palacza, wymamrotał coś do Bina.

– Mówi, że dźwięk prawie na pewno dochodził ze środka kostnicy. Otworzyli drzwi do magazynu i dobrze słyszeli.

– Chyba ma...

Bang.

Jesse drgnął.

– Co, do chuja?

Bang. Dłuższa przerwa, a po niej, dla odmiany, metaliczne *bong*. Wszyscy podskoczyli.

– Powinniśmy wezwać ochronę – powiedział Bin łamiącym się ze strachu głosem.

– Nie – powiedział Jesse. – To na skutek panującej tu na dole temperatury. Metal się rozszerza.

Dotknął klamki od drzwi do kostnicy, a potem przejechał dłonią po przedniej płycie. Była chłodna, ale nie zimna. Jeszcze jej nie schłodzili – inżynierowie musieli o tym zapomnieć, możliwe też, że nie była podłączona do awaryjnego źródła zasilania.

– Nie otwieraj, Jesse – wyszeptał Bin. Brzuchaty palacz mamrotał pod nosem coś, co brzmiało jak modlitwa. Reszta zwiła.

Wieko odsunęło się z łatwością, ukazując worek z ciałem. Jesse wpatrywał się weń, poniekąd oczekując, że się poruszy.

Szaleństwo.

Co spodziewał się znaleźć? Żywą dziewczynę? Dupa blada, jak by powiedziała Martha. Może parę rzeczy zjebał, ale nie jest aż tak niekompetentny.

– Mówią, że ona straszy na statku – wyszeptał Bin. – Że jest niespokojnym duchem. Że zachęca inne złe duchy, by się do niej przyłączyły. Mówią, że sprowadza nieszczęście i że to przez nią zeszliśmy z toru.

– Jezu. To bzdury. – Jednak wbrew samemu sobie Jesse otworzył zamek

worka. W nos uderzył go smród rozkładu. Twarz dziewczyny była obwisła, a jej oczy białe. Na skutek zeszywnienia pośmiertnego miała otwarte usta, odsłaniające rząd tanich plomb starego typu w zębach trzonowych dolnej szczęki. Odsunął się, żeby Bin i gość z pralni mogli ją zobaczyć.

– Widzicie? Nie żyje. – Bez wątpienia *morsdood*.

Brzuchaty mężczyzna skrzywił się i wycofał. Bin – godny zaufania, zrównoważony Bin – wyglądał, jakby za chwilę miał zemdleć z ulgi. Czy Jesse przez ten cały czas niewłaściwie go oceniał? Nie. On po prostu był wystraszony. Do diabła, Jesse też się bał.

Zapiął zamek worka, odblokował zawiasy blokujące wieko i odsunął się, czekając, aż się zatrzaśnie.

– Czy moglibyśmy wszyscy wyjść i po prostu...

Bang.

Strażnik sekretów

Devi gapił się na metalowy stelaż piętrowego łóżka nad sobą. Madan i Ashgar okleili ścianki i miejsca nad swoimi łóżkami nieprzyzwoitymi obrazkami, on jednak nie miał się na czym skupiać poza obdrapanymi pozostałościami po graffiti: kilkoma wersjami „hujów”, „Moniką, co lubi na pieska” i wyrytym obrazkiem, który przypominał półnagą kobietę na masce ferrari.

Spał od trzech godzin, kiedy nagle poderwał się, przekonany, że ktoś potrząsa go za ramię. Od tamtej chwili zapadał w drzemkę i wybudzał się z niej, próbując uporządkować myśli i wdychając swąd dymu unoszący się z porzuconego na podłodze kombinezonu Madana. Cały dzień gdzieś mu uciekł i nie miał jeszcze okazji ponownie sprawdzić zdjęć z kamer przemysłowych z zeszłej nocy. Był zajęty przesłuchiwaniami grupy singli i stewarda, który rzekomo sprawdzał pokoje, jak też patrolowaniem pokładu głównego i Lido. Wymęczyło go wysłuchiwanie uwag na temat braku ciepłego jedzenia, niedostatku informacji i najpopularniejszej z bolączek: zamkniętych barów. Z doświadczenia Deviego wynikało, że większość pasażerów nie potrafi wytrwać dłużej niż godzinę bez jedzenia i picia, nie wszczynając przy tym burd.

Parę godzin wcześniej Ram przesłał Deviemu wiadomość za pośrednictwem Madana, każąc mu zrobić sobie przerwę. Jego przełożony spędził większość dnia na mostku z kapitanem, a Devi nie przekazał Ramowi, czego dowiedział się ze zdjęć. Nie miał zamiaru wspominać ani umieszczać w raporcie innego szczegółu – dłoni, drobnej dłoni, zasłaniającej obiektyw kamery. To nie mogło się wydarzyć. Kamery umieszczono wysoko na suficie. Musiała to być gra światła, ewentualnie zakłócenia z innej transmisji CCTV.

Zawsze istniało jakieś racjonalne wyjaśnienie. Wciąż nie rozmawiał też z tamtą pokojówką, Altheą Trazoną.

Zamknął oczy i potarł dłońmi twarz. Powinien posprzątać i zjeść coś, zanim wróci na służbę. Będzie potrzebował energii i...

Drzwi do kajuty otworzyły się, a Devi usiłował ukryć swoją konsternację na widok wchodzącego do środka Rogelia.

Przerzucił nogi przez krawędź łóżka i wstał.

– Rogelio, nie powinienes tu przychodzić. Ashgar albo Madan mogą

w każdej chwili wrócić.

– Nie ma ich w pobliżu, sprawdziłem. – Rogelio przestąpił nad rzeczami Madana i przywarł ciałem do Deviego. – Musiałem się z tobą zobaczyć.

Devi powinien wziąć prysznic, czuł kwaśny zapaszek własnego potu, ale Rogeliowi najwyraźniej to nie przeszkadzało. Zresztą nigdy mu nie przeszkadzało.

– Dlaczego wczoraj w nocy do mnie nie przyszedłeś? Tęskniłem.

Devi wyzwolił się z jego objęć.

– Musiałem pracować. Przepraszam.

– Boję się, Devi. Sytuacja nie jest dobra. Damien... Damien kazał mi obiecać, że nic nie powiem, ale twierdzi, że kapitan bardzo się niepokoi. Dalej nie ma Internetu. Nie działa radio. Nie ma żadnych sygnałów ze statków, które powinny znajdować w pobliżu. Powinni nas znaleźć dawno temu, po wysłaniu sygnału alarmowego do radiolatarni.

– Może w porcie panuje zła pogoda i nie mogą po nas wypłynąć. – Devi znowu z niepokojem spojrzął na drzwi. Musi wyprowadzić Rogelia. – Proszę, musisz wyjść.

Rogelio wydał wargi.

– Dlaczego zawsze mnie odpychasz? Wstydzisz się mnie?

– Nie. Oczywiście, że nie. – Jeśli kogokolwiek się wstydził, to siebie samego. *Tchórz*. Wiedział, czego chce Rogelio. Wiedział, że nigdy nie będzie w stanie mu tego zapewnić. – Wiesz, w jakiej jestem sytuacji.

– Ale dlaczego nie znalazłeś mnie wczoraj i nie powiedziałaś o Kelly Lewis? Wszystkiego dowiedziałem się od tego okropnego Rama, który rozmawiał ze mną, jakbym był przestępcą.

– Przepraszam. Nie mogłem na to nic poradzić.

Westchnienie wstrząsnęło całym ciałem Rogelia.

– Przykro mi z powodu Kelly. To musiało być przerażające, taka śmierć w samotności.

– Ram powiedział ci, jak umarła?

– Tylko tyle, że wypła za dużo alkoholu. W grupach singli zawsze przesadzają z piciem. – Wzruszenie ramion. – Smutne. Straszna tragedia.

Rogelio przejechał palcem po guzikach koszuli Deviego.

– Powinieneś był mi powiedzieć.

– Wiem. Jaką osobą była Kelly Lewis?

– Miłą. Nieśmiałą. W odróżnieniu od innych. Powinieneś być słyszeć, jak mnie dziś wyzywali, Devi. Wściekłbyś się.

Devi zastanowił się, czy nie powiedzieć Rogeliowi, co jego zdaniem spowodowało śmierć Kelly. Jako jeden z członków załogi odpowiedzialnych za codzienną dawkę rozrywki ma do czynienia z setkami pasażerów i możliwe, że rozpozna mężczyznę ze zdjęć CCTV.

Krótkofalówka Deviego zatrzeszczała, a następnie rozległ się wyczerpany głos Ashgara, przerywany zakłóceniami.

– Zgłoś się... kontrola... Bójka... w barze dla załogi... teraz.

– Muszę iść. – Udało mu się wyprowadzić Rogelia z kajuty. Zwykle na korytarzach panował tłok, a dla wielu członków załogi stanowiły one miejsce nieformalnych spotkań, jednak tej nocy były puste.

– Spotkasz się ze mną później?

– Spróbuję.

Jeszcze jedno wydęcie warg.

Devi pozwolił Rogeliowi iść przodem, a strach zwinięty w supeł w jego klatce piersiowej zelżał, kiedy doszli do schodów wiodących do korytarza I-95. Rogelio przesłał mu pocałunek i ruszył w kierunku mesy.

Devi musi z tym skończyć. Plotki rozchodzą się błyskawicznie, szczególnie w sieci powiązań hinduskiej mafii, mającej kontakty w całej branży wycieczkowej. Całkiem możliwe, że mogą dotrzeć nawet do jego rodziny – ma kuzyna, który pracuje w kuchni na „Pięknym Cudzie”. I jeszcze te słowa Rama wczoraj w nocy... Bezpieczniej będzie, jeśli zostanie paranoikiem. Zakończy wszystko, zanim przyłapią ich na gorącym uczynku. Właśnie tak złapali go poprzednim razem. Śledzili go do stacji Matunga Road. Poczekali, aż zamknie się w kabine toalety. Zaatakowali, kiedy wyszedł z niej z tym chłopcem – chudym dwudziestodwulatkiem, którego twarzy Devi nie potrafił już sobie dokładnie przypomnieć. Dali mu ultimatum: miał umorzyć śledztwo w sprawie gwałtu na dziecku lub rodzina Deviego zostanie poinformowana o jego skłonnościach. Chłopak uciekł, ledwo unikając pobicia, a Devi odszedł z resortu i zaokrętował się jako ochroniarz, z kilku możliwości wybierając wygnanie. Coming out nie wchodził w grę. Dla niego nigdy nie będzie wchodził w grę. Nie chodziło o strach przed prześladowaniem – w Mumbaju istniało dobrze prosperujące środowisko gejowskie, ale nie mógł znieść myśli o obrzydzeniu jego rodziców. To bardzo konserwatywni ludzie. Nie potrafiliby zrozumieć. Jego bracia byli przykładnymi mężami, zaangażowanymi w produkcję wnucząt. Rodzice doznali szoku, kiedy powiedział im, że podpisał kontrakt z Forverosem, byli też rozczarowani, gdy zakomunikował, że wstępuje do policji, zamiast

ustatkować się, ożenić i w ślad za swoimi braćmi zająć się biznesem. Ale wszystko to okazałoby się niczym w porównaniu z ich reakcją na wieść o tym, że wiedzie podwójne życie.

Kiedy w pośpiechu zmierzał w stronę zaciemnionego wnętrza kantyny, przywitały go krzyki. Ashgar wczepił się w klatkę piersiową chudego białego gościa, którego Devi rozpoznał jako zastępcę szefa wydziału IT. Jaco, muzyka okrętowego, obezwładniało dwóch pracowników baru. Devi odwiedził kilka razy kantynę i Jaco zawsze sprawiał miłe i przyjazne wrażenie. Napięcie udzielało się wszystkim. Krupierka z kasyna szlochała w kącie, jej włosy były mokre od piwa.

– Pierdol się! – krzyknął facet z IT i rzucił się na Jaco.

– Rób, co do ciebie należy, i napraw pieprzony Internet! – ryknął Jaco w odpowiedzi.

– Mówiłem ci! Nie ma, kurwa, czego naprawiać!

Ashgar usiłował obezwładnić mężczyznę, a Devi już miał się przyłączyć, kiedy znikąd pojawił się Ram, wchodząc między wściekłych członków załogi. Nie musiał robić nic więcej. Żadnej przemocy. Wystarczyło jedno spojrzenie.

– Uspokoicie się? – zapytał Ram, nie podnosząc głosu.

– On zaczął – poskarżył się gość od IT.

– Przestaniecie? Mam zamknąć bar?

Kierownik od produktów spożywczych, pijany w sztok i siedzący z grupką kelnerek obsługujących załogę, zabuczał. Na statku nie było aresztu, więc Ram polecił Ashgarowi odprowadzić faceta z IT do jego kajuty. Popatrzył na Jaco.

– W porządku?

– Tak. Przepraszam, okej?

– Dobrze. Niech to się więcej nie powtórzy. – Ram ledwie rzucił okiem na Deviego i ruszył w kierunku drzwi.

Devi podążył za nim.

– Szefie!

– O co chodzi?

– Możemy porozmawiać?

– Wypałeś się?

– Tak, proszę pana.

– Dobrze. Jadłeś coś? Dziś w nocy będziesz potrzebował energii.

– Szefie, ja w kwestii zeszłego wieczoru. Obejrzałem jeszcze raz zdjęcia. Nie

ulega wątpliwości, że jakiś mężczyzna szedł za Kelly do jej kajuty.

– Musisz iść na główny pokład, Devi. Są tam tylko Madan i Pran.

– Ale, szefie. Zdjęcia.

– Nie powinniśmy się teraz tym zajmować, Devi. Trzymaliśmy się procedur. Widać, jak facet faktycznie atakuje dziewczynę?

– Nie. Ale to jasne, że podstępem wszedł do jej kajuty.

– W takim razie zajmie się tym FBI, kiedy zawiniemy do portu. Nie możemy ryzykować, że tego rodzaju plotki pojawią się w domenie publicznej. Pasażerowie są wystarczająco rozdrażnieni. – Ram skinął głową i się odwrócił.

Devi nie mógł się już dłużej powstrzymać.

– Szefie! Na pokładzie jest morderca!

Ram zatrzymał się i powoli przesunął palcami po wąsach.

– Raz mogę zapomnieć o takiej niesubordynacji, Devi, ale nie przyzwyczajaj się do tego. Idź na główny pokład. Potem możesz zmienić monitoring.

– Szefie...

– To wszystko, Devi.

– Tak jest, szefie.

Devi odprowadził przełożonego wzrokiem. Dlaczego Ram tak bardzo upiera się w związku z tą sprawą? Dba jedynie o niewywoływanie niepotrzebnej paniki wśród i tak wystraszonych pasażerów czy może to pierwszy krok na drodze do wyciszenia sprawy? Wciąż poruszony przeszedł do strefy dla pasażerów, a następnie minął atrium. Stanowisko obsługi klienta było zamknięte, tak jak jego okiennice oraz bary z koktajlami okalające ten obszar. Gdy wchodził po schodach, zatrzymała go jakaś pasażerka.

– Kiedy otworzą knajpy?

– Wkrótce zostanie nadany komunikat.

– Wszyscy tak mówią!

Devi odpowiedział niewyraźnie, że musi być gdzieś indziej, i zostawił ją samej sobie.

Z Teatru Śmiałych Snów na Pokładzie Promenady Snóff dobiegał aplauz. Muskularny jegomość stojący przed wejściem skinął w jego kierunku, kiedy Devi go mijał. Jakaś para przeniosła swój materac na korytarz obok windy niedaleko pokładu dla VIP-ów. Nie blokowali przejścia na schody, więc zostawił ich w spokoju.

Tymczasem główny pokład okazał się jeszcze bardziej zatłoczony, niż kiedy

był tu na służbie. Przeszedł się wzdłuż basenu i zbliżył do Madana i Prana. Tłumaczyli pasażerowi, dlaczego nie może blokować dostępu do punktu ewakuacyjnego za pomocą zagrody zbudowanej z leżaków i poduszek.

Madan przywitał się z nim zmęczonym ironicznym uśmiechem, a Pran podniósł dłoń, jakby miał zamiar mu zaszalutować, ale potem się rozmyślił. Devi niewiele o nim wiedział. Jako jeden z młodszych pracowników rozpoczął właśnie swój pierwszy kontrakt i oficjalnie cały czas był na szkoleniu. Miał dziobatą twarz, rzadki wąsik i inteligentne oczy, które powinny należeć do dziewczyny. Devi wątpił, żeby Pran miał kręgosłup potrzebny do takiej roboty.

– *Gandu* – Madan wymamrotał pod nosem w stronę pleców kolekcjonera leżaków. – Co za cholerny bałagan, Devi. Łebki powariowały.

– Byłem tu dziś rano.

– Pran i ja mieliśmy po południu akcję w stylu *badbad*. Musieliśmy obezwładnić wariata.

– Co?

– Pasażer zaatakował jedną z pracownic. Pran prawie narobił w gacie, co, chłopaku?

Pran spuścił wzrok ze wstydu.

– Jak wyglądał? – zapytał Devi.

– Kto?

– Mężczyzna, który zaatakował pokojówkę. Jak wyglądał?

– Czemu pytasz?

Po krótkiej chwili zastanowienia Devi opowiedział mu, co widział na zdjęciach. Madan zagwizdał między zębami.

– Nie pierwszy raz jakiś popapraniec dosypuje coś paniom do drinków, he? Ale nie sądzę, żeby mój wariat był twoim podejrzanym. Ten mój odchodził od zmysłów. Człowiek, o którym mówisz, wygląda na zorganizowanego.

Devi musiał przyznać rację Madanowi.

– Ram chce wyciszyć sprawę.

– Nic dziwnego.

Madan wskazał gestem na grupę mężczyzn, którzy napastowali jednego z kelnerów rozdających wodę przy stoisku z ręcznikami.

– Pran, idź i pogadaj z nimi.

Chłopak przytaknął i wykonał polecenie.

– Zaraz będzie awantura – powiedział Madan do Deviego.

Madan miał rację. Na statku znajdowało się jedynie pięciu pracowników ochrony, a Madan i Ram byli jedynymi, co do których Devi mógł być pewny, że poradzą sobie w chwili kryzysu. Dysponowali urządzeniem dźwiękowym MRAD, ale nie był przekonany, czy nawet Ram wie, jak się nim posługiwać. Devi w przeszłości kilka razy uczestniczył w zamieszkach: gwałtownych demonstracjach po morderstwie muzułmańskiego biznesmena w Dharabi, marszu przeciwko gwałtom, który przybrał burzliwy obrót. Niewiele potrzeba, by włączyło się myślenie stadne i zaczął rządzić motłoch, a na statku jest za mało miejsca, żeby rozproszyć tłum.

Podszedł do nich kolejny pasażer. – Kiedy otworzą knajpy?

Madan poczekał, aż z jego twarzy znikną wszelkie emocje.

– Wkrótce zostanie wydany komunikat, proszę pana.

– A moja żona musi naładować iPhone’a.

– Wkrótce zostanie wydany komunikat.

– Kiedy?

– Proszę wrócić na miejsce, proszę pana – powiedział Devi.

Mężczyzna fuknął, ale wykonał polecenie.

Madan gestem pokazał Deviemu, by ten przeszedł z nim na pokład boczny, tam gdzie znajdowały się punkty ewakuacyjne. Wyjął elektronicznego papierosa i wciągnął parę głęboko do płuc. Gdyby przyłapał go Ram, takie pogwałcenie przepisów skutkowałooby zwolnieniem, ale Devi wiedział, że Madan jest specjalistą od naginania przepisów i podejmowania ryzyka.

– Słuchaj... ta cała sytuacja. Coś jest nie tak. Pożar. Nie był duży – nie da się nawet porównać do tych, które gasiliśmy podczas ćwiczeń. Twierdzą, że przyczyną był wyciek paliwa, ale mam znajomości, Devi, i to nie o to chodziło.

– Madan machnął ręką w kierunku oceanu za relingiem. – Zatoka to ruchliwe miejsce, Devi. Zawsze są na niej jakieś statki.

Miał rację. Nigdzie nie było widać żadnych świateł.

– Co sugerujesz?

– Statek musiał zejść z kursu. To jedyne wyjaśnienie, dlaczego nikt jeszcze po nas nie przyplłynął.

Z bocznego pokładu wyłoniła się sprzecząca się para. Taszczyli poduszki i kołdry. Nagle na niebie pojawił się jasny rozbłysk. Z głównego pokładu dobiegły odgłosy zachwyty.

– Dlaczego akurat teraz odpalają fajerwerki? – krzyknęła jakaś kobieta.

Ale Devi wiedział. To nie fajerwerki. To flary.

Blog Dzika Karta

żebyście nie musieli robić tego wy Nieustraszony w walce z oszustami,

Wciąż zagubieni. Wciąż bez Wi-Fi. Wciąż bez zasięgu.

Pokład kąpielowy jest pełen skacowanych pasażerów, którzy wynieśli na powietrze materace i pościel, ponieważ brak klimatyzacji zamienił ich kajuty na niższych pokładach w łaźnie. To miejsce zaczyna przypominać obóz dla uchodźców z amerykańskiej klasy średniej.

Dotychczasowe atrakcje: jedna martwa pasażerka, masowe spóźnienia na samoloty, flary, smród tak uciążliwy, że chce się płakać. Wspomniałem już o tym, że układ sterujący działaniem toalet zepsuł się i musimy „robić kupę” (ulubiony eufemizm Damiena) do worków? Tak więc coś takiego również ma miejsce.

Robię notatki na tylnych stronach ulotek z informacjami o rozrywkach, bo muszę oszczędzać baterię. Zostało trochę więcej niż na 4 godziny. Mam zapasowe, ale nie będę ryzykował. Wysyłam to, jak tylko znajdę połączenie z Internetem, bez żadnego upiększania. Ludzie muszą się dowiedzieć, co tu się dzieje. A ja będę pierwszym, który im o tym opowie.

Napiszę wam ze szczegółami, godzina po godzinie, o totalnym obłędzie, w jaki zamienił się ten dzień:

9.30 – Spotkałem właśnie asystentkę Hieny. Oziębła, ale chyba nawiązaliśmy nić porozumienia. W niczym nie przeszkadza, że jest śliczna ;). Możliwe dojście do Celine??? Wciąż kiepsko się czułem, postanowiłem więc, że zanim rozpocznę polowanie na Hienę, wezmę prysznic.

Ok. 10.00 – Po drodze do kajuty przy jednym ze stołów w bufecie Lido

zobaczyłem histerycznie płaczącą dziewczynę w otoczeniu gromadki osób. Zatrzymałem się, żeby podsłuchać. Razem ze znajomkami należała do grupy singli, a jedna z dziewczyn z ich towarzystwa wczoraj zmarła. Według ochrony to zatrucie alkoholowe, ale grupa nie jest przekonana. Być może to coś groźniejszego. Nie było jeszcze żadnego oficjalnego komunikatu na ten temat, ale na pewno właśnie z tego powodu na moim piętrze odcięto dostęp do jednej z kajat. Muszę znaleźć Trining i zdobyć więcej info. Dziś rano jej nie widziałem.

10.20 – W kajucie śmierdzi ze względu na brak obiegu powietrza. Wziąłem prysznic, nie było ciepłej wody. Wciąż nie ma Trining, ale rozmawiałem z Paulem, znękanym stewardem pracującym po drugiej stronie. Twierdzi, że nic nie wie o martwej pasażerze (może kłamać), a Trining jest chora (nie daj Boże, żeby się zaraziła ode mnie).

10.30 – Gówno. Dosłownie. Wiadomość od Damiena. Problem z napędem statku. Toalety nie działają. „Pod prysznicem na rzadko, do worka na grubo”. Rozdane zostaną czerwone worki na „nieczystości”. Próbowałem spuścić wodę w swojej toalecie – kibel wydał z siebie dziwny gulgot.

Na szczęście brzuch mi już nie dokucza. Muszę znaleźć sposób, żeby pogadać z oficerem, albo nawet Damienem. Głucha cisza ze strony kapitana na temat naszej sytuacji. Zaczynam podejrzewać, że to naprawdę próba wyciszenia i jakiś spisek w porozumieniu z szefostwem Foverosa, dzięki któremu wiadomości o naszej awarii mają nie przedostać się do prasy. Ta historia może być dla mnie nie lada gratką. Spytałem Paula, czy nie można gdzieś naładować laptopa/telefonu. Dałem mu 50 dolarów, żeby posmarować trybiki.

Przespałem się, ok. 11.30 obudził mnie krzyk. Nie potrafiłem określić, skąd dobiega.

11.45 – Wróciłem na Pokład Spokoju (ale czy jest spokojny? Ni chuja). Wielkie kolejki do bufetu Lido (kanapki i hot dogi – dziękuję, postoję) więc zjadłem paczkę Serowych Chrupek, które wziąłem ze sobą na pokład. Nie zwróciłem.

Moje 2 główne cele to wyśledzenie Hieny i znalezienie powodu, dlaczego do jasnej cholery nikt jeszcze po nas się nie zjawił. Powinny być helikoptery,

a przynajmniej holowniki, może jakiś inny wycieczkowiec Foverosa. Wszyscy wokół narzekają na to, że spóźnili się na samolot, na gówniane zimne jedzenie, brak kawy i brak gorzały.

12 w południe – Postanowiłem sprawdzić Bingo. Damien na scenie. Niższy, niż można było się spodziewać, z tragicznym zarostem. Ciągłe żartował z worków na kupy. Muszę przyznać, ludzie jedli mu z ręki. Powiedział, że jeśli wkrótce się stąd nie ruszymy, będzie dodatkowy kabaret. Świetnie!

13.00 – Powłóczyłem się po statku, zaszedłem do Audytorium Gwiazdowego Marzyciela. Mnóstwo ludzi z opaskami na szyjach z napisem „Przyjaciele Celine”. Widać było, że mnie rozpoznają, więc zostawiłem ich w spokoju.

Poszedłem na pole do minigolfa. Pogadałem jeszcze raz z grupą singli. Większość z nich ma kajuty na poziomie niższym od mojego. Mówili, że niektóre z nich są zalane wodą z kanalizacji.

Od jednej z singielek (Donny z Providence) dowiedziałem się, że Celine del Ray planuje na 14.00 otwarte spotkanie. Spytałem, skąd o tym wie, a ona powiedziała, że dwóch starszych panów chodzi i wszystkim o tym mówi. Płacząca dziewczyna (Emma albo Amanda czy jakoś tak, Brytolka) twierdzi, że chce spróbować „skontaktować się z Kelly i upewnić się, co było przyczyną jej śmierci i czy ma jakąś wiadomość dla swojej mamy”.

Próbowałem wytłumaczyć im koncepcję zimnego odczytu. Nie zajarzyły.

Widziałem gościa sikającego za burtę.

13.00 – Próbowałem dostać się do Audytorium Gwiazdowego Marzyciela i obejrzeć, jak Hiena daje show, ale u wejścia zatrzymało mnie dwóch starszków, którzy rozpoznali mnie z poprzedniego wieczoru. Zastanawiałem się, czy się nie wyklócać, ale jestem kurewsko zmęczony, nie mam siły. Spróbuję później. Rozglądałem się za asystentką, ale jej nie widziałem. Poczekalem chwilę z nadzieją, że złapię Celine przy wejściu dla artystów. Bez powodzenia.

16.00 – Wielkie kolejki po jedzenie. Udało mi się zdobyć kanapkę z szynką i pomidorem i banana.

16.00 – No dobra. To jakieś szaleństwo. Nie jesteśmy na Antarktydzie w 1917. Jesteśmy w pierdzielonej Zatoce Meksykańskiej. Dlaczego nikt po nas jeszcze nie przypłynął?

Około 18.30 – Zaczynają się awantury. Ludzie nie tylko są przerażeni (no bo, hej, mieliśmy zawinąć do portu prawie 12 godzin temu), ale robią się wobec siebie napastliwi. Dwóch facetów prawie pobiło się o jakiś gówniany leżak.

Ponownie dołączyłem do „swojej” grupy.

Około 19.30 – Ludzie zgromadzeni na pokładach Lido i kąpielowym, wzdłuż bieżni do joggingu i zjeżdżalni wodnych obserwują wystrzeliwane flary. Wiwatuja, jak na idiotów przystało. Jeśli potrzebowałem jakiegoś dowodu, że mamy przerabane, to już go mam. Rozmawiałem z wyglądającym na rozsądnego gościem, starszym od większości pasażerów, który stwierdził, że według niego kapitan zabłądził albo zniosło nas poza strefę wzmożonego ruchu. Mówił, że jeśli to prawda, łatwo może nas zepchnąć na Golsztrum, a pod wpływem dość mocnego prądu skończymy w Trójkącie Bermudzkim. Wtedy zrobiło się dziwnie, a on zaczął mnie zasypywać teoriami spiskowymi. Próbowałem tłumaczyć, że TB to mit i że to wszystko bzdury, ale gość ciągle gadał o tych samolotach z II wojny światowej, które ni stąd, ni zowąd zaginęły.

Poddałem się.

Nigdy nie należy za bardzo podkurzać szurniętych.

20.30 – Stałem w kolejce po jedzenie. Postałem godzinę. Wybór był następujący:

Zimne hot dogi

Kanapki i tortille z wędliną

Preparowane na ciepło (a teraz rozmrażane) ogony homarów i krewetki. W wiadrach w opór tego wszystkiego. Ludzie przepychali się i brali pełne michy. Pewnie muszą zostać zjedzone. Nie zaryzykuję żarcia tego gówna po chorobie.

Krojone pomidory, sałatka ziemniaczana

Chleb, oliwki, krojona papryka

Całe sterty deserów. Topniejący sernik i torciki czekoladowe ociekające

wiśniową krwią.

Desery zniknęły w pół minuty.

21.30 – Posiedziałem z grupą singli, którzy gremialnie postanowili spać na pokładzie. Donna chyba próbowała mnie podrywać. Puścili w obieg butelkę taniej wódki. Nie skorzystałem.

Znowu poczułem się fatalnie, więc wróciłem do kajuty. Jestem jedyną osobą na tym pokładzie. Śmierdzi tu, ale na razie jestem za bardzo zmęczony, żeby się przenosić.

Noc.

DZIEŃ 6



Asystentka więdźmy

Ubikacja w apartamencie Celine odmówiła współpracy około czwartej nad ranem, sygnalizując swój koniec jękiem niepokojąco podobnym do ludzkiego. Maddie wstrzymywała się tak długo, jak mogła, ale w końcu nie miała wyjścia i oddała mocz pod prysznicem. Na szczęście wciąż mieli bieżącą wodę, a ona rozebrała się i umyła ciało płynem do kąpieli Celine. Zimny prysznic ani trochę nie pomógł w uporządkowaniu myśli.

Nie potrafiła zasnąć na dłużej niż kilka minut, mimo że wzięła jedną z pigułek nasennych Celine. Wciąż nawiedzały ją natrętne myśli na temat planów jej szefowej.

Nie mogąc już dłużej znieść atmosfery ostentacyjnego entuzjazmu panującej w Audytorium Gwiazdnego Marzyciela, wróciła do apartamentu Celine wczoraj wieczorem koło osiemnastej (nie było szans, żeby ośmieliła się zejść do swojej kajuty w bezdenne głębiny niższych pokładów – próbowała pójść tam, żeby zabrać rzeczy, ale przemierzyła zaledwie pół drogi korytarzem i smród zmusił ją do pośpiesznego powrotu na wyższe poziomy). Maddie kilka razy w ciągu dnia próbowała rozmawiać z szefową, ale Celine ignorowała ją, koncentrując energię na zachęcaniu Przyjaciół do znajdowania innych „mogących potrzebować naszego szczególnego wsparcia”. Innych, takich jak Helen, najwyraźniej głęboko poruszonej szkodliwymi bzdetami wygłaszanymi przez Celine. W tym tkwił problem – Maddie nie miała pojęcia, skąd Celine bierze informacje. Mogła namówić Jacoba, Juanitę i całą resztę na polowanie na przydatne jej fakty, ale Maddie nie wierzyła, żeby jej szefowa podjęła takie ryzyko. Na pewno nie sprawdzała Facebooka ani Zoopa – wciąż nie było dostępu do Internetu. Jednak w jakiś sposób Celine udało się wygłosić szereg zatrważająco precyzyjnych odczytów dla przypadkowych nieznanomych, zachęconych do udziału przez krążących Przyjaciół. A grupa się rozrastała; kiedy Maddie wychodziła, grono było dwukrotnie większe. Wśród nowo przybyłych znaleźli się: nowożeńcy z Kansas w podróży poślubnej („Wiedz, że twoja babcia wybacz ci nieobecność na pogrzebie”), chorobliwie otyła kobieta, której wyraz twarzy z rozkapryszonego „no dalej, zabaw mnie” przeszedł w minę pełną szoku i zdumienia („Wiedz, że twój mąż chce, byś poddała się operacji”) i mężczyzna na wózku inwalidzkim w towarzystwie kobiety z wymalowanym na obliczu nieustannym męczeństwem („Wiedz, że twoja siostra nie wini cię za

wypadek”). Niektórzy, w tym Helen, nie zagrzali długo miejsca, jednak zdecydowana większość postanowiła pozostać. Po części chodziło o atmosferę. Przyjaciele bardzo się starali, żeby nowo przybyli poczuli się jak u siebie, rozdawali wodę i dzielili się przekąskami, a w dodatku dwoje pracowników obsługi zostało dużo dłużej po zakończeniu swojej zmiany. Celine – stara Celine – umiała nawiązać kontakt z publicznością, ale tym razem przeszła samą siebie. Wyglądało, że jest autentycznie zaangażowana w to, co zawsze deklarowała – pomaganie innym.

Nie zwracając sobie głowy wycieraniem się w ręcznik, ciasno owinęła się jednym ze szlafroków Celine i wyszła na balkon. Słońce wlokło się po niebie, a jego przymglone światło padało na morze upstrzone czerwonymi plamami zużytych plastikowych worków. *Wysyp gównianych meduz. Cudownie.* Opadła na plastikowe krzeselko balkonowe i oparła stopy o balustradę. Przydałoby się pobiegać – zawsze miała zrzędlawy nastrój, kiedy nie udało się jej danego dnia poćwiczyć – ale na to nie było żadnych szans, skoro bieżnia została zamieniona w obozowisko. Na statku panowała cisza: gwizdy i wrzaski dobiegające z Pokładu Lido ucichły około trzeciej nad ranem.

Myślami wróciła do Celine. Jej szefowa nigdy nie robiła niczego bez powodu lub perspektywy zarobku. A Maddie była na tyle szczera wobec samej siebie, że przyznała się do poczucia krzywdy. Dlaczego Celine nie powiedziała jej, co planuje? Maddie była jej powiernicą przez trzy lata, a teraz z jakiegoś powodu Celine odsuwa ją na boczny tor?

Być może właśnie tego potrzebowała. Ostatni bodziec. Kuksaniec, który pomoże jej rzucić tę cholerną robotę. Tak. Złoży rezygnację, kiedy w końcu zawiną do portu. Wróci do Anglii – nie musi wracać do Nottingham, może zamieszkać w dowolnie wybranym mieście. Miała wystarczająco dużo oszczędności, by przetrwać kilka miesięcy. A jeśli jej się poszczęści, następny pracodawca nie będzie zbyt wnikliwie sprawdzał jej przeszłości i nie odkryje dwóch lat nadzoru sądowego, na który została skazana głównie za bycie głupią suką – jeszcze jedną babą, która spieprzyła sobie życie, zakochując się w niewłaściwym facecie.

Tak. Miała dość bycia sługusem Celine.

Odchyliła głowę i zamknęła oczy.

Obudził ją odgłos rozbryzgującego się płynu. Podskoczyła i otworzyła oczy w samą porę, żeby dostrzec nad balkonem wygięty w łuk strumień. Jakiś dupek sikał z Pokładu Lido ponad nią.

– Ej! – wrzasnęła. – Przestań!

Wybuch szyderczego śmiechu.

Poczuła mdłości i wróciła do pokoju, zatraskując za sobą drzwi na balkon. Ohyda. Jak długo może to jeszcze potrwać? Ktoś na łodzi musi wiedzieć, że coś jest nie tak – niemożliwe, żeby Foveros zdołał tak długo ukrywać awarię. Sprawdziła godzinę na telefonie – zbliżała się dziewiąta rano, czyli było później, niż myślała – i łąpczywie łyknęła haust letniej wody z butelki przy łóżku.

Rozległo się pukanie do drzwi, potem jakiś głos powiedział: „Obsługa” i do pokoju weszła Althea. Maddie nie była zdziwiona, że pokojówka jest bardziej wyciszona niż zwykle. Sytuacja tego typu to zawsze piekło dla personelu. Maddie nie wyobrażała sobie, jakie warunki muszą panować w kwaterach dla załogi. Tutaj przynajmniej można oddychać. Tam w dole na pewno się duszą. Sytuacja nie do zniesienia.

Maddie próbowała się do niej uśmiechnąć.

– Dzień dobry.

– Przepraszam, nie przynoszę pani świeżych ręczników, ponieważ nie możemy korzystać z pralni. – Althea zostawiła obok stołu butelkę z wodą oraz stertę czerwonych worków.

Chryste. Maddie modliła się, żeby do tego nie doszło. Sikanie pod prysznicem było wystarczająco odrażające.

– Gdzie jest pani del Ray?

– W Audytorium Gwiezdnego Marzyciela. Była tam przez całą noc.

– Lepiej się czuje?

Nie mam, kurwa, pojęcia, co ona czuje.

– Tak. Dziękuję.

– Spała tam?

– Nie wiem.

Maddie nie miała pojęcia, czy Celine w ogóle spała. Na dodatek uzmysłowiła sobie, że nie widziała, by szefowa piła cokolwiek oprócz wody. Ten jeden fakt powinien uruchomić dzwonki alarmowe, choć one i tak brzęczały w głowie Maddie. Zaburczało jej w brzuchu. Od wczoraj nie jadła nic oprócz herbatników maślanych, które znalazła na dnie walizki Celine.

– Wiadomo, kiedy znowu ruszymy?

– Przepraszam. Nic nie wiadomo.

Maddie nie wypytywała dalej Althei. Pokojówka wyglądała na więcej niż wyczerpaną. Była rozkojarzona i blada.

Althea zaczęła słać łóżko.

– Daj sobie z tym spokój, Altheo.

– Jest pani pewna?

– Tak. Musisz mieć mnóstwo roboty w całym tym zamieszaniu.

– Tak. – Westchnienie, które wydawało się dochodzić z głębi jej duszy. – Na tym pokładzie dwie osoby chorują.

Maddie głośno przełknęła ślinę. O Boże.

– Krąży wirus? – Xavier chorował od kilku dni. To całkiem możliwe. A dzięki swoim lekturom wiedziała, jak szybko coś takiego może się roznosić.

– Chyba tak. Starsza pani spod V25 jest bardzo chora.

– Która? Masz na myśli Helen albo Elise?

– Tak. Ta gruba. Amerykanka.

Elise.

– Był u niej lekarz?

– Wczoraj chyba był pielęgniarz.

Helen i Elise pomogły jej w potrzebie. Powinna przynajmniej sprawdzić, czy teraz to one czegoś nie potrzebują. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było narażanie się na złapanie wirusa, ale są sposoby, żeby temu zapobiec. O ile nie wejdzie do ich kajuty, nie powinna się zarazić.

– Wiele osób choruje – kontynuowała Althea. – Ale nic się pani nie stanie, jeśli będzie pani uważać na to, czego pani dotyka. Radziłabym przygotować sztućce, których nikt inny nie będzie używał. I talerz. Na wszelki wypadek.

– Dziękuję, Altheo. Jestem wdzięczna za pomoc.

– Nie ma za co. – Pokojówka zaczęła spryskiwać i wycierać górną część szafki z minibarem.

– Nie musisz tutaj sprzątać. – Maddie nie kierowała się jedynie altruizmem. Woląca nie myśleć o zarazkach, które z pewnością się czają w szmatkach do czyszczenia.

– Jest pani pewna?

– Tak. I przypilnuję, żebyś otrzymała za swoją ciężką pracę odpowiednią rekompensatę. – *Chryste, ależ to protekcyjnie zabrzmiało.*

– Dziękuję. – Althea uśmiechnęła się chłodno do Maddie i wyszła z pokoju.

Maddie przysiadła na łóżku. Co teraz? Priorytetem było odwiedzenie Helen i Elise, a później powinna pewnie znaleźć coś do zjedzenia, choć po tym, jak usłyszała o wirusie, poczuła się gorzej. Nie powinna chodzić we wczorajszych ciuchach, ale ciągle jeszcze nie czuła się na siłach, żeby udać się do swojej

kajuty po rzeczy. Dzięki temu przypomniała sobie, że od ich przedwczorajszej kłótni nie widziała Raya – na pewno nie było go wśród grupy dziwaków w Audytorium Gwiezdnego Marzyciela. Wcześniej czy później musiał się wynieść ze swojej kajuty. Bez klimatyzacji można się tam pewnie było udusić.

Po zaledwie chwilowym głębszym namyśle przekopała szafę Celine. Znalazła liliową koszulę ozdobioną cekinami ułożonymi w kształt kota – sześć rozmiarów za dużą, ale co z tego? – i włożyła ją przez głowę. Jej dżinsy musiały wytrzymać jeszcze jeden dzień – spodnie i spódnice Celine pospadałyby z niej. W szufladzie znalazła parę czarnych skórzanych rękawiczek przygotowanych na wypadek powrotu do domu podczas zimnej pogody. Wzięła jedną z jedwabnych apaszek Celine i owinęła ją sobie wokół szyi; w razie potrzeby będzie mogła nią przysłonić usta. Zarazki przedostałyby się przez nią, ale przynajmniej pomoże stłumić smród statku. Na pewno wygląda żałośnie, jak niewidzialny człowiek. Ale wolała to niż rzyganie na odległość przez następnych kilka dni.

Wyszła z apartamentu, zanim jej zapał zaczął stygnąć, i zapukała do drzwi Helen i Elise.

Minęła chwila, zanim Helen je otworzyła, a kiedy to nastąpiło, Maddie musiała cofnąć się o krok i zakryć usta ręką. Wyraźnie poczuła dochodzący z pokoju odór wymiocin.

– Przepraszam. Słabo sobie radzę z... no wiesz, choroba, zapachy. – Zabrzmiało to okropnie. – Przepraszam.

– Rozumiem. – Usta Helen drgnęły na widok stroju wyjściowego Maddie.

– Althea mówiła, że Elise jest chora.

– Tak. Jakiś wirus.

Maddie była zaszokowana jej wyglądem – mogło się wydawać, że z jej skóry wywabiono całą wilgoć i barwę.

– Jak się czuje?

– Źle.

– Czy mogę w czymś pomóc? Przynieść ci coś do jedzenia?

Helen dotknęła gardła.

– Nie jestem specjalnie głodna.

– Musisz mieć siły.

– Może tylko kanapkę. Jeśli to niezbyt duży kłopot?

– To żaden kłopot.

Maddie zawahała się, czy powiedzieć o wczorajszym spotkaniu Helen z Celine. Postanowiła tego nie robić. Helen sama wspomniałaby o nim, gdyby

chciała porozmawiać. Maddie była pewna, że Amerykanka nie należy do osób, które boją się mówić to, co myślą.

Zasłaniając apaszką usta, Maddie dotarła do schodów i przeszła na główny pokład, podzielony obecnie na enklawy utworzone z prowizorycznych namiotów i materacy, rozciągające się aż na bieżnię do joggingu i pole do minigolfa. Kolejka do mizernego bufetu – wydawało się, że otwarto tylko dwa stanowiska – wiała się od drzwi zadaszanej strefy z miejscami siedzącymi prawie do basenu. Maddie stanęła na jej końcu, próbując nie myśleć o unoszących się wszędzie zarazkach. Jej dłonie w rękawiczkach zaczęły się pocić.

Kolejka powoli posuwała się do przodu, niczym rząd powłóczących nogami zombie. Mężczyzna przed nią – Brytyjczyk o szerokiej, pospolitej twarzy i opalonym nosie – odwrócił się i uśmiechnął.

– Ładne rękawiczki. Mądrze. Wirus, tak?

– Tak.

– Moja dziewczyna się zaraziła. Straszna sprawa. Lekarz mówi, że najlepiej będzie, jak zostanie w pokoju. Mamy szczęście, że jesteśmy w jednym z apartamentów na wyższym pokładzie. Współczuję tym biedakom tam w dole.

Maddie pokiwała głową i jednym uchem słuchała jego teorii na temat powodów awarii statku, a tymczasem kolejka centymetr po centymetrze posuwała się do przodu.

Maddie wzięła dwa talerze z ogołoconej sterty i podskoczyła, gdy ktoś klepnął ją w ramię.

– Nie możesz tego robić – warknęła kobieta stojąca za nią.

– Robić czego?

– Zapasów jedzenia. Możesz wziąć tylko jeden talerz. – Skrzyżowała ręce na piersi i gapiała się na Maddie.

Maddie spróbowała się przyjaźnie uśmiechnąć.

– Nie robię zapasów. Chcę zanieść coś do jedzenia mojej znajomej. Ona nie może opuścić swojej kajuty.

– To będziesz musiała stać dwa razy.

Jezu.

– Nie mam zamiaru. Słuchaj. Nic wczoraj nie jadłam, więc nie chodzi o...

– To twój problem. Nie można robić zapasów.

Ludzie stojący za nimi wydali z siebie pomruk aprobaty. Maddie spojrzała na przyjaznego faceta przed nią, ale ten się odwrócił. Nagle zachciało jej się płakać. *Nie poddawaj się.* Nie przetrwałyby długo jako asystentka Celine, będąc

zwykłym popychadłem. Spojrzała prosto w oczy stojącej za nią kobiecie.

– Co w takim razie ma zrobić moja znajoma? Nie może opuszczać kajuty.

– To nie mój problem.

Poczuła nagle i gorące uderzenie gniewu.

– To problem wszystkich, głupia suko.

Maddie zaszokowała samą siebie. Najpierw Ray, teraz to.

Kobieta zamrugła.

– Jak mnie nazwałaś?

– Słyszałaś.

– Nie... nie można...

– To ty się mnie czepiasz. Lepiej pilnuj swoich spraw, co?

– Mamy tu zasady. – Kobieta ważyła jakieś dwadzieścia kilo więcej od niej, ale Maddie miała nadzieję, że sprawy nie zajdą na tyle daleko, by miało to znaczenie. Rozejrzała się w poszukiwaniu ochroniarza, ale żadnego nie było w zasięgu wzroku. – Nie można się w ten sposób do woli częstować, skoro wszyscy musimy stać w kolejce. To nie fair!

Rozdzielił je mężczyzna – blogger Xavier. Dotknął ręki Maddie i powiedział:

– Dzięki, kotku. – Zanim zdążyła zareagować, zwrócił się do oburzonej kobiety:

– Zajęła mi kolejkę.

Kobieta nie dała się ugłaskać.

– Ona ma dwa talerze. Robi zapasy. A nie wolno. I nie wolno zajmować kolejki.

– Tak. Przepraszam. Musiałem... – Poklepał się po brzuchu. – No, wiesz.

Kobieta się skrzywiła.

– Nigdy więcej tego nie róbcie.

– Jasne, na pewno nie zrobimy. Dzięki za wyrozumiałość.

– Taak, akurat.

Kobieta przez moment patrzyła na Maddie, ale ta nie odwróciła wzroku.

– Masz jeszcze jakiś problem?

Kobieta spuściła oczy.

– Nie.

Mężczyzna przed Maddie odwrócił się i powiedział:

– Napięte nerwy?

– Tak, dzięki za pomoc, dupku – powiedziała, ponownie zaskakując samą siebie, a Xavier parsknął. Mężczyzna zaczerwienił się i odwrócił wzrok. – Dzięki, że to zrobiłeś – wyszeptała do Xaviera.

– Żaden problem. Mądrze wykombinowałeś z tymi rękawiczkami. Szkoda, że sam o tym nie pomyślałem. Podobno norowirusa można złapać wielokrotnie. To by dopiero była wisienka na torcie.

W końcu przyszła ich kolej. Na oba jej talerze trafiły kanapki z wędliną. Chleb wyglądał nawet świeżo. Podziękowała kelnerowi, ten jednak patrzył na nią oczami bez wyrazu, jakby miał na twarzy maskę.

– Naprawdę masz zamiar to zjeść? – zapytał Xavier.

– Nie jadłam nic od wczoraj.

Spojrzał na nią badawczym wzrokiem.

– Chodź ze mną, chcę ci coś pokazać.

– Co?

– Coś ciekawego.

Maddie podniosła talerze.

– Muszę to zanieść znajomej.

– Pójdę z tobą.

– Nie, zaczekaj tu. Za moment wracam. – Nie znała go. Nie było najlepszym pomysłem pokazywać mu, gdzie dokładnie znajduje się kajuta Celine.

Uśmiechnął się do niej ironicznie.

– Dobra.

Pośpieszyła z powrotem w kierunku atrium i dalej, na pokład dla VIP-ów. Przed jednym z apartamentów leżała sterta zabrudzonych czerwonych worków, starała się nie patrzeć w ich stronę.

Helen odebrała jedzenie ze zmęczonym uśmiechem, a Maddie wróciła do kajuty Celine. Ugryzła kanapkę, chleb na jej języku miał konsystencję dywanu, odłożyła więc resztę do lodówki w barku – bez sensu, przecież nie działała.

Mogłaby tu zostać. Czy naprawdę chce zadawać się z tym blogerem? Jednak musiała przyznać, że trochę ciekawiło ją, co takiego chciał jej pokazać. Chrzanić to. Co innego miała do roboty?

Kiedy do niego wróciła, przywitał ją zawadiackim salutem.

– Myślałem, że może zmieniłaś zdanie.

– Co chcesz mi pokazać?

– Chodź. To zajmie sekundę.

Gestem wskazał schody wiodące na bieżnię do joggingu. Młoda kobieta w bikini pozdrowiła go i spojrzała zdziwionym wzrokiem na Maddie, kiedy zygzakiem mijali materace i krzesła rozłożone na pokładzie. Kilka osób patrzyło na nich, jakby wkraczali na prywatny teren. Zażenowana swoim cudacznym ubiorem Maddie wlepiła wzrok w plecy Xaviera, a ten wszedł na taras widokowy. Dołączyła do niego i spojrzała w dół na pasażerów i załogę rozrzuconych po pokładach Lido i głównym. Czuła lekki zawrót głowy.

– Patrz. – Xavier zbliżył się do niej i wskazał palcem dziób statku. Daleko, na lewej burcie mała grupka członków załogi krzątała się wokół jednej ze służbowych łodzi ratunkowych.

– Co oni robią?

– Ktoś wypływa. Ktoś ma zamiar wypłynąć i sprawdzić, co się, do cholery, dzieje. Co może oznaczać tylko jedno. To, że siedzimy po uszy w gównie.

– Wysyłają łódź ratunkową?

– Statek pomocniczy. Jeden z tych z większym silnikiem. Wiesz, takich, którymi przewozili nas na wyspę Foveros. Właściwie nic więcej nie musimy wiedzieć na temat naszej sytuacji. Gdyby wiedzieli, że nadchodzi ratunek, czemu wysyłaliby statek? To musi oznaczać, że nie jesteśmy tam, gdzie powinniśmy być.

– Dlaczego po prostu nie wezwali pomocy przez radio?

– Wi-Fi nie działa, może radio też nawaliło. Coś tu nie gra. Pamiętasz, jak zaginął „Piękny Cud”? – Maddie nie pamiętała, ale dla świętego spokoju pokiwała głową. – Godzinę po tym, jak statek stracił napęd, wiedział o tym cały świat. Ten szajs trwa już drugi dzień i nic się nie dzieje. Jesteśmy zdani na siebie. Dużo dłużej nie dadzą rady tego ukrywać. Muszą dziękować szczęśliwym gwiazdom za norowirusa. Widziałaś, co się działo w tej kolejce. To tylko kwestia czasu, zanim wybuchnie bunt na całym. Na statkach nie ma broni.

– Nie dojdzie do czegoś takiego.

– Serio? Tak uważasz?

Usłyszeli sygnał dźwiękowy, a po nim:

– Dobry dzień, panie i panowie. Tu Damien, wasz opiekun rejsu. Chciałem tylko poinformować, że kapitan wkrótce przekaze państwu informację na temat dalszego rozwoju wypadków. Tymczasem nasza pokładowa celebrytka Celine del Ray wspomniałomyślnie zaproponowała występ dla wszystkich, którzy będą chcieli się do niej przyłączyć. Za pół godziny pojawi się w Teatrze Śmiałych

Snów.

Xavier popatrzył znacząco na Maddie.

– To miejsce jest trzy razy większe od tego całego Audytorium Gwiazdowego Marzyciela z piekła rodem. Musi się spodziewać niezłej frekwencji. Próbowałem się tam wczoraj dostać, ale mnie nie wpuścili.

Maddie parsknęła z dezaprobatą.

– Też mi niespodzianka.

– Co ona wyprawia, tworzy sektę?

– Nie mam pojęcia, co wyprawia. To do niej zupełnie niepodobne. W ciągu jednej nocy przeszła radykalną przemianę osobowości. Twierdzi, że pomaga ludziom.

– Wczoraj mówiłaś, że to właśnie jej specjalność, koniec kropka.

Cholera. Ale jakie miało znaczenie, co powie Xavierowi? I tak chce odejść. Ma wszystko zaplanowane.

– Tak, ale pomaga ludziom i nie chce za to pieniędzy. To zupełnie nie w stylu Celine.

– Aha.

– W dodatku nie mam pojęcia, skąd bierze informacje, które wykorzystuje.

– Zwykle wszystko googluje, tak? A reszta, jak się domyślam, to zimny odczyt.

Maddie wzruszyła ramionami. Nie była gotowa, by posunąć się tak daleko.

– Może. – Czy to możliwe, że brudną robotę odwalił za nią Ray? Nie widziała go nigdzie w pobliżu audytorium od ich wczorajszej kłótni, możliwe jednak, że Celine wysłała po niego kogoś z Przyjaciół.

Daleko na statku pomocniczym oficer w białym uniformie gestykułował zwrócony w stronę dwójki mężczyzn w niebieskich kombinezonach.

– Chciałbym z nią pogadać – powiedział Xavier.

– No ba.

– Mogłabyś mnie tam wprowadzić. No weź, jesteś mi winna przysługę. Wybawiłem cię z opresji w tamtej kolejce, przyznasz?

Znowu się do niej uśmiechnął. Niekoniecznie nazwałaby go atrakcyjnym i zdecydowanie nie był w jej typie (choć ostatnio trudno było powiedzieć, że w ogóle ma jakiś typ), ale nie był też jakimś pasztetem, jak to ona i jej koleżanki mówiły w szkole. Chryste, a to skąd się wzięło? Maddie przemyślała sprawę. Celine była idealną przeciwniczką dla Xaviera i mogłoby się zrobić ciekawie.

– Czemu nie? Chcesz poznać Celine? Zabiorę cię do niej.

– Super.

Opuścili pokład główny i ruszyli w kierunku teatru. Xavier wciąż gnębił ją pytaniami o metody medium, ale Maddie trzymała go na dystans. Nie zamierzała aż tak bardzo ułatwiać mu zadania.

Do teatru napływał niewielki, ale równomierny strumień pasażerów. Nie było widać Jacoba ani Eleanory, ani żadnego z Przyjaciół, ale kiedy ostatnia grupa minęła drzwi, Maddie zauważyła, że przed wejściem, z rękoma skrzyżowanymi na piersi i lekko rozstawionymi nogami, stoi Ray. Pozycja wykidajły.

– Załatwię to – wyszeptała do Xaviera.

Ray powitał ją jednym ze swoich nieszczerych uśmiechów.

– Hej, tygrysku. Celine mówiła, że się pojawisz. Co ty, do diabła, masz na sobie?

– Wydawało mi się, że olałeś Celine. Co ty tu robisz?

– Cóż, mała, okazuje się, że tutaj jest centrum wydarzeń. Wracam do roboty.

– Coś przemknęło przez jego twarz.

– Coś ci powiedziała, Ray?

– Ale tam. – Kłamał.

Celine z całą pewnością mogła spożytkować jakiś fakt z dossier, które dostała z jego agencji ochrony. Przekręcić, sprawić, że zabrzmiał jak coś, o czym nie miała prawa się dowiedzieć. Ale Maddie nie była w stanie tego zrozumieć. Ray znał sztuczki Celine. Może naprawdę był tak głupi. A może istniał jakiś inny powód, dla którego wrócił do pracy.

– Ile ci płaci na boku?

Uśmiech cwaniaka.

– Hej. Nie ma jak premia, co nie? – odparł i wtedy najwyraźniej zauważył Xaviera. – To ty, koleżko, próbowałeś się tu wbić któregoś wieczoru?

– Tak.

– Co robisz z tym gnojkiem, Maddie?

– Chcemy się zobaczyć z Celine. – Maddie ruszyła, chcąc wyminąć Raya.

– Przepraszam, mała. Celine nie chce cię oglądać.

– Co ty wygadujesz?

– Masz szlaban. Aż do odwołania.

– To moja szefowa.

Wzruszył ramionami.

– Taki mam rozkaz. Nie próbuj się dostać innym wejściem. Wszystkie są zabezpieczone. Celine mówi, że nie jesteś jeszcze gotowa.

– Gotowa na co?

– Tylko przekazuję wiadomość, mała.

– Przepuść mnie.

– Nie da rady, Maddie.

– Mamy ci zapłacić? – zapytał Xavier.

– Proponujesz mi kasę?

– Tak.

– Jesteś szmalowny dzieciak?

– Radzę sobie.

Ray pokiwał głową.

– Czaję. Wykombinowałeś, że durny stary pies łyknie łapówkę?

– Tego nie powiedziałem.

– Słuchaj, Ray – wtrąciła się Maddie. – Nie ma powodu, żeby robić z tego awanturę. Pracuję dla Celine od lat, a ty...

– To przestrzeń publiczna, nie możesz nas zatrzymać – przekrzyczał ją Xavier.

– Tylko spróbuj.

Maddie zdała sobie sprawę, że za nimi rośnie kolejka. Ludzie chcieli widowiska i właśnie za chwilę mieli je zobaczyć. Spróbowała użyć swojego czaru.

– No co ty, Ray. Tylko na chwilę. Nie zostaniemy długo. Możesz powiedzieć Celine, że się zakradliśmy. – Po co w ogóle się wysiła? Wiedziała tylko, że nagle wejście na salę stało się dla nie bardzo ważne.

Xavier wyciągnął z portfela dwie studolarówki i powachlował nimi przed Rayem.

– Bierz.

– Nie chcę twojej kasy.

– Bierz.

– Powiedziałem: nie chcę twoich pieniędzy.

– No co ty, gościu. Dwieście dolców, gdzie taki facet jak ty...

Ray rzucił się do przodu, chwycił blogera za koszulę, przyciągnął go do

siebie i potraktował go ciosem głową prosto w twarz. Xavier zachwiał się, zaciskając dłonie wokół nosa. Maddie zamarła, rzuciła się podtrzymać Xaviera, dopiero gdy jakaś kobieta za nimi zaczęła pisać.

Ray pochylił się nad nią.

– Wypierdalaj, Maddie. – W jego oddechu wyczuła alkohol. – Spadaj, i to już.

Człowiek potępiony

Przytulnie. Ciepło. Sennie. Gary dobrze się tu czuł, było wygodnie i cicho. Białe ściany, ciepłe powietrze, duszno, ale do zniesienia. Obrócił się na bok. Na łóżku obok leżał mężczyzna z grubym bandażem na ręku. Był ogorzały jak pirat i patrzył prosto przed siebie z otwartymi ustami. Gary wygiął szyję, by spojrzeć tam, gdzie on.

Potężny czarny facet w ogrodniczkach, z wymiętą twarzą stał pod ścianą naprzeciwko, przechylając głowę i załamując ręce. Gary nie widział jego oczu, były ukryte w bruzdach twarzy. Gdzieś w głębi umysłu zarejestrował fakt, że powinno go to niepokoić, ale z jakiegoś powodu było inaczej.

– Hej – wychrypiał Gary.

Mężczyzna w ogrodniczkach wysunął z ust szary język i przyłożył palec do ust.

– Ciiiiiii.

– Przepraszam – wyszeptał Gary. – Pracuje pan tu?

Cokolwiek „tu” miało oznaczać. Statek. Oczywiście! Był na statku. Uuuuu. Jego głowa. Skołowana. Wszystko się wymieszało.

– Ciiiiiii.

– Nic nie powiem.

Olbrzym zachichotał, a Gary zachichotał razem z nim. Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. Lubił tego gościa. Jak mówiły dzieci w szkole: był w porzo.

Czy to noc? Dzień? Która godzina?

Kogo to obchodzi? Mmmmm. Było mu dobrze, jakby owinięto go watą cukrową. Jakby unosił się w wielkiej wannie z ciepłą wodą. Opatulił się jeszcze dokładniej okrywającym go prześcieradłem. Aua. Coś szczypało go w ramię, spojrzał w dół i zobaczył rurkę wijącą się od zgięcia jego łokcia. Uch, nie. Musi ją wyrwać. Ciągnął i ciągnął, ale nie chciała się odłączyć. Taśma. Trzymał ją plaster.

Odklej go. Jego palce odmawiały posłuszeństwa, ale wtedy zrozumiał. To nie jego palce! Nie są przytwierdzone do jego ciała. Nie należą do niego. Zupełnie odrętwiałe. Mimo to mógł nimi poruszać. Tak. Poruszać palcami tego kogoś za pomocą siły swojego umysłu. Złap plaster, złap, odklej końcówkę i... rwiijij.

Wyrwał igłę i patrzył, jak krew strumyczkiem powoli spływa po przedramieniu. Była bardzo czerwona. Tak jest okej. Dużo lepiej. Spróbował podnieść głowę, żeby przyjrzeć się mężczyźnie z zabandażowaną ręką, ale była ciężka. Zmęczenie. Spać. Tak, byłoby miło. Utnie sobie krótką drzemkę.

Szturchnięcie w ramię. Otworzył oczy. Czy spał? Nie był pewien, ale głowa już tak nie ciążyła.

Jego sąsiad jęczał i mruczał coś w języku, którego Gary nie rozumiał.

Gary zamrugał i rozejrzał się ponownie po pokoju. Białe ściany. Oczywiście. Teraz zrozumiał. Potężny mężczyzna w ogrodniczkach był teraz bliżej. Gary wciąż nie widział jego oczu.

– Jestem w szpitalu? Przewróciłem się?

– Ciiiiiii.

Nagle mężczyzna znalazł się koło drzwi, z palcem na ustach, skinieniem nakazując Gary'emu, by poszedł za nim.

– Pora iść?

Mężczyzna nie odpowiedział.

Podnieś się, podnieś. Wstań. Kopnięciem odrzucił pościel, która zaplątała się wokół jego nóg. Właśnie miał poprosić mężczyznę o pomoc, ale jego już tam nie było. Krew na wewnętrznej części ramienia powoli wysychała. Rdzawe strupki. Wytrzeł ją prześcieradłem. Powoli, powolutku. Uuu. Podłoga pod jego stopami miała gąbczastą konsystencję. Potknął się o torbę na wpół ukrytą pod łóżkiem. Rzeczy. Jego okulary. Gdzie są jego okulary? Nieważne. Bez nich nie jest ślepy, miewa tylko bóle głowy.

– Wychodzę – powiedział do mężczyzny z zabandażowanym ramieniem, który teraz skulił się jak dziecko. – Pa, pa.

W ustach czuł dziwny smak, jakby ssał kredę. Jak się tu dostał? Może upadł. Miał mały wypadek. O, kurczę.

Powłócząc nogami, doszedł do drzwi, przedryfował przez nie i przepłynął obok biurka w stronę kolejnych drzwi. Te były ciężkie i dopiero po kilku próbach udało mu się zmusić własną ręką do przekręcenia klamki. Wyszedł na korytarz.

Jak przez mgłę zauważył biegnących w jego kierunku dwoje ludzi. Mężczyznę i kobietę. Czerń i biel, mahoń i kość słoniowa. Spodobał mu się wygląd kobiety, była...

Nie.

Mężczyzna miał krew na twarzy.

– Jest tam lekarz? – zapytała go kobieta.

Gary nie mógł mówić i musiał iść dalej. Mężczyzna w ogrodniczkach czekał na niego przy schodach. Pokiwał zakrzywionym palcem, a Gary ruszył za nim. Schodami w górę, podłoga znów zaczęła się ruszać. Szedł dalej, płynnym, kołyszącym krokiem. To było całkiem przyjemne. Jego przyjaciel cały czas zachęcał go do dalszej drogi. Nie chciał stracić go z oczu. Miał wrażenie, że go zna. Skąd? Dziura w pamięci.

Marilyn. Powinien ją odnaleźć. Którędy?

Skręcił, mijając kobietę wycierającą dywan. Zapach przypominający rzygowiny.

– Dobrze się pan czuje?

– Tak. Muszę znaleźć Marilyn.

Przed nim stały dwie kobiety – rozmawiały z mocnym ożywieniem, zasłaniały mu przyjaciela. Jedna odwróciła się i zmierzyła go wzrokiem. Skóra na jej twarzy przypominała popękany wazon – miała tyle zmarszczek!

– Pomóc panu w czymś? – spytała.

– Na górę – zachichotał Gary. Jego przyjaciel wbiegał po schodach przed kobietami. Gary przepchnął się, próbując za nim nadążyć.

– Hej! – krzyknęły za nim.

Gary ponownie skręcił, ale mężczyzna zniknął. Dokąd teraz? Miał kajutę, może Marilyn jest właśnie tam, ale nie mógł tam pójść. Nie mógł nawet o tym myśleć. Coś się tam stało, ale przypominał sobie jedynie wstrętny smród. Wchodził coraz wyżej, aż doszedł do atrium. Pamiętał to miejsce. Przesunął palcami po świątecznych dekoracjach wplecionych w poręczce. Mmmm. Ładne. Wcześniej tak naprawdę nigdy się im nie przyglądał. Święta, lubił święta.

Potem wyszedł na zewnątrz, napierając na brudną szybę. Morze – kochał morze. Podryfował w kierunku relingu, potykając się o parę wyciągniętych nóg.

– Uważaj, gościu! – warknął ktoś w jego stronę gburowatym tonem.

Gary go zignorował. W jaki sposób znajdzie Marilyn w takim tłumie? Poczul ucisk w klatce piersiowej. Pragnął, by jego przyjaciel wskazał mu drogę.

Stał bez ruchu, o ile było do możliwe, i spoglądał w dół na fale. Coś unosiło się na wodzie. Falowało i dryfowało jak on. Coś czerwonego i lśniącego. Słońce grzało go prosto w głowę. Podniósł twarz i zamknął oczy. Mmmm.

– Gary!

– To twoja zguba, kochanie?

– Gary! To ty?

Otworzył oczy i odwrócił się. Stał teraz obok ludzi tworzących kolejkę. Jak się tu dostał? Marilyn. Oto i ona. Jego żona. Boże, ależ jej nienawidził. Wszystko otaczała mgła, ale to akurat pamiętał. Opalona twarz, usta jak blizna, zbyt wąskie wargi. Nie takie, jak...

Nie.

– Gary. Byłeś nieprzytomny przez ponad dobę. Kochany. Tak bardzo się martwiłam.

Zmusił się do odpowiedzi. Nadchodziła z daleka, jakby słuchał siebie samego na drugim końcu rury.

– Co się ze mną stało? Upadłem?

Do Marilyn dołączył mężczyzna o szaroniebieskich oczach. Gary wygrzebał z pamięci jego imię: Mason.

– Wypuścili cię, Gary?

Przytaknął. Czy aby na pewno?

– Co się ze mną stało? – Jego daleki głos brzmiał rozpaczliwie, ale jemu wcale nie chciało się płakać.

– Nie pamiętasz? – zapytała Marilyn.

– Nie.

Marilyn zerknęła na Masona.

Gdzieś z tyłu głowy pojawił się ślad po wspomnieniu. *Palce.*

– Kochanie... ty... Trudno mi o tym mówić. Leżałeś nieprzytomny w kajucie, a kiedy próbowali cię przenieść, zacząłeś krzyczeć. Dali ci jakiś środek uspokajający.

Ucisk z tyłu głowy. *Palce. Palce i...*

Nie.

– Tak bardzo się martwiłam. Odwiedziłam cię, pamiętasz to? Wczoraj wieczorem przyniosłam ci czyste rzeczy. Kochanie, Mason bardzo mi pomaga. Poszedł ze mną do kajuty po resztę moich rzeczy.

– Ale śmierdzi tam na dole – burknął Mason. – Nie odwalisz już żadnego numeru, co?

– Co się stało, Gary? Ktoś cię napadł? Ktoś ci dosypał do drinka jakiegoś niebezpiecznego narkotyku czy coś w tym stylu? Możemy ich pozwać.

– Tak. Mają na tych cholernych krypach problemy z bezpieczeństwem. Muszą się bardziej postarać. I jeszcze ta dziewczyna.

– Dziewczyna? – zapytała Marilyn.

Jego dziewczyna. Mówili o jego dziewczynie, ale ona była...

– Znaleźli ją martwą w jej kajucie. Sam dowiedziała się od kogoś z grupy tej dziewczyny, kiedy dziś rano stała w kolejce po hot dogi.

Marilyn położyła rękę na gardle.

– O mój Boże. A co jeśli ten, który to zrobił, zaatakował też i ciebie, Gary?

– Hej, co to za ciuchy, stary? Chcesz wyglądać jak ci goście z *Policjantów z Miami*?

Gary spojrział na siebie. Nie pamiętał, kiedy się ubierał. Rozporek krótkich spodni był rozpięty, a przez otwarty zamek widać było kępkę włosów łonowych. Miał na sobie rozpiętą koszulę.

– Ja...

Mason klepnął go w ramię.

– Idziesz z nami. Organizujemy się. Mamy bezpieczne miejsce.

Marilyn wzięła go pod ramię i poprowadziła w kierunku metalowych schodów. Jego przyjaciel – gdzie był jego przyjaciel? Gary rozejrzał się za nim, ale nigdzie go nie dostrzegł.

– Urządaliśmy się na Pokładzie Spokoju, kochanie – powiedziała Marilyn. – Mason pilnuje, żeby nie zrobiło się tu zbyt tłoczno.

Mason chrząknął. Mason miał żonę, Gary o tym pamiętał. Plastikowa kobieta, jak lalka.

– Musimy robić kupę do worków. Czy to nie jest okropne? Mason chce porozmawiać z kapitanem, ale wciąż go zbywają.

– Dam radę. Nie mają prawa trzymać nas w takiej niepewności. W dodatku nas okłamują. Facet z naszej grupy jest technikiem od komórek. Wziął ze sobą supernowoczesny sprzęt. Nie może go uruchomić. Twierdzi, że to jakaś poważniejsza awaria.

– Cały czas dryfujemy, kochanie. Nie możemy wrócić do kajut, więc większość przebywa na pokładzie...

Gary pozwolił, żeby rozmowa po nim spłynęła. Słońce świeciło mu w oczy.

– ...pewnie będzie trzeba wejść na mostek od strony kantyny. Są tam schody, których możemy użyć.

Ktoś krzyknął:

– Patrzcie!

Rozległ się sygnał, a po nim:

– Dobry dzień, panie i panowie. Tu Damien, wasz opiekun rejsu. Jestem

pewien, że jesteście państwo wdzięczni wszystkim wspaniałym członkom załogi... – Gary usiłował skoncentrować się na słowach komunikatu, ale nie było to łatwe – ...dziękujemy państwu za cierpliwość. Za chwilę przemówi do państwa kapitan statku, Giuseppe Leonidas. Jak zapewne zauważyliście, za chwilę zostanie zwodowany jeden z naszych statków pomocniczych.

Nastąpiła długa przerwa, rozległ się trzask, a następnie dało się słyszeć głos z wyraźnym akcentem:

– Pani i panowi, ja przepraszam nie mówić do państwo wcześniej. Ciężko pracujemy nad usunięciem usterki. W skrócie chodzi o awarię generatora. Niewielki pożar spowodował zerwanie połączenia. Dopóki tego nie naprawimy, nie będziemy mieć mocy, żeby płynąć. Wielokrotnie próbowaliśmy się też skontaktować z kontrolą rejsu, aby sprowadzić pomoc, ale zero odpowiedzi. Próbowaliśmy wiele sposobów. Jesteśmy przekonani, że...

Spojrzenie Gary’ego zatańczyło. Chciał się położyć, znowu zasnąć.

Głos Marilyn docierał do niego tylko częściowo:

– ...znaczy, Mason? ...dobry znak?

– Przynajmniej w końcu zaczęli coś robić... hej... za dobrze... tutaj, jeśli ma...

Odgłosy wiwatowania.

– Jest statek!

Ludzie przepychali się obok Gary’ego, próbując stanąć jak najbliżej relingu, a on czuł, jak ich skóra skrzypiała, kiedy się o niego ocierali. Został sam obok jacuzzi. Gapił się na ich ciała, ustawione w jednym szeregu. Nie było wśród nich jego przyjaciela, ale...

Jego dziewczyna. Była tam jego dziewczyna.

Nie. Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie.

Blondynka. Jego dziewczyna była blondynką. Miała nadwagę. Stała tam, odwrócona do niego plecami. Kusiła go. Po cichu podkradł się do niej. Więc jednak żyła. Był tego pewny.

Chwycił ją za rękę. Zapiszczała i odwróciła się. To nie jego dziewczyna. To nie była ona.

– Co robisz, do chuja?! – wrzasnęła.

– Przepraszam, przepraszam. – Cofnął się, a jego nogi zaplątały się w krzesło stojące za nim. Poczul, jak upada w zwolnionym tempie i ląduje całym ciężarem ciała na kości ogonowej. Spojrzał w górę, a słońce sprawiło, że gapiący się na niego ludzie wyglądali jak duchy. Widział ich twarze, ale wszystkie pozbawione

były oczu.

Usłyszał Marilyn:

– Och, Gary.

A potem w jego głowie otworzyła się dziura i wciągnęła go do środka.

Służebnica diabła

W pralni, gdzie zwykle było jak w ulu, zawsze pełnej mydlanych zapachów, głosów i warkotu gigantycznych maszyn, teraz panowały pustka i ciemność. Do tego zalatywało stęchlizną. Althea wtargała do środka worki z brudną pościelą i ręcznikami i zostawiła je w rogu. *Teraz to już nie mój problem*. Większość należała do Linemanów. Pani Lineman nie ruszyła palcem, żeby jej pomóc, i nie wyglądała na ani trochę zażenowaną, że ich pokój zamienił się w chlew pełen zapaskudzonych ręczników i prześcieradeł, poplamionych płynami ustrojowymi. Doprowadzenie go do porządku zajęło Althei ponad godzinę. Ale i tak świadomość, że ten głupi *bastardo* musi się wypróżnić do worka, prawie wynagrodziła jej całą dodatkową robotę. Dla odmiany Helen nalegała, że zmieni pościel sama, i grzecznie zapytała Altheę, czy ta może przynieść wiadro, środek czyszczący i szmaty, by również sama mogła sprzątnąć po Elise, jeśli zajdzie taka konieczność. Tak, obowiązkowo musi jeszcze raz pójść i sprawdzić, czy Elise i Helen nie potrzebują pomocy.

Zaskoczyło ją, że na statku nie ogłoszono czerwonego alarmu. Przez te kilka lat przeżyła dwie epidemie norowirusa i zwykle była to część standardowej procedury. Althea nie miała zamiaru się zarazić. Zasada jest prosta: myć ręce i używać środka dezynfekującego. Nie dotykać żadnych powierzchni bez rękawiczek i nie żałować wybielacza w sprayu. Od sterburty chorowało dwoje kolejnych pasażerów. Electra nie pojawiła się w pracy w swoim rejonie, ale Althea upewniła się, że niczego im nie brakuje. Kiedy statek w końcu dobieje jakoś do brzegu, o ich długim zaginięciu zrobi się bardzo głośno. A po wszystkim pasażerowie zapamiętają właśnie Altheę. Ani razu nie opuściła stanowiska pracy. Jednak zaczynało się jej to dawać we znaki. Uczucie wyczerpania rozchodziło się od nóg w górę, powoli niczym palący kwas. Nie sypiała zbyt dobrze. Jakżeby mogła? Wczoraj w nocy chłopiec przyszedł do niej we śnie (przynajmniej miała nadzieję, że tylko we śnie). Skulił się w nogach jej łóżka, a ona ledwie śmiała oddychać, bojąc się, że go obudzi.

Wtedy z łazienki wyszła Mirasol, trzasnęła drzwiami, a chłopiec... chłopiec zniknął. Być może chłopiec, którego widziała, to jej syn. Dziecko w jej brzuchu. Maleństwo, które niedługo urodzi. Miał jej powiedzieć, że musi zaakceptować swój los. Pokręciła głową. *Loco*. W jej rodzinie nie było przypadków szaleństwa, choć siostra miała skłonności do nerwów, a po urodzeniu trzeciego

dziecka zrobiła się humorzasta, nieracjonalna i zamknięta w sobie. Ale to normalne. Althea widziała to wiele razy. Nie. Wszystko przez stres. Sytuacja była przerażająca. Nawet starzy wyjadacze, którzy od lat pracowali na statkach, mieli pietra. Internet wciąż nie działał, a Angelo powiedział, że w zapasowych agregatach już niedługo wyczerpie się paliwo. Paulo miał u siebie w kajucie radio CB, ale nawet on nie odbierał sygnału. Wielu członków załogi, wypłoszonych z kajut przez smród niefiltrowanych ścieków i strach przed nieznanym, postanowiło spać na pokładzie służbowym lub bardziej przestronnych pokładach towarowych. Po pokładach służbowych krążyły niestworzone historie: statek jest nawiedzony, martwa dziewczyna z kostnicy ożyła i leży, czekając na okazję, by na śmierć wystraszyć bardziej brawurowych śmiazków. Wciąż mieli dostęp do bieżącej wody, można więc było wziąć prysznic, ale nic poza tym. Althea cieszyła się, że czyszczenie toalet dla załogi nie należy do jej obowiązków.

Zmusiła się do ruchu i poszła w stronę biura Marii. Zawahała się, czy nie stanąć przed wejściem i nie spróbować czegoś podsłuchać, ale Maria zauważyła ją, zanim mogła zniknąć jej z oczu.

– Wejdz, Altheo.

Mirasol, która najwyraźniej wcześniej płakała, na jej widok uśmiechnęła się z ulgą. Po wczorajszej napaści został jej jedynie leciutki siniak pod lewym okiem.

Maria złożyła ręce i oparła się o biurko.

– Jeśli nie chcesz pracować, nie będę miała innego wyboru, jak ci podziękować.

– Przecież mówiłam, że nie dam rady tam zejść!

– Rozumiem, że wczoraj przeżyłaś szok, Mirasol. Zapytałam, czy jesteś zdolna do pracy. Powiedziałas, że tak. Teraz mówisz, że nie. To w końcu jak?

– Nie ma tam pasażerów. Dywany są mokre. Toalety się pozatykały. I... i są tam duchy.

Maria westchnęła.

– Mogę to zrobić – odezwała się Althea. – Pójdę tam.

Obyłaby się bez dodatkowej roboty, ale musi pozbyć się myśli o chłopcu. To właśnie tam pierwszy raz go widziała.

– Altheo, nie możesz – jęknęła Mirasol. – Tam jest Dama. Mówiłam ci.

– Nie boję się.

– Mirasol, proszę, wyjdź. – Maria nie wytrzymała.

Mirasol rzuciła Althei wystraszone spojrzenie i wybiegła z pokoju.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić, Altheo?

– Jestem pewna.

– Dobrze. Dziękuję. – Ledwo dostrzegalny uśmiech wdzięczności. – Chciałabym, żebyś wyniosła pościel. Mirasol ma rację. Toalety się tam pozapychały. – Maria ponownie westchnęła. – Serwisanci też nie chcą tam chodzić. Ależ bałagan.

Dziś szefowa też nie miała brwi. Na chwilę jej fasada pękła i pojawił się na niej skrywany wcześniej wyraz zaniepokojenia – jeszcze parę dni wcześniej Althea zapłacałaby, byle tylko móc zobaczyć coś takiego na jej twarzy. Maria traciła panowanie nad sobą. Dobrze. Czas najwyższy, żeby ta *puta* zaliczyła wpadkę. Ale Althea pozostanie silna.

– Czy mogę jeszcze w czymś pomóc, Mario?

Szefowa spojrzała na nią ostrym wzrokiem. Althea chyba trochę przeszarżowała.

– Wystarczy. Możesz odejść.

Mirasol czekała na nią przed wejściem.

– Myślisz, że stracę pracę, Altheo?

– Nie, oczywiście, że nie. Maria jest zestresowana i wyżywa się na tobie. Nie zwracaj na nią uwagi.

– Ale wystarczy jedno jej słowo i wyrzucą mnie ze statków. Nie stać mnie na utratę pracy. Jestem winna agencji mnóstwo pieniędzy.

Althea westchnęła bezgłośnie. Ta dziewczyna już zaczynała ją męczyć.

– Zaufaj mi. Wszystko się ułoży. Nie stracisz pracy. Zaatakował cię pasażer. To jasne, że nie chcesz tam zejść.

Mirasol otworzyła usta, próbując coś powiedzieć, pewnie znowu paplać bez końca o Damie, ale Althea jej przerwała.

– W trakcie szkolenia mówili wam, co robić na wypadek pojawienia się na pokładzie wirusa, tak?

– Tak.

– Musisz się tego trzymać.

– Oczywiście, Altheo. Dziękuję. Jak ja ci się odwdzięczę?

Althea się uśmiechnęła. Coś na pewno wymyśli.

W pośpiechu ruszyła I-95. Tu na dole panowała stosunkowo rozluźniona atmosfera. Kilku Indonezyjczyków z działu serwisu i magazynu odpadków stało

w zbitej grupce i rozmawiało ściszym szeptem. Jeden z oficerów, z plamami na białej koszuli po czymś, co przypominało kawę, śpieszył się tak bardzo, że prawie na Altheę wpadł. Nie było śladu po powszechnym zwykle o tej porze dnia poczuciu dążenia do wspólnego celu. Będzie musiała zabrać ze swojej kajuty jeszcze jedno pudełko z rękawiczkami chirurgicznymi. Jeśli tam na dole jest tak źle, jak mówiono, musi się porządnie zabezpieczyć. Po drodze do swojej kajuty zauważyła, że drzwi do kabiny Trining są otwarte, pewnie po to, by wymusić cyrkulację resztek powietrza. Althea nie widziała Trining, od kiedy ta poprosiła ją o przejęcie jej obowiązków w dzień awarii statku; mogłoby się wydawać, że było to całe wieki temu. Czy Maria oznajmiła jej już, że została zwolniona? Kierowana ciekawością Althea zatrzymała się i zajrzała do środka. Wyczuła silną woń dolatującą z małej łazienki. Dobrze. Ktoś pomyślał, żeby tu posprzątać.

Trining leżała na boku, zwrócona plecami do drzwi.

– Cześć, Trining.

– Idź sobie, Altheo.

– Dlaczego odzywasz się do mnie w ten sposób?

Trining się odwróciła. Nie wyglądała na poważnie chorą. Gdyby nie wiadro i pogniecione chusteczki obok niej, Althea mogłaby pomyśleć, że symuluje.

– Wiem, że skłamałaś.

Kurwa jej mać.

– Nie skłamałam.

– Podobno powiedziałaś Marii, że nie poprosiłam cię o posprzątanie swojego rejonu.

Althea otworzyła szeroko oczy.

– Co? Nie wiem, dlaczego miałyby twierdzić coś takiego. Czy kiedykolwiek się na mnie zawiodłaś, Trining?

– Nie.

– To po prostu zwykle nieporozumienie. Nic poza tym. Porozmawiam z Marią.

Trining nie była idiotką. Nie odpowiedziała na uśmiech Althei.

– Właśnie idę posprzątać twój rejon, Trining.

– Nie zapłacę ci za to.

– Oczywiście, że nie. – Althea wciąż się uśmiechała. – Trining... w twoim rejonie... Zauważyłaś tam kiedyś coś dziwnego?

Cień zainteresowania.

– Na przykład?

– Nigdy nie miałaś wrażenia, że ktoś cię obserwuje?

– Nie. Nasłuchiłaś się historii o duchach, Altheo? Angelo mówił mi niedawno, co ci głupi wieśniacy wygadują o martwej pasażerce.

Czekaj, aż opowiem ci o urojonych chłopcach.

– To ja znalazłam tę dziewczynę, Trining.

– Naprawdę?

– Tak. To był dla mnie wielki szok. Masz szczęście, że byłaś chora i nie musiałaś oglądać tego co ja.

Althea zauważyła z rozbawieniem, jak uraza Trining powoli ustępuje chorobliwej ciekawości.

– Co takiego widziałaś?

Althea udała, że przebiegły ją dreszcze.

– Nie potrafię o tym mówić.

Błysk rozczarowania.

– Rozumiem. Lubiałam ją. Tę zmarłą pasażerkę. Była jedną z milszych w moim rejonie.

Althea wzruszyła ramionami. Dobra, zła, każdy kiedyś umrze. Niepokoił ją ten chłopiec.

– Martwię się o ciebie, Trining. Odszukaj mnie, jeśli czegoś będziesz potrzebować. I nie oczekuję, że mi za to zapłacisz.

Jak diabli.

– Bardzo dziękuję, Altheo. Przepraszam, że byłam wobec ciebie nieuprzejma.

Althea wyszła, zmazując z twarzy uśmiech, kiedy tylko odwróciła się plecami do Trining. Właściwie łatwiej pójść nie mogło.

Udała się prosto do swojej kajuty, gdzie w kieszenie roboczego fartucha wcisnęła garść fioletowych rękawiczek. Potem wróciła na I-95. Gdy doszła do końca korytarza, przystanęła. Ochroniarz, który był z nią, kiedy natknęła się na ciało zamordowanej dziewczyny, stał we wnęce obok biura Marii i kręcił głową, jakby prowadził z kimś poważną rozmowę. Nie odszukał jej dotychczas, ale wcale to jej nie dziwiło. Na działach ochrony i gospodarczym spoczywał największy ciężar zaistniałej sytuacji. Poczekała, aż ochroniarz odejdzie, i ruszyła w przeciwnym kierunku, niemal wpadając na Rogelia, który wyłonił

się z wnętrza.

Pozdrowiła go, ale ledwie ją zauważył. Miał spuszczonego wzrok i można było odnieść wrażenie, że zaraz się rozplacze. Praktycznie wbiegł do kantyny oficerskiej. Dlaczego ochroniarz miałby rozmawiać z Rogeliem?

I wtedy zrozumiała. Nie dostrzegała tego, bo nie chciała tego dostrzec. Angelo miał jednak rację co do Rogelia. Tyle że to nie z Damienem coś go łączyło. Zachowała tę informację na później. Któregoś dnia może się przydać. Lubiła Rogelia, to jasne, ale świat jest miejscem dla twardych i w swojej sytuacji Althea potrzebuje tyle amunicji różnego typu, ile tylko uda jej się zgromadzić.

Smród, który przywitał ją, kiedy wynurzyła się z wejścia do pomieszczeń służbowych i znalazła się w rejonie Training, był paskudniejszy, niż się spodziewała, a brak klimatyzacji tylko go pogarszała. Światło tu na dole było bardziej przytłumione, niż pamiętała. Na podłodze walały się teraz rzeczy należące do pasażerów. Różowy kłapek, poduszka, para plastikowych anielskich skrzydeł. Mirasol miała rację: tutaj nie było pasażerów. Powoli zmierzała w kierunku zapieczętowanej taśmą kajuty zmarłej pasażerki. Podejrzewała, że jeśli chłopiec gdzieś na statku jest, to właśnie tam, ale nie ośmieliła się zerwać zabezpieczenia. Kamery na tych piętrach wciąż działały, a to byłoby wykroczenie grożące zwolnieniem.

– Jesteś tu? – wyszeptała. – Pokaż się.

Gdzieś w sercu statku rozległ się huk. Ostrożnie ruszyła przed siebie. W połowie korytarza zauważyła, że jedne drzwi zostały uchylone. To bardzo dziwne; drzwi były wyważone tak, by zamykały się same, chyba że oparto je o magnes. Wstrzymując oddech, weszła do środka. Poczekwała, aż jej oczy przyzwyczają się do nieprzeniknionej ciemności. Kiedy go zobaczyła, strach eksplodował jej w piersi. Mały siedział w kącie, z kolanami pod brodą. Jego twarz była mokra od łez, a oczu nie dało się dostrzec. Jedyne światło pochodziło od zielonych lampek awaryjnych i nie wystarczało, żeby można było rozpoznać jakiegokolwiek szczegóły.

– Cześć.

Strach się ulotnił, na jego miejscu pojawiło się uczucie ulgi. Nie, nie była *loco*. On tu siedział. Prawdziwy. Bardzo powoli ruszyła w jego kierunku.

– Jak się tu dostałeś? Gdzie twoja mama?

Chłopiec drgnął, wyprostował kończyny i przemknął obok niej na czworakach, jak pająk. Zbyt szybko – nikt nie porusza się aż tak szybko. Wrzasnęła, skoczyła do drzwi i wymachując rękoma, wydostała się na korytarz. Za plecami usłyszała chichot. Obróciła się na pięcie. Stał kilka metrów od niej,

tuż przed kajutą martwej dziewczyny.

Niemożliwe.

Pociągnął nosem. Teraz, kiedy stał w świetle, Althea zauważyła, co dzieciak ma na sobie: postrzępioną koszulę na guziki i spodnie sięgające wysoko ponad kostki. Jego nagie stopy i ręce pokryte były warstwą brudu.

Ruszyła do niego z wyciągniętą dłonią, jakby był niebezpiecznym zwierzęciem. Spodziewała się, że dzieciak zacznie uciekać, ale tego nie zrobił. Spróbowała dotknąć jego ramienia, na wpół przekonana, że zamiast niego napotka powietrze. Ale nie. Był jednak prawdziwy. Z krwi i kości.

Ponownie zachichotał, odskoczył od niej i pobiegł w stronę wejścia służbowego.

– Czekaaj!

Zawahał się, a potem zniknął za drzwiami.

– Czekaaj! – powtórzyła i ruszyła jego śladem.

Słyszała tupot małych stóp, gdy zbiegał po schodach, ale zgubiła go z oczu. Czekał na nią na skrzyżowaniu z I-95. Uśmiechnął się, zakrył usta dłonią i pobiegł korytarzem prosto przed siebie. Kilku serwisantów przyglądało się jej ciekawie, gdy mijała ich biegiem. Podążała za dźwiękiem jego kroków, właściwie nie rejestrując, dokąd biegnie, aż dotarła do niskiego korytarza z białymi rurami na ścianach. Nie wiedziała, gdzie jest. Althea tak naprawdę dobrze znała jedynie strefę służbową i pokład widokowy – nie miała wstępu do stref dla pasażerów i nie było powodów, żeby zapędzać się w te rejony statku.

Chłopiec zachichotał, a potem znowu go zobaczyła. Stał obok niej. Poczła na swojej dłoni zimny uścisk, spojrzała w dół i ujrzała, że złapał ją za rękę. Poprowadził ją przez następny korytarz, po którego obu stronach znajdowały się kajuty dla członków załogi. Drzwi do jednej z nich były otwarte. Minęła je jak we śnie, ledwie rzuciła okiem do środka na wijącą się na łóżku parę. Chłopiec przeprowadził ją przez drzwi prowadzące do szerokiego, ciemnego pomieszczenia. Przed sobą ujrzała pofalowaną kurtynę, a pod ścianami piętrzyły się wielkie czarne skrzynie z metalowymi okuciami. Wtedy zrozumiała. Byli na zapleczu sceny.

Udało jej się odezwać.

– Co tutaj robimy?

Chłopiec potarł nos. Uwolnił rękę z jej uścisku i zniknął, zbiegając po krótkich schodach. Althea, potykając się, ruszyła za nim i znalazła się w pomieszczeniu z nisko zawieszonym sufitem, w blasku awaryjnego oświetlenia. Dostrzegła świecidełka i cekiny kostiumów rozwieszonych na

stojakach stojących pod ścianą na drugim końcu sali. Zdarzało się – choć bardzo rzadko – że ekipa od rozrywki przygotowywała przedstawienie dla personelu, ale Althea nigdy takiego nie oglądała. Ta część statku była jej obca. Zawsze miała zbyt dużo pracy.

Gdzie chłopiec? Podeszła do stojaka z kostiumami i sprawdziła, czy się tam nie ukrył, kiedy zza jej pleców dobiegł śmiech. Nie była sama. Odwróciła się szybko, a w ciemnym rogu obok przejścia coś się poruszyło. Pani del Ray. Siedziała na wózku i ją obserwowała. Po chwili podjechała bliżej.

– Althea, jak miło, że przyszłaś.

Chłopiec znów się pojawił, wziął Altheę za rękę i oparł głowę o jej ramię. Przeszła ją fala ciepła. Powinna czuć obrzydzenie, ale tak nie było.

– Lubi cię, Altheo. A on zna się na ludziach. Powinnaś zobaczyć, co robi z tymi, których nie lubi.

Althea miała zaschnięte gardło, ale zmusiła się, żeby coś powiedzieć.

– Czy to pani wprowadziła go na pokład?

– Celine to zrobiła. W pewnym sensie.

– Nie rozumiem.

Pani del Ray przygładziła włosy z tyłu głowy i się uśmiechnęła. Miała w ustach zbyt dużo zębów. Kosmyki włosów uwolniły się spod przypominającej skorupę fryzury, która na Althei robiła wrażenie sztywnej jak klocek drewna.

– Mam dla ciebie propozycję, Altheo. Możesz mi pomóc, a ja pomogę tobie.

– W jaki sposób?

– Pomogę ci dostać to, czego pragniesz. Czasem to robimy, dajemy ludziom to, czego chcą. Czasami dajemy ludziom to, na co zasługują.

– Nie rozumiem, o czym pani mówi. – Kobieta wyrażała się bardzo zagadkowo.

– Wiem, że masz tajemnicę. Nikomu nie chcesz jej zdradzić. Ale za jakieś siedem miesięcy i tak wszyscy się dowiedzą.

Żołądek Althei zrobił się ciężki jak cegła. Urojeni chłopcy, a teraz to...

– Skąd pani wie, że jestem w ciąży? Nawet ja nie jestem tego pewna. – Czująca dumę, że powiedziała to tak spokojnie.

Mrugnięcie.

– Niewiele jest rzeczy, o których nie wiem, zabciu. Będzie znacznie gorzej, zanim zrobi się lepiej. Tylko ja mogę ci pomóc dojść tam, dokąd zmierzasz.

– Czyli dokąd?

– Daleko stąd. Daleko od Joshuy.

– Skąd wiesz o Joshui? – Czy Angelo plotkował z Celine na jej temat? Nie. Ta kobieta była jasnowidzem. Być może rzeczywiście potrafiła czytać w jej myślach. Althea się przeżegnała. *Bruha*, wiedźma. Opowiadał jej o takich *lola*, sprawiały, że pod skórą leżały się owady i zjadały żywcem dziecko w łonie matki.

– Nie. Nie czytam w twoich myślach, kochana. Ale jesteś blisko. Tak czy inaczej, chcesz się dogadać?

Chłopiec włożył kciuk do ust i wlepił w nią wzrok. Ta kobieta to diabeł. Althea to czuła. Rozumiała to. Ale to nie była diabelskość, z jaką się wychowała – to był inny jej rodzaj. Pozaziemski. Pani del Ray nie była do końca zła – Althea miała już do czynienia ze złem, a ta kobieta taka nie była – choć coś z nią było nie w porządku. Prawie się zaśmiała – *coś nie w porządku!* Ścisnęła dłoń urojonego chłopca i jedyne, co jej przychodziło do głowy, to to, że *coś jest nie w porządku*.

– Wszyscy musimy zmienić swój sposób myślenia, moja droga – powiedziała Celine. – Trochę trudno tak nagle to wszystko pojąć. Wszyscy w pewnym momencie musieliśmy przez to przejść, na tym czy innym etapie. Nawet ja.

– A czego oczekujesz ode mnie?

– Och, paru drobnostek. Niczego, co wykraczałoby poza twoje możliwości. Masz trzy rzeczy, których potrzebuję, moja droga. Jesteś inteligentna i masz znajomości.

– To dwie rzeczy.

– Trzecia pojawi się później. – Pani del Ray przesunęła językiem po wargach. – Poza tym mogę ci płacić. Może powinnam o tym wspomnieć na samym początku?

Chłopiec jeszcze bardziej wtulił się w Altheę.

– Jeszcze raz pytam, czego ode mnie oczekujesz?

– Podejdź bliżej, to ci powiem.

Poruszając się niezgrabnie z dzieckiem uczeptionym jej jak rzep psiego ogona, Althea spełniła polecenie.

– Teraz słuchaj.

I Althea słuchała.

Siostry samobójczynie

Helen zwinęła zabrudzone ręczniki, którymi obłożyła materac i pościel Elise, i zaniósła je pod prysznic. Na tak utworzoną stertę wcisnęła ostatki szamponu i odkręciła kran. Ciśnienie było słabe, cieszyła się jednak, że w ogóle leci woda. Nie chciała zawracać głowy Althei prośbami o kolejne komplety pościeli. Biedaczka wyglądała na wykończoną, kiedy Helen ostatnio ją widziała.

Jej ręce zdrząły, kiedy podstawiała myjkę do twarzy pod kran. Kilka razy tej nocy była pewna, że Elise odeszła. Umarła. Przeniosła się na tamten świat, czy jakich tam jeszcze eufemizmów ludzie lubią używać. Słyszała je wszystkie po śmierci Grahama, a oprócz nich: *Wyrazy współczucia z powodu tragedii; ból przemianie; jeśli jest cokolwiek, co mogłabym zrobić...* Utarte zwroty, których sama wiele razy używała. *Ja współczuję, ty współczujesz, wszyscy, kurwa, współczujemy.* Wzięła głęboki oddech i chwyciła się zlewu. Tuż pod splotem słonecznym czuła nieustający ból. Jeśli Elise umrze, zostanie zupełnie sama na tym cholernym statku. Myśl o tym sprawiła, że poczuła się, jakby kołysząc się, stała na krawędzi wysokiego budynku, patrząc w dół. Miała jeszcze tabletki nasenne, ale z informacji, które zebrała, wiedziała, że mogą nie zadziałać. Może ich być za mało. Poza tym nie chciała tego robić sama.

Razem lepiej.

Obawiała się, że sama sobie nie poradzi.

Łzy cisnęły się jej do oczu, ale byłyby to jedynie łzy litości nad samą sobą, a nie mogła dopuścić do tego, żeby się zupełnie poddać. *O to chodzi. Weź się w garść, dziewczyno.* Usłyszała głos Grahama. *Jesteś silna, dasz sobie radę. Jesteś silniejsza, niż myślisz.* Ból w klatce piersiowej jeszcze się pogłębił i ogarnęła ją nagła, niespodziewana fala tęsknoty za domem.

Dom, do którego miałabyś wrócić, nie istnieje.

Pakowanie pozostałości po wspólnym życiu z Grahamem było jednym z zadań, do których zmusiła się na tydzień przed wyjazdem do Miami. Najpierw nie potrafiła znieść myśli o wyrzuceniu rzeczy, których dotykał – całą siłą woli walczyła ze sobą, by choćby przejrzeć jego biurko lub usunąć cokolwiek, co mogło zachować bodaj odrobinę jego zapachu – ale kiedy udało się jej spakować jego koszule dla Oxfamu (zadanie, przez które przepłakała całe popołudnie), osiągnęła punkt zwrotny i skończyło się na tym, że w dzikim

zapamiętaniu wywalą, co popadło. Lepsze to, niż cokolwiek zostawić w rękach bratanków Grahama, którzy w końcu odziedziczą dom.

Zduśiła w sobie wzruszenie, umyła ręce i twarz i wróciła do sypialni. Wiedziała, że poważnie naraża się na infekcję. Ruda pielęgniarka, która przyszła tego ranka do Elise – zapracowana, ruchliwa, lekko zalatująca zwietrzałym alkoholem – powiedziała jej, że norowirus bardzo łatwo się przenosi. Helen nalegała, by przenieść Elise do izby chorych, gdzie znalazłaby się pod ścisłą obserwacją, ale według pielęgniarki dla Elise lepiej będzie, jeśli pozostanie w apartamencie. Przynajmniej tutaj balkon zapewniał dostęp do świeżego powietrza.

– Helen – wycharczała Elise, po omacku szukając jej dłoni. Jej skóra była gorąca i wilgotna, a koszula nocna mokra od potu.

– Chcesz iść do łazienki?

– Niiiee. Pić.

Helen przyłożyła szklankę do ust Elise. Udało jej się wziąć trzy małe łyczki, lepiej tyle niż nic. Koniecznie powinna przebrać Elise w inną koszulę nocną. Kiedy robiła to pierwszy raz, zaszokowało ją, jak wiele informacji o swoim życiu Elise przed nią ukryła. Nagie ciało zdradziło tajemnice. Blizna po amputacji piersi – odstający kikucik okrutnie zgrubiałej tkanki – wstrząsnęła nią. Elise nigdy jej o tym nie powiedziała, a Helen nigdy nie zauważyła – a może była zbyt zaabsorbowana sobą, żeby zauważyć – że jej przyjaciółka nosi protezę. Jednak ciało Elise było na swój sposób piękne, gładkie uda i brzuch, tęgie, ale pozbawione cellulitu, który prześladował Helen bez względu na to, ile godzin spacerowała.

System nagłośnieniowy zapiszczał, sygnalizując kolejny z niekończących się komunikatów Damiana. Wcześniej oświadczenie wygłosił kapitan (do cholery, czas najwyższy, pomyślała), informując o awarii wszystkich systemów łączności i wysłaniu statku pomocniczego w celu poinformowania straży przybrzeżnej o ich pozycji. Było jasne, że znajdowali się w znacznie gorszej sytuacji, niż twierdziła załoga. Próbowwała nie słuchać Damiana z jego standardowymi wymówkami i banałami, ale wtedy jej uwagę przykuło coś innego:

–...aby podtrzymać nas wszystkich na duchu, nasza celebrytka na gościnnych występach, cudowna Celine del Ray, wspaniałomyślnie zaprasza na jeszcze jedno przedstawienie w Teatrze Śmiałych Snów już za pół godziny. Zapraszamy wszystkich!

Helen przeszły dreszcze. Na samą myśl o Celine robiło jej się niedobrze. Ta kobieta jest oszustką. Chorą intrygantką i hochsztaplerką.

Ktoś zapukał do jej drzwi – być może to znowu Maddie przyszła sprawdzić, co u nich słychać. Nawet jeśli Celine to potwór, Maddie jest miła. Helen zerknęła przez wizjer i zobaczyła stojącego lekko z boku lekarza, tego samego, który przyszedł do Celine w sylwestra. Wreszcie. Najwyższa pora.

– Czy mogę obejrzyć pacjentkę? – powiedział, kiedy gestem zaprosił go do środka. Jego oczy miały żółtawy odcień i pokrywała je siateczka żyłek, a na szyi zwisała mu bezładnie maska chirurgiczna. – O ile wiem, wczoraj odwiedziła ją pielęgniarka?

– Zgadza się.

– Jak się czuje? – Doktor stłumił ziewnięcie.

– Żle.

– Wymioty? Biegunka?

– Tak. Ale w ciągu ostatniej godziny nic się nie działo. To dobry znak, prawda?

Mruknął coś wymijająco.

– Nazwisko pacjentki? Przepraszam, wiem, że mówiła mi pani zeszłego wieczoru... przedwczoraj. Na domiar złego straciłem poczucie czasu.

Próbował się uśmiechnąć, ale mu nie wyszło. Helen prawie zrobiło mu się go żal. Prawie.

– Ma na imię Elise. Elise Mayberry.

– Przepraszam.

– Niech pan ją po prostu zbada, doktorze.

Helen z niepokojem obserwowała, jak osłuchuje jej klatkę piersiową, zakłada na rękę mankiet i mierzy ciśnienie.

– No i?

Kolejne wymijające mruknięcie.

– Panie doktorze, muszę wiedzieć. Czy... czy to możliwe, że... nie przeżyje?

Nie zostawiaj mnie, Elise. Nie zostawiaj mnie.

– To bardzo mało prawdopodobne. Ma w miarę silne tętno. Nie obawiam się specjalnie o jej ciśnienie, ale musi pani koniecznie pilnować, żeby przyjmowała płyny. Jeśli jej stan się nie poprawi, być może podłączę kroplówkę.

– Kiedy to wszystko się skończy?

Doktor westchnął i wstał.

– Żałuję, ale nie znam odpowiedzi. Musi być pani bardzo ciężko. Znalazła pani czas, żeby odpocząć?

– Czuję się dobrze. – To była nieprawda. Prawie nie spała, od kiedy Elise zachorowała. Ale tu nie chodziło o nią.

Odprowadziła go i położyła się na swoim łóżku. To byłoby takie łatwe. Pigułki nasenne znajdowały się w torebce przewieszanej przez krzesło. Ale teraz nie dałyby rady wyskoczyć za burtę, nawet gdyby Elise była w lepszym stanie. Nawet gdyby były w stanie zrobić to tak, że nikt ich nie wyłowi. Woda otaczająca teraz statek była płaska jak nieruchomy staw, a jej powierzchnię kalaly czerwone plastikowe worki. Gdyby skoczyła, nałykałaby się cudzych odchodów. Nie. Musi być silna. Nie będzie wielkiej...

Ktoś – jakiś mężczyzna – stał na balkonie. Wydała z siebie cichy okrzyk, przypominając sobie tamtą ciemną postać w pokoju Celine w sylwestra. Zmrużyła oczy, neutralizując słoneczny poblask, i spojrzała w jego kierunku. Wyglądał znajomo i wtedy go poznała. Jaco, ten muzyk. Podbiegła do drzwi i zatrasnęła je dokładnie w momencie, kiedy ten odwrócił się i wyciągnął pomocną dłoń w kierunku wysokiej blondynki wdrapującej się po metalowej drabinie do łodzi ratunkowej bezpośrednio naprzeciwko ich apartamentu. Nigdy dotąd nie przyszło Helen do głowy, jak łatwo jest wejść do jej pokoju z niższego pokładu.

Jaco zapukał w szybę i uśmiechnął się do niej szeroko.

– Hej. Możemy wejść?

– Co... co pan tu robi?

– Pokład przypomina piekło. Potrzebujemy tylko cichego miejsca, gdzie moglibyśmy chwilę odetchnąć. Jestem Jaco, a to Lulia. Jedna z tancerek.

– Cześć. Miło cię poznać – powiedziała Lulia. Długie tlenione włosy i pełny makijaż. Miała oczy, które Graham nazwałby „chytymi”. Zawsze oceniał ludzi po wyglądzie i z tego, co wiedziała, nigdy się nie pomylił.

– Nie powinno tu pana być. Moja przyjaciółka jest chora. Musi odpoczywać.
– Kobieta lekko się cofnęła, ale Jaco przytrzymał ją za rękę.

– Czy nie moglibyśmy przez jakiś czas posiedzieć na pani balkonie? Może dałaby nam pani coś do picia?

– Mówię przecież, że moja przyjaciółka bardzo źle się czuje.

– Nie zostaniemy długo.

– Prosimy – wtrąciła się Lulia. – Ludzie wszędzie wkoło chorują. Chcemy sobie tylko w spokoju posiedzieć i przeczekać to wszystko.

– Musi być jakieś inne miejsce, dokąd moglibyście pójść.

– Nie. W strefie służbowej jest źle. Powietrze jest złe.

Intuicja Helen podpowiadała jej, żeby się ich pozbyć, ale jaką byłąby osobą, gdyby nawet nie dała im się napić? Z niechęcią otworzyła drzwi.

– Wejdźcie. Ale tylko na minutę.

– Dzięki. – Jaco uśmiechnął się do niej. – Jestem naprawdę wdzięczny.

– Śmierdzi tu. – Lulia skrzywiła się mocno. – Trzeba było spróbować wejść do kajuty właściciela.

– Mówiłam wam, że moja przyjaciółka jest chora. Może zarażać.

– Będziemy ostrożni – zapewnił Jaco.

– Jak ma pani na imię? – zapytała Lulia.

– Helen.

Lulia usiadła na kanapie i założyła nogę na nogę. Były wysmarowane opalaczem i usiane drobnymi włoskami. Miała bose nogi i niespotykane długie palce u stóp.

– Chodziła pani na przedstawienia?

– Tak. – Kłamstwo. Nienawidziła kabaretu z całego serca. Elise pierwszego wieczoru poszła na *Galę fantastique na jawie śnioną*, czy jak to się tam okropnie nazywało, i stwierdziła, że była „interesująca”, a to najbardziej negatywna recenzja, jaką Elise mogła wydać.

– Musimy śpiewać i tańczyć.

– Świetnie wam szło.

– Dziękuję. Twoja przyjaciółka jest twoją kochanką?

– Nie. Łączy nas tylko przyjaźń.

– Dlaczego tu jesteście? To rejs dla młodych ludzi.

– Dość pytań – zaśmiał się Jaco. – Powtórzę, jesteśmy pani wdzięczni, Helen. Ludziom na całym statku odbiło. Widzą duchy.

Helen pobladła.

– Duchy?

– Tak. Na statkach pełno jest przesądnych ludzi.

– W dodatku strasznie śmierdzi – powiedziała Lulia. – Ludzie robią wszędzie kupę. Są wstrętnei, jak świnie.

Jaco wskazał ręką w stronę minibaru.

– Będzie pani miała coś przeciwko, jeśli weźmiemy sobie trochę wody? Wyjdę i przyniosę pani więcej.

– Proszę bardzo.

Usiadł na podłodze i zajął do środka.

– Szampan. Nie udało się wypić w sylwestra, hę?

– Nie.

– Coś pani powiem. Proszę nam pomóc, a my pomożemy pani. Dobry plan?

– Sama nie wiem...

Odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej.

– Hej. Może mi pani zaufać. Jestem muzykiem.

Anioł miłosierdzia

Martha czekała na niego, kiedy po obchodzie dowlókł się do izby chorych. Włosy miała związane w beładny kok i próbowała oderwać kawałeczek suchej skóry z dolnej wargi.

– Co teraz? – Nie był pewien, czy da sobie radę z kolejnym problemem. Poza zachorowaniami na norowirusa były dwa dość poważne przypadki udaru słonecznego i podejrzenie złamania palca u nogi. Potrzebował porcji kofeiny. Potrzebował prysznic. Potrzebował snu dłuższego niż pieprzone dwie godziny.

– Ach, Jesse. Mamy mały problem. Chodzi o nowego pacjenta. Faceta, który trafił tu wczoraj...

– Co z nim?

– Nie ma go, Jesse.

Z trudem próbował zrozumieć, o czym ona mówi.

– Wypisałaś go?

– Nie. Wróciłam, wcześniej wyskoczyłam po coś do jedzenia, rozumiesz? Na krótko. A jego nie było w łóżku.

– Przecież był po uszy naszpikowany środkami uspokajającymi. – Wczoraj wieczorem Jesse postanowił zwiększyć dawkę Midazolamu, kiedy mężczyzna obudził się i zaczął wykonywać jakieś niezborne ruchy. Poza zamknięciem w kajucie, gdzie mógłby łatwo zrobić sobie krzywdę, Jesse nie widział innego sposobu, żeby go obezwładnić. Byli na statku, a nie w cholernym szpitalu psychiatrycznym.

– Wiem. Nie potrafię tego wyjaśnić.

– Gdzie Bin?

– Wysłałam go, żeby sobie parę godzin odpoczął. Biedak był na dyżurze całą noc. Wiesz, jaki on jest, trzeba go siłą odrywać od stanowiska pracy. – Znowu pociągnęła za wargę. – Ale to nie wszystko, Jesse.

Poczuł ucisk w dołku.

– Mów.

– Alfonso zaliczył samowolkę.

– Serio? Gdzie, do cholery, polazł?

– Nie wiem. Sprawdziłam w jego kajucie i poszłam do siłowni i sterowni, ale nikt go nie widział.

– Czyli zginęło nam dwóch pacjentów?

– Na to wygląda. Przepraszam, Jesse.

– To nie twoja wina. Jak, do ciężkiej cholery, mamy sobie według nich z tym wszystkim radzić? – Nie byli na to przygotowani. Ściśle rzecz biorąc, na pokładzie powinno pracować dwóch lekarzy, ale według Marthy podczas krótszych rejsów często ignorowano ten przepis.

– Wyglądasz koszmarnie, Jesse. Jesteś pewien, że to nie początki choroby?

Pokiwał głową. Był po prostu zmęczony. Jasne, robiło mu się niedobrze, ale przez ostatnie trzy dni żywił się jedynie dietetyczną colą i chipsami Pringles. I powinien być wdzięczny, że wirus nie opanował jeszcze całego statku. Zwykle się rozprzestrzeniał szybko, a biorąc pod uwagę warunki, fakt, że jeszcze nie wszyscy się rozchorowali, zakrawał na cud. Zeszłej nocy w swojej kajucie ukradkiem skorzystał z czerwonego worka. Nie chcąc, żeby sprzątał po nim Paulo, sam zaniósł worek do spalarni. Nie miał pojęcia, dlaczego tak bardzo go to krępowało. *Jesteś lekarzem.*

– Obawiam się o tę starszą pacjentkę, Elise Mayberry – powiedział. – Ma nierówne tętno. Chorowała w przeszłości na serce?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Powinien był spytać jej przyjaciółkę, kobietę, którą złośliwie przezwał ciocią Spiker, ale pacjent, którego odwiedził tuż przed Elise – mężczyzna w średnim wieku na tym samym piętrze – był grubiański i zgryźliwy, co dotknęło go bardziej, niż chciałby się przyznać.

– Zastanawiasz się, czy jej tu teraz nie przenieść? – zapytała Martha.

– Może. Tylko na tamym pokładzie są jeszcze trzy przypadki. Ilu członków załogi choruje?

– W sumie siedmioro. Może więcej. Problem polega na tym, że większość z nich nie chce zostawać w swoich kajutach.

– Jeśli w nich nie zostaną, wirus rozprzestrzeni się jak pożar w lesie.

Przerwał im komunikat Damiena, który informował, że Celine del Ray zaprasza na kolejne przedstawienie (czy tam jak, do diabła, nazwać to, czym się zajmuje) w Teatrze Śmiałych Snów.

Szałeństwo. Zachęcanie ludzi do tłoczenia się na imprezach masowych, podczas gdy norowirus zbiera żniwo na pokładzie, było niesamowicie krótkowzroczne. Jesse nabrał powietrza.

– Dość tego. Będę nalegał, żeby ogłosili czerwony alarm. Słyszałaś, kiedy możemy się spodziewać przybycia jebanej kawalerii?

– Nie, Jesse. Dalej nie ma Wi-Fi. Wysłali dziś rano statek pomocniczy, ale to wszystko, co wiem.

Jesse nie umiał zrozumieć, dlaczego niektórzy traktują wysłanie statku pomocniczego jako dobry znak. Cała ta sytuacja nie ma sensu. Foveros powinien przynajmniej wysłać któryś z siostrzanych statków „Pięknego Marzyciela”, żeby sprawdzić, co się z nimi dzieje.

– Jezu Chryste – westchnął.

– Przydałby się nam teraz, nie powiem.

– Pieprzyć to. Muszę się zobaczyć z kapitanem. Nie zaakceptuję odmowy.

– A ja co mam robić?

– Zostań tu. Chwila i będę z powrotem.

– Powodzenia.

Jesse obficie spryskał koszulę dezodorantem – prysznicem w pojemniku, w tym momencie nie mógł sobie pozwolić na nic lepszego – i ruszył w drogę. Na moment zablądził – nie myślał o tym, dokąd idzie – i musiał nadrobić drogi, przechodząc obok służbowej kantyny. Była pełna, czuł zapach piwa i słyszał podniesione głosy. Kolejny bilet w jedną stronę do rozwleczenia infekcji po całym statku. Kantynę należy zamknąć. Stanowiska spożywcze zdezynfekować od góry do dołu, a osoby z objawami odizolować. Jesse słyszał, jakim koszmarem dla załogi i personelu są dodatkowe obowiązki z tym związane, jednak fakty dowodziły, że nie ma innego wyboru.

Przed drzwiami wiodącymi na mostek stał Ram, jego twarz przypominała nieruchomą maskę.

– W czym mogę pomóc, panie doktorze?

– Muszę natychmiast zobaczyć się z kapitanem. – W głosie Jessego dało się wyczuć jedynie lekkie drżenie. Dobrze.

Ochroniarz nie okazał żadnych emocji.

– Jest na spotkaniu.

– Chodzi o sytuację krytyczną.

Ram przez kilkanaście sekund mierzył go wzrokiem, a potem ledwo dostrzegalnie skinął głową.

– Proszę tu poczekać.

– Okej, ale ja...

Ram zdążył zniknąć, zatraskując przed nosem Jessego ciężkie drzwi wiodące na mostek, zanim ten zdołał się przez nie prześlizgnąć. Jesse wytarł spocone dłonie o spodnie.

Parę minut później drzwi otworzyły się z hukiem i Ram gestem przywołał go do środka. Od kiedy Jesse stał się członkiem załogi, jedynie kilka razy miał okazję przebywać na mostku. Było to ogromne pomieszczenie, otoczone oknami od podłogi po sufit. Powietrze tutaj robiło wrażenie świeższego, choć Jesse był przekonany, że to tylko jego wyobraźnia. Kapitan – przysadzisty mężczyzna koło siedemdziesiątki z ekstrawagancką siwą fryzurą – stał zwrócony plecami do Jessego przy stole nawigacyjnym, gestykułując w kierunku grupy mężczyzn w białych oficerskich ciuchach. Jesse rozpoznał choleryka – dyrektora hotelu – nadętego Greka, który wyglądał, jakby nie potrafił się uśmiechać, jednego z gości od IT (z widowiskowo podbitym okiem i raną ciętą na prawym policzku, która prawdopodobnie ropiała) i Damiena. Nieustępliwy człowiczyna, Damien po wejściu do kantyny zawsze zachowywał się tak, jakby oczekiwał braw. Jesse z wyboru nie miał z nim zbyt wiele do czynienia, a Martha opisywała go jako „gnoja pierwszego sortu”.

Inni oficerzy z mostka, w tym Baci, ten od wizyty u Alfonsa, który rozpoznał go i skinął na powitanie, stali w grupce pod oknem. Jesse przez chwilę napawał się widokiem. Nic tylko szeroki, bezkresny ocean. Żadnych okrętów. Żadnych platform wiertniczych. Nawet rozwianych ogonów na niebie, ciągnących się za samolotami.

W końcu kapitan zauważył jego obecność.

– Jak się miewa Alfonso, *dottore*? Czy jest zdolny do pracy?

Zaskoczony pytaniem Jesse zamrugał.

– Dziś rano opuścił gabinet zabiegowy.

Kapitan warknął coś po włosku w kierunku Baciego, który pokręcił głową.

Kapitan popatrzył na lekarza z wyrzutem.

– Nie ma go w sterowni.

Jesse nabrał powietrza. Nie mógł sobie pozwolić na zmianę tematu. Nie przyszedł tu w sprawie Alfonsa.

– Prosiłem o spotkanie od pierwszego dnia tego zamieszania, panie kapitanie. Na pewno zdaje sobie pan sprawę z powagi sytuacji. Codziennie pojawiają się nowe przypadki zarażenia wirusem.

– Ile ich jest? – odezwał się choleryk.

– Dwadzieścia, może więcej – wysyczał przez zęby Damien.

Jesse odczekał sekundę, zanim znów się odezwał:

– Proszę pana o ogłoszenie na statku czerwonego alarmu.

– Nie. To niemożliwe – oznajmił kapitan.

– Panie kapitanie, z całym szacunkiem, jeśli pan tego nie zrobi, staniemy w obliczu poważnej...

– Personel pracuje na pełnych obrotach – powiedział choleryk. – Nie możemy nakładać na nich dodatkowych obowiązków.

– Chce pan zatem, żeby wszyscy się pozarażali? Jak to będzie wyglądało, kiedy wrócimy do portu?

– Proszę nie podnosić głosu na kapitana – wtrącił się Damien.

Jesse zdawał sobie sprawę, że jest uważnie obserwowany przez Rama. Kurwa mać. Takiej reakcji się nie spodziewał.

– Nie podnoszę głosu, mówię jedynie, że powinniśmy...

Choleryk znowu mu przerwał.

– Morale jest bardzo niskie. Jeśli narzuci się personelowi dodatkowe obowiązki i zakazuje wychodzenia z kajut, będą...

Tym razem przyszła kolej, żeby wtrącił się Jesse.

– Jak długo jeszcze, według pana, będzie trwać ta sytuacja?

Kapitan wciągnął powietrze przez nos.

– Niedługo.

– Dzień? Dwa dni? Tydzień? Co się dzieje? Czy ktoś w ogóle wie, że zesliśmy z kursu?

– Sytuacja jest pod kontrolą, *dottore*.

Gówno prawda. Cola, którą żywił się Jesse, zmieniała się w kwas w jego wnętrznościach.

– Zabłądziliśmy? Czy o to chodzi?

Wzrok kapitana stwardniał.

– Nie zabłądziliśmy.

– Dlaczego więc nikt nie zjawił się, żeby sprawdzić, gdzie do diabła jesteśmy? – Musi istnieć jakiś sposób na wytropienie statku nawet przy awarii układów zasilania i łączności. „Piękny Marzyciel” nie był nowoczesnym statkiem według żadnych standardów, ale musiał zostać wyposażony w transpondery i radiolatarnie.

– W naszym porcie macierzystym panują złe warunki atmosferyczne.

Niedługo po nas przyplyną.

– Jest pan więc w kontakcie ze służbami lądowymi?

– Pomoc niebawem nadejdzie.

Jezu. Jesse z trudem przełknął ślinę. Nie był pewien, czy kapitan nie wciska mu kitu.

– Proszę posłuchać, jedyne, na czym mi zależy, to żeby przekazał pan pasażerom informacje o wirusie i prośbę o usuwanie worków z nieczystościami w sposób higieniczny. Chodzi też o monitorowanie i kontrolę przygotowania posiłków. Wszystkie osoby z wczesnymi objawami wirusa powinny pozostać w kajutach. To kwestia zasadnicza.

– A gdzie według pana powinniśmy ich umieścić, doktorze? – z nutą złośliwości w głosie odezwał się choleryk. – Kajuty na niższych poziomach nie nadają się do zamieszkania.

Facet od IT parsknął.

– Tak, a większość załogi widzi na całym cholernym statku duchy.

Ram rzucił mężczyźnie ostrzegawcze spojrzenie.

– Wielu członków załogi to ludzie przesądni. Można się było tego spodziewać – powiedział kapitan. – Nie ma podstaw do wiary w tego typu... niecodzienne zjawiska.

Jak martwe dziewczyny walące w drzwi kostnicy od środka? A może pacjentki po udarach potrafiące czytać w myślach?

– Czy można przynajmniej poprosić pasażerów, by nie gromadzili się w dużych grupach? – Jesse zwrócił się do Damiena. – Przedstawienie w teatrze powinno zostać natychmiast odwołane.

Damien pokręcił głową.

– Nie, nie, nie. Ludzie dzięki temu są zajęci i mają co ze sobą zrobić. Nie możemy ich do tego zniechęcać.

– Niedługo będą zajęci wyrzysiwaniem swoich bebechów.

Damien ponownie pokręcił głową. Kozioł. Mały kozioł. *Ja*, właśnie to przypominał mu Damien. Kopyta i wyłupiaste, szelmowskie oczka.

– To absolutnie poza dyskusją. Nie możemy odwołać żadnego z przedstawień Celine del Ray. Ani jakichkolwiek innych. Pasażerowie na nie liczą.

Kapitan podniósł rękę.

– Dosyć. *Dottore*, rzecz jasna, doceniamy pańską troskę. Przekażemy

pracownikom kuchni, że powinni wzmóc czujność. Zwiększymy poziom chloru w, ech, płynie do czyszczenia. Rozmieścimy dodatkowe stanowiska ze środkiem do dezynfekcji rąk.

Jesse poczuł, jak twarz robi mu się gorąca, a za uchem ścieka strumyczek potu.

– Kapitanie, nalegam...

– To wszystko, co możemy teraz zrobić. Dziękuję panu.

Kapitan odwrócił się od niego, a Jesse stał, patrząc na jego plecy. Ram podszedł o krok bliżej i Jesse, nie wiedząc, czy może coś jeszcze zyskać, opuścił mostek, a drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.

Ledwo doszedł do wejścia do I-95, kiedy rozległ się pisk, a z głośników zaczął sączyć się głos Damiena:

– Dobry dzień, panie i panowie, tu Damien, wasz opiekun rejsu. Chciałem jedynie przekazać państwu, że nie ustajemy w wysiłkach prowadzących do zapewnienia państwu bezpieczeństwa i możliwie najwyższego komfortu w obecnych warunkach i naprawdę doceniamy państwa cierpliwość. Małe przypomnienie o konieczności jak najczęstszego korzystania ze środka do dezynfekcji rąk, pojemniki z nim zostały rozmieszczone przy wejściach do wszystkich ogólnie dostępnych stref. Proszę też pamiętać, że Celine del Ray wystąpi w Teatrze Śmiałych Snów za pięć minut. Powtórzę, pięć minut, drodzy państwo.

Sukinsyn. Wyglądało, jakby skurwiel chciał, żeby ludzie chorowali. To za mało. Skoro oni nie mają zamiaru nic robić, weźmie sprawy w swoje ręce. Może przynajmniej porozmawiać z Celine del Rey lub osobą odpowiedzialną za organizację tej imprezy i wytłumaczyć im, o co chodzi. Ani kapitan, ani Damien Kozioł nie są w stanie go powstrzymać.

Postanowił nie robić przystanku i nie przekazywać Marcie szczegółów spotkania z kapitanem. Pognał I-95, a potem po schodach do atrium, przyspieszając kroku za każdym razem, kiedy mijał pasażerów, i przybierając wyraz twarzy w stylu „pędzę do wypadku”. Wejście na niższy poziom teatru było zamknięte, udał się więc na wyższe piętro. Otwarte było jedynie pojedyncze boczne wejście, przy którym kręciło się kilkoro seniorów. Dwie kobiety i mężczyzna ubrany w niezwykle tweedowy garnitur i fiołkowy krawat powitali go serdecznie.

– Witamy, panie doktorze – powiedział z uśmiechem elegancki jegomość. – Przyszedł pan na przedstawienie?

– Nie. – Jesse opowiedział o swoich niepokojach związanych z rozprzestrzenianiem się wirusa w teatrze.

– Och, nie musi się pan o nas martwić, panie doktorze – odparł mężczyzna. – Nikt z grupy Celine nie choruje. Jesteśmy bardzo ostrożni. Łazienki, z których korzystamy, są dwa razy dziennie myte roztworem chloru i wszyscy używamy środka do dezynfekcji.

– Wiemy, co robić – wtrąciła się Latynoska po pięćdziesiątce. – Byłam już raz na rejsie, na którym zaatakował wirus, panie doktorze. Mamy nawet dodatkowe kosze na worki.

Miewał pacjentki takie jak ona. Wszechwiedzące. Przekonane, że lepiej niż on znają się na jego robocie.

– Świetnie, ale naprawdę chciałbym porozmawiać z panią del Ray.

– Obcuje teraz z Duchem.

– Po prostu wejdę i zobaczę, dobrze? – Jesse uśmiechnął się i przycisnął obok niej. Zabrało mu chwilę, zanim przyzwyczał się do ciemnego wnętrza teatru. Atmosfera była tak ciężka i posępna, że czuł się tu jak w katedrze. Powoli szedł w dół przejściem między rzędami. Sala była niemal pełna, boksy i krzesła zajmowali pasażerowie i grupka pracowników personelu niższego stopnia, szepcząc między sobą i z wyczekiwaniem spoglądając na scenę. Mógł sobie jedynie wyobrazić, jak szybko rozprzestrzenić się może tutaj wirus. Nagle zauważył znajomą postać i się zatrzymał. Na krześle pośrodku jednego z rzędów siedział zgarbiony Alfonso. Starsza kobieta ścisnęła jego nadgarstek i szeptała mu coś do ucha, ale on wpatrywał się przed siebie i nie reagował. Jesse zastanowił się, czy nie powinien do niego podejść, ale nie po to tu się pofatygował. Poinformuje Baciego, gdzie może znaleźć swojego protektora, jak tylko porozmawia z tą całą del Rey. Alfonso nie jest więźniem: przecież nie może go zmusić, żeby wrócił do pracy i naprawił ten cholerny statek. Kilka osób siedzących na skraju rzędów obdarzyło go przyjaznymi uśmiechami, a Paulo, jego steward, stojący obok skrzynki z butelkami z wodą i pudła pełnego bananów, pomachał do niego ręką.

O rany. Nieźle się tu urządzili.

Rozległo się kliknięcie i na scenie rozbłysły światła. Kiedy podchodził bliżej, dostrzegł coś, co wyglądało jak skomplikowana konstrukcja z akumulatorów samochodowych – prawdopodobnie pochodzących z wózków widłowych z hali towarowej – podłączonych do pojedynczych halogenów. Sprytne.

Bez żadnych fanfar Celine del Ray wtoczyła się na środek sceny. Odchrząknęła, uśmiechnęła się promiennie w kierunku widowni i powiedziała:

– Na początek kilka drobnych kwestii organizacyjnych. Chciałam powitać wśród nas nowych Przyjaciół, szczególnie tych, którzy tak ciężko pracują, zapewniając czystość i wygodę na naszej sali. Pomóżmy im, wypełniając swoje

własne zadania. – Jesse był pełen podziwu, jak jej głos niesie się po sali bez mikrofonu. – Do rzeczy. Chcę was spytać, starzy i nowi Przyjaciele, kiedy wspólnie musieliśmy sobie radzić z tą stresującą sytuacją, czy choć raz zawiedliście się na mnie?

Cała publiczność jednym głosem wymruczała długie, przeciągłe: „Nieeeee”. Wytrącony z równowagi Jesse cichcem przeniósł się pod ścianę teatru.

– Okłamałam was?

– Nie.

– Nie. Nie zrobiłam tego. Niektórzy z was twierdzą, że widzieli na statku dziwne rzeczy, i boją się. Nie należy się bać. Wiedźcie, że doświadczenie jedynie działania Ducha, który przybliżył was do mnie, abym pomogła wam być razem i przetrwać to wszystko. Niektórzy chcą wiedzieć, skąd pochodzi mój dar i w jaki sposób potrafię łączyć się z Duchem. Wiedźcie jedno. To, co czynię, nie jest złem. Jestem tak samo blisko Boga, jakkolwiek Jego czy też Ją pojmujecie, jak wy sami. Wyznajecie wiele różnych religii i zachęcam was, byście się teraz na nich oparli. Spójrzcie w swoje serca, poproście o wsparcie swoich własnych przewodników i waszych bliskich, którzy odeszli.

Celine zrobiła przerwę na złapanie oddechu, przechyliła głowę, a Jesse poczuł ciarki na skórze, kiedy wydało mu się, że patrzy prosto na niego.

– Chwileczkę... Muszę przerwać, bo nadchodzi Archie i mówi mi, że ma wiadomość dla kogoś tutaj. Wyczuwam... Tak, nadchodzi młoda dziewczyna. Płacze. – Celine położyła rękę na gardle. – Uuu. Czuję ból w brzuchu, mówi. Silny ból. Wyczuwam... Ma na sobie jakiś mundur. Mundurek szkolny. Niebieski. Czy to dla kogoś coś znaczy?

W tym momencie był absolutnie przekonany, że patrzy właśnie na niego.

– Mówi... mówi, że jej śmierci można było uniknąć. Mówi, że to nie był wypadek.

Uczucie, że coś pełźnie po jego skórze, było coraz silniejsze. Przez moment, zaledwie przez moment, w jego myślach pojawiła się twarz tamtej dziewczyny. Przyszła do niego zaraz po szkole. Przysięgała, że nie jest aktywna seksualnie, ale skąd miał wiedzieć, że kłamie? Powinien był poprosić jej matkę, żeby weszła do gabinetu, albo kazać towarzyszyć sobie pielęgniarce. Nie myślał logicznie. W tamtym czasie był całkowicie uzależniony od petydyny.

Jesse, zataczając się, pobiegł w stronę wyjścia, prawie wpadając na potężnie zbudowanego faceta, który stał teraz przed drzwiami z założonymi rękoma.

– Hej, kolego, uważaj.

Z uczuciem gorąca na twarzy Jesse ślepo pomaszerował z powrotem

w kierunku schodów, wzruszeniem ramion zbywając próbujących zaczepiać go po drodze pasażerów. Kiedy dotarł do atrium, przytrzymał się relingu i odetchnął głęboko przez nos.

Wyluzuj, kurwa mać. Ale wyluzowany bywał tak naprawdę tylko po jednym, prawda?

Nie.

Pozwalał po prostu, żeby ta całodzienna gówniana karuzela w końcu go dopadła, to wszystko. Celine mogła wyszperać tę historię w Internecie. Tyle że internet nie działa, prawda? Może wygooglowała go, zanim pojawiła się na statku, prześledziła losy jak największej części załogi i pasażerów. Dokopała się do ich tajemnic.

Mało prawdopodobne – ale czegoś musiał się trzymać. Bardziej realne było to, że po prostu polowała na informacje, zarzucając sieci, aż znajdowała ofiarę. *Ja.* To musiało być to. Każdy lekarz miał w swojej przeszłości coś podejrzanego – mylną diagnozę, pacjenta, który niespodziewanie zmarł. I czy rzeczywiście mówiła tak precyzyjnie? Nie do końca. Mundurek szkolny. Też mi coś.

Tylko to, nic więcej.

A może szukał wymówki, byle dać się złamać i poddać czarowi Pani Demerol. Nie. Wystraszył się tylko i dał nabrać na kanty starej kobiety.

Marthy nie było, kiedy wrócił do izby chorych, ale była cola, kanapka i notatka na biurku w recepcji: „Jeszcze jeden”.

Świetnie.

Otworzył puszkę z colą i położył stopy na biurku. Naprawdę powinien wrócić do teatru i wyciągnąć stamtąd Alfonsa. Cała ta sytuacja przypominała mu jakąś sektę. W najgorszym wypadku powinien przekazać wiadomość Baciemu. Jeśli Alfonso czuł się na tyle dobrze, by wyjść z gabinetu zabiegowego i znaleźć się w objęciach tej przerażającej staruchy oraz jej wyznawców, czuł się też wystarczająco dobrze, by zawlec tyłek do siłowni i naprawić pieprzony statek. Wybawić wszystkich z tej sytuacji.

– Szefie?

Jesse odwrócił się i zobaczył, że w drzwiach pojawił się Bin. Skóra ciasno powlekająca ciało, prawie puste oczodoły. O rany. Jesse miał nadzieję, że Bin nie złapał wirusa.

– Mamy problem, szefie.

Ile razy to dziś słyszał?

– O co chodzi tym razem?

– Dziewczyna z kostnicy. Oni...

Och, do kurwy nędzy.

– Znowu to samo. To tylko metal rozszerzający się pod wpływem temperatury.

– Szefie. Jesse, oni... Oni chcą wyrzucić jej ciało za burzę.

Strażnik sekretów

Ashgar zachorował i nie wychodził z kajuty, co sprawiło, że Devi był jedynym ochroniarzem na głównym pokładzie, i to na nim skrupiły się rozżalenie i strach pasażerów. Ludzie albo w ogóle go nie zauważali albo patrzyli z otwartą wrogością, a pozostali pracownicy byli traktowani mniej więcej w taki sam sposób. Dyżurowało mniej członków załogi odpowiedzialnych za sprzątanie, brud i śmieci piętrzyły się wszędzie dokoła. Niektórzy skrzętnie wypełniali swoje zadania, zbierając plastikowe kubki i brudne talerze, jednak nikt im za to nie dziękował, a dodatkowo musieli odpowiadać na niezliczone pytania o ponowne otwarcie barów lub o spodziewany czas przybycia ratunku drogą powietrzną. Na szczęście od kilku dni nie było żadnych poważnych awantur, choć Devi musiał udzielić upomnienia kilku młodym mężczyznom (należącym do grupy singli, z którymi rozmawiał po śmierci dziewczyny) za palenie marihuany na pokładzie rekreacyjnym. Część pasażerów urządziła sobie prowizoryczną ubikację na sali zabaw dla dzieci, musiał też prosić kilkoro z nich o zaniechanie prób oddawania moczu za burtę statku. Ram polecił ochroniarzom, by interweniowali jedynie w razie poważnych incydentów. W obecnych warunkach nie mogli zamykać sprawców w kabinach i poświęcać siły roboczej na pilnowanie ich.

Minął grupę osób kucających wokół plastikowego stolika i trzymających się ze spuszczoneymi głowami za ręce i skierował się w stronę bufetów. Basen zaczął nabierać chorobliwie zielonej barwy, co jednak nie powstrzymało pasażerów przed korzystaniem z niego. W jacuzzi (które tak naprawdę powinno być zostać odgrodzone, ponieważ brakowało zasilania pozwalającego na cyrkulację wody) z otwartą buzią spała kobieta, a góra od jej bikini ześlizgnęła się, ukazując brązowy sutek. Podskoczyła, obudzona przez pisk systemu nagłośnieniowego:

– Dobry dzień, panie i panowie, tu Damien, wasz opiekun rejsu. Jeszcze raz pragnę podziękować państwu za cierpliwość podczas rozwiązywania doświadczanych przez nas problemów. Kapitan już za chwilę ponownie do państwa przemówi. Chciałbym przy okazji przypomnieć o konieczności jak najczęstszego korzystania ze środka do dezynfekcji rąk, jak też prosić o informowanie członków załogi, gdy tylko poczujecie coś dziwnego w brzuskach. Z weselszych informacji: Keri i Jason, dwie z naszych

najjaśniejszych gwiazd, za kilka minut na Pokładzie Lido pokażą państwu, jak tańczy się rumbę, a cudowna Celine del Ray zaprasza na kolejne przedstawienie w Teatrze Śmiałych Snów, jeśli ktoś z państwa chciałby do niej dołączyć.

Podczas patrolowania pokładu Devi wypatrywał kogokolwiek, kto budową ciała przypominałby prześladowcę Kelly. Devi już wcześniej postanowił, że po służbie odwiedzi izbę chorych i sprawdzi, czy pasażer, który zaatakował pokojówkę, nie jest właśnie tą osobą.

– Hej! Ty tam!

Mężczyzna stojący u szczytu schodów prowadzących na Pokład Spokoju machał w jego kierunku, jakby Devi był jego sługą. Devi westchnął bezgłośnie. Facet był jednym z tych zbyt pewnych siebie Amerykanów, których na statkach nigdy nie brakowało. Zrządzili na zbyt długą kolejkę podczas wsiadania na statek. Biło od nich przekonanie o własnej wyższości. Traktowali ochroniarzy jak niewidzialnych, chyba że akurat trzeba było poczekać dłużej niż pięć sekund na powrót na statek z wycieczki na ląd.

Devi nie śpieszył się, idąc w jego kierunku, po drodze korzystał z okazji, by przechylić się przez reling i przyjrzeć grupie zgromadzonej na niższym pokładzie. Oceniał, że jest tam mniej więcej pięćdziesiąt osób, wyglądali na dobrze zorganizowanych; materace leżały ułożone w równym szeregu. Zlustrował mężczyzn, którzy znaleźli się w polu jego widzenia – nie dał rady zajrzeć pod okap – ale żaden nie pasował do opisu tego, który napadł na Kelly.

– Hej! – krzyknął jakiś facet. – Hej. Do ciebie mówię.

– W czym mogę panu pomóc?

– No. Muszę się zobaczyć z kapitanem.

– Przykro mi, proszę pana, nie mam możliwości zorganizowania takiego spotkania.

– Kto w takim razie je ma, do diabła? Sporo zapłaciłem, żeby się tu znaleźć, i tak nas traktujecie?

Devi pozwolił gościowi się wykrzyczeć. Na drugim końcu Pokładu Spokoju chuda kobieta z pręgami opalenizny na plecach przykucnęła przed wiadrem. Kobieta obok niej gładziła ją po plecach, kiedy tamta wymiotowała.

Awanturnik zakończył swoją tyradę.

– No i?

– Wkrótce zostanie wydany komunikat, proszę pana.

Mężczyzna rzucił w jego stronę nienawistne spojrzenie i zaklął pod nosem. Devi skierował się z powrotem do strefy wewnętrznej. Na przedzie kolejki do

bufetu jakiś pasażer wrzeszczał, że sałata jest brązowa. Nie patrząc mu w oczy, kelner bezbarwnym głosem raz za razem powtarzał przeprosiny. Devi już miał się wtrącić, ale pasażer wycofał się, rzucając urażonym tonem: „Też mi coś”.

Rozległ się trzask krótkofalówki i zdławiony, nerwowy głos Prana:

– Potrzebuję pomocy... służbowy... w pralni.

Devi odczekał, aż odpowie ktoś inny – nie miał chęci opuszczać głównego pokładu – ale nie słyszał nic oprócz ciszy i zakłóceń. Będzie musiał to sprawdzić. Ruszył korytarzem dla personelu obok kuchni przy bufetach i co sił w nogach pobiegł w stronę pokładów służbowych.

Okolo dwudziestu mężczyzn, w większości Indonezyjczyków, ale po części również pracowników z Europy Wschodniej, tłoczyło się przed wejściem do pralni. Pran, który próbował się przepchnąć przez ich grupę, był właściwie ignorowany, a Devi zauważył na skraju grupy lekarza, który krzyczał do mężczyzn, żeby się „do cholery rozeszli”.

Zatrzasnęły się drzwi, rozległ się wrzask, a tłum się cofnął. Devi dostrzegł dwóch mężczyzn wyciągających z magazynu duży czarny worek.

Worek na ciało.

Rozpychając się w tłumie łokciami, z wyrazem ulgi na twarzy dołączył do niego Pran.

– Chcą wyrzucić ciało do morza, Devi. Twierdzą, że to ta martwa kobieta prześladowuje statek.

Devi widział i słyszał sporo przykładów zabobonów w ciągu miesięcy pracy na statkach. Nie był więc zaskoczony, ale wściekł się za brak należącego dziewczynie szacunku. Wystarczająco wiele wycierpiała.

– Hej! – zawołał podniesionym głosem. – Hej!

Mężczyźni podnieśli wzrok, a kilku odłączyło się od grupy i zaczęło się zachowywać tak, jakby ich tam nie było. Stało się oczywiste, że dwaj ciągnący worek to główni podżegacze. Devi przyjrzał się mężczyźnie, którego ocenił jako prowodyra – jegomość miał okrągły brzuch i plakietkę z imieniem „Benyamin”.

– Proszę się zatrzymać.

Benyamin zamruczał coś i gestem nakazał swojemu nagle zniechęconemu pomocnikowi, żeby szedł dalej.

– Ten, kto dotknie worka, zostanie zwolniony z pracy na statku – oznajmił Devi niskim i stanowczym tonem. W obecnej sytuacji była to próżna groźba. – Jeśli nie ustąpicie, osobiście dopilnuję, żebyście nigdy więcej nie wrócili do pracy na statkach.

Kilku mężczyzn zniknęło w pośpiechu ze spuszczoneymi głowami. Nie mogli ryzykować utraty pracy. Większość miała na utrzymaniu bliższą i dalszą rodzinę.

– Nie możemy przerwać! – wrzasnął Benyamin. – Ona jest wszystkiemu winna! Nigdy nie wrócimy na ląd, jeśli tu zostanie!

– Dziewczyna nie jest niczemu winna – powiedział Devi. – Statek stanął, zanim umarła. Mam rację, panie doktorze?

Devi spojrzał znacząco na lekarza, a ten na szczęście podtrzymał jego wersję.

– Zgadza się.

Kilku kolejnych mężczyzn zdecydowało się rozejść.

Devi spróbował innej metody.

– Jak byś się czuł, gdyby to było ciało twojej matki albo żony czy siostry?

– Wszyscy widzieliśmy. To jej sprawka...

Ale Devi wiedział, że wygrał. Benyamin opadał z sił.

– To się wkrótce skończy. Jeśli się nie uspokoisz, zostaniesz bez pracy. Będziesz musiał wrócić do rodziny z pustymi rękoma. Wiesz, co robi agencja. Cały czas jesteś im winny pieniądze?

– Tak. Ale... nikt nas nie ratuje.

– W końcu to zrobią.

Benyamin przez kilka sekund wpatrywał się w niego z niechęcią, potem opuścił ramiona. Odszedł bez słowa, a inni razem za nim.

– Dziękujemy – odezwał się lekarz. Pielęgniarz, który z nim był, a którego wcześniej Devi nie zauważył, podziękował mu ukłonem. – Co możemy zrobić, żeby tu nie wrócili?

– Wrócą. Nie damy rady ich powstrzymać. Nie możemy tu postawić strażnika.

– Dlaczego?

– Nie mamy tylu ludzi.

Lekarz przytaknął ze zmęczeniem.

– Chodź, Bin. Odłóżmy ją na miejsce.

Lekarz i pielęgniarz chwycili oba końce worka i powłócząc nogami, ruszyli w stronę magazynu.

Pran wpatrywał się w swoje buty.

– Nie poradziłem sobie z tym najlepiej. – Zaczął skubać rzadki wąsik. –

Byłem w pomieszczeniu monitoringu, ale nikt się nie zjawił, kiedy wezwałem posiłki.

Podskoczył na dźwięk zatraskiwanych drzwi do kostnicy.

Lekarz otarł dłonią usta i podszedł do Deviego.

– Proszę posłuchać... mamy jeszcze jeden problem.

Devi czekał, aż dokończy.

– Pacjent, który zaatakował pokojówkę. Opuścił izbę chorych bez wypisu.

– Kiedy?

– Dziś rano.

– Panie doktorze, według pana... Czy to mógł być ten sam mężczyzna, który zabił tamtą dziewczynę?

Lekarz otworzył szeroko oczy. Devi bezgłośnie zaklął. Ram byłby wściekły, gdyby się dowiedział, że Devi rozsiewa plotki o zbrodni, który grasuje na statku. Ale stwierdził, że już go to nie obchodzi.

– Czyli teraz definitywnie twierdzicie, że została zamordowana?

– Bierzemy pod uwagę wszystkie opcje.

– Jeezuu.

– Sprawdziłem to, Devi – powiedział Pran, wciąż skubiąc swoje wąsy. – Rozmawiałem z żoną tego pasażera. Powiedziała, że był z nią całą noc.

– Ram kazał ci to zrobić?

Pran popatrzył na stopy.

– Nie, proszę pana. Przecież pasażer zaatakował pokojówkę, wydawało mi się, że to logiczne pytanie.

Może Pran wcale nie był aż tak bezużyteczny.

– Brawo. Dobry pomysł. – Ale ludzie często kłamią, aby chronić bliskich. – Uwierzyłeś jej?

Pran wzruszył ramionami.

– Chyba mówiła prawdę. Wyglądało na to, że jej mąż jest ofiarą całej tej sytuacji.

Devi przez chwilę to rozważał, potem znów zwrócił się do lekarza:

– Sprawdzę, czy da się zlokalizować tego pasażera, panie doktorze. Może go pan opisać?

– Nazywa się Gary Johansson. Koło czterdziestki. Biały. Z lekką nadwagą. Łysiejący.

Ten opis pasował do siedemdziesięciu procent pasażerów na pokładzie, równocześnie jednak przypominał człowieka, którego widział na zdjęciach.

Lekarz ponownie podziękował Deviemu i odszedł w stronę schodów.

– Co teraz będziesz robił, Pran?

– Miałem mieć wolne, proszę pana, ale Madan...

– Madan?

– Nie przyszedł mnie zmienić.

– Jest chory?

– Nie... kiedy ostatnio go widziałem, siedział w kantynie.

– Pójdę z nim porozmawiać. Zostań w pomieszczeniu monitoringu.

– Dobrze, proszę pana.

– Porządny z ciebie gość.

Devi pomyślał, że mógłby również poprosić Prana o przejrzenie zdjęć z poranka, kiedy nastąpił atak. Obraz napastnika nie był zbyt wyraźny, ale może Pran zauważyłby coś charakterystycznego, co obciążałoby lub uniewinniło pacjenta, który samowolnie oddalił się z izby chorych.

Devi zbliżał się do kantyny. Jak zwykle jej wnętrze wypełnione było dymem z elektronicznych papierosów. Jeden z pomocników kelnera leżał bezwładnie koło stołu do gry w piłkarzyki. Pracownicy kasyna i firmy Steiner – kobiety obsługujące spa – zgromadzili się wokół stolików i rozmawiali po cichu. Madan siedział samotnie w rogu, a wokół niego piętrzyły się puste puszki po heinekenie.

Gestem przywołał Deviego.

– Devi. Devi. Napij się.

– Wiesz, że nie piję.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz, człowieku.

– Pran mówi, że miałeś go zmienić.

– Niech Ashgar to zrobi.

– Ashgar jest chory.

– Ja też. Pracowałem osiemnaście godzin. Muszę odpocząć.

– Jak Ram cię tu zobaczy, dostaniesz nagane.

Nie, zostanie zwolniony.

Madan się roześmiał.

– Wcale nie. Jestem jego prawą ręką. Wiesz o tym. Mamy wspólną

przeszłość.

Devi o tym nie wiedział.

– Tak czy inaczej, jest z kapitanem. Zawsze jest z kapitanem. Nie zauważyłeś? Nasz ukochany i oddany... – Madan przechylił się na bok i splunął na podłogę – kapitan ma paranoję, że pasażerowie się zbuntują i napadną na kuchnię i kwatery załogi. A niech to zrobią. Tu na dole gówno znajdują. Po co mieliby tu przychodzić? Co by tu robili?

– Chcą tylko odpowiedzi.

– Nie ma odpowiedzi. Muszę zejść z tego statku, Devi. To zła krypa. Chora.

– Wysłali statek pomocniczy. Ktoś się niedługo zjawi.

Madan beknął.

– Jesteś taki naiwny, Devi. Lubię cię za to. Dobrze być kimś takim. Ja... ja taki nie jestem. Z ciebie to dobry człowiek. Masz honor, jesteś człowiekiem honoru. – Znowu czknął i wytarł usta grzbietem dłoni. – Nie wracam na stanowisko. Pieprzyć to. Myślisz, że zapłacą nam za ten bałagan nadgodziny? Chrzanić to, Devi. Kapitan spierdolił sprawę, przez niego zabłądziliśmy. Możemy być wszędzie.

– Zatoka Meksykańska nie jest taka wielka...

– Ale może nas zepchnąć na Golsztrom, Devi, aż tak daleko, możemy skończyć... – Pomachał ręką. – Skończyć chuj wie gdzie.

– Nie wygląda nawet, że aż tak bardzo nas zniosło.

– Zniosło i to daleko, stary. Jesteśmy zgubieni.

– To niemożliwe.

– Powiedziałem, mamy przerąbane. No dalej, napij się ze mną.

– Nie. Madan, musisz...

Madan wyciągnął rękę, próbując poklepać Deviego po ramieniu, ale nie trafił i z hałasem rzucił na podłogę stertę puszek. Nikogo nie zaciekawilo, skąd dobiegł rumor.

– Dzieją się też inne rzeczy. Widziałeś je, Devi. Musiałeś je widzieć. Coś jest nie tak, mówię ci. Ten statek jest chory – powtórzył. Madan nie był kimś, kogo Devi podejrzewałby o wiarę w przesady. Jeśli już, powiedziałyby, że jest odwrotnie. Rzadko mówił o religii czy sprawach duchowych. Pływał na statkach dłużej niż oni wszyscy: co najmniej siedem lat, i przez ten czas zrobił się głęboko cyniczny.

– Muszę się wydostać z tej krypy, Devi. I zrobię to.

– Co widziałeś?

– Nie tyle widziałem, ile czułem. Oni wszyscy to czują.

Dłoń, która zakryła obiektyw kamery. Członkowie załogi przekonani, że statek jest nawiedzony przez martwą dziewczynę. Relacje niektórych pracowników z Indonezji i Filipin o Białej Damie ukazującej się w trzewiach statku, prześladującej pasażerów i załogę.

Istnieje jakieś racjonalne wytłumaczenie tego wszystkiego. Musi istnieć.

– Mamy przesrane, Devi – powiedział Madan. – Przesrane. – Zaśmiał się niewesoło. – Jest jeszcze kwestia generatora. Twierdzą, że uszkodzenia nie są poważne. Twierdzą, że nie ma powodu, żeby silniki nie pracowały.

– Czemu, w takim razie, statek nie nadaje się do żeglugi?

Madan pochylił się w jego stronę.

– To nieprawda.

Nic z tego, co mówił Madan, nie miało sensu. Ale cokolwiek działo się z generatorem lub zasilaniem, nie miał na to wpływu. Miał natomiast wpływ na odszukanie człowieka, który zabił Kelly.

– Ktoś do ciebie, Devi.

Devi odwrócił się i zobaczył Rogelia stojącego przy wejściu do kantyny. Madan uśmiechnął się pogardliwie i uniósł brwi. Serce Deviego stanęło. On wie. Madan wiedział. I co z tego. Nic na to nie poradzi, może tylko błagać Madana, żeby zachował to dla siebie.

Devi ruszył w kierunku Rogelia, zanim przyjdzie mu do głowy zrobić scenę. Miał nadzieję, że tego wieczoru na niego nie wpadnie. Rogelio dopadł go tego ranka w jednym z publicznych miejsc, gdzie każdy mógł ich zobaczyć, z pretensjami, że Devi poprzedniego wieczora nie znalazł czasu, żeby się z nim spotkać. Kiedy niby miał to zrobić? Ledwie znalazł czas na powrót do kajuty i sen. Zaspokajanie potrzeb Rogelia nie należało w tym całym zamieszaniu do jego priorytetów, ale mógł winić tylko i wyłącznie siebie samego. Zanim Rogelio zdążył się odezwać, wyprowadził go do pustego pomieszczenia IT.

– Jestem zajęty, Rogelio. Jestem na służbie.

– Masz czas, żeby pójść do kantyny, ale nie masz czasu, żeby się ze mną zobaczyć?

– Rogelio. Błagam. Mam wystarczająco dużo spraw na głowie.

– Dlaczego ze mną nie porozmawiasz, Devi?

– Widziałeś, co tam się dzieje, Rogelio. Pasażerowie chcą się czuć bezpieczni.

– Ja też chcę się czuć bezpieczny, Devi. Co będzie, jeśli to się nigdy nie skończy? Jeśli zostaniemy tu tak długo, że zabraknie jedzenia i... – Nagle stracił rezon. – Przepraszam. Wiem, zachowuję się niepoważnie.

Podniósł na niego wzrok spod grzywki.

– Musisz mnie nienawidzić.

Gniew, który narastał w Devim, od kiedy znalazł ciało Kelly, nagle eksplodował.

– Rogelio, zrozum, muszę coś zrobić i nie możesz tak za mną łązić.

Rogelio wzdrygnął się, a Devi przygotował na wymianę wzajemnych oskarżeń. Ten jednak zapytał:

– Co takiego musisz zrobić?

Devi zawahał się, a potem dał upust temu, co w nim siedziało. Nawet nie próbował się powstrzymać. Opowiedział mu o dziewczynie imieniem Merinda – dziecku, które zgwałcił jej wujek – i o tym, jak pozwolił swojej rodzinie i przełożonym na zatuszowanie sprawy, żeby ratować własną skórę. Powiedział o mężczyźnie, którego widział na zdjęciach, potworze, który poszedł za Kelly Lewis do jej kajuty. Opowiedział o obawach, że temu człowiekowi ujdzie to na sucho i że jej śmierć zniknie w medialnej burzy, która wybuchnie, kiedy w końcu przybędzie pomoc.

Rogelio słuchał, a potem powiedział tylko:

– Idź. Rób, co do ciebie należy.

I wyszedł.

Devi wrócił do pokoju monitoringu. Jego pierś zrobiła się lżejsza – jakby zdjęto z niej ciężar. Może od początku powinien zwierzyć się Rogeliowi. Może go nie doceniał. Chyba zawsze uważał Rogelia za kogoś równie płytkiego i pustego jak rozrywki, które ten nadzorował – wieczory karaoke, taniec w stylu country, imprezy dla singli. Rogelio miał jednak coś więcej niż tylko ładną buzię.

– Devi.

Zobaczył, że przed biurami ochrony z rękoma splecionymi za plecami stoi Ram.

– Dlaczego nie jesteś na swoim posterunku, Devi?

– W magazynie przy pralni doszło do zamieszania, szefie. – Teraz miał szansę, żeby zmusić Rama, by ten go wysłuchał. – Musimy porozmawiać.

– O czym?

– O człowieku, który zamordował Kelly Lewis.

– Nie ma żadnego mordercy, Devi. Mówiłem o tym wiele razy. Dziewczyna za dużo wypła.

– Mam dowód, proszę pana. Zdjęcia z CCTV...

Ram nie podniósł głosu.

– Masz pilnować, żeby pasażerowie i załoga nie wymknęli się spod kontroli. To wszystko. Raz już ci mówiłem, nie będę akceptował niesubordynacji. Czy to jasne? Jeśli nie podporządkujesz się moim poleceniom, nastąpią reperkusje.

To się na nic nie zda. Teraz zrozumiał.

– Tak, sahib.

– Dobrze. Mam nadzieję, że się rozumiemy.

Devi patrzył, jak jego przełożony odchodzi w kierunku mostka. Ale nie miał zamiaru rezygnować, bez względu na słowa Rama. Nie mógł zrezygnować.

Kiedy wszedł do strefy monitoringu, Pran wpatrywał się w ekrany i Devi był pewien, że słyszał ich rozmowę. Pran podniósł wzrok.

– Devi... coś jest... Patrz. Siódmy monitor.

Devi spojrzał przez ramię Prana. Na ekranie widać było korytarz na Piątce.

Wszystkie drzwi do kajut były otwarte.

Blog Dzika Karta

żebyście nie musieli robić tego wy Nieustraszony w walce z oszustami,

2gi st.

Wciąż ani śladu helikopterów czy statków ratunkowych, nada.

Najważniejsza wiadomość dnia: zostałem zaatakowany przez wykidajkę Celine. Za to puszcze Hienę i jej goryla z cholernymi torbami. Nie wie, z kim zadarła. Facet po prostu mnie zaatakował, bez ostrzeżenia, nie miałem szansy się bronić. Czuję się, jakby mi gęba wybuchła.

Dochodzę do siebie w kajucie Hieny, jeśli dacie w to wiarę. Co za gówno. Wyciągnę od Maddie tyle informacji, ile tylko zdołam.

Kapitan Beznadzieja wysłał tego ranka statek pomocniczy i wszyscy czekamy na jego powrót z flotą łodzi ratunkowych i helikopterów. Przyczyny, dla których nie zostaliśmy dotąd uratowani, są oczywiste: kapitan spierdolił sprawę, przez niego zabłądziliśmy i dryfujemy gdzieś, gdzie nikt się nas nie spodziewa (i nie, nie jest to Trójkąt Bermudzki), ALBO coś jeszcze gorszego stało się na łodzi i przez to ratownicy nie mogą do nas dotrzeć. Sztorm, na przykład.

Maddie mówi, że jeśli nic się nie zmieni, mogę spać na kanapie w apartamencie Hieny.

Pozwólcie, że podkreślę, jak bardzo boli mnie twarz. Pielęgniarka twierdzi, że mogę mieć złamany nos. Nawet nie próbowałem poinformować ochrony. Zajmie się tym policja po powrocie do domu, jeśli to w ogóle, kurwa mać, nastąpi.

Oto podsumowanie dzisiejszego dnia:

15.00 – Przespałem się (zmuliły mnie środki przeciwbólowe).

15.00 – Wiadomość od Damiena: Hiena daje kolejny show. A w bufecie Lido dają hot dogi.

Poszedłem do swojej kajuty po zapasową baterię. Ani śladu Paula czy Trining. Śmierdzi tam na dole, a toalety wciąż zatkane. Jezu. Usłyszałem plotkę, że obok spa są czynne łazienki. Poszedłem sprawdzić. Zły pomysł. Gówno i papier dosłownie wylewają się z muszli na całą podłogę. Żal mi gości, którzy to sprzątają. Przed galerią sztuki widziałem kupę zwiniętą w idealną spiralę. WTF, co się dzieje z tymi ludźmi? Prawie się porzygałem.

18.00 – Powoli mi odbija. Maddie nie jest w nastroju do rozmów. Nie chce wychodzić, ma paranoję na punkcie choroby. Wyłazę na chwilę.

22.00 Właśnie wróciłem do kajuty Hieny.

Po wyjściu dołączyłem do grupy singli obozującej na polu do minigolfa. Ludzie rzeczywiście podzielili się na małe zwarte grupki. Jest grupa biblijna, która się ciągle modli. Grupa ćpunów, która ciągle jara trawę. Grupa Spokoju, która ciągle nie wpuszcza nikogo na swoje terytorium. Rozumiecie, o czym mówię. Grupa singli nie jest taka zła – przynajmniej troszczą się o siebie nawzajem. Donna i Emma (przyjaciółka zmarłej dziewczyny) pilnują, żeby każdy po kolei chodził po jedzenie i wodę.

Koło 21-szej Dane i Carl z „mojej” grupy (BTW, wyglądają dokładnie tak, jak sugerują to ich imiona) wrócili z wypadu po dragi do swojej kajuty (Pokład 5) z przerażeniem na twarzach. Twierdzili, że widzieli kobietę i dzieciaka, którzy gapili się na nich, a potem zgasły światła.

Wyglądali na naprawdę wstrząśniętych, przekonanych, że zobaczyli duchy. Obiecałem, że pójde to sprawdzić.

Wbrew temu, co mówili, nie panowały egipskie ciemności – kiedy tam dotarłem, paliły się światła awaryjne. Śmierdziało jak w trupiarni. Wszystkie drzwi na pokładzie były otwarte, co pewnie miało robić przerażające wrażenie. Muszę to oddać Dane’owi i Carlowi. Nie wiem, jak im się to udało. Oczywiście

się nie przyznali.

Duchów nie zobaczyłem, ale wychodząc, wpadłem na gościa z ochrony. Pytał, czy nikogo tam nie widziałem. Powiedziałem, że nie. Poważny gość.

Nos mnie dobija, zatem idę spać. Noc.

DZIEŃ 7



Asystentka więdźmy

Ostatniej nocy, w samotności w apartamencie Celine, Maddie udało się przekonać samą siebie, że złapała wirusa. Jej ciało oblało się zimnym potem, wnętrzności kipiały i nie mogła powstrzymać spazmatycznego odruchu przełykania. Krok po kroku doprowadziła się do porządku. Wystarczyło, że pomyślała o konieczności użycia czerwonego worka, a wszystko jej przeszło.

Celine wciąż nie wracała do apartamentu. Czy powinna jej zanieść czyste ubranie? Nie. Celine nie była już jej szefową. Musi przestać myśleć w ten sposób. Fakt, że Celine ją odstawiła na boczny tor, wciąż palił jak ogień. Tyle razem przeszły. Łączyły je wspólne doświadczenia. Konsekwencje po programie Kavanaugha, tym gorsze, że Celine – wbrew wszystkiemu – każdego, kto chciał jej słuchać, przekonywała, jakoby Bobby i Lori Small przetrwali jedną z czterech katastrof w Czarny Czwartek. Prześladowca, który pewnego razu przez tydzień pokazywał się pod domem Celine, błagając ją o umożliwienie mu kontaktu z duchem Johnny’ego Carsona. Dziennikarz, który nagrał jeden z odczytów Celine, a potem zaprezentował go, linijka po linijce, na YouTube. Te cholernie beznadziejne komedie romantyczne. Napływające wciąż i wciąż bez końca wiadomości od Przyjaciół i desperatów z Facebooka, na które odpowiadała.

Przez trzy lata była jej wierna... i co dostała w zamian? Nie, nie była do końca uczciwa, Celine dała jej możliwość ucieczki z niedobrej sytuacji. Ucieczki z tamtego gównianego koktajlbaru na Long Island, jedyne miejsce, gdzie mogła znaleźć pracę po tym, jak Neil zniszczył jej życie. Celine i jej ówczesna małomówna asystentka o wymizerowanej twarzy przychodziły do baru mniej więcej raz w tygodniu, a Maddie dowiedziała się od innych pracowników, że Celine jest kimś w rodzaju jasnowidza w typie Sylvii Brown. Celine wydawała jej się zabawna, ze swoją utapirowaną fryzurą, długimi czerwonymi paznokciami i sztucznymi rzęsami. Zapamiętała ją jako tajemniczą kobietę na wózku inwalidzkim.

Bar miał zróżnicowaną klientelę – pracowników korporacji szukających przygodnego romansu, robotników, bezrobotnych muzyków. Celine wyróżniała się na ich tle.

Pewnego wieczoru, kiedy Maddie wycierała stoliki, Celine chwyciła ją za nadgarstek i powiedziała:

– Wiedz, że twoje życie stanie się łatwiejsze, moja droga.

Zaskoczona Maddie wyrwała rękę, ale wtedy, bez ostrzeżenia i zanim mogła je powstrzymać, pojawiły się łzy. Zaczęła szlochać, na środku baru, a klienci obżerali się skrzydełkami kurczaka i wlewali w siebie kieliszki tequili. Celine kazała asystentce przynieść Maddie chusteczki z łazienki, a potem oznajmiła:

– Ta dziewczyna jest idiotką. Za grosz umiejętności nawiązywania rozmowy. Ani krzty wdzięku. Potrzeba mi kogoś, kto potrafi mówić. Kto ma choćby odrobinę tupetu. Kogoś, komu mogę zaufać. – Celine wcisnęła jej swoją wizytówkę. – Zadzwoń do mnie jutro.

Tamtego wieczoru Maddie wygooglowała Celine. Książki, wywiady. Stary program telewizyjny, *Celine del Ray, łowczyni umysłów*, który zdjęto z anteny po jednym sezonie. I Maddie zadzwoniła do niej. Jak mogłaby nie zadzwonić. Celine zaprosiła ją do swojego domu. Spodziewając się zaniebanego dworku w stylu kolonialnym albo lśniącego pałacu, Maddie zdziwiła się, kiedy zaparkowała obok niepozornego podmiejskiego domu w East Meadow. Siedząc przy stole w bezbarwnej kuchni Celine, Maddie otworzyła się. Opowiedziała jej wszystko o swojej przeszłości, o Neilu. O tym, jak poznała go w pubie w Hackney (myślała wtedy, że to miłość od pierwszego wejrzenia i trzymała się wyidealizowanego wspomnienia tamtej chwili, kiedy pierwszy raz go zobaczyła, nawet kiedy wszystko zamieniło się w gówno). O tym, jak rzuciła pracę, przeprowadziła się do Stanów, o wystawnym weselu, którego nigdy nie spłacili. O jego niezliczonych planach na zarobienie pieniędzy, które nigdy się nie ziściły. O jego firmie inwestycyjnej, która w ogóle nie była firmą. O dniu, w którym w końcu się obudziła i przejrzała na oczy, zrozumiałwszy, kim się tak naprawdę stała. O tym, jak podjęła decyzję, że nie odejdzie. O tym, jak wyczyściła oszczędności siostry, wyłudziła gotówkę od przyjaciół, obiecując spłatę, która miała nigdy nie nadejść. Opowiedziała Celine, jak Neil zdołał w ostatniej chwili umknąć przed ciosem siekiery. O dwóch latach w zawieszeniu, które dostała, uznana za współwinną.

Celine słuchała, a potem zaproponowała Maddie pracę, pod warunkiem że podpisze klauzulę o zachowaniu poufności. Celine coś w niej dostrzegła. Być może brak moralności. Desperację, którą będzie mogła wykorzystać. Maddie chciała kilka razy odejść już w ciągu pierwszego miesiąca. Współczująca kobieta, która wysłuchiwała jej tamtego dnia, szybko przekształciła się w wymagającą despotkę. Ale wytrzymała.

Jakaż była głupia.

Wstała i przeciągnęła się. Xavier spał na kanapie z otwartymi ustami, a jego laptop leżał obok niego na podłodze. Siniak nad jego nosem robił się żółty. Wczoraj już prawie odprawiła koleśka, ale nie chciała zostać sama. Poza tym

dobrze – pokrzepiająco – mieć kogoś przy sobie, nawet jeśli to ktoś, kogo prawie nie zna, a komu na pewno nie ufa. Wcześniej przetrzepała jego rzeczy, nie znajdując nic szczególnie kompromitującego oprócz prawa jazdy ze zdjęciem we włosach blond i adresem z South Beach w Miami.

Sygnał, a potem kolejny bzdurny komunikat Damiena:

– Dobry dzień, panie i panowie. Wygląda na to, że złe warunki atmosferyczne w porcie macierzystym powodują obecnie opóźnienia w podejmowaniu wszelkich akcji ratunkowych...

Wyłączyła go w myślach. Potrafiła wyczuć brak szczerości w głosie tego faceta. Nauczyła się tego od Celine.

Konieczność musiała wziąć prysznic. Miała wilgotną skórę po ataku paniki z zeszłego wieczora i zabiłaby za czyste ciuchy. Zawsze mogła poprosić Xaviera, żeby przyniósł jej walizkę z niższego poziomu, choć nie był to chyba najlepszy pomysł. Jej rzeczy mogły przesiąknąć smrodem. Był tam wczoraj wieczorem, a kiedy wrócił do apartamentu, jego buty śmierdziały fekaliami. Kazała mu wystawić je na balkon.

Po cichu przeszła do łazienki, zamknęła za sobą drzwi. Początkowo jej mózg nie potrafił zaakceptować tego, co zobaczyła.

W wannie była kobieta.

Leżała ubrana w krótką sukienkę na ramiączkach – w stylu Gatsby’ego – wyszywaną drobnymi białymi perłami. Skórę miała tak białą jak jej sukienka. Pory zatykała ciemna substancja, co sprawiało, że skóra wyglądała jak pokryta czarnymi nakłuciami.

– Jak się tu dostałaś?

Czyżby Celine dała komuś jej kartę pokojową? Ale nie... Po tym, jak wpuściła Xaviera, zamknęła drzwi na dodatkowy rygiel.

Kobieta otworzyła szeroko oczy – na Boga, na Boga, one też były białe – i odsłoniła zęby. Malutkie, zaostrome i całkiem ciemne. Ustawiła je w rząddek z wyraźnie słyszalnym kliknięciem, a potem zaczęła nucić, najpierw cicho, a potem coraz głośniej, aż Maddie nie słyszała nic poza tym.

Kobieta w ciuchach z lat 20. XX wieku, jak Lizzie Bean, ta Lizzie Bean od Celine, stereotypowa postać Celine z szalonych lat dwudziestych, leży w jej wannie.

Maddie zrozumiała, że przeżywa załamanie nerwowe. Zawsze zastanawiała się, jak to jest, a teraz już wie. Sięgnęła za siebie w kierunku drzwi, wymacała klamkę i się wycofała. Nucenie nagle ustało. Na całym ciele czuła dreszcze. Gdzieś w głębi umysłu zarejestrowała, że czysta groza rzeczywiście jest zimna

jak lód.

Rzuciła się w stronę kanapy i potrząsnęła Xaviera za ramię. Obudził się natychmiast, zamykając usta.

– Xavier. Ktoś jest w łazience.

Usiadł, przez chwilę obserwował jej twarz, a potem poderwał się na nogi.

– Że jak? Ktoś tu jest?

– W łazience.

– Kto?

Pchnęła go zdecydowanym ruchem w kierunku łazienki. Spojrzał na nią podejrzliwie i otworzył szeroko drzwi.

– Pusto.

– Co?

– Nikogo tu nie ma, Maddie. Chodź. Rozejrzyj się.

Wbiła paznokcie w skórę dłoni i spojrzała przez jego ramię. Łazienka rzeczywiście była pusta.

– Sprawdź za zasłonką od prysznicza.

Odsłonił ją gwałtownie. Nic.

– Była tam. Leżała w wannie. Kobieta... martwa kobieta. – Nikt żywy nie ma skóry o takiej barwie.

Xavier parsknął z dezaprobatą.

– Robisz mnie w chuja?

– A wyglądam tak, jakbym robiła cię w chuja? Wiem, co widziałam.

– Martwą kobietę w wannie? Jak w *Lśnienu*?

– To była... To chyba Lizzie Bean.

– Kto taki?

– Wiesz, jeden z duchów przewodników Celine.

– Maddie... bądź poważna. Uderzyłaś się w głowę czy coś?

Poczuła atak hysterii, ale zmusiła się, żeby to powstrzymać.

– Może pojawią się też Archie i Papa Noakes.

– Kim, do kurwy nędzy, jest Papa Noakes?

Maddie zawahała się, czując nawrót dobrze znanego poczucia lojalności. Ale chrzanić Celine.

– Duch przewodnik numer trzy. Z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

– Opowiedz mi coś o nim... Jak się nazywa?

– Papa Noakes. To były niewolnik.

Zaśmiał się.

– O rany. Serio?

– Słuchaj... wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale widziałam ją, Xavier. Sam mówiłeś, że ludzie widzieli coś na niższych pokładach.

– Byłem tam, Maddie. Po prostu paru gości chciało zrobić wszystkim w chuja. Jedyne, czego można się tam wystraszyć, to przeraźliwy smród.

– Ale...

– Słuchaj, Maddie. Ostatnio źle sypiasz. Jak my wszyscy. Słyszałaś kiedyś o świadomym śnieniu?

– Nie rób ze mnie idiotki.

– Nie robię. Chodzi mi tylko o to... Jakie rozwiązanie jest bardziej logiczne? Że duch przewodnik Celine siedział sobie w wannie czy że miałaś wyjątkowo realistyczny koszmar i jesteś przekonana, że widziałaś ducha?

– Wyglądał bardzo prawdziwie.

– Maddie. Posłuchaj. To tylko twoja wyobraźnia. Sama powinnaś o tym najlepiej wiedzieć.

– Może porozmawiam z Celine... Może próbuje mi przekazać wiadomość.

– Halo? Tu Ziemia, zgłoś się, Maddie. Wiesz, że jest oszustką. Jak możesz w ogóle coś takiego mówić?

Maddie krążyła po pokoju, usiłując nie patrzeć na drzwi od łazienki. Zdaje się, że Helen i Elise również twierdziły, że słyszą melodię? Tak. Traci zmysły.

– Chcę się tylko z nią zobaczyć.

– Po tym, co zrobił mi jej osiłek? – Xavier trochę przypominał skrzywdzone dziecko.

– Ja tylko... Tak, lepiej z nią pogadam. Nie tylko ja mam...

– Zły pomysł. Słuchaj, wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Jesteś zestresowana tą całą sytuacją, a Celine to wykorzystuje. Mam na myśli masową histerię. Masową chorobę psychogenną. Jediną przyczyną, dla której ludzie widzą te rzeczy, jest fakt, że Celine karmi ich czymś w rodzaju zbiorowego urojenia.

Maddie znów zaczęła krążyć.

– Znam Celine. Wiem, jak robi to, co robi. To wszystko ściema. Ale pewne sprawy, o których mówiła tego dnia, kiedy statek się zatrzymał... Nie mogła

o nich wiedzieć.

– A tamten gość, Ray? Nie mógł jej powiedzieć? To wszystko zimny odczyt, Maddie. Ludzie wierzą w to, co chcą. Ludzie się boją. Ta cała sytuacja jest niezrozumiała. Gromadzą się wokół kogoś, kto wydaje się znać ich przeszłość. –

Nabrał powietrza. – Ona wykorzystuje okoliczności, Maddie. Kiedy to się skończy, chce być postrzegana jako wielka bohaterka.

– Chcę z nią porozmawiać.

– Bądźmy poważni, Maddie... Myślisz, że ten jej zbir Ray pozwoli ci się z nią zobaczyć?

– Potrafię go przekonać.

– I co wtedy?

Właśnie, i co wtedy?

– Nie wiem, Xavier, okej? – Zaryzykowała spojrzenie w kierunku drzwi od łazienki. – Ale cokolwiek się stanie, muszę wyjść z tej kajuty.

– Maddie, nie mamy dokąd iść. Tam na zewnątrz jest kurewsko okropnie.

– Musi być jakieś miejsce, do którego moglibyśmy pójść. Może sala gimnastyczna. Spa.

– Nic z tych rzeczy. Byłem tam. Straszny syf.

– Nie obchodzi mnie to! Muszę stąd wyjść.

Xavier przez kilka sekund przyglądał jej się badawczo.

– Okej, okej. Jeśli chcesz się zobaczyć z Celine, rozegramy to ostrożnie.

– My?

– Tak. My.

Fala ulgi. Nie ufa mu, ale przynajmniej nie jest sama.

– Co masz na myśli?

– Nie możemy tam wparować jak po swoje. – Ostrożnie dotknął nasady nosa.

– Nie potrzebuję kolejnego ciosu w twarz, nie wyglądam po nich dobrze. Tak sobie myślę, może spróbujemy przedostać się do strefy dla załogi przez jedno z przejść służbowych?

– Damy radę?

– Spróbujemy.

Kiedy Xavier szukał swoich butów, ona owinęła szyję apaszką i nałożyła rękawiczki. Xavier ma chyba rację, że umysł płata jej figle. Na pewno ma rację. Strach robi z mózgiem dziwne rzeczy.

Ale to było takie realistyczne.

Znaleźli się na korytarzu. Od wielu godzin nie opuszczała apartamentu. Powinna przynajmniej jeszcze raz sprawdzić, co słychać u Helen i Elise. Obiecała sobie, że zrobi to później. Być może. Xavier usiłował otworzyć służbowe przejście Althei, ale drzwi były zamknięte na amen.

– Nic z tego. Hej... może spróbujemy na moim pokładzie.

– Mówiłeś, że tam śmierdzi.

– Tak. Strasznie. Ale to oznacza, że nie zatrzyma nas tam żaden z członków załogi. Jak byłem tam wczoraj wieczorem, całe miejsce było opustoszałe. Znaczący, widziałem gościa z ochrony, ale był tam krótko.

– Okej.

Przed windami mężczyzna i kobieta ucinali sobie drzemkę na niezastłanym materacu, wśród rozrzuconych brudnych talerzy i kubków po napojach. Boże. Przynajmniej nie musi przez to przechodzić. Ruszyła za Xavierem po schodach w kierunku Pokładu Promenady Snóff. Smród rzygowin przyprawiał ją o mdłości.

Mów. Rozmawiaj, przestań o tym myśleć.

– O co chodzi z tą twoją obsesją na punkcie Celine, Xavier? Są między wami jakieś zaszłości czy coś w tym stylu?

Uśmiechnął się do niej półgębkiem.

– Nie. Po prostu nie podoba mi się to, co robi. Nie podobało mi się, co zrobiła Lillian Small.

– Tak. To było... zupełnie nie w stylu Celine, prawdę mówiąc. Zwykle trzyma się z daleka od rzeczy, które można udowodnić.

– Jaki w takim razie według ciebie miała w tamtej sytuacji motyw?

Wzruszyła ramionami.

– Może rozgłos. Sława. A może chciała się załapać na ten cały cyrk z Czarnym Czwartkiem.

– Typowe. À propos, nie chodzi tylko o Celine. Nie podoba mi się to, co oni wszyscy wyprawiają. Sępy. Hieny. Wmawianie rodzicom zaginionych dzieci, że one ciągle żyją. Wkurza mnie to.

– Jak to się zaczęło? To znaczy, czemu cię to ciekawi?

Zawahał się.

– W dzieciństwie chciałem być magikiem.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Uśmiechnął się, kryjąc zażenowanie. – Nie miałem cierpliwości. Ale wkręciłem się w tabliczki ouija, zajmowałem się trochę wiedzą tajemną. Wiesz. Taki etap. I zrozumiałem, jak łatwo ludzi oszukać.

Doszli już na Pokład Szósty. Jej nozdrza wypełniła woń stęchlizny z zapleśniałych dywanów.

– W jaki sposób zarabiasz pieniądze?

– Mam swój blog.

– Ta, bez urazy, ale coś mi się zdaje, że z tego nie ma szampana i kawioru.

– Dziadek zostawił mi trochę pieniędzy.

– Utrzymujesz się z funduszu powierniczego?

Nic dziwnego, że mógł tyle czasu poświęcić na ściganie Celine.

– Nienawidzę tego określenia.

– Jesteś bogaty?

– Nie jestem bogaty. Wystarczy mi, żeby przeżyć.

Smród na półpiętrze prowadzącym na Pokład Piąty był tak silny, jak się tego spodziewała, a wejścia do korytarzy z kajutami tonęły w ciemnościach. Zawahała się na ostatnim schodku. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo ciemne może być wnętrze statku. Aksamitna czerń – nie, to bzdura. W tym mroku nie było nic delikatnego.

– Poczekaj tu. Pójdę sprawdzić, czy któreś z drzwi nie są niezabezpieczone.

– Jak chcesz cokolwiek tam dojrzeć?

Uśmiechnął się i podniósł minilatarkę przymocowaną do łańcuszka na klucze.

– Jestem przygotowany.

Trzymając się poręczy ręką w rękawiczce, patrzyła, jak pochłaniają go cienie. Strach powoli znikał. Nie mogła go dalej karmić.

Duch przewodnik, który ożył. Żałosne. Teraz, kiedy wyszła z apartamentu, dostrzegą ją na odległość. Powoli przyzwyczajają się nawet do panującego tu fetoru fekaliów. Zauważyła światło.

– Wszystko w porządku. Znalazłem otwarte drzwi.

Ruszyła korytarzem w jego stronę, wpatrując się w promień latarki i zakrywając usta dłonią. Boże, jaki ten dywan mokry i gąbczasty. Wydawało się, że jej stopy zagłębiają się w niego, jakby statek próbował ją wciągnąć do swoich płuc. Xavier przytrzymał drzwi, a ona weszła do środka, minęła niewielkie półpiętro i ruszyła w kierunku wąskiej klatki schodowej. Odsunęła

się, pozwalając Xavierowi precyzyjnie się do przodu. Brudne ściany, na suficie migoczące awaryjne świetlówki. W porównaniu ze strefą dla pasażerów był to zupełnie inny świat: funkcjonalny, obnażający szkielet statku, a powietrze wydawało się dwa razy cięższe.

Xavier zatrzymał się gwałtownie, a ona niemal wpadła na jego plecy. Usłyszeli zbliżające się kroki. Niski Filipińczyk wbiegał po chodach i zatrzymał się na ich widok.

– Nie powinno was tu być. Pasażerom wstęp wzbroniony.

– Potrzebujemy pomocy – powiedział Xavier.

– Szukacie lekarza? Musicie zawrócić.

Maddie spojrzała zza ramienia Xaviera, próbując odczytać plaketkę z imieniem: Angelo.

– Nie, nie chodzi o lekarza. Musimy się dostać na scenę. Do Teatru Śmiałych Snów?

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Dlaczego po prostu nie wejdziecie głównym wejściem?

– Mamy... swoje powody.

– Chodzi o tę kobietę? Panią del Rio?

– Del Ray. Tak.

– Znasz ją? – zapytała Maddie.

– Nie. Ale słyszałem o niej. Jak ona to wszystko robi? To trik?

– Tak – odparł Xavier.

– To dlaczego chcecie ją zobaczyć?

– Powiem ci coś: pokaż nam, jak się tam dostać, a wynagrodzę ci to.

– Ile?

Xavier wyjął studolarówkę, a facet sprawił, że zniknęła.

– Dobra. Ale jeśli spotkamy jakiegoś ochroniarza, nie możecie mówić, że wam pomogłem.

– Dziękujemy. Tak zrobimy. Nie będziesz miał przez nas problemów, obiecuję.

Mężczyzna zawrócił i pokiwał na nich, zszedłszy dwie kondygnacje w dół. Przeprowadził ich przez ciężkie metalowe drzwi, aż znaleźli się w korytarzu z niskim sufitem, śmierdzącym farbą, dymem papierosowym i czymś jeszcze gorszym. Podłoga była porysowana, a czerwona farba wyblakła.

Maddie podskoczyła na dźwięk głosów. Angelo wysforował się na przód, a ona i Xavier musieli podbiegać, by dotrzymać mu tempa. Powietrze robiło się coraz gorętsze. Całe ciało miała wilgotne od potu. Uderzenie metalu o metal, łoskot. Minęli kilka małych wykafelkowanych pomieszczeń. W jednym z nich dwóch mężczyzn o nieprzyjemnych twarzach zajmowało się szatkowaniem zielonych papryk, wyrzucając nadpsute kawałki. Spojrzeli na nią, nie wykazując zainteresowania.

– Ile zostało jedzenia? – zapytał Xavier Angela.

Wzruszenie ramion.

– Niektóre lodówki są jeszcze zimne. Mamy płatki. Mrożonki. Potrzebujemy prądu, żeby gotować, ale działa jeszcze kilka płyt do podgrzewania.

Przecięli kolejny korytarz i Maddie była teraz kompletnie zdezorientowana. Powietrze nie docierało wystarczająco głęboko do jej płuc.

O Boże.

Nie mogła oddychać.

Angelo odblokował kolejne białe metalowe drzwi i wypchnął je na bardziej przestronne, nijakie przejście, które wydawało się ciągnąć w nieskończoność.

Angelo wskazał na lewo.

– Więc teraz musicie...

Nagle ich przewodnik zamarł. I uciekł.

Zbliżała się do nich przysadzista postać, wykrzykując coś przez krótkofalówkę.

– Stop!

– O cholera – wymamrotał Xavier, a ochroniarz, z ręką na pałce przyczepionej do pasa, zbliżał się do nich z dużą szybkością.

– Nie powinno was tu być. Jak się tu dostaliście?

– Przepraszam – spróbowała Maddie. – Zgubiliśmy się.

Mężczyzna – Ram, według plakietki z imieniem – miał najciemniejsze i najtwardsze oczy, jakie kiedykolwiek widziała.

– Jak się tu dostaliście? – huknął po raz drugi.

– Wyluzuj – powiedział Xavier. – My tylko...

– Nie powinno was tu być.

– Słuchaj, nie przekazujecie nam żadnych informacji. Mamy prawo wiedzieć...

– Nie, to ty słuchaj. Jeśli nie zmienisz tonu, będę musiał cię obezwładnić. –

Xavier zacisnął usta. Było jasne, że Ram mówi bardzo poważnie. – Wyprowadzę was stąd. Jeśli znowu zostanieie tu przyłapani, osobiście dopilnuję, żeby zamknięto was w waszych kajutach.

Oстрыm gestem nakazał im iść przodem.

– Cholera – wymamrotał Xavier.

Błąkali się po kilku następnych korytarzach, przeszli przez kolejną wąską metalową klatkę schodową, a potem mężczyzna otworzył szeroko drzwi i wypchnął ich na zewnątrz. Maddie zorientowała się, gdzie się znajdują: byli na Pokładzie Promenady Snóff. W porównaniu z trzewiami statku powietrze pachniało tu jak łąka na wiosnę.

Ram zatrzasnął za nimi drzwi.

– Co teraz? – Maddie zdjęła rękawiczki i wytarła dłonie o dzinsy.

– Moglibyśmy pójść na pokład rekreacyjny, znam tam parę osób.

Pomyślała o tym przez moment, przypominając sobie kobietę z kolejki do bufetu na Lido i rozpychające się tłumy. Ludzi sikających za burtę. Nie. Nie zniosłaby tego. Minęli kasyno, gdzie grupka osób zbudowała z materaców minizagrodę tuż obok automatów do gry. Kobieta ze zdruzgotanym wyrazem twarzy ściskająca w rękach wiadro kierowała się w stronę zaciemnionych drzwi restauracji. Zatoczyli krąg wokół atrium i Maddie dostrzegła wejście do teatru. Ray stał tam gdzie zwykle, ustępując miejsca niskiemu mężczyźnie z czarnymi włosami ufryzowanymi w „jaskółkę” i kobiecie w stroju pokojówki, którzy weszli do środka. Maddie nagle rozpoznała Altheę. Zdała sobie również sprawę, że towarzyszący jej mężczyzna to jeden z zastępców opiekuna rejsu. Miała z nim kilka razy do czynienia przy okazji ustalania technicznych szczegółów występów Celine. Oczarował ją radosnym usposobieniem.

– Nie idź tam, Maddie – powiedział Xavier.

– Muszę wiedzieć, Xavier.

– Wiedzieć co?

– Dlaczego Celine odstawiła mnie na boczny tor. Dlaczego jest...

– Chodźmy stąd, Maddie. Wracajmy do apartamentu Celine.

Nie mogła tam wrócić. W głowie usłyszała melodię, którą nuciła Lizzie Bean. Zadrżała.

– Zaczekaj tu.

Ray uśmiechnął się do niej szeroko, kiedy do niego podeszła.

– Hej, Maddie. Druga runda? Czy może tym razem spróbujesz mnie przekupić w inny sposób? – Nagle wyraz jego twarzy zmienił się, spoważniał,

a on sam pochylił się nad nią, zbijając ją z tropu. – Słuchaj, lepiej ci tam, gdzie jesteś, uwierz mi. Nie chcesz być częścią tego towarzystwa. Traktują ją jak pierdolonego Jezusa Chrystusa.

Oczy Raya skoncentrowały się na czymś za jej plecami, a jego twarz znieruchomiła.

Maddie odwróciła się i zobaczyła zmierzającego w jej kierunku Jacoba z pojemnikiem środka czyszczącego w sprayu pod ręką. Fioletowe rękawiczki chirurgiczne na jego rękach pasowały do jego muszki.

Uśmiechnął się do niej w sposób, który wydawał się szczery.

– Maddie! Nie widziałem cię całe wieki. Mam nadzieję, że wreszcie zdecydowałaś się do nas przyłączyć.

Wzrok Jacoba przerzucił się na Xaviera opierającego się o słup w bezpiecznej odległości od Raya. Maddie nie miała pojęcia, czy Jacob rozpoznał go z sylwestrowego odczytu. Możliwe, że tak. Stylizacja Xaviera na hipstera retro nie do końca pomagała mu wtopić się w tłum na statku.

– Jacob. Słuchaj... czy Celine powiedziała ci cokolwiek na mój temat?

– Nie. Dlaczego miałyby to robić?

– Wiesz, czemu nie chce mnie widzieć?

– Wszyscy są mile widziani, Maddie. Wszyscy musimy się trzymać razem. – Pochylił się do niej i dodał konspiracyjnie: – Celine mówi, że to już niedługo. Ten cały bałagan zaraz się skończy. Czas najwyższy.

Zdjął rękawiczki.

– Między nami mówiąc, zaczynam mieć serdecznie dość kanapek z pomidorami i mortadeli.

– Co słyhać u pozostałych? Mam na myśli innych Przyjaciół.

– Wszyscy mamy się cudownie. Możliwość dzielenia się darem Celine z tak wieloma osobami działa jak zastrzyk energii. Dołączają do nas członkowie załogi, Maddie. Tak ciężko pracują na statku, a my robimy, co w naszej mocy, by dać im wytchnienie. Duch zaopiekuje się nami wszystkimi.

Jezu. Spojrzała na Raya, ale ten patrzył gdzieś przed siebie.

– Słuchaj... Jacob, jestem ci winna przeprosiny.

– Przeprosiny? Za co?

– To ja powiedziałam Celine o twojej siostrze. – Maddie starała się przypomnieć, jak miała na imię, ale bezskutecznie. – Pamiętasz? Powiedziałeś mi o niej na spotkaniu autorskim. Celine wykorzystuje takie informacje w zależności od potrzeby i sprawia, że wierzycie w jej umiejętność rozmawiania

ze zmarłymi. To oszustwo.

Jacob uśmiechnął się do niej smutno.

– Jeszcze dasz się przekonać, Maddie.

Kręcąc głową, ruszył w kierunku wejścia do teatru. Maddie ponownie spróbowała spojrzeć w oczy Rayowi, ale ten najwyraźniej unikał jej wzroku.

– No i? – zapytał Xavier, kiedy do niego wróciła.

Pokręciła głową.

– Wracamy do apartamentu? – spytał.

– Tak. – Racja. To jedyne miejsce, do którego mogą pójść.

Człowiek potępiony

Urządził sobie gniazdko w zacienionym miejscu pod okapem, obok stoiska z ręcznikami. Kiedy wczoraj upadł, ktoś dał mu kilka tabletek i butelkę wody. Gary spędził większość nocy i poranka, na przemian tracąc i odzyskując przytomność. Nie chciał brać lekarstw ani pić wody, ale Marilyn nalegała. Dziwna chmura, która chroniła go przed czarnymi myślami, powoli zniknęła. Nie chciał tego. Po jej drugiej stronie były rzeczy, o których wolał nie myśleć. Czuł się słaby, a jego całe ciało było obolałe, ale ból fizyczny powstrzymywał jego umysł od ulegania ciemnym myślom. W dodatku wciąż miał dziwne, hiperrealistyczne sny. Poprzedniej nocy śnił, że zobaczył Marilyn – był pewien, że to Marilyn – nagą i wijącą się w obcych objęciach w jacuzzi.

Podciągnął kolana pod brodę i otoczył głowę ramionami. Czas mijał szybciej, kiedy spał.

Gdy się zbudził, zobaczył swojego przyjaciela z izby chorych, potężnego czarnego mężczyznę w podniszczonych ogrodniczkach, opierającego się o reling. Wyszczrzył do Gary'ego zęby, a potem położył palec na ustach.

Ciiii. Nic nikomu nie mów.

Nie powiem, odpowiedział mu Gary ruchem warg.

O czym właściwie ma nie mówić?

Gorący kamień w jego wnętrzościach.

Oczywiście.

Dziewczyna. Jego dziewczyna. Czy mężczyzna wie, co Gary zrobił? Skąd mógł o tym wiedzieć?

Szept strachu połaskotał jego skórę. A ten strach był prawdziwy. Stało się coś poza tym. Coś, co sprawiło, że skończył u lekarza, ale to coś mu umykało i nie potrafił tego uchwycić.

Dobrze. Wcale nie chciał niczego chwycić. Niech odpłynie. Płyn, płyn.

Znalazł się w cieniu, podniósł wzrok i zobaczył, jak pochyla się nad nim Mason.

– Jak się dziś czujesz, kolego?

– Okej.

– Tak? Nie wyglądasz okej. Widziałem, jak gadałeś do siebie. – Mason pochylił się niżej. – Jak mi tu coś jeszcze odwalisz, wypierdalasz za burtę, słyszysz?

Gary przełknął ślinę.

– Czuję się dobrze. Nie jestem chory. Nic mi się nie stało. Czuję się dobrze. – W ustach miał taki posmak, jakby wypił butelkę kleju, lepki i ohydny.

– Dobrze. W takim razie bierz dupę w troki. Stań w kolejce po jedzenie. Na każdego przychodzi kolej.

Marilyn przytruchtała do nich z przekrzywionym różowym kapeluszem na głowie. Poczł, jak w jego mózg wbijają się palce. Przypomniał sobie ten kapelusz, ten kapelusz był...

Nie.

– Gary. Nie śpisz.

Mason skrzyżował ręce i naprężył mięśnie ramion.

– Gary nam dziś pomoże.

– O, to dobrze.

– Nie podoba mi się twój kapelusz – wyszeptał Gary do Marilyn.

Zaśmiała się.

– Co? Byłeś ze mną, jak go kupowałam, Gary. – Zauważył, jak jej palce zbliżają się do ramienia Masona, zatrzymują się w pół gestu. – Pamiętasz coś jeszcze z tego poranka, jak cię zabrali do lekarza, kochanie?

– Nie.

Mason pociągnął nosem.

– Pamięć wybiórcza. Skądś do znam. – Poklepał się po głowie.

– Sandy mówi, żebyś je wziął. – Marilyn podała mu dwie niebieskie tabletki.

– Miło z jej strony, bo nie zostało jej tego dużo. Pomogli nam zeszłej nocy, kochanie. Nie byłeś...

Wymieniła spojrzenia z Masonem.

– Nie byłeś sobą.

Gary pokręcił głową.

– Nie chcę.

– Dobrze ci zrobią, kochanie. Miałeś zły dzień. No, dalej. Zrobisz to dla mnie?

Położył je na języku i wlał w usta ciepłą wodę, próbując powstrzymać

mdłości. Ale nie potrafił ich połknąć, przykleiły się do gardła i musiał je wypluć na dłoń i spróbować ponownie. Za drugim razem się udało.

Mason gapił się na niego z odrazą.

– No, dalej, kolego – poklepał go po ramieniu. – Czas wziąć się do pracy.

Gary z trudem wstał, patrząc przez ramię Marilyn i szukając swojego przyjaciela. Nie było go tam.

Mason pchnął Gary’ego w stronę schodów.

– Tylko weź dużą porcję. I nie daj się wypchnąć.

Dwóch mężczyzn stojących u szczytu schodów rozstąpiło się, pozwalając mu przejść. Najpierw wszystko było niewyraźną plamą złożoną z hałasu, twarzy, woni chloru i innych, jeszcze gorszych rzeczy. Wokół strefy bufetu gromadził się tłum. Trzech mężczyzn w brudnych uniformach kucharzy z kamiennym wyrazem twarzy w pocie czoła harowało za ladą.

– Na koniec kolejki. – Tuż przed nim zamajaczyła czyjaś twarz.

– Okej.

Zawrócił i powłókł się na koniec. Kolejka sięgała aż do basenu. Niektórzy ze stojących w kolejce śmiali się ze swoich żartów, ale nad głowami większości wisiały ponure chmury zrzędlivosti. Kiedy dotarł na koniec kolejki, wdepnął w kałużę i pośliznął się, ale udało mu się złapać równowagę. Da radę. Łatwizna.

Spojrzał na zieloną wodę, próbując dostrzec w niej swoje odbicie. Dwie plastikowe butelki kołysały się obok czerwonego worka. Wyglądały na szczęśliwe, że są razem. Kobieta stojąca przed nim odwróciła się i uśmiechnęła. Jej okulary przeciwsłoneczne sprawiały, że przypominała robalą.

– Znowu mortadela. Ale są też dobre wiadomości. Słyszałam, że wysyłają statek z zapasami dla nas. To chyba dobrze, co?

Bla, bla, bla. Słońce prażyło go w głowę. Powinien mieć czapkę. Jego czapka... Miał czapkę, ale nie mógł sobie przypomnieć, co z nią zrobił. Czarymary.

Za jego plecami rozległ się wrzask, Gary odwrócił się i zobaczył, jak jakiś facet w zwolnionym tempie wpada do basenu, rozdzielając plastikowy trójkąt zakochanych. Mężczyzna podskoczył i pokręcił głową. Śmiał się.

– Pierdolcie się! – krzyknął.

A potem Gary go zobaczył. Swojego przyjaciela. Stał obok szklanych drzwi prowadzących do wnętrza statku. Gary czekał, aż go przywoła, ale nie robił tego.

Szur, szur. Kolejka powolutku poruszała się do przodu, a kobieta owad

zrezygnowała z nawiązywania konwersacji. I fajnie. Powietrze stało się rzadsze. Zamyślił się, aż poczuł niespodziewanego kuksańca w plecy. I tak między nim a kobietą owadem zmniejszyła się wolna przestrzeń.

Nagle rozległ się krzyk. Pasażerka przed nim cofnęła się, a cała kolejka zafalowała i uległa rozczłonkowaniu. Gary stanął z boku, próbując dostrzec, co się stało. Dwóch mężczyzn siłowało się przy scenie. Przepychali się, szarpiąc i stękając. Niektórzy w kolejce tylko obserwowali, inni dopingowali. Jakiś facet w niebieskiej koszuli próbował ich rozdzielić. Dwóch gości z obsługi w białych koszulach i czarnych spodniach zaczęło biec w ich kierunku. Skurcz paniki. O nie. Ochrona. Mundury. Pamiętał ich. Czas zwolnił, dźwięk zniknął. Jeden z ochroniarzy trącił drugiego łokciem i wskazał na niego.

Gary poczuł, jak resztki energii opuszczają jego ciało.

Uciekajuciekajuciekajuciekajuciekaj.

Przyjaciel. Musiał znaleźć swojego przyjaciela. Schylił się i zaczął biec, przepychając się między ludźmi.

Dotarł do drzwi i pchnął je tak mocno, że omal się nie przewrócił.

– Stop! – krzyknął ktoś.

Ale Gary się nie zatrzymał. Jego przyjaciel stał na szczycie głównej klatki schodowej, uśmiechając się i przyzywając go gestem. Gary biegł, ile sił w nogach, chcąc do niego dołączyć. A potem w dół, wciąż coraz dalej w dół – przyjaciel pokaże mu drogę. Zakręt, a potem dolne piętro atrium. Przyjaciel znów gdzieś zniknął. Gary spojrzał w górę, na szklane kabiny wind zwisające nad jego głową. Dokąd teraz?

Obrócił się na pięcie. Tam! Jego przyjaciel stał obok złotej kolumny, a za nim ciągnął się szereg czarnych drzwi. Gary znał to miejsce. Marilyn raz go tam zabrała. Teatr. Zamrugał. Przyjaciel zniknął. Gary stanął w miejscu. Ma tam wejść?

– Elo? Wchodzisz czy nie?

Potężny mężczyzna wpatrywał się w niego takim samym pustym spojrzeniem jak Mason. Gary nie pamiętał, żeby wchodził na schody wiodące do tych drzwi.

– Tak.

– Masz przy sobie jakąś ukrytą broń?

– Nie.

– Hej, wyluzuj. Żartuję. Na bosaka, co?

Gary spojrzał w dół. Nie zauważył, że ma bosa, pokryte rankami stopy.

Paznokieć na dużym palcu ledwo trzymał się skóry. Jak to się stało?

– Tak.

Mężczyzna wydał z siebie odgłos pohukiwania.

– Będziesz tu pasował, człowieku.

Otworzył drzwi i wskazał Gary’emu drogę do środka.

Ciemność. Ale na przodzie sceny paliły się światła. Jakaś kobieta przemawiała bardzo donośnym głosem. Nie wsłuchiwał się w jej słowa: nie słyszał ich, krew wciąż huczała mu w uszach. Zdezorientowany zbiegł po schodach między rzędami, a potem z powrotem pognął do góry. Nie wiedząc, co robić, siadł na krześle dostawionym do jednego z tylnych rzędów. Kobieta obok niego odwróciła się i uśmiechnęła.

– Witaj – wyszeptała.

Gary wbił palce w skórę dłoni. Zamknął oczy.

Dźwięk niczym deszcz. Nie. Brawa. Ludzie wokół niego klaskali. Głos kobiety na scenie znów zabrzmiał:

– ...będą panikować. Zapanuje chaos. Chcę, żeby wszyscy tutaj obecni wiedzieli, że znajdują się pod moją opieką.

Nie powinien tu przychodzić. Każdy z jego instynktów wrzeszczał, żeby uciekał. Ale to jego przyjaciel wskazał mu drogę. A teraz to coś, o czym myślał jako o swojej prawdziwej osobowości, powoli wracało i rozwiewało to cudowne wełniste ciepło, którym się owinął. Nie. Nie pozwoli na to. Nie chce pamiętać.

O dziewczynie. Jego dziewczynie.

– Jak zwykle chciałam serdecznie powitać nowych gości. Na początku to wszystko może wam to się wydawać dziwne, ale wyobraźcie sobie tylko, co ja czułam, kiedy po raz pierwszy usłyszałam, jak zbliża się Duch!

Ludzie wokół niego zaczęli się śmiać. Ktoś podał mu banana. Owoc był miękki, a skórka na wpół czarna, ale zjadł go tak czy inaczej. Lepiej. Poczł się lepiej. Spokojniej. Pozwolił, by słowa kobiety ponownie po nim spłynęły, a potem zaczął słuchać. Opowiadała historię o kotce imieniem Francine, którą kiedyś miała i która również potrafiła wyczuwać duchy.

– Wszystkie zwierzęta to istoty duchowe. Taką zdolność mamy w sobie wszyscy.

Gary nie był wielbicielem zwierząt, szczególnie kotów. Marilyn chciała mieć kota, wiele lat temu, ale się nie zgodził. Zwierzęta potrafiły tylko żerować. A co dawały w zamian?

–...wiedzą o tym nawet zwierzęta. Śmierć nie jest końcem, ludzie. Nigdy tak naprawdę nie umieramy. Wciąż jedynie krążymy. Do świata duchowego i z powrotem. Wiedźcie, że oba światy dzieli zaledwie cienka warstewka wibracji. Światło i energia, moi przyjaciele. Tym tylko jesteśmy. A niektórzy z nas potrafią wybierać sposób, w jaki... Czekać... moi przewodnicy nadchodzą.

Gary poczuł, jak po publiczności wokół niego przepływa fala wyczekiwania. To mu się nie spodobało.

– ...coś mi mówią... Zbliżyła się kobieta. Młoda kobieta. Och. Odeszła niedawno. Bardzo niedawno. Wciąż jest oszołomiona. Chwilę... pyta o... swoje imię. Wyczuwam K. Czy to dla kogoś coś znaczy? Zmarła bardzo niedawno. Tak naprawdę... Wyczuwam, że zmarła na tym właśnie statku.

Ktoś wrzasnął.

– To Kelly! O mój Boże.

Gary wyciągnął szyję. W jednym z niższych rzędów poderwała się dziewczyna.

Kobieta na scenie dotknęła gardła.

– Wyczuwam... Ona... ma trudności z oddychaniem. Dławi się. Dławi. I smutek. Tak wielki smutek. Tyle bólu. Tyle samotności. Obawiam się, moja kochana, że jest niespokojnym duchem.

Poczuł skurcz jelit. Na skórze głowy pojawił się pot. *Uciekaj.*

– Jej mama... czy chce przekazać coś...

– Przepraszam, że przerwę, moja droga, ale ma wiadomość dla kogoś, kto był z nią, kiedy umarła. Mówi, że...

Uciekaj uciekaj uciekaj uciekaj.

Zimny, lodowaty strach. Wypełniał każdą żyłę, każdą tętnicę – pulsował w nim całym. Wstał z krzesła i pokuśtykał w górę w kierunku wyjścia. Nie chciał tego słyszeć, nie chciał tego słyszeć.

Służebnica diabła

Mężczyzna wybiegający z drzwi prawie ją przewrócił, uderzając łokciem w żebra.

Podbiegła do niej dobrze zbudowana kobieta o szerokiej, miłej twarzy.

– Kochanie, wszystko w porządku? – spytała teatralnym szeptem. Althea podniosła pudełko z nawilżanymi chusteczkami, które wytrącił jej z rąk tamten mężczyzna.

– Tak, w porządku, dziękuję.

– Czasami niektórzy nie wytrzymują.

Kobieta miała rację. Nie każdemu podobało się, co miała do powiedzenia pani del Ray. Właśnie mówiła coś o leczeniu ran i pogodzeniu się ze „śmiercią ciała fizycznego”.

– Ale musimy się trzymać razem, dobrze mówię? – ciągnęła kobieta przy kości. Tutaj wszyscy są *loco*. Odbija im.

– Tak. – Althea obdarzyła ją zawodowym uśmiechem.

Pasażerka poklepała ją po ramieniu i wróciła do środka. Althea zabrała pudełko do boksu w odległym zakątku sali. Pepe nieźle sobie poradził. Mieli teraz kilka pęt salami, pudło amerykańskiego sera pokrojonego na plasterki i skrzynkę świeżych pomidorów, papryki i bananów. Dowiedziała się od niego, że szef kuchni porzucił swoje stanowisko, a jego zastępcom pozostało jedynie racjonowanie resztek zapasów. Jedzenia musiało być już niewiele. Wkrótce będą musieli zacząć wędkować za burtą. Miała nadzieję, że do tego nie dojdzie. Woda otaczająca statek była okropna.

Wzięła sobie butelkę wody, plasterek mortadeli i oparła się o stół. Teatr, który zajmował dwa poziomy, nie był całkowicie zapełniony, ale nie minie dużo czasu, zanim to nastąpi. Większość obecnych postanowiła nie wracać do kajut i uwiła sobie tu gniazdko z kołder i poduszek. Niektórzy członkowie załogi robili to samo.

Poszło łatwiej, niż jej się wydawało. Tak naprawdę łatwiej już być nie mogło. Celine poprosiła ją, żeby sprowadzała do Teatru Śmiałych Snów członków załogi po to, by „wstąpili do gangu”, i nikt, z kim jak dotąd rozmawiała, jej nie odmówił. Dlaczego zresztą mieliby odmówić? Było tu

wygodnie i nie śmierdziało. Grupa starszych panów i pań wyznaczonych przez Celine dbała o czystość w łazienkach obok sali na wyższym poziomie. Mieli nawet system, według którego pozbywali się worków. Celine poprosiła jedynie, żeby personel pomagał w przynoszeniu posiłków i wody z kuchni. Na pierwszy ogień poszli Paulo i Pepe. Wahali się tylko dlatego, że obawiali się nagany za wchodzenie do stref dla pasażerów, ale Althea nie musiała ich długo przekonywać. Ochrona miała pełne ręce roboty z motłochem na głównym pokładzie i nie przejmowała się posadami paru stewardów. Czyż nie pomagali czynić pasażerów szczęśliwymi?

A wieści się rozchodziły. Byli tu bezpieczni. Nie było Białej Damy. Ani śladu diabłów, dziewczyn próbujących wypełznąć z worków w kostnicy. Ani śladu wściekłych, czepialskich pasażerów. Angelo był bardziej sceptyczny, ale spodziewała się tego. Zapewniła go, że pani del Ray dobrze zapłaci za wszelką pomoc, i nie wątpiła, że pójdzie za kasą.

Wyszła sprawdzić, co u Mirasol, która miała dezynfekować łazienki w bezpośrednim sąsiedztwie teatru. Tak jak się Althea obawiała, Mirasol urządziła sobie podśmiejki z Rayem, jednym z mężczyzn pilnujących wejścia. Angelo przynajmniej był przewidywalny. Ray ją niepokoił. Jej samej nie zaciepiał, ale nie podobało się jej, jak facet biegnie spojrzeniem za niektórymi kobietami. Przypominał jej Joshuę.

– Mirasol – powiedziała podniesionym głosem, a dziewczyna drgnęła z wyrazem twarzy pełnym poczucia winy.

Althea z niesmakiem zauważyła, że jej koszula jest poplamiona. Althea bardzo się starała, żeby wyglądać porządnie. Dostęp do wody był sporadyczny, ale ona nie widziała problemu w myciu się wodą z wiadra, a jej fartuch – w odróżnieniu od wielu, jakie miała okazję widzieć – był wciąż elegancki i czysty.

– Proszę, powiedz Paulowi, że będzie trzeba przynieść więcej wody.

– Tak, Altheo. – Mirasol oddaliła się chyłkiem.

Ray pociągnął łyk z małej flaszki, którą trzymał w tylnej kieszeni, i zaczął gapić się na Altheę. Odwzajemniła jego spojrzenie. Być może powinna powiedzieć pani del Ray o jego picciu. Bez sensu. Jasnowidzka i tak już o tym wiedziała. Wiedziała o wszystkim.

– Masz jakiś problem? – zapytał.

– Nie – skłamała. Ma mnóstwo problemów, a największy to ten w jej brzuchu. – A ty?

Prychnął z niezadowoleniem.

– Wariatka.

Althea nie była pewna, czy ma na myśli ją, czy panią del Ray. Wyczuła, że nie kupuje komedii odstawianej przez medium. Prawie go za to szanowała. Przepchnęła się obok niego i ruszyła w dół przejściem między rzędami, szukając Rogelia. Ciekawiło ją, jak reaguje na występy pani del Ray. Dorwała go tego ranka w kantynie. Zauważyła, że jest załamany. Roztrzęsiony, zmartwiony. Zrozumiała wtedy, że myliła się co do niego, a jego radosny sposób bycia był jedynie maską. Widziała, że chce z kimś porozmawiać, a ona umiała słuchać. Nauczyła się tego, radząc sobie przez te wszystkie lata z pierdzielonymi bojkami.

Zauważyła go w pierwszym rzędzie, siedział między Annabeth a Jimmym, dwojgiem seniorów należących do, jak jej się wydawało, kręgu zaufanych pani del Ray.

Pani del Ray ze skrzypieniem wjechała na środek sceny.

– Tyle tu tajemnic. Tyle smutku i nierozwiązanych spraw. Wiedźcie, że ci spośród was, którzy tu są, którzy mieli odwagę i dalekowzroczność, by do nas dołączyć, zostaną nagrodzeni...

Althea nie miała pojęcia, skąd pani del Ray czerpie siły. Althea ani razu nie widziała, jak starsza pani śpi. Ani, jeśli już o tym mowa, jak korzysta z łazienki.

– Moi przewodnicy mówią mi, że ktoś próbuje się przebić. Zbliża się niska kobieta. Ciemne włosy. Długie ciemne włosy. Wyczuwam, że jest dumna ze swoich włosów. I... czekajcie. Dotyka czoła. A może ma na czole bliznę? Czy to ma dla kogoś jakieś znaczenie? Nie wstyďte się.

Althea patrzyła, jak Rogelio wstaje. Dziwne, nie powiedziała przecież pani del Ray o bliznie, tylko o tym, że Rogelio stracił matkę i miał na utrzymaniu swoich braci i siostry. Ale kobieta była inteligentna, a Althea podejrzewała, że nie tylko ją wysłała na przeszpiegi.

– Wyczuwam... mówi, że ma chmurę w żołądku. To może być rak.

– Jest pani pewna, że to ona? – zapytał Rogelio. – Moja matka nie znała angielskiego.

Althea przysłoniła dłonią usta, kryjąc uśmiech.

– Po przejściu na tamtą stronę wszyscy mówimy jednym językiem, mój drogi – odparła pani del Ray z nutą irytacji. – Wyczuwam, że była to długa choroba.

– Tak.

– Mój drogi. Wyobrażam sobie, jak musiało ci być trudno. Wiedz, że twoja matka chce, byś pamiętał, że jest tutaj i teraz z tobą, i zawsze z tobą pozostanie. Wiedz, że twoja matka ci wybacza i rozumie twoje życiowe decyzje.

Rogelio zasłonił twarz rękoma.

– *Inay*. Mama. – Usiadł, a Jimmy i Annabeth go objęli.

Nadeszła dobra chwila, by wyjść. Althea musi sprawdzić, co dzieje się z chłopcem. Czy czeka na nią w jej kajucie. Ostatniej nocy znowu zwinął się na jej łóżku niczym kot. Podnosiło ją to na duchu. Ale może najpierw powinna pójść do Marii. Tylko dlatego, że zatrudniła ją pani del Ray, Althea nie miała zamiaru całkowicie opuszczać swojego stanowiska pracy. To byłaby krótkowzroczność. Kiedy pomoc w końcu nadejdzie, kiedy skończy się sztorm na wybrzeżu, będzie wśród tych nielicznych, którzy do końca wykonywali swoje zadania. Tego ranka rozniosła nawet świeże worki i wodę, pozostawiając je przed drzwiami do apartamentów, choć pozwoliła sobie nie zebrać worków na nieczystości porzuconych w korytarzu. Później znajdzie czas, żeby porządnie wysprzątać swój rejon. Poza Linemanami. Ich pozostawiła samym sobie. Bez względu na to, ile by dla nich zrobiła, i tak będą niewdzięczni. Niech gniją.

Kolejne ukłucie w brzuchu. Nie czuła mdłości, ale teraz już była pewna, że jest w ciąży. Czuła to. Rozumiała. Przecież nie będą mogli jej zwolnić, jeśli będzie sumienną pracownicą, prawda? Jeśli jako jedna z nielicznych do końca pozostanie silna. A jeśli to zrobią, miała plan B. Udowodniła również, że może się przydać pani del Ray. Może zgodzi się zatrudnić ją jako asystentkę. Althea nie widziała nigdzie w teatrze Maddie, może okaże się, że odeszła lub została zwolniona. To byłaby niezła robota. Być może nawet dzięki niej dostanie zieloną kartę i wyrwie się raz na zawsze z ramion Joshuy. Nie ufała tej starej kobiecie, ale pani del Ray wykorzystywała po prostu sytuację dla własnych celów.

Przekradła się przez boczne wejście prowadzące za kulisy i pomknęła wzdłuż czarnych kurtyn. Techniczny pracownik zaplecza – Althea nie wiedziała, jak on się nazywa – drzemał, podpierając głowę ręką. Przez tkaninę docierał stłumiony głos pani del Ray.

Althea pośpiesznie ruszyła I-95 w kierunku biura Marii. Zapukała do drzwi. Bez odpowiedzi. Ruszyła klamką. Było otwarte. Upewniła się szybko, że nikt jej nie obserwuje i wślizgnęła się do środka. Althea nigdy nie była tu bez nadzoru. Podkraśniała się do biurka i spróbowała otworzyć szuflady, ale były pozamykane. Pozostała część pokładów służbowych znajdowała się poniżej poziomu wody, ale ten gabinet był jasny i przestronny. Spojrzała przez okno na wodę. Wciąż dryfowali, a statek, niczym plamę ropy naftowej, ciągnął za sobą wstrętne czerwone plastikowe worki, jak panna młoda w krwistoczerwonej sukni ślubnej. Jak ona sama. Jej wesele było bardzo huczne. Matka pożyczyła na nie pieniądze. Głupota. Co za marnotrawstwo.

Podskoczyła, kiedy drzwi otworzyły się i do środka weszła Maria, ubrana

w spodnie od dresu i rozciągnięty T-shirt.

– Co tutaj robisz, Altheo?

– Szukałam ciebie.

Kobieta zachwiała się i można było odnieść wrażenie, że ma problemy z koncentracją. Była pijana. Kolejna oznaka słabości. Maria zygzakiem podeszła do biurka, opadła na krzesło dla gości i wygrzebała z kieszeni dresów pogniecioną paczkę papierosów. Palenie na statkach było zabronione. Może zostanie zwolniona. Maria zapaliła i wypuściła dym kącikiem ust. Althea starała się go nie wdychać. Joshua palił. Miała nadzieję, że któregoś dnia od tego umrze.

– Zrobiłam obchód w swoim rejonie, Maria.

– Brawo. – Maria zakaszła. Wciąż nie miała brwi, a jej włosy pokrywały pasemka żelu. – To chciałaś mi powiedzieć? Że z ciebie taka mała porządna pracownica?

– Nie porzuciłam swojego rejonu.

– No to jesteś głupsza, niż wyglądasz.

Althea poczuła mrowienie, które zawsze pojawiała się w jej klatce piersiowej tuż przed kłótnią z Joshua.

– Wykonuję swoją pracę.

– Nie ma już żadnej pracy, Altheo.

– Zwalniasz mnie?

Maria zaśmiała się w oparach dymu.

– No. Nie o to mi chodziło. Chodziło mi o to, że wykonywanie pracy nie ma już sensu.

– Dlaczego?

– A jak myślisz? Nie jesteś głupia, Altheo. – Pomachała papierosem w powietrzu. – Ten statek. Już, kurwa, po nim.

– Są jakieś wiadomości?

– Wiadomości o czym?

– O statku. O sztormie na wybrzeżu. O pomocy. O łączności radiowej.

– Nie.

Kłamała. Althea widziała, że kłamie.

Uśmiechnęła się słodko.

– Nie możesz zapytać swojego chłopaka? Czy nie jest jednym z oficerów? –

Ci oficerowie zmieniali kobiety jak rękawiczki. Sypiały z nimi jedynie te na tyle głupie, by myśleć, że w jakiś sposób na tym skorzystają.

Przebłyśk gniewu – cień starej dobrej Marii – a potem:

– Nie ma łączności ze światem zewnętrznym. Nie ma statków. Nie ma samolotów na niebie. – Zaciągnęła się papierosem i zakaszła. – Coś stało się ze światem.

Althea słyszała też i tę wersję wydarzeń. Czyli co? Świat nie mógł się rozpaść w ciągu czterech dni. Może powinna zaprowadzić Marię do pani del Ray. Lepiej nie. Nie była pewna, czy warto to robić, a poza tym chciała odnaleźć chłopca.

– Muszę sprawdzić swój rejon. – Wycofała się zza biurka w kierunku drzwi.

– Altheo... czekaj.

– Tak?

– Bądź gotowa.

– Gotowa na co?

– Po prostu bądź gotowa.

Althea przytaknęła. Zawsze jest gotowa.

Wyszła z biura i ruszyła w stronę drzwi na pokład służbowy. Trining stała oparta o ścianę obok swojej kabiny. *Niech ją cholera*. Nie miała ochoty na kolejne rozmowy.

– Lepiej się czujesz, Trining?

– Ani trochę. Choroba nie odpuszcza. Altheo, słyszałam, jak wczoraj w nocy rozmawiałaś ze sobą.

– I?

Trining zakaszła. Dla Althei zabrzmiało to sztucznie.

– Ta kobieta to diabeł. Słyszałam, do czego jest zdolna.

– Jaka kobieta?

– Kobieta w teatrze. Angelo twierdzi, że...

– On nic nie wie. – *Pierdzielony Angelo*. – Tam jest lepiej niż tu na dole. Nikt nie choruje.

– Uważaj, Altheo. – Trining odwróciła się od niej.

Althea wzruszyła ramionami. Być może Trining ma rację. Być może Celine to diabeł. Było to jakieś wytłumaczenie. Ale co z tego? Ma to gdzieś. Zostawiła koleżankę i poszła sprawdzić, czy w kajucie nie czeka na nią chłopiec.

Siostry samobójczynie

Helen nie widziała twarzy kobiety, która zajmowała sąsiednie łóżko, klęcząc na łokciach i kolanach, z włosami zasłaniającymi oczy i palcami wbitymi w poduszkę. Za to Jaco patrzył wprost na nią. Pchnięcie biodrami i uśmiech. Pchnięcie i uśmiech. Helen odwróciła głowę.

Usłyszała, jak facet się śmieje.

Elise cała płonęła, Helen czuła, jak gorączka promieniuje przez koszulę nocną przyjaciółki. Modliła się, by Elise spała i nie obudziła się w trakcie tego obrzydliwego spektaklu.

Jaco właśnie zaczął wydawać z siebie stęknienia, a dziewczyna piszczała do rytmu.

Mogłaby to teraz zrobić, wyskoczyć z łóżka i zdzielić go w łeb laptopem. Trach. Walnąć drania w szczękę, z pięknie brzmiącym hukiem. Wiele razy o tym myślała. Ale byli silniejsi od niej i obezwładniliby ją w mgnieniu oka. Godzinami biła się z myślami, czy nie wyjść z apartamentu i nie pójść po pomoc. Nie ośmieliłaby się zostawić Elise sam na sam z nimi. Mogliby się zabarykadować, a co będzie, jeśli nie znajdzie nikogo do pomocy?

Zamknięta w swojej własnej kajucie. Jak w więzieniu.

Cóż jeszcze mogłaby zrobić? Elise była za słaba na przeprowadzkę. Wczoraj w nocy Helen próbowała zaprowadzić ją do łazienki, ale Elise ledwie zeszła z łóżka i nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Jaco i Lulia niechętnie pomogli Helen dźwignąć ją do wyprostowanej pozycji, jednak zachowywali się szorstko i nie chciała ponownie tego ryzykować.

Nienawidziła ich. Czuła do nich wstręt tak intensywny, że zaskoczyło ją sama, do jakich uczuć jest zdolna.

Spryciarze. Oszukali ją. Na początku była im wdzięczna. Tak. Wdzięczna. Jaco zszedł do mesy służbowej i przyniósł jej kanapkę i kilka butelek wody, dzięki czemu nie musiała pozostawiać Elise samej i stać w kolejce w bufecie Lido. Lulia umyła prysznic i łazienkę i choć Helen szybko zmęczyła się jej szczegółowymi opisami wszystkich przedstawień, w jakich brała udział, była jej wdzięczna za pomoc. Samodzielna opieka nad Elise była trudna i wyczerpująca. Rozmowa o możliwych przyczynach tak długiego niepojawiania się ekspedycji ratunkowej była jak katharsis. Jaco był przekonany, że w porcie szaleje sztorm

i straż przybrzeżna nie jest w stanie wysłać holowników ratunkowych. Lulia słyszała, że statek zszedł z kursu i znalazł się poza szlakami handlowymi, ale było jedynie kwestią czasu, kiedy pojawi się na radarze innej jednostki. Dziewczyna obiecała nawet, że popilnuje Elise, kiedy Helen będzie spać. Na początku niechętna temu, Helen w końcu się zgodziła. Spała wiele godzin, głębokim snem bez snów. Sprawy przybrały zły obrót po tym, jak się obudziła. Kiedy spała, Jaco i Lulia wypili dwie butelki szampana, które Elise i Helen zabrały ze sobą na pokład. Szampana, który miały zamiar wypić tuż przed skokiem za rufę.

Helen powiedziała coś w rodzaju: „Mogliście przynajmniej zapytać”, na co Jaco odpowiedział beznamiętnym, szyderczym tonem:

– Mógłbym cię w tej chwili stąd wyrzucić, stara jędo.

Było to równie szokujące i niespodziewane, jak uderzenie w twarz.

Helen kazała mu wyjść.

Odpowiedział jej, żeby „zmusiła go do wyjścia”.

Helen zwróciła się o wsparcie Lulii, ale ta się roześmiała.

Zrezygnowała z prób pertraktowania z nimi. Miała dar przekonywania, potrafiła prowadzić skuteczne negocjacje, ale jasne było, że nie ustąpią, poza tym byli pijani. Przeniosła się na łóżko Elise, chcąc być bliżej niej. Postanowiła, że jeśli spróbują wyrzucić jej przyjaciółkę z pokoju, będzie walczyć do śmierci. Założyła, że dostrzegli na jej twarzy stanowczość. Modliła się, by pojawiła się Althea, Maddie lub lekarz. Przez cały ranek siedziała jak na szpilkach, na wypadek gdyby rozległo się pukanie do drzwi. Jaco umieścił na nich zawieszkę z napisem „Nie przeszkadzać”, co mogło stanowić wytłumaczenie ich nieobecności, mimo to była na nich wściekła, że na to pozwalają. Dlaczego nikt nie przyszedł ich odwiedzić? Jej przyjaciółka umiera. Była tego pewna. Elise umiera i zasługuje na spokojną i godną śmierć, a nie uwięzienie w pokoju z dwójką zbirów. Zastanawiała się, czy nie powiedzieć im, że cokolwiek jej zrobią, nie sprawi jej to wielkiej różnicy. Że niżej niż ona nie można upaść. Że stanęła ze śmiercią twarzą w twarz i wygrała, choć tak naprawdę było to kłamstwem. Tak naprawdę nie połknęła tabletek ani nie przecisnęła się przez reling na Pokładzie Spokoju. Czytała gdzieś, że tych kilka osób, które przeżyły skok z mostu Golden Gate, żałowało tej decyzji w połowie lotu.

– Eeeeeeeech. – Jaco skończył. – Hej, Helen. Podobało ci się?

Lulia się roześmiała.

– Hej, Helen. Do ciebie mówię.

Wbrew sobie odwróciła się, by na niego popatrzeć. Wycierał się

w prześcieradło, zaczesując włosy i uśmiechając się złośliwie. Według niej nie był dobrze zbudowany. Graham był jedynym mężczyzną, z jakim spała, ale raz byli na plaży nudystów, gdzie mogła dokonać najróżniejszych porównań. Jaco miał brzuch zbyt zaokrąglony, a nogi zbyt chude. Tupiąc, poszedł do łazienki, a Helen starała się udawać, że nie słyszy odgłosu oddawania moczu.

Masz lokatorów na waleta, dziewczyno, usłyszała głos Grahama, głośno i wyraźnie. Tak bardzo ją to zaskoczyło, że aż się roześmiała.

– Z czego się śmiesz? – warknęła Lulia. – Ze mnie? Powinnaś się zaraz stąd wynieść. Ta staruszka i tak umrze, prawda?

– Lulio, wiesz, że Elise nie można przenosić.

– Nie chcę, żeby mi się tu znowu zeszczala albo zesrała.

– Nic takiego się nie stanie.

– Jeśli tak, to ja... – Lulia nagle się zamknęła. Jej oczy zrobiły się bardzo szerokie i wydała cichy jęk, całkiem podobny do tych, które wydobywała z siebie parę minut wcześniej.

Helen podążyła za jej wzrokiem. Mężczyzna, wysoki mężczyzna, stał w rogu pokoju z twarzą ukrytą w cieniu, zaciskając pięści. Helen nie była pewna, czy była to oznaka zakłopotania, czy próbował być groźny. Doszła do wniosku, że jej to nie obchodzi.

Zauważyła też, że się nie boi.

– Jaco! – zaskrzeczała Lulia, a czyste przerażenie w jej głosie napełniało Helen uczuciem złośliwej satysfakcji.

Dobrze, pomyślała. Dobrze.

Jaco wyskoczył z łazienki z żałośnie dyndającym penisem.

– Co?

– Patrz! – Lulia wskazała na ciemną postać.

Jaco podskoczył.

– Ojej! – zabrzmiało to niemal komicznie. – Jak on tu, kurwa, wszedł?

Mężczyzna ruszył do przodu.

– Helen – wyszeptała Elise, a serce Helen zabiło mocniej: ona mówi. Bogu dzięki. – Ktoś nuci. Słyszysz?

– Nie. – Ale wtedy usłyszała. Tę samą melodię, którą słyszały wcześniej. Melodię, którą słyszały w łazience Celine, kiedy siedziały z nią tamtej nocy, a statek przestał płynąć.

Szafa otworzyła się, skrzypiąc. Gardłowy chichot.

– Wpuściłaś go tu? – Jaco zapytał Lulię. – No mów, wpuściłaś?

– Nie.

Mężczyzna bez twarzy, szurając, postawił kolejny krok.

– Ja tu nie zostanę! – wrzasnęła Lulia. – Jaco...

Coś rozmiaru dużego psa zbliżyło się do Lulii, drapiąc w dywan.

– Helen – wyszeptała Elise. – Helen.

Helen odwróciła się plecami do tego, co działo się w jej pokoju, przytuliła Elise i zatopiła twarz w jej włosach. Ona naprawdę płonęła. Po jej skórze spływał gryzący pot.

Lulia szlochała i mamrotała coś w swoim języku.

Ktoś krzyknął – Helen miała nadzieję, że to Jaco, a potem usłyszała, jak mówi:

– Wychodzimy! Wychodzimy, okej?

Głuchy łomot.

Trzaśnięcie drzwiami.

Nucenie ustało, a Helen dopiero wtedy podniosła wzrok. W pokoju nie było nikogo.

Anioł miłosierdzia

Poddał się, kiedy pasażerka próbowała uderzyć go pięścią w twarz.

Cały poranek zmagał się z nieustającym korowodem rozkrzyczanych pasażerów, domagających się od niego wyleczenia ich dziewczyn/mężów/zon. Wszyscy opowiadali o krzywdach, jakie ich spotkały. Wszyscy grozili sądem. Miał okazję zajmować się, między innymi, złamaną ręką, która w przyszłości prawdopodobnie będzie musiała być zoperowana, alergią pokarmową (dziękuję ci, wstrzykiwaczu adrenaliny), kobietą z bólem brzucha, która obawiała się, że może poronić (bać się mogła jedynie pierwszych objawów norowirusa), i mężczyzną koło trzydziestki z bólami w klatce piersiowej, przekonanym, że umiera (ostrzy atak paniki). Wszyscy byli przerażeni, wszyscy byli wściekli. Wszyscy najwyraźniej uważali, że to Jesse jest osobiście odpowiedzialny za ciężką sytuację na statku. Ostatni komunikat Damiena powtarzał te same bzdury o „sztormie na wybrzeżu”, które wcześniej wygadywał kapitan. Dla pasażerów, których spotykał, nie stanowiło to pocieszenia. Jeśli już, jedynie pogarszało sprawę.

– Zabłądziliśmy? – *Nie wiem.*

– Zeszliśmy z kursu? – *Nie wiem.*

– A jeśli sztorm idzie w naszym kierunku? Będzie huragan? – *Nie wiem.*

– Czy na pokładzie nie ma transpondera? Dlaczego nie mogą nas w ten sposób znaleźć? – *Nie wiem.*

– Czy na norowirusa można umrzeć? – *Nie.*

W końcu wysłał Bina do ochrony z prośbą o wsparcie, ale takowe nie nadeszło. Wszyscy pracownicy ochrony zostali skierowani na główny pokład, na którym, jak słyszał, co chwila wybuchały bójki. Musiał też zajmować się ich pokłosem. Paroma zakrwawionymi twarzami i dwoma podejrzeniami wstrząśnienia mózgu.

Dłużej tego nie wytrzyma.

Kiedy w końcu z przychodni wyszli wszyscy pacjenci – Martha i Bin mieli pełne ręce roboty przy dolegliwościach członków załogi – Jesse zaczął odwiedzać pasażerów pozostających w kajutach. Zarażeni pasażerowie zmuszeni do opuszczenia swoich pokoi na niższych pokładach zorganizowali

sobie kwarantannę w restauracji Senne Krajobrazy, której niektóre fragmenty przypominały obrazy z czasów wojny krymskiej. Nadzorował mycie tamtejszych toalet, z których obie wyglądały jak miejsce narodzin obcego. Jessemu wydawało się, że uodpornił się na brud: walające się wszędzie zużyte czerwone worki – czasem rzucone na podłogę tuż obok kosza na nieczystości – plastikowe butelki, chusteczki, kondomy i Bóg wie co jeszcze, ale ten widok nawet jego zaszokował. Do dyspozycji pozostawiali nieliczni członkowie personelu, większość prawdopodobnie porzuciła swoje stanowiska. Obsztorcował jednego z członków załogi – pomocnika kelnera, który otwarcie przekroczył wszelkie kompetencje, zapędzając się na teren restauracji – a potem miał o to do siebie pretensje.

Zanim dotarł do apartamentów dla VIP-ów, minęło południe. I właśnie wówczas to się wydarzyło. Kobieta przyparła go do ściany, kiedy miał zamiar zapukać do drzwi Elise Mayberry. Załamał się. Poznał ją, była żoną mężczyzny, który mu wczoraj naubliżał. Nalegała, by jej męża natychmiast zabrano ze statku drogą powietrzną. Cierpliwie tłumaczył, dlaczego to niemożliwe. Oskarżyła go o kłamstwo. Odpowiedział, że jej mąż złapał jedynie wirusa i że wyzdrowieje. Nalegała na spotkanie z kapitanem. I wtedy prawie go uderzyła. Natychmiast przeprosiła i wpadła w histerię. Straciła panowanie nad sobą: to było dla niej za dużo. Rozumiał, jak ona się czuje. On też miał ochotę załamać się i rozpłakać. Natychmiast pobiegł do izby chorych po Xanax – kobieta nie wytrzyma jednego dnia bez pomocy – i wtedy to zrobił. To było takie proste.

Ampułki czekały na niego ustawione w szeregu niczym żołnierzyki. *Siema, Jesse. Wiedzieliśmy, że w końcu wpadniesz. Dalej, dołącz do imprezy.*

Kilka klepnięć w poszukiwaniu żyły, *to tylko lekkie ukłucie, za chwilę nie będziesz nic czuć, zaufaj mi, jestem lekarzem.* Lekkie mdłości, a potem... przetoczyła się przez niego delikatna fala ciepła, ciszy i doskonałego, absolutnego spokoju. Wszystko zniknęło: niepokój o wirusa, o ich sytuację, przygotowująca o ból wnętrza tęsknota za Farouką. Petydyna płynęła przez jego żyły, przynosząc ukojenie i pieśczętę. Czyniąc cuda. Powinien się poddać wieki temu.

Nawet poczucie winy zaczęło gdzieś zniknąć.

Po pierwszym strzale wrócił do swojej kajuty – wdzięczny przynajmniej za to, że zakwaterowano go na pokładzie dla pasażerów, a nie na którymś z niższych pięter – i po raz pierwszy, od kiedy to wszystko się zaczęło, zasnął. Obudził się około szesnastej, z uczuciem świeżości i prawie... prawie szczęśliwy. Wysmarował zęby pastą – zauważył, że zdrętwiały mu dziąsła, efekt uboczny, który pamiętał ze starych czasów – wypłukał usta wodą z butelki i uznał, że pierdoli, nie będzie się golił.

W interkombie zaszeleścił głos Damiena.

– Dobry dzień, panie i panowie. Dziękujemy za państwa cierpliwość. – Jesse się roześmiał. Damien robił wrażenie prawie znudzonego. Jakby miał wszystko w dupie. Jakby się poddał. Jakby w końcu znalazł w sobie resztki rozsądku, zmęczył się banałami, bzdurami i brzmieniem własnego głosu. – ...chciałem jedynie poinformować, że dla państwa wygody postanowiliśmy otworzyć bary i serwować w nich darmowe napoje od teraz do odwołania.

Otwarty bar! Genialny pomysł. Podlać alkoholem wybuchową sytuację – to na pewno pomoże.

Jesse ruszył w kierunku drzwi. Potrzebuje paru łyków kofeiny, by się trochę odmulić. Mógłby też zostać w kajucie, poczekać na przybycie pomocy (*Nie będzie żadnej pomocy, nikt ich nie uratuje – gdyby mieli ich ratować, dawno by tutaj byli*) i unosić się z prądem. Oznaczałoby to jednak, że zostawi Marthę i Bina samym sobie podczas wieczornych okropieństw, a mimo że niezły z niego *doos*, aż takim dupkiem nie był. Powoli zszedł do mesy oficerskiej. Dwóch mężczyzn w białych spodniach rozmawiało wzburzonym szeptem z innym oficerem – o ile się nie mylił, jednym z zastępców intendenta. Ledwo go zauważyli. Chleb był czerstwy, poczęstował się więc kilkoma plasterkami pomidora, garścią oliwek i puszką ciepłej coli. Teraz, kiedy wrócił do starej dobrej diety petydynowej, mógł sobie pozwolić na kalorie. Członkini załogi podająca jedzenie wyglądała, jakby przed chwilą skończyła płakać. Jesse zastanawiał się, jak mógłby ją pocieszyć (*Na przykład jak, koleś? W razie wątpliwości, zacznij brać narkotyki?*), kiedy podłoga przechyliła się, a on stracił równowagę. Ruch statku, do którego się przyzwyczaił, nagle stał się bardziej odczuwalny. Nie był silny, ale zdecydowanie go poczuł. Zła pogoda. Czyżby zbliżał się sztorm? Może jednak gadka kapitana o „złych warunkach panujących na wybrzeżu” nie była do końca bujdą. Może chmury przesunęły się nad oceanem i dotarły do miejsca, gdzie utknęli.

Ale da sobie z tym radę. Teraz da sobie radę ze wszystkim. Ludzie zawsze gadają, że narkotyki to zło, że potrafią spieprzyć komuś życie, ale nikt nie wspomina o tym, że czasem narkotyki mogą zrobić z ciebie lepszego człowieka. Martha stanowiła idealny przykład. Była wysokofunkcjonującą alkoholiczką. Dzięki temu utrzymywała równowagę.

Jesse otworzył puszkę coli i ruszył w kierunku izby chorych, wahając się, czy nie wejść do korytarza wiodącego do pralni. Nie był pewien, czy na pewno chce wiedzieć, czy ci *malletje* skurwiele nie wrócili, ale chroniła go jego petydynowa tarcza, postanowił zatem nadłożyć drogi i szybko sprawdzić kostnicę. Nie wyglądało na to, żeby doszło do próby włamania do magazynu. Zatem cyrk jechał dalej.

A jednak mijał się z prawdą. Tu może jest cicho, ale show Celine del Ray wciąż trwa, prawda?

Nie. Tam nie pójdzie.

Otworzył drzwi do magazynu i ponownie sprawdził, czy wszystko jest jak należy. Drzwi do kostnicy były szczelnie zamknięte, a ciemne wnętrze magazynu sprawiało dziwnie zachęcające wrażenie. Mógłby się tam schować. Odjechać i zasnąć na zawsze. Nikt by go tam nie szukał.

Nie. Bin i Martha go potrzebują. Zamknął drzwi i energicznie ruszył przed siebie.

Przed izbą chorych czekał na niego Baci. Jesse zaklął pod nosem. Miał mu powiedzieć o tym, że widział Alfonsa w Teatrze Śmiałych Snów, ale awantura w kostnicy wymazała to z jego pamięci. Nieskazitelny wygląd męskiego modela – wizerunek, który niegdyś cechował Bacięgo, należał do przeszłości. Żółtawe półksiężycy potu znaczyły jego koszulę. Na policzkach widoczny był cień dwudniowego zarostu.

– Szukałem pana, doktorze.

– W czym mogę pomóc?

– Alfonso wrócił na swój posterunek.

– Och. To chyba dobrze, prawda? Naprawił już statek? – *Bardzo zabawne.*

– Nie. Po prostu usiadł i siedzi, panie doktorze.

– Odzywa się?

– Nie.

– Nie wspomina o ciemnej postaci?

– Nie.

– Martwię się o niego. Nie wiem, co robić.

Cóż, wystarczyłaby tylko odrobina cudownej lekker petydyny, a miałbyś wszystko w dupie. Nieprawda. Jesse nie miał w dupie Bina i Marthy.

– Przyjdzie go pan obejrzyć?

– Teraz?

– Si.

Jesse pomyślał przez chwilę. W ten sposób mógłby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Powinien zmienić Alfonsowi opatrunek przeciwoparzeniowy. Kiedyś musi to zrobić. Maszynownia nie jest na to najlepszym miejscem, ale czy takie w ogóle istnieje? Cały statek był jedną wielką stertą gnijących odchodów.

– Wezmę tylko torbę. Proszę poczekać.

– Dziękuję.

Jesse w pośpiechu wszedł do gabinetu z wyposażeniem aptecznym. Świeży opatrunek przeciwoaparzeniowy, szczypcy, co jeszcze? Głupie pytanie. Na wszelki wypadek włożył do kieszeni kolejne trzy ampułki i kolejny wstrzykiwacz. I może jeszcze odrobinę morfiny. Czemu, kurwa, nie? Mieli obowiązek podpisem potwierdzać odbiór i odpowiadać za każdy zużyty centymetr sześcienny. Ale co tam? Czuje się odpowiedzialny. *Wszystko i tak skończy w moim układzie krwionośnym.*

– Jesse.

Podskoczył na głos Marthy, przepełniony poczuciem winy. Od jak dawna tu jest? Nie słyszał, jak wchodzi. Czy widziała, jak się obsłużył?

– Bin zachorował, Jesse.

Kurwa.

– Gdzie on jest?

– W swojej kajucie. Zaniośłam mu coś... żeby się nawodnił.

Jej słowa brzmiały nienaturalnie, a oczy nabiegły krwią. Była pijana. Ale kim jest, by ją oceniać? W pewnym sensie mu ulżyło. To bystra kobieta i ma intuicję, gdyby nie była w stanie wskazującym na spożycie, prawdopodobnie zauważyłaby fakt, że jest mocno naćpany. A może i nie. Innym lekarzom w jego starej klinice zajęło to pół roku.

– Pójdę go obejrzyć, jak skończę.

Miała na wpół zamknięte i zapuchnięte oczy. Jak sama by powiedziała, naprawdę padała na cyce.

– Jesse. Coś się dzieje. Słyszę dziwne rzeczy.

Ostatnią rzeczą, jakiej chciał teraz wysłuchiwać, była kolejna porcja zabobonów – o załodze palącej w kasynie kukłę czy co tam jeszcze.

– *Ja?* Zaczekaj z tym. Chwila i będę z powrotem. Alfonso wrócił na stanowisko.

– Naprawdę?

– *Ja.* Ale wygląda na to, że ciągle nie odzyskał pełni świadomości. Idę tam zmienić mu opatrunek.

Zanim mogła go zatrzymać, dołączył na korytarzu do Baciego i razem przeszli do wejścia na niższe poziomy. Szli, mijając sortownię śmieci i rejon statku, które Martha nazywała „plantacjami niewolników”. Czuł się przytłoczony metalowymi sufitami, smród był tu głębszy, gęstszy, a powietrze

konsystencją przypominało zupełną z gówna i oleju napędowego. Podłoga znów się pod nim zachwiała. Niech to licha. Żołądek próbował wepchnąć mu się do gardła.

Jeszcze jeden poziom niżej, zakręt, minęli opuszczony warsztat i doszli do sterowni silników. Wyglądała dokładnie tak, jak tego oczekiwał. Szeroka konsola pełna przycisków i gałek, ekranów na ścianach, zegarów, potencjometrów, wykresów, z planem podbrzusza statku. Kto potrafi się w tym wszystkim zorientować? Na pewno nie on.

Alfonso siedział na krześle za konsolą, wpatrzony przed siebie, z półotwartymi ustami i stwardniałymi łuskami w kącikach ust. Jesse miał nadzieję, że facet się nie odwodnił.

– Widzi pan, doktorze? – powiedział Baci. – Nie rusza się stąd na krok.

– I w ogóle się nie odzywa?

– Nie.

– Pamiętasz mnie, Alfonso? – Jesse obszedł konsolę i stanął przy pacjencie. Tuż przed nim ktoś zawiesił na monitorze breloczek Ferrari.

Brak odpowiedzi. Jesse wyciągnął latarkę kieszonkową i zaświecił nią Alfonsowi w oczy, choć sprawdzał już, czy nie ma nadmiernie rozszerzonych źrenic, kiedy pierwszy raz gość trafił do centrum medycznego. Cokolwiek stanowiło przyczynę tej katatonii, Jesse był pewien, że to nie efekt urazu głowy. Statkiem znów zakołysało. *Chryste.*

– Ostrożnie, doktorze – powiedział Baci. Z łatwością neutralizował kołysanie, jak tancerz przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę. – Zła pogoda. Niedobrze dla nas bez stabilizatorów.

– Znajdujemy się w niebezpieczeństwie?

– Jeśli przyjdzie fala wyjątkowa, *si*, oczywiście.

Wielkie dzięki. Jesse skoncentrował się na Alfonsie.

– Zmienię ci teraz opatrunek, Alfonso, okej?

Alfonso ani drgnął, kiedy Jesse delikatnie zdejmował opatrunek, potem zbadał ranę – goiła się prawidłowo, a jątrzenie ustało – a po tym, jak statkiem znowu zabujało, założył nowe bandaże.

– Co jeszcze możemy dla niego zrobić, panie doktorze? – zapytał Baci.

– To wszystko.

Statek ponownie się uniósł, na chwilę znieruchomiał i runął w dół. Jesse przytrzymał się konsoli. Modlił się, żeby petydyna zapobiegła chorobie morskiej, ale jeśli zostanie tu na dłużej, nie pomoże nawet ciężarówka

Aviomarinu.

– Alfonso? Muszę już iść.

– Ja czekam – głośno i wyraźnie oznajmił Alfonso.

– Na co czekasz?

Jarzeniówki zabzyczały po raz ostatni i zgasły.

Strażnik sekretów

Była wszędzie. Panika.

Obsługa porzuciła bar obok basenu, a grupa pasażerów, mężczyzn i kobiet, gramoliła się przez kontuar, wrzeszcząc na siebie nawzajem i prawie w ogóle nie zwracając uwagi na coraz gwałtowniejsze przechyły statku. Majtek pchający wózek wypełniony czerwonymi workami dostrzegł szamotaninę, pchnął wózek przed siebie i ruszył w stronę najbliższego wejścia służbowego. Kilkoro pasażerów próbowało ruszyć za nim, ale zdążył na czas i miał na tyle rozumu, żeby zamknąć za sobą drzwi. Na dole, na Promenadzie Snóff, plądrowano sklepy, a jeden z pasażerów za pomocą statuetki cherubinka próbował rozbić szklane drzwi do dyskoteki Piaskowego Dziadka. Niewielka grupa (jeden z mężczyzn wyglądał znajomo) próbowała podważyć służbowy włącznik za stanowiskiem obsługi klienta. Jediną oazą spokoju był Teatr Śmiałych Snów. Drzwi były pozamykane, a przed nimi czatowało kilka postaci ukrytych w cieniu.

Devi jeszcze raz przełączył obraz na ekrany pokazujące główny pokład. Kobieta z mokrymi włosami przyklejonymi do policzków nerwowo gestykulowała w stronę kamery, kiedy statkiem rzuciło na bok, a ona się zatoczyła. Bez wątplenia wiał coraz silniejszy wiatr. Niespodziewane nawałnice były w Zatoce normalnym zjawiskiem, a pogoda często pogarszała się bez ostrzeżenia. Devi wiedział wystarczająco dużo, by rozumieć, że fala wyjątkowa mogłaby z łatwością wywrócić statek, niczym domek z kart. W takich okolicznościach kapitan bez wątplenia zarządzi ewakuację.

Jeśli ma znaleźć podejrzanego o zabójstwo, nie zostało mu wiele czasu.

Jeszcze raz spróbował wezwać wsparcie przez krótkofalówkę.

– Centrala, zgłoś się. Zgłoś się. Pran? Madan? Ram? Zgłóście się, proszę.

Bezradny gest. Ze swoim przełożonym nie widział się od ich wymiany zdań poprzedniego wieczoru, Madan upijał się na śmierć, Ashgar ciągle chorował, a Ram kazał Pranowi dołączyć do niego na mostku. Pran twierdził, że Ram przyłapał grupę pasażerów błąkających się po strefie dla załogi za sceną i kapitan nakazał mu pełnić ciągłą wartę przy drzwiach służbowych.

Nie mógł pójść sam na główny pokład. Dałby radę najwyżej czterem mężczyznom. Jedinym wyjściem było użycie karabinu snajperskiego, ale zanim

dotarłby do skrzyni, w której przechowywano broń, ktoś pewnie musiałby go chronić przed pasażerami.

To byłoby samobójstwo.

Przed wszystkim jednak Devi musiał ustalić priorytety. Gary Johansson na pewno znajduje się gdzieś na statku. Wczoraj uciekł mu na głównym pokładzie po tym, jak pokazał mu go Pran, ale Devi był niemal pewien, że zabójca Kelly i agresywny pasażer, który zwiął z izby chorych, to jedna i ta sama osoba. Po informacji od Prana o otwartych drzwiach przetrząsnął wszystkie kajuty na niższych pokładach, ale nie odkrył nic niestosownego. Żadnych rąk zakrywających obiektywy kamer, żadnych Białych Dam. Ani śladu morderców czy gwałcicieli. Dwukrotnie przeszukał ogólnodostępne strefy, w tym toalety i służbówki, a wcześniej rano przyjrzał się pasażerom, którzy zaszyli się w Teatrze Śmiałych Snów. Był pod wrażeniem panującego tam porządku. Ten rejon był spokojny, czysty, a zaduch niezdrowego powietrza ograniczono do minimum dzięki regularnie utrzymywanej czystości.

Jeszcze raz przełączył obraz na dolne pokłady. Czy to możliwe, żeby Johansson wyskoczył za burtę? Oparł się o stół i pomasował skronie. Już niedługo agregatom wyczerpie się zmagazynowane paliwo. Zgaśnie awaryjne oświetlenie, podobnie jak monitory.

Nie potrafił powstrzymać ziewania – nie spał już od czterdziestu ośmiu godzin.

Poczuł czyjś oddech na policzku. Drgnął, obrócił głowę i zobaczył, że za jego plecami stoi Rogelio. Nie czuł najmniejszych obaw, że zostanie tu z nim przyłapany – obchodziło go jedynie, że był na tyle głupi i przysnął. Stracił czas, który mógł wykorzystać na odszukanie potwora.

– Która godzina?

– Devi, mam ci coś do powiedzenia.

– Czekaj. – Devi ponownie przejrzał monitory. Pasażerów nie było już w barze, w niewielkich grupkach zbierali się przed wejściem do zadaszanej części bufetu z miejscami siedzącymi, wpadając na siebie pod wpływem kołysania statku. Bujało coraz mocniej. Devi przełknął ślinę. Nie mógł sobie teraz pozwolić na chorowanie.

Rogelio chwycił się oparcia krzesła.

– Devi, mogę ci pomóc.

– Pomóc w czym?

– W odnalezieniu człowieka. Tego, którego szukasz. Tego, który zabił Kelly.

Przyływ nadziei.

– Widziałeś go? Wiesz, gdzie jest?

– Nie. Ale Devi, błagam. Musisz pójść ze mną do teatru. Ona dużo wie, Devi. Może ci pomóc. Rozmawiałem z nią. Chce się z tobą zobaczyć. Twierdzi, że ma dla ciebie informacje i ci je przekaże.

– O kim ty mówisz, Rogelio?

Devi kątem oka dostrzegł poruszenie na ekranie ukazującym I-95. Biegła nią trójka członków załogi, którzy łapali równowagę, przytrzymując się ściany. Mieli na sobie kamizelki ratunkowe – czyżby już ogłoszono ewakuację? Nie. Usłyszałyby alarm. Być może po prostu byli zapobiegliwi, przewidzieli decyzję kapitana.

– Ona ci pomoże, Devi. Chcesz znaleźć człowieka, który zabił Kelly, prawda? Ona potrafi ci pomóc.

– Rogelio, idź do swojego punktu ewakuacyjnego.

– Kapitan nie wydał rozkazu...

– Po prostu to zrób.

– Nie zostawię cię, Devi.

– Idź!

Rogelio się skrzywił.

Devi złagodził ton.

– Wkrótce do ciebie dołączę. Najpierw muszę coś załatwić.

– Devi, w teatrze będziemy bezpieczni. Musisz mi zaufać. A Celine ci pomoże.

Devi jeszcze raz przepatrzył monitory. Na pokładzie rekreacyjnym ludzie bili się o to, kto pierwszy zejdzie po schodach, prawdopodobnie próbowali dostać się do środka. Na rufie uderzyła w statek fala, tworząc w powietrzu łuk.

– Rogelio. Znajdę cię.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Devi jeszcze raz wypróbował krótkofalówkę. Bezskutecznie. Następnie ponownie przejrzał obraz z niższych pokładów. Zrobił zbliżenie drzwi do kajuty Kelly Lewis, kiedy obraz zamienił się w świetlny punkcik, a zaraz potem zgasł. Sekundę później światło pociemniało, pozostawiając go samego w ciemnościach. Zdjął z paska latarkę. Statkiem zaczęło teraz naprawdę porządnie kołysać.

Wstał z zamiarem udania się na mostek i właśnie wtedy zobaczył zbliżające

się do niego dwa podskakujące bliźniacze światełka. Skierował na nie promień swojej latarki. Pojawili się Pran i Madan, mrugając pod wpływem światła.

– Devi, co tu robisz? – zapytał Pran z wyraźnym strachem w głosie. Był na skraju paniki.

– Nie słyszeliście, jak was wzywałem przez krótkofalówkę?

– Devi... Zabieraj się stąd. Załoga się ewakuuje.

– Nie słyszałem alarmu.

Przerwa.

– Nie było... sygnału. Może się zepsuł.

– Czy poinformowano pasażerów?

– Najpierw musimy coś zrobić – powiedział Madan.

– Co?

Madan uśmiechnął się okrutnie, po czym podszedł do zapasowego twardego dysku i wystrzelił do niego z podwójnych końcówek paralizatora. Urządzenie eksplodowało chmurą iskier, strzelając i sycząc.

Devi rzucił się na Madana.

– Co? Dlaczego?

Madan odepchnął jego rękę.

– Opuszczamy statek, Devi. Dostałem taki rozkaz. – Madan nie mówił jak osoba nietrzeźwa. Wypowiadał się bardzo przytomnie.

– Kto go wydał?

– Ram, rzecz jasna.

Poczuł przypływ gniewu.

– Nie możesz niszczyć sprzętu, Madan. To przestępstwo! Są na nim dowody, że popełniono zbrodnię!

– Załoga opuszcza statek, Devi. Mówiłem ci, że muszę zejść z pokładu. Wydawało mi się, że zrozumiałeś. Bez zasilania nie przetrwa tego sztormu. W każdej chwili może zatonać.

I wtedy zrozumiał.

– Nie planujecie ewakuacji pasażerów. Planujecie po prostu opuścić statek.

A nawet jeśli statek przetrwa sztorm i w końcu zostanie odnaleziony, nie mogą pozostawić po sobie żadne dowodów.

– Widziałeś pasażerów. Widziałeś, jak się zachowują. To niemożliwe, żebyśmy na czas ich zorganizowali...

– Nie możesz tego zrobić, Madan. Nie możesz zostawić tych ludzi. – Spojrzał na Prana, ale chłopak odwrócił głowę.

– Pasażerowie mogą opuścić statek, jeśli tego zechcą. Wiedzą, gdzie są łodzie ratunkowe.

– Ale nie wiedzą, jak je obsługiwać!

– Nie możemy nic zrobić. Chodź z nami, Devi.

– Nie możecie zostawić tych ludzi na statku!

– Ci ludzie są gównem warci, Devi. Traktują nas jak śmieci, czemu się nimi zajmujesz?

– Nie pozwolę ci uciec. – Devi położył dłoń na paralizatorze u swojego biodra. – Nie możesz tego zrobić.

– Devi. Nie rób tego, człowieku.

Devi nagle nie potrafił nigdzie dostrzec Prana. Chłopak musiał uciec.

– Wybacz, Devi. – Zza pleców usłyszał głos. Głos Rama.

Bez ostrzeżenia mięśnie Deviego zesztyniały, a ból zaskwierczał i rozplątał się po zakończeniach jego nerwów. Nie panując nad ciałem, upadł, uderzając głową o twardą podłogę, a w jego czaszce strzelały iskry paniki. Wtedy to do niego dotarło. Pojął, co się stało: Ram potraktował go paralizatorem. Jego latarka potoczyła się po podłodze pod wpływem kołysania statku.

– Wybacz, Devi – powiedział ktoś, nie potrafił już nawet rozpoznać, czy to Ram, czy Madan.

Devi próbował się poruszyć. Desperacko usiłował się odezwać. *Nie róbcie tego, muszę coś załatwić.* I właśnie wtedy...

Blog Dzika Karta

żebyście nie musieli robić tego wy Nieustraszony w walce z oszustami,

3ci st.

Grupa Hieny rośnie w siłę. Jak dotąd spotkałem może 2 czy 3 osoby, które po wizycie na jej przedstawieniu nie dały się nabrać na te bzdety. Nawet Emma i Donna z grupy singli są przekonane, że ich zmarła przyjaciółka Kelly przemówiła do nich „przez Celine”. Mówiły to co każdy, że Celine wiedziała rzeczy, których nie miała prawa wiedzieć. Zasugerowałem, żeby rozłożyły je na czynniki pierwsze, z których żaden nie był aż tak szczegółowy, a Celine równie dobrze mogła dowiedzieć się o nich z krążących po statku plotek.

Ludzie gromadzą się w teatrze, bo jest czysty, dostają tam jedzenie i nikomu nie odpierdala. Zachowanie typowe dla sekt: niech nowo przybyli poczują się wyjątkowo.

Nie jestem pewien, w jaki sposób Celine wpływa na pozostałych ludzi na statku. Autosugestia? To musi być to. Albo histeryczna reakcja na stresującą sytuację, halucynacje spowodowane przez impulsy elektryczne, infradźwięki, może podatność na sugestie. Nawet Maddie, która doskonale wie, że Celine to oszustka, twierdzi, że ktoś jej się ukazał. (NOTATKA DLA SIEBIE: Jeśli uda ci się stąd wydostać, sprawdź informację o magicznym murzyńskim duchu przewodniku Celine. To coś w jej stylu. Zapomniałem, jak się nazywał – Papa Norris??) Maddie twierdzi, że zanim pojawiły się halucynacje, słyszała cichą melodię. Czyżby na statku pojawiła się anomalia akustyczna?

16.00 – Ludziom odbija po całosci. Jakość jedzenia drastycznie spada. Na Lido nie znajdziesz nic poza bananami i pomidorami w bułkach od hot dogów. Właśnie usłyszałem, że otwierają bary. ZŁY POMYSŁ.

Kapitan nas zajeście urządził. Najwyraźniej zszedł z kursu. Zgodnie

z najpopularniejszą teorią, na lądzie panują bardzo złe warunki pogodowe, przez co nikt nie jest w stanie udzielić nam pomocy. Alternatywą jest jakiś kataklizm. W rodzaju 11 września albo Czarne Czwartku. Albo jeszcze gorzej. Wojna atomowa. Bunt Maszyn, atak obcych. Zombie. Ha, kurwa, ha.

17.00 – Czuję się niespecjalnie, ocean zaczyna być niespokojny. Może statek zatonie, skracając nasze cierpienie.

Muszę się położyć. Dokończę później.

Asystentka więdźmy

Światła zgasty dziesięć minut temu, a Maddie wciąż miała nadzieję, że jakimś cudem znowu zaczną działać. Statek skręcał się i skrzypiał pod jej stopami. Nawet przy zamkniętym balkonie słyszała wrzaski z wyższego poziomu.

Xavier zajęczał, a potem rozległ się hałaśliwy chlust kolejnej fali jego wymiotów. Dała mu trochę swojego Aviomarinu, ale nie pomogło. Wyglądało na to, że „Piękny Marzyciel” wyleczył ją z wrażliwości na problemy żołądkowe. Teraz, w ciemności, w której mogło czaić się wszystko (*na przykład Lizzie Bean?*) istniały rzeczy bardziej przerażające niż choroba.

Statkiem zakołysało, a w jej trzewiach pojawiło się uczucie pustki. Powietrze, świeże powietrze, to jej pomoże. Po omacku podeszła do okna i wyszła na balkon, rzucając się na balustradę w celu utrzymania równowagi. Wirujące krople deszczu zrosiły jej twarz. Pod nią falował ocean. I jeszcze coś – światła. Na wodzie widać było światła. Zmrużyła oczy, ocierając z nich wodę. Łodzie, tam na morzu były łodzie.

Rzuciła się do drzwi.

– Xavier! Na wodzie są statki. Przyplłynęli!

– Co takiego?

– Na morzu widać łodzie! Przyplłynęli nam na ratunek.

Usłyszała, jak jęczy i z trudem podchodzi do okna. Dowlókl się z oporami i stanął koło niej. Ocean falował, a ona rozpoznała trójkątny kształt – jakiś ponton? – zanim zasłoniły go fale.

Xavier złapał ją za ramię.

– Maddie. To nie są statki ratownicze. To szalupy.

Zimne uderzenie paniki.

– Ale... nie słyszałam wezwania do ewakuacji!

Chwycił ją za nadgarstek.

– Chodź.

Razem potoczyli się w kierunku drzwi, przeszli przez apartament i wypadli na korytarz. Jedyne światło pochodziło z awaryjnych świetlówek

zamontowanych w podłodze i na suficie. Statkiem ponownie zakołysało, a Maddie przytrzymała się ściany. Z głębi korytarza zbliżały się do nich jakieś niewyraźne postaci. Para przypominająca rodzeństwo przekuśtykała obok nich, przytrzymując się siebie nawzajem.

– Wynoście się stąd – wrzasnęła w ich stronę kobieta. – Słodki Jezu. Musimy opuścić statek!

Maddie zaczęła walić pięścią w drzwi Helen i Elise.

– Helen! Helen! – Żadnej odpowiedzi.

– Chodź już! – krzyknął Xavier.

Odwróciła się do niego.

– Gdzie jest twój punkt ewakuacyjny?

– Pieprzyć to. Idziemy na główny pokład, tam są te cholerne łodzie ratunkowe.

Opierając się o ścianę, chwiejnym krokiem przeszli obok wind i przez atrium. Drzwi na pokład główny najpierw nie chciały się otworzyć, tak mocny był wiatr, w końcu jednak ustąpiły, a Maddie wyskoczyła z nich, niemalże upadając, kiedy jej stopy zaczęły się ślizgać po pokładzie.

Chaos. Powitał ją czysty chaos. Materace powpadały do basenu, a woda wokół nich gwałtownie bulgotała. Leżak owinał wokół się relingu niczym w przedziwnym uścisku, a pokład błyszczał od potłuczonego szkła. Na lewo od niej pasażerowie, przepychając się, grzebali w skrzyniach z kamizelkami ratunkowymi. Przy barze zauważyła przypominającą brata i siostrę parę. Ten pierwszy chyba pośliznął się i upadł, a jego żona ukucnęła nad nim, przytulając jego głowę do piersi. Może powinna im pomóc? Cholera – nie miała pojęcia, co, do chuja, robić. Wzrokiem poszukała Xaviera, ale nigdzie go nie było. Woda szczypała ją w oczy.

Rozległ się przesywający uszy gwizd, a niebo eksplodowało czerwonym światłem (*flary, musieli odpalić flary*) i przez kilkanaście sekund na pokładzie było jasno jak w dzień. Ludzie usiłowali dostać się na boczne pokłady, gdzie ulokowane były łodzie ratunkowe, a na ich wykrzywionych twarzach malowały się panika i cierpienie. Statkiem znowu zabujało, a kilkanaście osób straciło równowagę, przewracając się na siebie.

Ktoś na nią wpadł, odwróciła się i zobaczyła Raya trzymającego za rękę drobną kobietę.

– Maddie! Dalej! Musimy... Łodzie ratunkowe.

Przebiegł obok nich ochroniarz, krzycząc:

– Czekaście! Nie da rady zwolnić żurawików od strony... – Jego głos porwał wiatr.

Ponownie rozejrzała się za Xavierem. Zbita gromada panikujących pasażerów rozpierzchnęła się spod skrzynek z kamizelkami ratunkowymi i wtedy go zobaczyła. Klęczał, usiłując nie wypuścić z rąk dwóch kapoków.

– Maddie! – ponownie zaryczał Ray.

– Celine o tym wie?! – krzyknęła w odpowiedzi.

– Maddie. Musisz... Załoga... Statek.

– Co z Celine?

– Chuj z nią, Maddie.

– Ale co z Przyjaciółmi? – Jacobem i Eleanor, i Leilą, i Jimmym, i Annabeth, i...

Dziewczyna u jego boku pociągnęła go za rękę.

– Chodź z nami! – krzyknęła do Maddie.

Ale ona nie mogła. Nie mogła tak po prostu zostawić Przyjaciół. Maddie po prostu nie mogła tego zrobić. Musiała przynajmniej upewnić się, czy wiedzą, że należy udawać się do łodzi ratunkowych. Odwróciła się i ruszyła w kierunku szklanych drzwi, pod prąd przeciskając się przez falę osób próbujących opuścić statek.

Doszła do głównych schodów, kiedy statek ponownie ostro zanurkował, tak bardzo, że poczuła, jak jej stopy próbują podjechać pod same kolana. Jej uszy wypełnił świst. Zgrzyt, a potem metaliczny wrzask. Trzymając się poręczy, na wpół zbiegła, na wpół spadła ze schodów wiodących na Pokład Promenady Snóff, wdzięczna za zieloną poświatę awaryjnych lampek wyjściowych. Drzwi do teatru zamykały się i otwierały z trzaskiem, zamykały i otwierały, ale na prowadzących do nich schodach nie było nikogo. Zawłokła się do wejścia, kopniakiem otworzyła drzwi i wpełzła do środka. Ryk w jej uszach na chwilę zamilkł i usłyszała krzyk Celine:

– Jeśli stąd wyjdziecie, umrzecie. Wybór należy do was!

– Śmierci nie ma – pomyślała Maddie – a może powiedziała to na głos, nie wiedziała na pewno, bo właśnie wtedy podłoga uciekła jej spod stóp.

Człowiek potępiony

Podobało mu się w jego kryjówce. Miał tu jak u Pana Boga za piecem. Statek w statku! Podobał mu się ruch statku, zawsze lubił czuć kołysanie morza. Wiatr stawał się coraz silniejszy, to też lubił, i padał deszcz. Kap, kap, kap o dach z brezentu przynosiło ukojenie. Zagłuszało odgłos krzyków.

Tutaj czuł się bezpieczny. Nigdy go tu nie znajdą. Ci ochroniarze nigdy go nie znajdą. Genialne posunięcie. Miał świadomość, że nie do końca jest sobą. Wszystko cały czas było lekko zamglone, tak naprawdę gdzieś daleko. To też mu się podobało. Ławka, na której leżał, nie była wygodna, ale to niewielka cena, jaką przyszło mu płacić, prawda?

Stary ostrożny Gary – ten, co nie miał żadnych przyjaciół, na których pomoc mógłby liczyć – wpadłby w paranoję, że ktoś go tu odnajdzie. Wiedział, że łodzie ratunkowe są monitorowane po to, by pasażerowie nie oddawali się w nich igraszkom, ale tym razem akurat to go nie powstrzymało. Ufał swojemu przyjacielowi. Próbował rozmawiać z nim o dziewczynie, ale ten pojawiał się i znikał, a Gary czasem przyłapywał się na tym, że rozmawia z samym sobą. Wielki mężczyzna przeważnie milczał, ale Gary nie sądził, by przyjaciel go oceniał. Gary wytłumaczył mu, że nie jest chory. Tak naprawdę nikogo nie krzywdził. Po prostu robił swoje. One niczego nie pamiętały, a wszyscy wiedzieli, że w skrytości właśnie tego pragnęły. Imperatyw biologiczny. Ludzie właśnie tak są zaprogramowani. Mężczyźni to łowcy, a kobiety to ofiary. Nie było sensu ubierać tego w żadne inne słowa.

Nie, wcale nie czuł do kobiet nienawiści. Nie miał „problemów z nieukierunkowaną agresją”. Postępował tak, bo takie zachowanie leżało w jego naturze.

I nie. Nie chciał myśleć o tych innych rzeczach. Rzeczach mrocznych, choć jego mózg naprawdę próbował grzebać w pamięci, działał jak język, który wciąż wędruje do ubytku w zębie. Stawał się dobry w blokowaniu tych emocji. Tej umiejętności można się było nauczyć. Można było zbudować mur i otoczyć nim te wszystkie rzeczy. Robił to od lat, nawet o tym nie myśląc.

Ona ma dla ciebie informację...

O nie. Nie słucham.

Mówi, że będziesz przez nią cierpieć. Mówi, że będziesz przez nią cierpieć

ciagle i ciagle, i ciagle, i ciagle od nowa, i tak bez końca.

Wcale tego nie powiedziała. Nie było żadnej informacji.

Ciiiiiii.

Statkiem gwałtownie zatrzęsło. Uderzenie. Brezent wokół niego zaczął się zwijać, w jego kierunku wyciągnęły się ręce i ramiona i usłyszał, jak krzyczą. Ludzie – do jego kryjówki wkradli się ludzie. Wdrapywali się po sobie nawzajem i poczuł, jak przygniatają go do burty, nie mógł oddychać.

Musi się stąd wydostać. Uciec. Naparł na nich, zamknął oczy i walczył. Ktoś pociągnął go za włosy, jego kość policzkowa eksplodowała, ale nie poddawał się, ignorując ich krzyki protestu. Coś uderzyło go z boku w głowę i zobaczył gwiazdy, odbiło mu się żółcią, a potem, jak korek wystrzelony z butelki, wylądował na czworakach na pokładzie, wiatr i zacinający deszcz uderzyły go prosto w twarz. Ktoś nadepnął mu na rękę, a on skulił się i zaczął się turlać, aż dotarł do relingu na przeciwległej burcie.

Popatrzył w górę, przez chwilę wydawało mu się, że widzi w tłumie Marilyn, ale ta zaraz zniknęła. Opierając się o reling, podniósł się i spojrzął w dół na pokład kąpielowy. Jakiś mężczyzna wpadł do basenu. Zamachał rękoma, a potem zniknął pod jednym z unoszących się na wodzie materacy. Nagle rozległ się gwizd, niebo wybuchło czerwonym światłem i wtedy go zobaczył. Swojego przyjaciela. Czekał na niego obok szklanych drzwi prowadzących do wnętrza statku. Podłoga zatrzęsała się i ugięła pod jego stopami, ale Gary wlepił wzrok w swojego przyjaciela, ocierając się o wspinający się po schodach tłum.

Kiedy dotarł do głównego pokładu, ktoś wpadł na niego i zaczął mu krzyczeć coś do ucha, ale Gary odepchnął go i podążył w kierunku drzwi. Wcisnął się w nie, taranując kobietę, która próbowała wyjść. Nie mógł stracić z oczu przyjaciela, a widział coraz gorzej. Nagle czyjaś ręka wślizgnęła się w jego lewą dłoń, a inna, mniejsza, ujęła prawą. Przez chwilę poczuł czysty, pierwotny wstręt – *znał to uczucie, pamiętał je, znał je* – a potem te obce ręce pociągnęły go za sobą.

Służebnica diabła

Pani del Ray przestała przemawiać do ludzi. Teraz po prostu siedziała na scenie, przyczajona na swoim wózku. Zaraz się przewróci. Althea nie miała co do tego wątpliwości. Było zbyt ciemno, żeby to dostrzec, ale miała pewność, że kobieta ją obserwuje.

Jedynе światło pochodziło z kilku telefonów, w których jeszcze ciągle nie wyczerpały się baterie, i słabej, mdłej poświaty lampek nad drzwiami wyjściowymi. Pomagała Pepe rozdawać wodę, kiedy usłyszała, jak mężczyzna zbiegający po schodach między rzędami krzyczy, że załoga opuszcza statek i wszyscy „powinni w spokoju udać się do swoich punktów ewakuacyjnych, uprzejmie proszę”. Zdażyła się mu przyjrzeć, kiedy przebiegał obok niej. To był jeden z ochroniarzy – nie ten tajemniczy, którego spotkała w kajucie zmarłej dziewczyny, ale młody, z cienkim wąsikiem. Panika nie potrwała długo. Ci, którzy chcieli odejść, zdążyli to zrobić. Ci, którzy pozostali, siedzieli w milczeniu, skupieni w grupkach. U większości można było stwierdzić objawy choroby.

Statek zakołysał się pod nią, chwyciła się oparcia krzesła i poczekała, aż fala przejdzie. Nie powinno jej tu być, ale mogła mieć pretensje tylko do samej siebie. Maria ostrzegła ją wczoraj, że coś podobnego może się wydarzyć. Powinna była się domyślić, o co jej chodzi: załoga planowała opuszczenie statku.

Odnajdzie chłopca, a potem się ewakuuje. Podeszła do sceny i niemal upadła, wchodząc na boczne schody. Starając się nie patrzeć na kobietę na wózku, weszła za kurtynę. Poruszała się na pamięć, uważnie omijając przeszkody na zapleczu, aż znalazła drzwi wiodące na korytarz. Chłopiec towarzyszył jej kilka godzin temu w kajucie, kiedy opadła z sił i się zdrzemnęła. Przebywanie z nim... dodawało jej sił. Miała dość tego, że wszyscy czegoś od niej chcą. Joshua chciał wyssać szpik z jej kości i ukraść jej pieniądze. Szefostwo działu gospodarczego i ta *puta* Maria oczekiwali od niej wdzięczności za to, że jest zatrudniona, i pogodzenia się z kiepskimi warunkami pracy i płacy. Mirasol oczekiwała, że będzie jej mówiła, co ma robić. Pani del Ray chciała, żeby sprowadziła do teatru innych ludzi. Jej pasażerowie chcieli, żeby się uśmiechała, robiła pierdzielone zwierzaki z ręczników i nie wpędzała ich w poczucie winy za obsrane ubikacje i słabe napiwki. Chłopiec nie chciał od niej niczego poza

przebywaniem w jej obecności.

Z wzrokiem wpatrzonym w awaryjne lampki na podłodze – tam, gdzie leżały podeptane – i podpierając się ręką o ścianę, powoli, ostrożnie i nie pozwalając sobie na atak paniki, Althea dotarła do I-95.

Zauważyła zbliżające się do niej drżące światło latarki. Zmrużyła oczy i rozpoznała Rogelia, ubranego w kamizelkę ratunkową, z twarzą wykrzywioną grymasem przerażenia.

– Widziałaś Deviego?

– Kogo?

– Deviego. Jednego z ochroniarzy.

Przytrzymała się go przez chwilę, kiedy statkiem zakołysało.

– Nie.

Odepchnął ją i ruszył dalej. Wyjątkowo silna fala rzuciła ją na drugą stronę korytarza, ale odzyskała równowagę i szła dalej. Nie pochoruje się. Nie może sobie na to pozwolić. Teraz podtrzymywała się obiema rękoma, centymetr po centymetrze przesuwając w kierunku schodów prowadzących na jej pokład służbowy. Tutaj nie było świetlówek. Niczego, co mogłoby jej wskazać drogę. Była zdezorientowana i musiała się ze wszystkich sił kontrolować, by nie ulec panice. Tym razem kierowała się instynktem, a kiedy skręciła, zauważyła słabe światło promieniujące z jednej z kajut.

Ciemny kształt rzucił się w jej ramiona, przez co straciła równowagę. Ogarnęła ją fala nadziei, że to chłopiec, ale wtedy usłyszała szloch Trining:

– Althea! Co się dzieje, Altheo?

– Wszyscy opuszczają statek.

– Nie było sygnału. Dlaczego po mnie nie przyszli?

Bo nic ich nie obchodzisz. Nic już nikogo nie obchodzi.

– Daj mi swoją latarkę, proszę.

– Nie! Dlaczego? Nie zostawiaj mnie, Altheo.

– Daj mi swoją latarkę, a potem zabiorę cię do twojego punktu ewakuacyjnego. Muszę wziąć coś ze swojej kajuty.

Trining podała jej latarkę, a Althea pobiegła do swojej kabiny, gdzie skierowała wiązkę światła na łóżka, podłogę pod nimi i małą łazienkę. Nic. Ani śladu po chłopcu. Czyżby był na Piątce, tam gdzie go pierwszy raz widziała?

– Althea!

– Idź, Trining. Idź do punktu ewakuacyjnego.

– Nie idziesz ze mną? Proszę cię, Altheo. Wciąż słabo się czuję. I boję się.

Pierdzielona Trining.

– Chodź.

Chwyliła dziewczynę za rękę i pociągnęła ją wzdłuż korytarza dla personelu, wykorzystując ją do utrzymywania równowagi, teraz, kiedy nie mogła już oprzeć się o ścianę. Statkiem zabujało, a ona wpadła na ramię Trining.

– Statek zatonie! – wrzasnęła Trining.

– Nie zatonie.

Minęły kantinę i znalazły się na pokładzie ewakuacyjnym, gdzie gromadka członków załogi czekała na możliwość wspięcia się do rękawa łączącego statek z nadmuchiwanymi szalupami. Althea widziała takie rzeczy jedynie w sprzyjających warunkach pogodowych. Nie miała odwagi, by spojrzeć w dół przez reling. Ktoś wcisnął jej na głowę kamizelkę ratunkową, a wiatr pokrył jej twarz słonymi kropelkami. Statek zaskrzypiał, a ocean wściekle zaryczał.

Czyjaś ręka pchnęła ją do przodu.

– Althea! – Przywołująca dłoń. Maria. Maria stała na czele grupy, pomagając ludziom wpełznąć do rękawa.

– Muszę wrócić po chłopca – powiedziała do Trining.

– Co? Nie słyszę cię.

Chłopiec nie jest prawdziwy.

Właśnie, że jest.

– Nie bój się! – krzyczała Maria. – Altheo, chodź tutaj! Nie masz wyboru.

Siostry samobójczynie

Wrzaski. Słyszała wrzaski.

Statkiem coraz bardziej rzucało – w górę, w dół, na prawo, na lewo – spadanie i wznoszenie się, spadanie i wznoszenie.

Kiedy nieproszeni goście się wynieśli, Helen zasunęła zasłony i zamknęła drzwi balkonowe. Raz czy dwa wydawało jej się, że słyszy dźwięki dochodzące z korytarza. Tabletki nasenne ją uspokoiły. Wzięła tylko dwie (*na razie*), ale zrobiły swoje i praktycznie wszystko wytłumiły. Usiadła na łóżku, nie będąc w stanie patrzeć na Elise w obawie, że ta odeszła na tamten świat i dołączyła do Petera. *Na litość boską! Umarła. A nie „odeszła na tamten świat”. Umarła.* W pokoju było ciemno, choć nie przypominała sobie, żeby wyłączała światło.

Usztywniając całe ciało w oczekiwaniu na kołysanie statku, ostrożnie podeszła do okna i teatralnym gestem, niczym magik, który odrzuca obrus, rozsunęła kotary. Podskoczyła – kilka metrów przed sobą zobaczyła kształty, ciemne kształty.

Wrócili.

Ale nie. To tylko ludzie wdrapujący się do łodzi ratunkowej naprzeciwko jej balkonu. Na niebie ponad nią rozkwitło czerwone światło, zmieniając cętki morskiej piany na szczytach mięsistych fal oceanu w rubiny; przez kilka sekund można było uważnie przyjrzeć się widokowi roztaczającemu się przed balkonem. Mężczyzna i kobieta z ubraniami przylegającymi do skóry gorączkowo napierali na korbę operującą żurawikami łodzi ratunkowej. Potężna postać (nie, to nie był on, jej zbawiciel) balansowała na szczycie łodzi, usiłując uwolnić linę. Statkiem zakołysało, mężczyzna stracił równowagę, poślizgnął się i zniknął.

Cofnęła się o krok i zasłoniła kotary.

– Helen?

Ulga, jaką poczuła, gdy usłyszała głos Elise, niemal powaliła ją na podłogę.

– Ewakuują się. Ludzie opuszczają statek.

– Och.

Rzeczywiście, och.

Helen powolutku podeszła do miejsca, w którym, jak miała nadzieję, stało

łóżko Elise. Oczywiście, oślepienie blaskiem jasnoczerwonych świateł (flary, to musiały być flary), miały problem z przystosowaniem się do ciemności.

– Czy to sztorm? – W przerwach między słowami Elise dyszała jak dziurawy miech.

– Morze jest wzburzone. – Było bardziej niż wzburzone.

Helen walczyła z chęcią włączenia światła (kto zresztą wiedział, czy w ogóle jeszcze działało?). Nie chciała widzieć bladości swojej przyjaciółki. Nie chciała widzieć, jak blisko jest końca.

– Dziękuję – sapnięcie, zadyszka, westchnienie... – za to, że się mną opiekujesz, Helen.

– Ty zrobiłabyś to samo dla mnie.

– Czy... czy ze statkiem jest coś nie tak?

– Pytasz, czy jeszcze bardziej niż poprzednio?

Elise spróbowała się zaśmiać, ale to spowodowało atak rżężącego kaszlu. Woda w płucach, pomyślała Helen, choć w ogóle nie miała pojęcia, co to tak naprawdę oznacza.

– Idź. Zostaw mnie. Idź gdzieś, gdzie jest bezpiecznie.

Nigdzie nie jest bezpiecznie. Statkiem ponownie zabujało, a ona poczuła się, jakby jechała kolejką górską, jej żołądek wyprawiał harce. Podziałało to na nią ożywczo.

– Nie zostawię cię.

Położyła się i poszukała dłoni przyjaciółki.

– Myślisz, że to będzie scena jak z *Titanica*?

Kolejny rżężący dźwięk.

– Umieram, Helen. Czuję to.

– Nie umierasz.

– Nie boję się. Myślałam... myślałam, że będę się bać, ale się nie boję.

Znowu zakołysało, zabujało, statek zamyszkował, czy jak to się tam, do diabła, nazywa. Usłyszała, jak coś trzasnęło w łazience, a potem hałas... to pewnie laptop – laptop z jej listem pożegnalnym – spadł z półki obok telewizora i głośno rozbił się o podłogę.

Anioł miłosierdzia

Drzwi magazynu otworzyły się, wpuszczając do środka zielonkawą poświatę lampek kierujących do wyjścia na korytarzu.

O-o, pomyślał Jesse. Obcy przylecieli.

W drzwiach pojawiła się sylwetka mężczyzny. Jesse obserwował, jak powłócząc nogami, postać wchodzi i rozgląda się dokoła. Przybysz miał w sobie coś znajomego – Jesse nie mógł być pewny, ale sądząc po budowie ciała, wyglądał jak zaginiony pacjent. Ten, który zaliczył samowolkę. Ten, który według Deviego mógł odpowiadać za śmierć dziewczyny.

Jesse się nie odezwał, a mężczyzna najwyraźniej nie wyczuwał, że ktoś jest w pomieszczeniu. Śmiechu warte, że ktoś wtargnął do jego kryjówki. Cały sens ukrywania się w tym miejscu polegał na tym, by pobyć trochę samemu i zebrać myśli po tym, jak światło przestało działać. Przez pozbieranie myśli rozumiał wypełnienie żył Demerolem – ha!; o, ja pierdzielę, ha! – i obowiązkowy dopalacz z morfiny. Jesse urządził sobie małe gniazdko obok pustych kartonów, do których kiedyś pakowano pomidory w puszkach. Planował zostać tu do końca sztormu albo do zatonięcia statku. A na szczęście dla niego petydyna rzeczywiście zapobiegała chorobie morskiej.

Mężczyzna odezwał się do kogoś i chwycił wąż do kostnicy.

– Brak miejsc. Zajęte.

Nonszalancja, słaby żart. Jesse otworzył usta, ale co tak naprawdę mógł powiedzieć? Facet najwyraźniej wiedział, co robi. A Jesse nie zapomniał, jak gość zachowywał się po napaści na pokojówkę. Wariat. *Befok*. Lepiej zostawić go w spokoju. Jesse nie byłby w stanie się obronić, gdyby mężczyzna go zaatakował.

Pacjent kontynuował swoją wyimaginowaną konwersację, szarpnięciem otworzył wąż do kostnicy. Jesse skrzywił się, czując dobiegający z jej wnętrza fetor rozkładu. Potencjalny zabójca bez chwili wahania wpełzł do środka, kładąc się na zmarłej pasażerce. Wyciągnął rękę, żeby zamknąć drzwi, nie mógł ich jednak dosięgnąć.

Statek zaczął stromo opadać, na chwilę znieruchomiał, a potem znów ruszył w górę, co sprawiło, że wnętrze Jessego znalazły się gdzieś na wysokości sufitu magazynu, a ruch spowodował, że blokada odskoczyła i wąż się

zatrzasnął.

Jesse zamrugał. Kurwa. Co teraz? Pasażer wlaź do środka z własnej woli. To dla niego idealne miejsce. Był niebezpieczny, nikt nie chciał, żeby ktoś taki biegał bez nadzoru po statku, siejąc spustoszenie. I tak siedzieli już po uszy w gównie.

Po omacku poszukał kolejnej ampułki, ale towar się skończył. Czyżby pozostałe wypadły mu, kiedy potykając się, przemierzał ciemne serce statku? Na to wyglądało. Gdyby wszystkie zużył, byłby już martwy.

Statek ponownie zaczął się wznosić, potem najwyraźniej zmienił zdanie i przechylił się na burzę.

Czas wracać do przychodni. Woli odejść naćpany do nieprzytomności, niż utopić się w magazynie przy kostnicy u boku szaleńca. W kieszeniach poszukał minilatarki i na kolanach przesunął się w kierunku drzwi. Próbował kilka razy, zanim udało mu się je otworzyć. Kiedy tylko wstał, statek rzucił nim o ścianę po przeciwległej stronie, ale Jesse nie przejął się tym, i tak nic nie czuł. Odnajdując drogę za pomocą latarki kieszonkowej – dawała mizerne światło, ale nie miał nic innego – powoli zmierzał w kierunku I-95.

Powolutku, dasz radę. I wtedy, jakby przeskakując w czasie (musiał odlecieć), stanął przed drzwiami przychodni. Właź do środka, powolutku, spokojnie, a teraz do gabloty w aptece. Światło prosto w oczy. Zamrugał. Latarka. Nie był sam.

Czyjaś ręka chwyciła jego ramię.

– O dzięki ci, Jezu. Jesse, Jesse, musimy stąd iść.

Martha. I to ubrana w kamizelkę ratunkową. Zaświecił jej w twarz swoją latarką. Płakała, na jej policzkach pojawiły się kolorowe, jaskrawe plamy.

– Czym się tak załatwiłeś?

– Zabiłem dziewczynę, Martho. – A to skąd się wzięło? Tak jakoś samo mu się powiedziało.

– Jesse, musimy już iść. Wróciłam po ciebie, ale dłużej nie będą czekać.

– Dokąd idziemy? – Wpadł na nią, gdy statkiem znowu gwałtownie zakołysało.

– Ewakuujemy się. – Martha prawie upuściła latarkę, klnąc pod nosem. – Nie utrzymam cię, Jesse.

– Co z Binem?

– Bin jest chory, Jesse.

– Nie możemy zostawić Bina.

– Nie mamy wyboru. – Teraz już go wlokła. – Myślisz, że tego chcę? Nie wpuszczą go, jeśli jest chory.

– Ja też jestem chory.

– Ty jesteś nawalony. – Zaczęła łkać. – Proszę, Jesse. Chodź.

– Pójdę po Bina. Dogonię cię.

Cieszył się, że nie widzi jej twarzy.

– Nie, Jesse.

– Naprawdę... Pójdę po niego. Zmuszę ich, żeby go wzięli.

– Jesteś pewny?

– Jestem pewny.

Puściła jego rękę, światło zatańczyło na podłodze, znieruchomiało, a potem znikło.

Teraz. Do roboty. Podeszedł do gabloty z lekami, ale zaskoczyło go kolejne bujnięcie statku. Czas zwolnił, nogi odmówiły mu posłuszeństwa i upadł na kość ogonową. Tępy wstrząs, bez bólu.

Jesse usłyszał rozbijane szkło i odgłos czegoś przesuwającego się po podłodze. Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Po omacku poszukał latarki. Ktoś stał tuż przed gablotą. Doktor skierował światło ku górze. Mężczyzna położył palec na ustach.

Jesse zdał sobie sprawę, że wie, kim on jest.

Ciemna postać. Ciemna postać Alfonsa przyszła złożyć mu małą wizytę. I Jesse zaczął się śmiać.

Strażnik sekretów

Devi splunął odrobiną krwi i żółci, po czym przewrócił się na plecy, a ruch ten spowodował wybuch rozgrzanego do białości bólu z tyłu czaszki. Powoli i ostrożnie dokonał przeglądu sytuacji. Wszystkie jego mięśnie płonęły. Ręce i stopy sprawiały wrażenie, jakby zanurzono je w lodzie. Uszy wypełniał ryk – nie był pewien, czy pochodzi z wnętrza głowy, czy nie. A potem coś zatrzeszczało i boleśnie zazgrzytało tak, jakby ktoś rysował burtę statku gwoździami.

Ram. To Ram go tak urządził.

Coś miękkiego połaskotało go w czoło. Światło zakłuło w oczy. Głos:

– Devi. Jesteś przytomny.

– Gdzie ja jestem?

– W centrali. Nie mogłem cię zostawić. Przyszedłem cię odszukać. Nie mogłem cię zostawić, Devi.

Spróbował się podnieść, ale jego mięśnie nie chciały go słuchać.

– Opuścili statek? – Kiedy mówił, szczęka sprawiała wrażenie, jakby miała się rozpaść na kawałki. – Była ewakuacja?

Rogelio nie odpowiedział.

– Wielu pasażerom się udało, tak mi się wydaje.

Z ogromnym wysiłkiem poruszył ręką i dotknął twarzy. Była mokra. Lepka.

– Pomóż mi wstać.

– Nie. Nie powinieneś się ruszać.

Ale Devi musiał to zrobić. On wciąż mógł być na statku. Morderca. Mężczyzna, który zabił Kelly Lewis. Twardy dysk został zniszczony na rozkaz Rama – albo kapitana – i dowód przepadł.

Wciąż jednak Devi nie potrafił zmusić swojego ciała do wykonywania najprostszych czynności.

Kiedy podniósł głowę, przed oczami zatańczyły mu iskierki.

Statek chyba parł do przodu. Potem poleciał w dół. Jakkolwiek na to patrzeć, Devi zawiódł.

Blog Dzika Karta

żebyście nie musieli robić tego wy Nieustraszony w walce z oszustami,

Wpizdejebany sztorm bardzo zle.

to moja ostatnia wola i testamentem. Bardzo bardzo hory zostawiam szysko fundaci jamesa randi o rajusa nie daje rady pisac i mam nadzieje ze ktos to przeczyta

Asystentka więdźmy

Statek znowu mocno przechylił się na lewą burtę, ale intensywne kołysanie ustało. Maddie nie przypomiwała sobie, żeby to następowało stopniowo. Miała wrażenie, że ustąpiło w ciągu kilku minut. Czuła ból w uszach, ale trzaski, wycia i coś, co brzmiało jak rozrywanie metalu, również ucichło. Ani razu, nawet wtedy, kiedy ruchy statku były najbardziej gwałtowne, nie słyszała, żeby ktokolwiek w teatrze krzyknął. Żadnych wrzasków, żadnego błagania o łaskę, żadnych modlitw. Pochorowali się. To było do przewidzenia. W sali unosił się gęsty smród wymiocin, ale Maddie robiła, co mogła, żeby nie zwracać na to uwagi. Zalała ją nagła fala euforii. Wciąż miała przechlapane, to jasne. Była na statku dryfującym donikąd, ale żyje, a to już coś. Postanowiła się nie ewakuować – *jeśli stąd wyjdziecie, umrzecie* – i właśnie miała się przekonać, czy podjęła właściwą decyzję.

– Czy ktoś jest ranny? – zapytał niepewny głos. Przypominał głos Eleanor.

Jęk na lewo od niej.

Z trudem wstała – przeczekała sztorm na podłodze pod rzędem siedzeń – i skupiła się na scenie. Było tam ciemno, jednak na środku dostrzegła ciemniejszy kształt. Powinna pomóc Przyjaciołom, ale najpierw musi zyskać pewność. Powoli podeszła do schodków prowadzących na scenę, stąpając między śmieciami zalegającymi na podłodze – workami, rozrzuconymi butelkami wody i, co ciekawe, nietkniętym pętem salami. Skrzywiła się, kiedy jej stopa pośliznęła się na czymś mokrym.

Gdzieś tam pojękiwała jakaś kobieta, ale Maddie zignorowała ją i dalej wchodziła na scenę. Celine wciąż siedziała na wózku inwalidzkim (jak to możliwe, że nie przewrócił się podczas sztormu?), a jej głowa zwisała na piersi, dokładnie w taki sam sposób, jak tamtej nocy, gdy statek przestał płynąć.

– Celine.

Bez odpowiedzi.

– Celine.

I właśnie wtedy, niczym lalka, która nagle ożywa, szarpnięciem poderwała głowę do góry.

– Madeleine. Myślałaś, że umrzesz?

– Tak.

– To było straszne, co? – Jej głos brzmiał lodowato.

– Celine. Co tu jest grane? Kim... jesteś?

– Jestem Celine del Ray, medium gwiazd.

– Celine, którą znałam, już dawno temu kazałaby wszystkim spadać na drzewo. Nie interesowałoby jej zbieranie tu tych ludzi. W życiu. Celine, którą znałam, pierwsza uciekłaby z tego cholernego statku.

– Masz mnie. Możesz mnie nazywać, jak chcesz. Jessie albo Stacy, albo Tommy. Albo Nonanthla, albo Hiroko, albo Jeremiah. Jak wolisz. Twoja dusza, moja dusza, to wszystko jedynie stare dusze zgromadzone w jednym miejscu. Jaki sens ma to, co ma dla ciebie sens?

– O Jezu.

– On też. Uszkodzenie mózgu. Potrafi zmienić osobowość. Czy właśnie tak to widzisz?

– Celine... Ja widziałam... widziałam... – *Widziałam Lizzie Bean, siedziała w twojej wannie.*

– Duchy? Zjawy? Upiory? – Zaśmiała się. – To było zabawne. Akurat to mi się podobało. Choć nie jestem pewna, czy Papa Noakes do końca mi wyszedł. Celine nie zostawiła mi zbyt dużego wyboru.

Celine pogładziła się po włosach, poprawiając kilka niesfornych kosmyków.

– Czego właściwie chcesz od życia, Maddie? Myślałam o tobie, próbowałam cię rozgryźć.

– Na początek chętnie opuściłabym ten statek.

– To życzenie już niedługo się spełni.

– Jak?

Ku jej zaskoczeniu Celine ziewnęła. Szerokim, łamiącym szczękę ziewnięciem.

– Leć już, Maddie. Czas już iść. Nic jeszcze nie widziałaś. To była tylko przystawka. Dopiero na obiad dostaniesz zajebistą rewelację.

Człowiek potępiony

Ciemność była tak całkowita, że nie potrafił odróżnić, czy ma otwarte, czy zamknięte oczy. Wziął głęboki wdech. Pociągnął nosem. Brzydko pachniało, kiedy przyprowadził go tu przyjaciel, ale szybko się do tego przyzwyczyił. Przez krótką chwilę źle się poczuł, ale to też minęło.

Zaczął ruszać palcami u stóp, a materac, na którym leżał, poskrzypywał nierównomiernie. Czasami chrząścił. Miękki, a w niektórych miejscach twardy. Musiał wyginać ciało, by złapać wygodną pozycję.

Głęboki, dudniący warkot. Wyciągnął rękę. Przytulne półokrągłe ściany jego kryjówki wibrowały. Czy właśnie dlatego się obudził? Nie czuł lewego ramienia; leżał na nim i przez to zdrętwiało. Naprężył palce – mrowienie, krew, która znów zaczęła krążyć.

Zmówił cichą modlitwę dziękczynną do swojego przyjaciela za to, że go tu sprowadził. Duży schowek na zapasy. Tak, tym właśnie było to miejsce. Niczym innym.

Jego palce ponownie odszukały ścianę. Cichy puls, jakby podłączony do bijącego serca. Nacisnął pokrywę, najpierw delikatnie. Tylko sprawdza. Tylko sprawdza, czy się otworzy. Był tu bezpieczny i nie chciał wychodzić, chciał jednak upewnić się, że się otworzy, na wypadek gdyby musiał znowu uciekać.

Ani drgnęła. Okej, w porządku, nie pchał zbyt mocno. Zmienił pozycję, by móc naprzeć z większą siłą, a materac pod nim zachrząścił.

To wcale nie jest materac.

Ciiiiiii.

To nie jest materac, Gary. Wiesz, gdzie jesteś.

Ciiiiiii!

Tym razem napał barkiem. Bez skutku. Stopa. Tak, kopnięcie to dobra opcja.

Uciekaj, uciekaj, uciekaj, uciekaj.

Zaczął się wiercić, ale miał za mało miejsca. Kopnął lewą nogą, wywołując długi, głęboki dźwięk, mimo to kłapa i tak się nie poruszyła.

Uciekaj, uciekaj, uciekaj, uciekaj, uciekaj, uciekaj, uciekaj, ucie

Musiał tylko...

Materac pod nim zafalował.

Służebnica diabła

Przeczekała wszystko w swojej kajucie. Ale chłopiec mimo to się nie pojawił.

Trining oddała Althei swoją latarkę na chwilę przed tym, jak ta zniknęła w rękawie prowadzącym do szalupy ratunkowej, a Althea była jej za to bardzo wdzięczna. Kto mógłby pomyśleć, że to ona, Althea, będzie kiedykolwiek wdzięczna akurat Trining? Na nadgarstkach miała zadrapania po tym, jak Maria chciała ją wciągnąć do rękawa ewakuacyjnego, ale ogólnie nic jej nie było. Odczuwała mdłości, owszem, jednak to wszystko.

Korytarze dla załogi opustoszały, słyszała jedynie, jak jej stopy chlupoczą w wodzie, która zalała metalowe podłogi. Miała przemoczone buty i zdrętwiałe palce u stóp. Nadepnęła na porzuconą kamizelkę ratunkową, przemokniętą walizkę i poplątane wnętrza rozwalonej krótkofalówki.

Pani del Ray będzie wiedziała, gdzie się podział. O ile sama nie zdecydowała się opuścić statku. Być może tylko Althea została na „Pięknym Marzycielu”. Będzie płynąć samotnie, aż umrze z głodu.

Przechył był teraz bardzo mocny, statek sunął jak mocno podchmielony pijak. Minęła kajuty specjalistów od rozrywki i przeszła drzwiami na zaplecze sceny. Głosy. Rozchyliła kurtynę i zobaczyła, jak na widowni, nad pograżonymi w ciemności siedzeniami i przejściami pomiędzy nimi, tańczą światła latarek. Zepsute oświetlenie, zniszczony korpus wywróconych dekoracji.

Była też pani del Ray. Siedziała na wózku pośrodku sceny jak gdyby nigdy nic. Niżej ludzie pomagali sobie nawzajem wstać. Wyczuwała zapach wymiocin. Sztorm był bardzo silny, nic dziwnego, że pasażerowie się pochorowali. Althea podbiegła do Celine i padła na kolana.

– Nie mogę go znaleźć. Chłopca. Nie mogę go znaleźć.

– Ciii. Słuchaj. – Pani del Ray lekko przechyliła głowę.

Niski jęk, jakby statek wydawał z siebie rozpaczliwe westchnienie, światło zamigotało, zgasło i ponownie zamigotało, wracając do życia. Althea wyczuła pod stopami delikatną wibrację. Zniknęła, potem znów się pojawiła. Pani del Ray uśmiechnęła się do niej szerokim, głodnym uśmiechem.

– Zaczynamy.

Siostry samobójczynie

Sztorm ucichł. Statkiem nie miało już niczym dziecięcą zabawką.

Helen cieszyła się, że jest ciemno. Nie chciała widzieć. Nie chciała wiedzieć. Elise nie wydała z siebie żadnego dźwięku, odkąd statkiem przestało rzuć. Helen celowo unikała patrzenia na nią z bliska, gdy przesuwała się ostrożnie w stronę szafki z telewizorem. Nadepnęła stopą na kawałek szkła. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, upadła na ręce i kolana. Na czworakach, po omacku szukała torebki Elise na pochyłej podłodze. Jej palce odnalazły ją i zaczęła w niej grzebać, aż znalazła to, czego szukała.

Nie patrząc w stronę Elise, włożyła do kieszeni Zopiclone, zniosła do łóżka ostatnią butelkę wody i położyła się.

Gdzieś pod nią statkiem zatrzęsło i wtedy zapaliło się światło. Nie obchodziło jej to. Już za późno.

Razem lepiej.

Anioł miłosierdzia

– Obudź się. Obudź się, szefie.

Jesse zakrył twarz ręką, osłaniając oczy przed ostrym, oślepiającym blaskiem.

– Idź sobie.

– Jesse.

Leżał na wznak, a coś wpijało mu się w plecy. Unosiła się nad nim niewyraźna sylwetka. Podłoga pod nim zafalowała. Tfu. Przełknął ślinę. W ustach czuł smak żółci.

– Kto to?

Ciemna postać.

– To ja. Bin.

Cichy pomruk, a potem światło zapaliło się i zgasło z trzaskiem, i ponownie rozbłysło z pełną mocą. Skądś rozległ się dźwięk przypominający charkot. Podłoga drżała.

– Jesteś ranny, szefie? Myślałem, że ewakuowałeś się z innymi.

Jesse podniósł głowę i zrobiło mu się niedobrze, ale nie miał w żołądku niczego, czym mógłby wymiotować.

– Co z Marthą?

– Nie wiem, szefie.

– Zasilanie działa?

Bin przytaknął, a na jego twarzy pojawił się grymas.

– Znowu płyniemy?

– Nie. Ale już wkrótce.

– Skąd wiesz?

Bin znów zrobił zbolalą minę.

– Tam na dole są ludzie z załogi. Widziałem ich, jak tu szedłem. Nie wszyscy opuścili statek.

– Potrafią go naprawić? Kierować nim? – Czy statkiem wycieczkowym się kieruje? Nie znał właściwego słowa. Chryste, jego głowa...

Bin pomógł mu wstać. Było tu jak w chlewie. Wszędzie kartoteki i fiołki. Płatanina poprzewracanych stojaków na kroplówki. Zalała go fala paniki, kiedy spojrział na gablotę z lekami. Wyglądała na nietkniętą. Całe, kurwa, szczęście.

– Są ranni, szefie.

– Gdzie?

– W atrium, na głównym pokładzie. Przenoszą ich wszystkich do Teatru Śmiałych Snów.

– Są jakieś ciężkie przypadki?

– Bez zagrożenia życia. Może kilka złamań. Zrobiłem, co mogłem. Jedna osoba ma chyba wstrząśnienie mózgu.

Na twarzy Bina ponownie pojawił się grymas. Podniósł rękę, a potem z gracją odszedł na stronę, by wymiotować do miski w kształcie nerki. Jesse zauważył, że pielęgniarka nawet targany torsjami cechuje się pewną elegancją i precyzją. Podał Binowi chusteczkę.

– Bin. Idź na górę. Nie jesteś w stanie nikomu pomóc. Przyniosę wszystko, czego będziemy potrzebowali.

– Jesteś pewny?

– Tak?

Jesse wstrzymał oddech, kiedy Bin wychodził z pokoju. Z drżącymi palcami zbliżył się do gabloty.

Wtedy to do niego dotarło. Dopiero co, praktycznie bez uszczerbku, przetrwał gwałtowny sztorm. Czy na pewno chce dalej iść tą drogą?

Pieprzyć to.

Napełnił kieszenie pozostałymi ampułkami i odgryzł końcówkę plastikowej osłonki od strzykawki. Za kilka minut odzyska swoją zbroję.

Zgromadzili się w foyer teatru, leżeli na schodach i dywanie przed wejściem. Wnętrze statku nie było szczególnie zniszczone: Jesse deptał po rozbitym szkle, w niektórych miejscach zebrała się woda, głównie na pokładach służbowych, ale było znacznie lepiej, niż przewidywał. Prawdę mówiąc, sztorm przewietrzył statek. Teraz pachniał solą i wilgocią, nie jak wnętrze oczyszczalni ścieków. A wiatr rozwiał ciągnący się za statkiem ogon z czerwonych worków.

Członkowie załogi rozdawali wodę – wracając do starych nawyków – a ci, którzy mogli chodzić, pomagali innym wyjść z teatru. Jesse bezpiecznie opatulony w swoim petydynowym kokonie szukał osób najbardziej potrzebujących pomocy. Bin miał rację. Nie było widać żadnych poważnych przypadków. Skóra kilku osób miała zielony odcień, ale nie potrafił stwierdzić,

czy to skutek choroby morskiej, czy długofalowe efekty norowirusa, było też kilka pomniejszych stłuczeń. Dobrze zbudowana kobieta siedząca obok mężczyzny z zabandażowaną ręką rozpoznała go i uśmiechnęła się niepewnie. Odruchowo odwzajemnił uśmiech, próbując sobie przypomnieć, gdzie ją widział. Nagle zrozumiał – rozhisteryzowana pasażerka z pokładu dla VIP-ów. Chciała go uderzyć, a on miał jej przynieść Xanax. Gdyby na niego nie napadła, czy wróciłby do starych nawyków? Ale znał odpowiedź. *Ja*, wróciłby. Wcześniej czy później znalazłby wymówkę.

Dudnienie silników ustało, nastąpiła chwila ciszy, podczas której wydawało się, że wszyscy wstrzymali oddech, a potem znów rozległ się szum maszyn. Ci, którzy byli w stanie, wznosili toasty wodą.

Jesse stwierdził, że powinien zająć się czymś innym niż chodzenie w kółko i udawanie, że się na coś przydaje. Ruszył w kierunku pasażerki z pokładu VIP-ów, kiedy usłyszał krzyk:

– Doktorze! – Przystojny Filipińczyk stojący u szczytu schodów machał rękoma w jego kierunku.

Jesse przedostał się przez tłum poszkodowanych i dotarł do jednej z kolumn, o którą oparł się facet w białej, przesiąkniętej krwią koszuli. Chryste. Jesse zdał sobie sprawę, że to Devi, ochroniarz, który pomógł mu załatwić tamten *kak* w kostnicy. Facet miał spuchniętą szczękę po lewej stronie twarzy, a rana cięta za jego lewym uchem wymagała szwów. Ledwo drgnął, kiedy Jesse badał mu tę ranę, jego oczy biegały na wszystkie strony, lustrując otaczający ich tłum.

– Szukasz kogoś?

– Tamtego mężczyzny. Gary’ego Johanssona.

Mężczyzny, który wtargnął do jego kryjówki wczoraj w nocy. Jesse w ogóle o nim wcześniej nie pomyślał. Miał większe powody do zmartwienia.

– W tym mogę ci pomóc.

Strażnik sekretów

Devi chwycił się poręczy śliskiej od wilgoci. Hałasując, pędem zbiegł po schodach i wypadł na korytarz wiodący do pralni i kostnicy. Wszystkie jego mięśnie pulsowały, za każdym poruszeniem łokcia czuł w plecach bolesny prąd, a głowę otaczała jedna wielka chmura cierpienia. Dotknął językiem wargi – wielkością przypominała piłkę do krykieta.

Statkiem porządnie zatrzęsło. Rogelio był na mostku i twierdził, że Baci, jeden z nielicznych oficerów, którzy nie uciekli ze statku, z trudem próbuje ustalić, do którego portu powinni się kierować. Równie dobrze sztorm mógł zepchnąć ich daleko od ostatniego znanego punktu nawigacyjnego.

Rogelio, który powoli podążał za nim, przytrzymał go za koszulę, a Devi był wdzięczny za tę pomoc. Rogelio był po jego stronie przez cały czas. Devi obiecał sobie, że mu się odwdzięczy, jak tylko to wszystko się skończy.

W końcu dotarli do celu.

Devi otworzył drzwi do magazynu, wszedł do środka i palcem zapukał we włącz do kostnicy.

Z wewnątrz dobiegło przerażone wycie.

– Wypuść mnie, wypuść mnie, wypuść mnie.

Następnie rozległ się szloch.

Rogelio dołączył do Deviego w magazynie. Jeśli się bał lub przeraziło go to, co usłyszał, nie dał tego po sobie poznać.

– Jesteś pewien, że to on, Devi?

– Tak.

– Umrze, jeśli go nie wypuścimy?

– Nie wiem. – *Ale będzie cierpieć.*

– Będziesz mógł ze sobą żyć, jeśli to zrobisz, Devi? Czy tamto się skończy?

Devi nie musiał zastanawiać się nad odpowiedzią.

– Tak.

Blog Dzika Karta

żebyście nie musieli robić tego wy Nieustraszony w walce z oszustami,

A jednak żyję. Udało mi się. Byłem pewien, że umrę, jednak w końcu nie utonąłem, statek też nie poszedł na dno. Jestem znowu w kajucie Hieny razem z Maddie. Spotkaliśmy się, kiedy godzinę temu wróciła do apartamentu. Zastała mnie leżącego na dywanie. Wciąż nie wiem, jak się tu znalazłem. Czuję się nieco lepiej, ale to kwestia ostatnich chwil.

Maddie nie wygląda najlepiej. Może nie jak ktoś chory, ale na pewno wystraszony. Nawet się specjalnie nie zdziwiła na mój widok.

A było to tak:

Po ostrym ataku choroby morskiej, prawie tak samo ciężkim jak przy norowirusie, pragnąłem jedynie umrzeć. Trudno w to uwierzyć, ale spisałem testament, który zdążyłem już skasować.

Maddie zobaczyła na morzu światła i stwierdziła, że to statki ratownicze, ale ja od razu widziałem, że to nadmuchiwane szalupy i że musimy wypierdalać z kajuty. Gdy wybiegliśmy na główny pokład, próbowałem znaleźć dwie kamizelki ratunkowe (właśnie wtedy jakiś gnojek zdzielił mnie w ucho) i Maddie i ja zostaliśmy rozdzieleni.

Jeden z ochroniarzy próbował wszystkimi dowodzić. Niektórzy słuchali, większość nie. Łodzie ratunkowe znajdują się na głównym pokładzie, wysoko nad wodą, i należy je na nią opuścić. Nie jest to łatwe, jeśli nie wiesz, jak to zrobić.

Adrenalina powstrzymała chęć rzygania, ale nie mogłem odzyskać równowagi, cały czas się ślizgałem i przewracałem.

Widziałem straszne rzeczy.

Spadającą łódź ratunkową z ludźmi trzymającymi się jej zadaszenia

i zwisającymi z burt.

Jakiś skurwiel odpalił flarę w jednej z łodzi spuszcanych na wodę. Zasyczała, zaczęła strzelać i zapłonęła jak fajerwerk. Nawet pod wiatr słyszałem wrzaski ludzi.

Prawie dotarłem na pokład z łodziami ratunkowymi, kiedy ktoś na mnie wpadł, poślizgnąłem się i wpadłem do basenu. Nałykałem się mnóstwa wody. Wydostałem się, znowu wpadłem do środka, tym razem niemal przygniół mnie jeden z materacy, które zostały tam zepchnięte.

Do tego czasu wszystkie łodzie po mojej stronie zniknęły. Próbowałem przedostać się na przeciwległą burtę, ale panika trwała w najlepsze: przepychanki, tratowanie, ludzie dosłownie rzucali się do pozostałych szalup. Spóźniłem się na ostatnią o kilka sekund, chociaż kobieta obok mnie zaryzykowała i wskoczyła do niej podczas wodowania.

Niewiarygodne.

Nie wiem, co się z nią stało. W tym momencie morze kipiało.

Usłyszałem, jak ktoś krzyczy: „Chodźcie za mną!”. Spojrzałem w tamtym kierunku i zobaczyłem tuż pod sobą ochroniarza machającego rękoma nad głową. Ludzie próbowali się do niego przedostać, maruderzy tacy jak ja. Nie mam pojęcia, jak udało mi się zejść do niego po schodach, nie łamiąc sobie karku. Ochroniarz krzyczał ile sił w płucach, informując wszystkich, że w punkcie ewakuacyjnym dla załogi są nadmuchiwane szalupy. Kazał nam pójść za sobą na rufę.

Do końca nie wiem, w jaki sposób zniknął mi z oczu. Było tam ciemno, a statkiem rzucało już wtedy tak mocno, że normalnie nie dawałem rady utrzymywać się na nogach. Czołgałem się. Dosłownie doczołgałem się do czegoś, co, jak miałem nadzieję, było relingiem czy też czymś, czego mogłem się przytrzymać. Udało mi się owinąć wokół jednej z anielskich kolumn. Statek jęczał i wył. To brzmiało tak, jakby rozrywał się na strzępy.

Jak długo to trwało?

Nie mam, kurwa, pojęcia. Jak długo trwa wieczność? Ale jestem zajebiście wdzięczny, że nie trafiłem na jedną z tych łodzi. Musieliśmy wpaść w huragan lub coś podobnego, bo... ja pierdołę, Jezu święty, słyszę silniki, jak to do cholery możliwe?

DZIEŃ 4



Asystentka więdźmy

Maddie i Xavier siedzieli obok siebie na balkonie apartamentu Celine z nogami na balustradzie. Statek godzinę temu zaczął płynąć. Dziewczyna wpatrywała się w ciemność, wsłuchana w chlupot fal o burtę statku i cichy pomruk silnika. Bryza rozwiewała jej włosy. Było prawie miło.

Xavier otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

– Nie – powiedziała. – Nie, i już.

Wzięła go za rękę i splotła swoje palce z jego. Czekali w milczeniu.

WRÓCIŁ!

Zaginiony wycieczkowiec odnaleziony w pobliżu Key West

Z ostatniej chwili: Kapitan jachtu odnajduje „Pięknego Marzyciela”
O 4.30 czasu wschodniego José Ferrigno, kapitan jachtu „Błyskawiczna Sława”, zgłosił odkrycie dryfującego statku cztery mile na wschód od Key West. Ferrigno poinformował Zarząd Portu, że statek ma niebezpieczny przechył na lewą burtę. Wiemy już, że uszkodzona jednostka to wycieczkowiec „Piękny Marzyciel”, który zaginął pięć dni temu. Intensywne poszukiwania prowadzone w Zatoce Meksykańskiej i na okolicznych wodach aż do teraz nie dawały rezultatu, a zniknięcie jednostki stanowiło zagadkę dla znawców przedmiotu. Przy szacunkowej liczbie ofiar przekraczającej tragiczne bilanse nawet katastrof lotniczych Czarnego Czwartku w roku 2012 zniknięcie „Pięknego Marzyciela” okrzyknięto już największą katastrofą morską od czasu „Titanica”.

Zapraszamy do śledzenia naszych najnowszych doniesień i bloga na żywo; nasz reporter Jonathan Franco jest na miejscu.

@jonf667

Statek ma mocny przechył. Nigdzie ani śladu łodzi ratunkowych. Widoczne uszkodzenia kadłuba.

@jonf667

Okręt i helikoptery ratownicze na miejscu. Nadal żadnych informacji o rozbitkach.

@jonf667

Pojawiają się plotki, że José Ferrigno widział rozbitków na pokładzie.

@jonf667

Zarejestrowana wiadomość od JF do SG: „Na lewej burcie widać światło. Na pokładzie są chyba ludzie”.

@jonf667

Według różnych doniesień José Ferrigno ma za sobą walkę z uzależnieniami.

@jonf667

Ani śladu powietrznej akcji ratunkowej, ale są informacje o znalezionych na statku ciałach.

Aktualizacja:

10.32

Rzecznik Krajowej Rady Bezpieczeństwa Transportu potwierdza, że jak dotąd nie znaleziono rozbitków. Armator „Pięknego Marzyciela”, firma Linie Wycieczkowe Foveros, ujawnił, że na pokładzie znajdowało się 2019 pasażerów, z czego 716 to Brytyjczycy, dwoje to Niemcy, a reszta obywatele USA. Większość oficerów marynarki pochodziła z Włoch, a pracowników obsługi – z państw rozwijających się. Wszystkich 2964 pasażerów oraz członków załogi uważa się cały czas za zaginionych.

Aktualizacja:

10.57

Rzecznik Linii Wycieczkowych Foveros nie chciał w obecnej chwili spekulować, ale stwierdził: „Zniszczenia statku i użycie wszystkich łodzi ratunkowych każe przypuszczać, że jednostka napotkała złe warunki pogodowe i oceaniczne, wymuszające wydanie rozkazu ewakuacji. Standardowy protokół postępowania na morzu w tego typu warunkach wymaga takiego właśnie postępowania. Fakt uszkodzenia statku, jak też prawdopodobnego zaginięcia na morzu wszystkich łodzi ratunkowych wskazują działanie siły wyższej jako najbardziej prawdopodobną przyczynę tej strasznej tragedii.

Służby meteorologiczne potwierdzają, że trzy dni temu kilka mil na zachód

od Bahamów miał miejsce sztorm o sile od lekkiej do gwałtownej. Jak dotychczas władze nie wydały oficjalnego komunikatu w sprawie warunków pogodowych, jakie mogły panować w czasie i miejscu katastrofy.

Ciała odnalezione na koszmarnym wycieczkowcu

Biuro koronera hrabstwa Dade potwierdziło, że na pokładzie „Pięknego Marzyciela” odkryto ciała dwóch kobiet. Jedna ze zmarłych została zidentyfikowana jako Kelly Louise Lewis (32), recepcjonistka z salonu fryzjerskiego w Essex w Wielkiej Brytanii. Drugie ciało, należące do starszej kobiety, nie zostało jak dotąd zidentyfikowane.

Melanie Zindell, bliska przyjaciółka państwa Lewis, za pośrednictwem mediów zwraca się z prośbą o uszanowanie prywatności rodziny pogrążonej w żałobie. Dodaje również, że rodzice panny Lewis przesyłają wyrazy współczucia rodzinom pozostałych zaginionych pasażerów i członków załogi.

Rzecznik Linii Wycieczkowych Foveros, rejsowego armatora zarządzającego flotą statków „Klasy Pięknej”, w tym „Marzycielem” i „Cudem”, który rok temu utknął w Cozumel na skutek awarii układu napędowego, przekazał w imieniu firmy wyrazy współczucia rodzinie i znajomym panny Lewis i potwierdził gotowość pełnej współpracy z KRBT (Krajową Radą Bezpieczeństwa Transportu) w ramach prowadzonego dochodzenia.

Głosy z głębin?

Long Island, stan Nowy Jork.

Setki żałobników wyległy zeszłego wieczoru na ulice East Meadows na wyspie Long Island, pragnąc oddać hołd Celine del Ray, kontrowersyjnej jasnowidzącej i medium, która, jak się przypuszcza, znajduje się wśród ofiar katastrofy morskiej statku „Piękny Marzyciel”.

Del Ray znalazła się na pierwszych stronach gazet w 2014 roku, kiedy publicznie oświadczyła, że „posiada dowody dostarczone przez duchy przewodników” potwierdzające, jakoby Lori i Bobby Small, dwie ofiary jednej z katastrof lotniczych Czarnego Czwartku z 12 stycznia 2012 roku, żyją i cierpią na amnezję. Według doniesień matka Lori Small, Lillian Small, na przekór dowodom DNA potwierdzającym śmierć córki i wnuka nie przestała ich szukać i wydała na ten cel oszczędności życia. Rok temu Lillian Small powiadomiła o zamiarze pozwania del Ray za spowodowanie cierpień psychicznych.

Wśród żałobników znalazła się Elisha Cobalt (47), „uzdrowicielka-jasnowidz” z Brooklynu w Nowym Jorku, która twierdzi, że codziennie otrzymuje „doniesienia” od Archiego, jednego z duchów przewodników Celine del Ray. „Archie mówi, że on i Celine są teraz razem i że wkrótce przekaze ona informacje o zaginionych pasażerach”.

Cobalt zaproponowała swoje usługi rodzinom i przyjaciołom tych, którzy, jak się przypuszcza, zatonęli, kiedy wycieczkowiec wpłynął na wzburzone wody Zatoki Meksykańskiej.

„Piękny Marzyciel”:

„Mary Celeste” naszych czasów?

Minął miesiąc od niespodziewanego powrotu „Pięknego Marzyciela” po tajemniczym pięciodniowym zaginięciu na morzu. Wygląda również na to, że KRBT do dziś nie ma pojęcia, co stało się z 2962 osobami na jego pokładzie.

Czy załogę i pasażerów „Pięknego Marzyciela” spotkał ten sam los, co w przeszłości tych ludzi na „Mary Celeste” i innych statkach widmach?

Jak to możliwe, żeby w dzisiejszych czasach statek, który swobodnie mieści trzy tysiące osób, tak po prostu zniknął? Przez pięć dni po tajemniczym zniknięciu trwały intensywne poszukiwania, jednak nie znaleziono żadnych śladów statku. Specjaliści od teorii spiskowych już zacierają ręce, a w Internecie i w mediach krążą pogłoski o tym, że „Piękny Marzyciel” padł ofiarą cieszącego się złą sławą Trójkąta Bermudzkiego, mimo że mit ten wielokrotnie obalano.

Według oświadczenia Linii Wycieczkowych Foveros dziennik pokładowy, zdjęcia z kamer przemysłowych i czarna skrzynka GPS uległy uszkodzeniom i „nie wnoszą żadnych miarodajnych danych”. Eksperci wydają się zgodni co do tego, że kapitan musiał zarządzić ewakuację, jako że wszystkie łodzie ratunkowe zaginęły. Nikt jednak nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego pozbawiony załogi statek w samym środku Gólsztromu nie został wciągnięty na bezkresny Ocean Atlantycki.

Istnieją również znaki wskazujące na panującą na statku epidemię norowirusa. Ekspert do spraw ratownictwa wypowiadający się anonimowo stwierdził: „Panował tam chaos. Brakowało jedzenia, wszędzie pełno było połamanych mebli, a zapach przywodził na myśl woń oczyszczalni ścieków zmieszaną z wyziewami z ubikacji nałogowego pijaka”.

Wersja oficjalna zakłada, że statek zszedł z kursu, a pożar doprowadził do krótkiej awarii układu napędowego. Mimo tego kapitan, pomny złej prasy i spadku dochodów, z czym borykały się ostatnio Linie Wycieczkowe Foveros, a także w obawie przed represjami ze strony kierownictwa firmy, zdecydował się nie wysłać sygnału SOS. Statek natrafił na sztorm i to wtedy zarządzono ewakuację.

A co z José Ferrigno, człowiekiem, który odnalazł statek i twierdzi, że widział na pokładzie rozbitków? Ferrigno ze swoją przeszłością związaną z przemytem narkotyków, uzależnieniami i depresją nie jest zbyt wiarygodnym świadkiem, jednak stanowczo podtrzymuje swoją wersję. Czy daje tylko światu fałszywą nadzieję?

Jedno jest pewne, „Piękny Marzyciel” (a może powinniśmy go nazwać „Koszmarnym”?) zdecydowanie nie jest pierwszym statkiem wprawiającym cały świat w zakłopotanie.

W 2003 roku trzydzieści mil, czyli ponad 55 kilometrów od wybrzeża Australii odkryto tajemniczy tankowiec bez nazwy czy rejestracji. Uważano, że miał przewozić uchodźców, ale na pokładzie nie odnaleziono nikogo, a jedynym śladem człowieka była znaleziona tam pluszowa dziecięca zabawka w kształcie zwierzaka.

W 1872 roku odnaleziono „Mary Celeste”, najsłynniejszy bodaj statek widmo, dryfujący na morzu bez śladu załogi, za to z nietkniętym ładunkiem i zapasami.

„Jenny” odnaleziono 17 lat po tym, jak zaginęła na Oceanie Antarktycznym w 1823 roku. Ostatni wpis kapitana brzmiał: „4 maja, 1823. Bez jedzenia od 71 dni. Przeżyłem jako jedyny”.

Znaleziono ciało żeglarza, który odnalazł tajemniczy wycieczkowiec

Mężczyzna, który odnalazł „Pięknego Marzyciela”, zmarł najprawdopodobniej na skutek przedawkowania narkotyków. Ciało José Ferrigna (49), który w przeszłości cierpiał na depresję i zmagał się z uzależnieniami, zostało odnalezione w jego domu wczoraj wieczorem około godziny 19.00. Wstępny raport zawiera przypuszczenie, że żeglarz odebrał sobie życie.

Ferrigno, który stał się osobą publiczną dzięki odnalezieniu zaginionego statku pasażerskiego trzy miesiące temu, upierał się, że widział na pokładzie rozbitków. Wersji tej wielokrotnie zaprzeczały służby, które pojawiły się na miejscu pierwsze, Straż Wybrzeża USA i KRBT.

Zwolennicy teorii spiskowych, którzy popierali Ferrigna, wierzą, że istnieje globalna konspiracja prowadząca do zakamuflowania sprawy, i uważają, że istnieją inne dowody potwierdzające ukrywanie pewnych informacji przez władze.

Rzecznik biura koronera hrabstwa Dade odmówił komentarza w tej sprawie. Ferrigno mieszkał sam. Jego ciało zostało znalezione przez sąsiada.

NSA zaprzecza istnieniu rozbitków.

Opisuje wyciekające dokumenty mianem „sprytnego fałszerstwa”

Agencja Bezpieczeństwa Narodowego po raz kolejny znalazła się w ogniu krytyki po tym, jak szereg dokumentów, rzekomo stanowiących fragmenty przesłuchań kilkunastu pasażerów i członków załogi znajdujących się na listach pokładowych „Pięknego Marzyciela”, wyciekł wczoraj do sieci.

Źródło dokumentów opublikowanych przez @anonymous998 jest nieznane.

Dokumenty ujrzały światło dzienne w trakcie spekulacji co do losu i miejsca pobytu 2962 pasażerów i członków załogi znajdujących się na pokładzie statku, kiedy ten wypłynął z Miami 28 grudnia 2016 roku.

Zgodnie z ustaleniami Krajowej Rady Bezpieczeństwa Transportu dotyczącymi „najbardziej prawdopodobnego” przebiegu wydarzeń statek napotkał problemy po awarii zasilania spowodowanej pożarem w siłowni. W obawie przed wywróceniem się jednostki do góry dnem na głębokim morzu załoga zarządziła ewakuację. Uważa się, że tropikalny sztorm zatopił łódzie ratunkowe i spowodował śmierć rozbitków.

Reprezentujący szerokie spektrum poglądów specjaliści dowodzą, że teorii tej brakuje konsekwencji i nie potwierdzają jej znane fakty. Niektórzy krytycy oskarżyli Straż Wybrzeża i KRBT o współudział w kamuflowaniu istotnych informacji, jak też ukrywanie faktu, że przeżyło co najmniej kilkanaście osób na pokładzie dotkniętego tragedią statku.

Doradca ds. bezpieczeństwa narodowego odrzucił dziś rano te zarzuty, pisząc na Twitterze:

„Kategorycznie zaprzeczamy, jakoby dokumenty te miały być czymkolwiek poza potwierdzeniem fałszerstwa”.

„Jest to sprytnie oszustwo, mające na celu podminowanie naszych wysiłków dążących do zapewnienia bezpieczeństwa”.

Jak też: „Kategorycznie zaprzeczamy, jakoby na pokładzie »Pięknego Marzyciela« znaleziono rozbitków”.

ŚCIŚLE TAJNE

NIE KOPIOWAĆ, NIE PRZESYLAĆ POCZTĄ ELEKTRONICZNĄ

Niniejsze sprawozdanie zawiera skrócone wersje zapisu rozmów przeprowadzonych z pięcioma osobami znalezionymi na pokładzie „Pięknego Marzyciela” 5 stycznia 2017.

Zapisy sporządzono w języku angielskim. Sporządzone zostały dwa dodatkowe zapisy wydane w postaci raportów. Stanowią one podsumowanie pierwszych trzech zapisów i pomijają nieistotne lub powtarzające się zeznania. Pewne informacje zostały wykreślone z załączników, gdyż uznano je w sposób właściwy za niejawne zgodnie z Rozporządzeniem Wykonawczym 12988, z późniejszymi zmianami. Informacje spełniają kryteria niejawnych zgodnie z klasyfikacją przedstawioną w podpunktach (c) i (g) paragrafu 1.4 i pozostają sklasyfikowane jako ŚCIŚLE TAJNE i TAJNE zgodnie z paragrafem 1.2 Rozporządzenia Wykonawczego. Informacje pozostają niejawne, gdyż istnieje uzasadnione podejrzenie, iż ich publikacja mogłaby spowodować wyjątkowo poważne naruszenie bezpieczeństwa narodowego.

Relacje zostały umieszczone chronologicznie dla ułatwienia znalezienia punktów referencyjnych. Ustalenia zostaną udostępnione w formie podsumowania w najbliższym możliwym terminie.

Rozmowy nadzorowali [REDAKTOWANE] [REDAKTOWANE] [REDAKTOWANE]
[REDAKTOWANE] [REDAKTOWANE]
i [REDAKTOWANE], przeszkoleni w ramach [REDAKTOWANE]
[REDAKTOWANE] zatwierdzonych technik przesłuchań. Obecni
również byli psychologowie [REDAKTOWANE]
i [REDAKTOWANE]. Prowadzący rozmowy zostali poinstruowani
o konieczności uzyskiwania informacji przy użyciu metod możliwie
niekonfrontacyjnych i fizycznie nieszkodliwych. Podstawowym celem było

określenie miejsca pobytu pozostałych 2957 pasażerów i członków załogi przebywających na pokładzie „Pięknego Marzyciela” po wyjściu statku z portu w Miami 28 grudnia 2016 roku.

Rozmówcy przebywali w odosobnieniu na terenie ośrodka ██████████, sklasyfikowanego jako ██████████ w skali tajności. Mieli do czynienia jedynie z personelem podlegającym stałemu monitoringowi.

Wzięto pod uwagę możliwą korelację z niedawnym Incydem Kostarykańskim, w którym trawler rybacki rzekomo przewożący pięćdziesięciu pięciu nielegalnych emigrantów zniknął u wybrzeża Hiszpanii, jak też z wydarzeniami znanymi jako Czarny Czwartek. [patrz aneks 17a do paragrafu 18c]

Prosimy o analizę materiału i udzielenie rekomendacji co do dalszego postępowania w nieprzekraczalnym terminie do 31 marca 2017.

NIE KOPIOWAĆ, NIE PRZESYŁAĆ POCZTĄ ELEKTRONICZNĄ

»**Smith, Xavier L/ Rozmowa #1/ Strona 1**

IMIE, NAZWISKO: Xavier Llewellyn Smith

URODZONY: 17/11/88

ADRES: 47 A Street, South Beach, Miami

ZAWÓD: Publicysta niezależny. Autor codziennego bloga o nazwie „Blog Dzika Karta”, którego celem jest demaskowanie jasnowidzów i uzdrowicieli szarlatanów. Twierdzi, że jest członkiem Amerykańskiego Stowarzyszenia Sceptyków. Patrz aneks 34a zawierający kopie postów na blogu odzyskanych z komputera Smitha. Smith żyje z pieniędzy z funduszu powierniczego założonego dla niego przez dziadka ze strony matki. Nie utrzymuje kontaktów z biologicznymi rodzicami.

UWAGI: Smith miał wrogie nastawienie. Badanie psychiatryczne nie wykazało tendencji do urojeń ani zaburzeń osobowości. W przeszłości brak problemów ze zdrowiem psychicznym. Badania ujawniły rekreacyjne spożywanie alkoholu i palenie marihuany.

Panie Smith, zacznijmy od podania dla celów archiwizacji pańskiego nazwiska i daty urodzin.

XS: Już wam mówiłem, nie powiem nic więcej, dopóki nie zapewnicie mi prawnika. Mówię serio, skąd jesteście, z NSA? Z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego? No?

Panie Smith, bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał pan współpracować.

XS: Walcie się. Nie jestem jakimś tam nielegalnym imigrantem. Jestem obywatelem USA. Nie możecie tego robić ludziom takim jak ja.

[Rozmowa przerwana z powodu rozdrażnienia rozmówcy]

[Rozmowa wznowiona]

Panie Smith, poprzednio stwierdził pan, że statek dryfował przez pięć dni bez jakiegokolwiek łączności i przy w dużej mierze niedziałającym układzie napędowym. Gdzie w tym czasie znajdował się statek?

XS: Skąd, do diabła, mam to wiedzieć? Nie jestem nawigatorem. Statek zabłądził. Może znalazł się na Gólsztromie. Zaginął w Trójkącie Bermudzkim. Nie mam, kurwa, pojęcia.

A pan znalazł się na pokładzie w celu konfrontacji z Celine del Ray w związku ze sprawą Lillian Small, zgadza się?

XS: Tak.

Dlaczego interesuje się pan Celine del Ray, panie Smith?

XS: Nie podoba mi się to, co robi. Naciąga ludzi.

Nic z nią pana osobiście nie łączy?

XS: Nie.

Co konkretnie sprawiło, że zainteresował się pan działalnością pani del Ray?

XS: Usłyszałem ją w tym programie radiowym. Programie Kavanaugha. Utrzymywała, że Bobby Small i jego matka żyją. To mnie wkurzyło.

I pańską intencją była konfrontacja z nią na wycieczkowcu?

[Rozmówca przerywa na kilka sekund]

XS: Tak. Tylko że źle na tym wyszedłem, prawda?

To znaczy?

XS: O rany. Już wam tłumaczyłem. Ze względu na to, co zrobiła. Zastosowała zbiorową hipnozę czy coś tam. Już wam o tym mówiłem, jak pierwszy raz mnie tu przywieźliście.

Proszę się uspokoić, panie Smith. Próbujemy tylko panu pomóc.

XS: Taak, oczywiście. Nie myślcie sobie, że w ogóle nie kapuję, że kupiłem sobie bilet w jedną stronę do Guantanamo. Nikt nie wie, że tu jesteśmy, prawda? Moglibyście przynajmniej odpowiedzieć na to pytanie.

Panie Smith, mogę pana zapewnić, że jak tylko skończy pan składać zeznanie, będzie pan mógł wrócić do swoich codziennych spraw.

XS: [Śmiech] Jasne, jasne.

Powtórzmy: Uważa pan, że wszystko, czego pan doświadczył od czwartego dnia rejsu, było skutkiem urojeń?

XS: Wy mi to powiedzcie. Całkiem możliwe. To, co widziałem, nie miało prawa się wydarzyć.

A co pan widział, panie Smith? Bylibyśmy bardzo wdzięczni...

XS: Nie wątpię.

Gdzie znajdują się zaginieni pasażerowie i członkowie załogi?

XS: Naprawdę chcecie wiedzieć?

[Rozmówca pochyla się do przodu]

Zatruliśmy ich koktajlem Mai Tai z tanią wódką. Dodaliśmy trochę rafinowanego cukru do fontanny z czekoladą. Padali jak muchy, nie mieliśmy więc wyjścia i powyrzucaliśmy ich za burtę.

Panie Smith, próbujemy jedynie zrozumieć, co się wydarzyło.

XS: To tak jak ja. Nie wiem, gdzie oni są.

[Rozmówca podnosi głos i wali pięścią w stół]

Nie wiem, gdzie oni, kurwa, są. Celine del Ray stanęła na czele czegoś

w rodzaju samobójczej sekty. Być może po ucieczce kapitana i załogi ze statku namówiła wszystkich na skok za burtę. Nie wiem. Dlaczego tu jesteśmy? O czym nam nie mówicie?

[Rozmowa przerwana]

»Gardner, Madeleine/ Rozmowa #1/ Strona 2

ale owszem, kiedy podjęłam się tej pracy, wiedziałam, że Celine jest oszustką. Jeśli chcecie, żebym to powiedziała, to proszę bardzo, przyznaję się. I co z tego? To nie tłumaczy obecności Lizzie Bean ani Archiego, ani tego, co inni widzieli na pokładzie tego cholernego statku.

Wierzy pani, że to prawdziwe, fizyczne osoby, pani Gardner?

MG: Myślicie, że nie wiem, jak to brzmi? Słuchajcie, prosiliście, żebym opowiedziała o tym, co widziałam, własnymi słowami. Właśnie to widziałam. Widziałam Lizzie Bean. Czy to szaleństwo? W takim razie oszalałam. Xavier ma na ten temat własne teorie – zbiorowa hipnoza czy coś tam. Ale potrafię odróżnić, kiedy coś istnieje naprawdę. Lizzie Bean nie powinna istnieć, ale istniała. Inni też nie powinni istnieć, ale ludzie ich widzieli.

Czy pytała pani o nich Celine del Ray?

MG: Nie. Ale mam swoją teorię na temat tego, dlaczego się tam zjawili.

Mianowicie?

MG: Za ich pomocą manipulowała nami. Straszyla nas. To ją bawiło. Nie ma nic skuteczniejszego niż strach, jeśli chcesz mieć nad kimś kontrolę. Xavier twierdzi, że widziałam to, co chciałam. Że dałam się nabrać na ściemę Celine. Ale... to wszystko, co stało się później... niemożliwe, żeby działało się tylko w mojej głowie.

Mówiła pani wcześniej, że „Celine nie była Celine”.

MG: Wszystko to, co robiła po awarii statku – po tym, jak dostała ataku, czy czymkolwiek to, do diabła, było, nie pasowało do niej. To nie była Celine. To znaczy prawdziwa Celine. Mówiła jak Celine, miała jej wspomnienia, ale... widać to było po jej oczach. Nie. To nie była Celine.

Chce panie powiedzieć, że została opętana?

MG: Chryste. Nie. Może. Ja... widzicie, ja wciąż próbuję to wszystko rozgryźć, ogarnąć.

Ile to jeszcze potrwa? Kiedy będę mogła wyjść?

Nie jest pani aresztowana, pani Gardner.

MG: Ale nie mogę tak po prostu wstać i wyjść, zgadza się?

Jak już wyjaśnialiśmy, kiedy panią tu pierwszy raz przywieziono, to jest tylko rozmowa. Niezbędna formalność. Ludzie, którzy znajdowali się na pokładzie wraz z panią, wciąż nie zostali odnalezieni.

MG: Słyszysz się różne historie, to wszystko. Na wasz temat. [Śmiech] Podejrzane agencje, znikający ludzie, tego typu sprawy.

Rozumiemy pani obawy. Wracając do pani del Ray. Powiedziała pani, że była opętana.

MG: Nie użyłam dokładnie tych słów.

Gdyby jednak była opętana, czy może nam pani powiedzieć przez kogo? Lub co?

MG: Nie jestem w stanie odpowiedzieć teraz na to pytanie. Nie jestem pewna, czy w ogóle znam odpowiedź.

Cofnijmy się. Co stało się po tym, jak silniki „Pięknego Marzyciela” ponownie zaczęły działać?

MG: O Boże. Kiedy statek znów zaczął płynąć, razem z Xavierem zostaliśmy przez jakiś czas w apartamencie Celine. Chyba wydawało nam się, że będziemy tam bezpieczni i... zdaje się, że nie byłam gotowa na to, żeby dowiedzieć się, gdzie jesteśmy albo co nas jeszcze może spotkać. Nie wiem jak Xavier, ale ja byłam wtedy przekonana, że na lądzie stało się coś strasznego, coś, co nie pozwoliło ratownikom do nas dotrzeć. Albo że jakimś cudem wpłynęliśmy na nieznane wody, ale w dzisiejszych czasach nic już nie jest nieznane, prawda? Więc owszem, ten strach na początku mnie sparaliżował.

Nie wiem, kto podjął decyzję, żeby się w końcu stamtąd wynieść. Wydaje mi się, że nawet o tym nie rozmawialiśmy, po prostu wstaliśmy i wyszliśmy. Zapukałam jeszcze raz do drzwi Helen, sprawdzając, czy jest w środku.

Próbowałam wielokrotnie wcześniej, więc w tym momencie nie wiedziałam, czy ewakuowała się na jednej z łodzi ratunkowych. Trudno było to sobie wyobrazić, biorąc pod uwagę, jak bardzo chora była Elise. Więc tak. Wyszliśmy z kajuty i udaliśmy się na pokład kąpielowy. Wciąż było ciemno – koło czwartej rano.

Kto jeszcze tam był?

MG: Prawie wszyscy, którzy zostali na pokładzie. Większość grupy Celine. Jakies dwieście osób. I małżeństwo z pokładu Celine. Państwo Lineman czy Lineker – jakoś tak. Pamiętam, że ich widziałam, kiedy razem z Xavierem pobiegliśmy szukać łodzi ratunkowych. Nikt się nie odzywał. Nie z tej ziemi, to chyba najwłaściwszy opis. Powinnam się już przyzwyczaić do szokujących rzeczy, ale i tak na ten widok dostałam dreszczy. Nigdzie ani śladu Celine. Wtedy w interkomie rozległ się męski głos, należący do Włocha. Informował nas, że zbliżamy się do Miami. Brzmiał nerwowo, drżał. Dowiedziałam się później, że to Baci. Pozostał po tym, jak inni oficerowie uciekli. Nie wiem, dlaczego nie zostawił statku. Nigdy nie należał do klanu Celine. Chyba nawet nigdy jej nie spotkał, dopóki silniki nie wróciły do życia.

Dlaczego Miami? Dlaczego nie inny port?

MG: Nie wiem. Bo do tego portu mieliśmy najbliżej? Xavier twierdził, że załoga była w stanie śledzić pozycję statku przy użyciu nawigacji manualnej, więc to możliwe. Może Baci chciał po prostu wrócić do domu. A może to był pomysł Celine.

Czy rozmawiała pani z kimś podczas pobytu na pokładzie?

MG: Nie. Wszyscy byli w szoku, wciąż dochodzili do siebie po sztormie. Zauważyłam Jacoba, jednego z pierwszych wyznawców Celine, jeśli można ich tak nazywać, przywitał się ze mną, ale żadnych innych interakcji z kimkolwiek ani Xavier, ani ja nie mieliśmy. Oj, chwileczkę... kłamie. Xavier podszedł do dziewczyny, swojej znajomej. Zdaje się, że miała na imię Lisa. Robiła wrażenie nieprzytomnej, ledwo go zauważyła.

Staliśmy w ciszy i czekaliśmy. Minęło pięć, dziesięć minut, a Xavier stwierdził, że oficer musiał błędnie określić nasze położenie.

Dlaczego?

MG: Ponieważ gdybyśmy się zbliżali do Miami, powinniśmy widzieć

światła. Ale nie było żadnych świateł. Brzeg był zupełnie ciemny.

Zmęczyłam się. Zróbmy przerwę, dobrze?

[Rozmowa przerwana]

»Trazona, Althea/ Rozmowa #1/ Strona 2

linii wycieczkowej przez pięć lat.

Była pani zadowolona z tej pracy?

AT: To była dobra praca.

Czy podczas pobytu na pokładzie miała pani do czynienia z Celine del Ray?

AT: Tak.

Czy mogłaby pani opowiedzieć nam, na czym polegały wasze relacje?

AT: Nie. Nie powiem nic więcej, o ile nie zagwarantujecie mi zielonej karty. Nie możecie mnie zmusić do mówienia.

[Rozmówczyni w tym momencie odmówiła zeznań mimo naszych kilkakrotnych prób zachęcenia jej do tego]

[Rozmowa przerwana]

NIE KOPIOWAĆ, NIE PRZESYŁAĆ POCZTĄ ELEKTRONICZNĄ

»Zimri, Jesse C/ Rozmowa #1/ Strona 1

IMIE, NAZWISKO: Jesse Clarence Zimri

URODZONY: 17/11/84

ADRES: 7 Acacia Road, Sun Valley, Kapsztad

ZAWÓD: Lekarz rodzinny. Dr Zimri dobrowolnie zrezygnował z praktyki w poprzednim miejscu pracy w Tokai w Kapsztadzie po postawieniu niewłaściwej diagnozy u szesnastoletniej Sashy Lee Abrams. Panna Abrams narzekała na bóle brzucha, które dr Zimri zdiagnozował jako pochodne zapalenia okrężnicy. Abrams w konsekwencji zmarła na skutek komplikacji wywołanych ciążą pozamaciczną. Rozmówca był uzależniony od petydyny, jednak nie podjął wówczas leczenia w ośrodku odwykowym. Rozmówca jest mężem Farouki Majiet, obecnie w separacji.

UWAGI: Pierwsza rozmowa z dr. Zimrim została przerwana. Rozmówca był w stanie delirycznym, wymiotował i przejawiał objawy głodu petydynowego.

»Fall, Helen/ Rozmowa #1/ Strona 2

z ambasadą brytyjską? To nie jest rozmowa. To jest przesłuchanie. Czy ktokolwiek w ogóle wie, że tu jesteśmy?

Pani Fall, znajduje się pani w wyjątkowej sytuacji.

HF: Gdzie jesteśmy? Domyślam się, że wciąż gdzieś na Florydzie. W jaki sposób tego dokonaliście?

Czego, pani Fall?

HF: Tak szybko zabraliście nas ze statku. Zakładam, że nikt nie wie o naszym pobycie tutaj. To wszystko odbywa się w stylu powieści Toma Clancy'ego, jestem pod dużym wrażeniem. Do rzeczy. Ustalmy jedną kwestię. Nie będę z wami rozmawiać, bez względu na to, co mi zrobicie.

Pani Fall. Ma pani naszą gwarancję, że jak tylko w sposób dla nas satysfakcjonujący zakończymy spisywanie pani relacji, zostanie pani zwolniona z naszego ośrodka.

HF: A cóż to dokładnie oznacza „w sposób dla was satysfakcjonujący”?

Szukamy odpowiedzi, pani Fall. Musimy poznać los pasażerów i załogi, których nie było na statku w momencie jego odnalezienia.

HF: Jak macie zamiar to zrobić?

Zrobić co, pani Fall?

HF: Pozbyć się nas, jak już odpowiemy na wasze pytania, rzecz jasna. Macie jakieś mafijne metody i nakarmicie nami świnie? Sprawicie, że znikniemy w układzie pokarmowym jakiegoś wieprza? Można pewnie skończyć jeszcze gorzej.

Pani Fall. Jesteśmy w posiadaniu pani komputera. Mamy powody, by uważać, że pani intencją i przyczyną, dla której znajdowała się pani na statku wycieczkowym, był zamiar odebrania sobie życia.

[Rozmówczyni wykazuje objawy zdenerwowania]

HF: To sprawa prywatna. Nie macie prawa przeglądać moich rzeczy osobistych.

Rozumiemy, że to dla pani trudne, pani Fall. Ale wiele rodzin oczekuje odpowiedzi.

HF: Nie dostaną ich ode mnie. Gdzie są inni? Gdzie jest Maddie? Althea?

Są bardzo pomocni i chętni do współpracy, pani Fall.

HF: Czyli nie jestem wam potrzebna.

[Rozmówczyni w tym momencie odmawia odpowiedzi na dalsze pytania]

[Rozmowa przerwana]

»Gardner, Madeleine/ Rozmowa #2/ Strona 2

a potem, kiedy wstało słońce... cóż... zobaczyliśmy wszystko po raz pierwszy.

Co zobaczyliście, pani Gardner?

MG: Słuchajcie, powiem wam o tym, czego doświadczyłam, ale powtarzam, chcę mieć na piśmie, że zdaję sobie sprawę, jak bardzo to nieprawdopodobne. To szaleństwo. Gorzej niż szaleństwo, prawdę mówiąc, ale prosiliście, żebym szczerze mówiła o tym, co widziałam, więc tak właśnie zrobię. Jak po wszystkim będziecie mnie chcieli zamknąć w wariatkowie, niech tak będzie.

Zapisane. Proszę kontynuować. Co dokładnie pani zobaczyła – czy też uważa, że zobaczyła?

MG: Statek był coraz bliżej wybrzeża, kierował się w stronę kanału prowadzącego do portu, a im bliżej był, tym więcej mogliśmy zobaczyć. Boże. Chyba pierwsze, co mnie uderzyło, to fakt, że nie dostrzegam żadnego ruchu. Nie było nikogo na plaży, żadnych statków na wodzie. Nic.

Wtedy Eleanor, jedna z grupy najbliższych Przyjaciół Celine, wpadła na pomysł, by skorzystać z lunet na pokładzie rekreacyjnym. Ale ja nie musiałam przez nie patrzeć. Podpłynęliśmy jeszcze bliżej i dostrzegliśmy budynki z apartamentami wypoczynkowymi osmalone dymem. Wzdłuż plaży stały pojazdy – wielkie ciężarówki wojskowe – i olbrzymie białe namioty.

Boże. To chyba wtedy dotarł do nas zapach. Sama myśl o nim przyprawia mnie o mdłości. Nawet najbliższy wiaterek zawiewał go w naszym kierunku. Czuliście kiedyś zapach zwłok? Ja nie. Wtedy poczułam pierwszy raz. Wyobraźcie sobie smród dziesięciu tysięcy ciał gnijących w słońcu. Sprawił, że wszyscy dokoła znowu się pochorowali. Kilka razy poczułam odruch wymiotny, ale nie miałam już czego zwracać.

Baci ponownie odezwał się przez interkom. Powiedział, że nie może podpłynąć bliżej bez pilota portowego wskazującego statkowi drogę. Silniki wciąż pracowały, ale statek zwolnił i się zatrzymał.

Wiem, że mi nie wierzycie, ale pozostali potwierdzą moją wersję. Po co niby miałabym wymyślać tak szaloną historię?

A inni ludzie na pokładzie? Jak zareagowali?

MG: Zadaje się, że na początku tak jak ja nie mogli uwierzyć w to, co zobaczyli. Zaczęli płakać, niektórzy mówili, że to pewnie terroryści. Wiecie, co mam na myśli, „pierdoleni ciapaci nas w końcu dorwali”, tego typu bzdury. Wiedzieliśmy, że coś musiało się wydarzyć, kiedy byliśmy zdani na samych siebie. Wszyscy się chyba tego spodziewaliśmy. Ale kiedy ukazało się to naszym oczom... To było jak spełnienie najgorszych koszmarów. Boże. To było... Mogę prosić o wodę?

[Rozmowa przerwana na siedem minut]

Gdzie przebywała wtedy Celine del Ray?

MG: Była już wtedy na głównym pokładzie, jej wózek stał przy barze Lido. Nie wiem, od jak dawna tam siedziała. Nie widziałem, kiedy się zjawiła. Jacob podprowadził ją do relingu i wszyscy spojrzeli w jej stronę. Właśnie wtedy powiedziała... powiedziała coś w stylu: „Ale bałagan. Tym razem naprawdę nabałaganiliśmy”. Nie potrafię dokładnie powtórzyć. Byłam mocno wstrząśnięta.

Co miała na myśli?

MG: Nie wiem. Nie robiła wrażenia szczególnie zaskoczonej tym, co widzi. Xavier był koło mnie i złapał mnie za rękę tak mocno, aż mi kości zatrzęszczały. Tego rodzaju szczegóły sprawiają, że wszystko staje się realistyczne.

Powtarzał: „Wiedziałem, wiedziałem, wiedziałem”, i tak w kółko. „Wiedziałem, że coś się stało”.

Ktoś, nie wiem kto – może znów Eleanor – powiedział: „Może powinniśmy zejść na ląd i sprawdzić, czy ktoś przeżył?”.

Nikt jej nie odpowiedział przez blisko minutę. Stało się jasne, że Miami zostało rozpiędzielone – przepraszam. Nie wiedzieliśmy, czy natknęliśmy się na pokłósie wojny, plagi czy czegoś jeszcze. Potem hamulce puściły i zaczęły się kłótnie, niektórzy twierdzili, że powinniśmy skierować się na ląd i sprawdzić, co się stało, inni twierdzili, że to byłoby szaleństwo, jeśli użyto broni biologicznej czy czegoś w tym stylu. Celine pozwoliła ludziom na kłótnie. Zapewne

wiedziała, że muszą te emocje z siebie wyrzucić.

Kiedy wrzaski na chwilę ucichły, powiedziała: „Idźcie i sprawdźcie, jeśli tak chcecie. Ale ja nie zawracałabym sobie tym głowy”.

Wszyscy odwrócili się i spojrzeli w jej stronę. Wtedy rzuciła: „Kto na ochotnika?”.

Nikt się nie zgłaszał i wydawało się, że minęła wieczność, aż w końcu jeden z chłopaków z ochrony, Devi, wyszedł przed szereg i zgłosił, że pójdzie. Wyglądał strasznie, jakby przeżył zderzenie z autobusem, miał opuchniętą i podrapaną twarz. Rogelio, jeden z zastępców opiekuna rejsu, błagał go, żeby nie szedł.

To chyba wtedy ludzie naprawdę zaczęli rozumieć, co się stało, i zadawać pytania: „A co, jeśli tak jest nie tylko w Miami?”, wspominać przyjaciół i rodziny. Celine znowu się odezwała, mówiąc coś w rodzaju: „Nie chodzi tylko o Miami, moi drodzy”. I zaczęła... Boże, można to nazwać kazaniem. Mówiła przynajmniej przez pół godziny, obiecując ludziom, że ponownie spotkają swoich bliskich „w postaci duchowej”, i przypominając, że jak dotąd byli dzięki niej bezpieczni i dalej muszą jej ufać. Tamci ludzie potrzebowali takich słów. Potrzebowali kogoś, kto powie im, co robić. Byli przerażeni, zszokowani, załamani. Umiała mówić. Na tym polegał jej prawdziwy dar. Kiedy przemawiała, ludzie słuchali. Nawet Xavier jej nie przerywał.

Devi wciąż nalegał, że chce opuścić statek i sprawdzić osobiście, co się stało. Wtedy, ni stąd, ni zowąd, odezwał się Xavier: „Ja też idę”. Przypomniałam sobie, że mieszka w South Beach. Widziałam adres na jego prawie jazdy. Celine uśmiechnęła się do niego szeroko i puściła oczko. Wyglądało na to, że chce, żeby poszedł. I wtedy ja też się zgłosiłam. Bóg jeden wie, dlaczego to zrobiłam. Sama nie wiem do dziś.

Jacob zapytał, jak dotrzemy do brzegu, a jeden z majtków poinformował, że został ostatni statek pomocniczy, który utknął, kiedy niewłaściwie zwolniono żurawiki, czy coś takiego. Powiedział, że ta szalupa wisi na burcie statku pod dziwnym kątem, ale raczej zdoła ją zwodować. Devi zaproponował, by poszedł z nami lekarz pokładowy, i wysłał mnie i Xaviera, żebyśmy go odnaleźli. Nikt go nie widział od wielu godzin.

W końcu go znaleźliśmy – spał na jednym ze szpitalnych łóżek. Wyglądał na pijanego i prawie nie zareagował, kiedy zobaczył po raz pierwszy brzeg. Zrobił na mnie kiepskie wrażenie podczas wizyty u Celine, więc nie widziałam sensu, żeby go zabierać z nami, ale Devi nalegał. Pielęgniarz o imieniu Bin, mocno schorowany, również oświadczył, że chce z nami pójść. Potem zaczęły się zgłaszać kolejne osoby. Devi to ukrócił. Powiedział, że każdy chętny musi nałożyć kombinezon ochronny i aparat oddechowy na wypadek zarazy. Zebrał znajdujące się na statku kombinezony strażackie wyposażone w hełmy

i zbiorniki z tlenem – Boże, ależ to ciężar – a było ich tylko pięć. Tlenu miało starczyć jedynie na godzinę, zatem cokolwiek by się działo, wyprawa musiała być krótka.

Kiedy wodowano statek pomocniczy, wraz z Xavierem czekaliśmy na pokładzie głównym. Xavier zamknął się w sobie i nie chciał rozmawiać. Wciąż patrzył na brzeg. Celine była zajęta sprawami organizacyjnymi, kazała ludziom poustawiać krzesła, które zostały poprzewracane podczas sztormu, wysłała Altheę i innych w poszukiwaniu butelek z wodą i czegokolwiek, co zdołają znaleźć. Mówiła ludziom, żeby się nie martwili, że to oni mają szczęście. Na statku na razie są bezpieczni.

Na razie. Tak właśnie powiedziała.

Ludzie wzięli się do pracy, a zajęcie podniosło ich morale. Jedna z pasażerek – kobieta, z którą nigdy wcześniej nie rozmawiałam – zapytała Celine, czy może zorganizować krąg modlitewny, a Celine się zgodziła.

Paulo, jeden ze stewardów, miał sterować statkiem, a Devi powiedział, że musimy wejść na pokład przez jedną z ramp towarowych, co wydawało się łatwiejsze, niż było w rzeczywistości. Paulo nie miał na sobie tego strasznie ciężkiego kombinezonu i był przerażony, naprawdę robił w gacie. Próbowałam go pocieszać, ale co miałam powiedzieć? „Nie bój się, to nie koniec świata”?

Xavier był wciąż pogrążony w myślach, a lekarz i Bin urządzali zawody w rzyganiu za burtę. Czułam się... Boże, bezbronna... to chyba najlepsze słowo, patrząc, jak oddalamy się od górującego nad nami „Pięknego Marzyciela”, którego cień przykrywał wszystko dokoła.

Czy mogę prosić o kawę albo coś w tym stylu?

[Rozmowa przerwana]

»Trazona, Althea/ Rozmowa #2/ Strona 2

AT: Macie moją zieloną kartę?

Pracujemy nad tym, proszę pani. Takich rzeczy nie da się załatwić szybko. Pomogłoby, gdyby wykazała pani chęć współpracy.

AT: Nie jestem głupia. Wiem, jak to działa. Pomóżcie mi, to ja pomogę wam. Widziałam zbyt wielu deportowanych, żeby wam ufać.

Zapewniamy panią, że nic takiego się nie stanie. Jeśli zdecyduje się pani współpracować, gwarantujemy, że pani i pani dziecku zostanie zapewnione pełne bezpieczeństwo.

AT: Chłopiec? Znaleźliście chłopca?

Jakiego chłopca, proszę pani?

[Rozmówczyni odmawia odpowiedzi]

Pani Trazona, nasze badania wykazały, że jest pani w ósmym tygodniu ciąży. Powtarzam, zapewniamy panią, że...

AT: Jeśli wam pomogę, zagwarantujecie mi obywatelstwo?

Tak.

AT: Chcę to mieć na piśmie.

[Rozmowa przerwana na kilka godzin]

[Rozmowa wznowiona]

AT: Co chcecie wiedzieć? Odpowiem tylko na te pytania, na które będę chciała odpowiedzieć.

To zrozumiałe. Pani Trazona, czy może nam pani opowiedzieć o swoich relacjach z Celine del Ray?

AT: A konkretnie?

Czy lubiła pani Celine del Ray?

AT: Czy ją lubiłam? Nie. Nie lubiłam jej.

Czy może pani wyjaśnić dlaczego?

AT: Widziałam, jaka jest. Nie należało jej ufać. Wiedziałam o tym od samego początku. I miałam rację. Oszukała mnie. Wykorzystała. Tak jak wszystkich innych.

Wcześniej wspominała pani coś o chłopcu, z którym rozmawiała pani na statku.

AT: Nie było żadnego chłopca.

Kiedy pierwszy raz przywieziono panią do tego ośrodka, powiedziała pani pracownikowi opieki medycznej, że ratownicy muszą wrócić na statek i znaleźć chłopca.

AT: Nie ma żadnego chłopca.

[Rozmówczyni w tym momencie nie chce dalej rozmawiać]

[Rozmowa przerwana]

»Smith, Xavier L/ Rozmowa #2/ Strona 3

XS: Maddie ma urojenia. Zauważyłem to natychmiast, jak wróciliśmy po sztormie do apartamentu. Celine coś jej powiedziała. Zaraziła ją swoimi bzdurami.

Panie Smith, wcześniej mówił pan: „to, co widziałem, nie mogło się wydarzyć”. Mógłby pan to rozwinąć?

XS: Niczego nie widziałem. Pozwólcie, że jeszcze raz wam to wyjaśnię. Statek zabłądził. Był wielki jak sukinsyn sztorm. Kapitan i załoga nas zostawili, ludzie spanikowali i puciekali w łodziach ratunkowych. Wszyscy, którzy zostali, padli ofiarą zbiorowych urojeń, w których wydawało się im, że wrócili do alternatywnej wersji Miami. Zupełnie rozpieprzonej. A potem... cholera, nie wiem. Celine przekonała wszystkich, żeby wyskoczyli za burtę, czy jakoś tak.

Dlaczego miałyby coś takiego zrobić, panie Smith?

XS: Ludzie tacy jak ona lubią, jak się o nich mówi. Może chciała się zapisać w historii...

Panie Smith. Twierdzi pan, że statek dryfował przez pięć dni, zanim silniki ponownie zaczęły działać. Gdzie znajdował się przez dwa następne dni?

XS: Krążył w kółko po Golfsztromie. Skąd mam to wiedzieć?

Kategorycznie zaprzecza pan, jakoby kiedykolwiek opuszczał statek?

XS: Jezusie Chrystusie. Ile jeszcze razy?

[Rozmówca robi się nerwowy. Rozmowa przerwana]

»Fall, Helen/ Rozmowa #2/ Strona 5

Poczułam, że statek się zatrzymał. Przez jakiś czas się nie poruszałam. Nie chciałam jej zostawiać.

Mówi pani o Elise Mayberry?

HF: Tak.

Zatem nie znajdowała się pani na pokładzie, kiedy statek dopłynął do pierwszego celu.

HF: Nie.

Nic pani nie widziała? Nie była pani ciekawa?

HF: Byłam pogrążona w żałobie. A widziałam wystarczająco dużo. Widziałam, jak nisko mogą upaść ludzie.

Wyrazy współczucia z powodu tej tragedii, jesteśmy wdzięczni, że postanowiła pani z nami porozmawiać.

HF: Nie robię tego ani dla was, ani dla rodzin, które straciły bliskich. Moja prośba jest prosta: kiedy skończycie badania, czy co tam jeszcze musicie zrobić, pragnę jedynie, by prochy Elise zostały rozrzucone tam, gdzie prochy jej męża.

Czyli gdzie?

HF: Nie wiem. Takie rzeczy można chyba sprawdzić, prawda? Co zrobiliście z ciałem Elise?

Zapewniam panią, że ciało pani Mayberry jest...

HF: Powinna odejść razem z nią. Powinna odejść razem z nią, kiedy była ku temu okazja. Tylko... tylko...

[Rozmówczyni robi się wyraźnie zaniepokojona]

[Rozmowa przerwana]

»Zimri, Jesse C/ Rozmowa #2/ Strona 2

JZ: Nie czuję się dobrze. Nie jestem w stanie odpowiadać na wasze pytania. Muszę... Chyba złapałem norowirusa. Niech to szlag, idealny moment.

Doktorze Zimri, według Madeleine Gardner był pan wśród osób, które opuściły statek. Czy może pan to potwierdzić?

[Rozmówca ponawia protesty i żąda powrotu do swojego pokoju]

[Rozmowa wznowiona po interwencji lekarza]

JZ: Jezu. Co mi daliście? Diazepam?

Lepiej się pan czuje, doktorze Zimri?

JZ: *Ja*. O wiele. Jestem obolały, ale czuję się okej.

Doktorze Zimri, według Madeleine Gardner był pan wśród osób, które opuściły statek. Czy może pan to potwierdzić?

JZ: *Ja*.

Czy może pan potwierdzić, kto tam był oprócz pana?

JZ: Bin... Rany, Bin... Kurwa. Ten ochroniarz, Devi, choć wciąż był w kiepskim stanie. Maddie, kobieta, która pracowała dla Celine del Ray. I jakiś facet, którego wcześniej nie widziałem. Paulo, wcześniej steward w mojej kajucie, uwierzcie lub nie, sterował statkiem. Nie wiedziałem, że to potrafi. Nie miałem zbyt wielu okazji, żeby z nim porozmawiać, bo chociaż nie mieliśmy daleko, prawdopodobnie mniej niż kilometr, porzygałem się w chwilę po wejściu na pokład. Tak jak Bin. Im bliżej byliśmy brzegu, tym bardziej prawdziwa była cała sytuacja. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem brzeg z pokładu statku, byłem naćpany. Myślałem, że mam przywidzenia. A teraz zbliżaliśmy się do budynków z powybijanymi oknami, nie było żadnych samochodów, żadnego dźwięku poza szumem silnika i cichym bzyčeniem, które, jak potem odkryłem, wydawały muchy na plaży.

Kanał był zablokowany przez inny wycieczkowiec. Wyglądało, że ten drugi wycieczkowiec jest nietknięty, ale stał tam, unieruchomiony – był cholernie wielki i odczytałem jego nazwę: „Piękny Cud”. Paulo podprowadził statek do betonowego nadbrzeża i tam zacumowaliśmy. Cały czas wyglądał na przerażonego. Devi kazał nam się ubrać. Zacząłem się pocić, jak tylko włożyłem kombinezon, czułem się w nim jak owinięty w azbest. Devi oznajmił, że pójdzie przodem i spróbuje odszukać posterunek policji lub wojskowy – ach tak, jeszcze to, na bulwarze dla pieszych stało kilka wojskowych ciężarówek. Pustych, ale na jakimś etapie najwyraźniej było tam wojsko.

Znajomy Maddie – poważny gość, z kiepskimi tatuażami w stylu celtyckim, nie pamiętam, jak się nazywa – powiedział, że chce pójść do swojego mieszkania bardzo blisko od portu. Całą drogę na statku nie odezwał się ani słowem. Maddie zaproponowała, że pójdzie z nim.

Devi poprosił Bina i mnie, żebyśmy poszli na plażę i sprawdzili, o co, do jasnej cholery, chodzi z tymi rozstawionymi przy drodze olbrzymimi namiotami. Byłem poważnie zaniepokojony o Bina i powiedziałem mu, żeby został z Paulem. Odmówił. Powinienem się bardziej postarać.

[Rozmówca prosi o pięciominutową przerwę]

[Rozmowa wznowiona]

Poszedł pan na plażę, doktorze Zimri?

JZ: *Ja.*

Proszę kontynuować, doktorze Zimri.

JZ: Naprawdę wierzycie w to wszystko, co mówię?

Proszę kontynuować, doktorze Dr Zimri.

JZ: Chryste. Cóż. To był koszmar od samego początku. Najpierw prawie wypadłem za burtę, próbując wyjść na brzeg. Zbiorniki i hełm... Jezu, nawet w idealnych warunkach noszenie tego ciężaru wymaga świetnej kondycji, a my musieliśmy przejść przez płot i wspiąć się po skałach, żeby dotrzeć do tej cholernej plaży. W tym kombinezonie na plaży było nieznośnie gorąco. Nie wiem, czy smród naprawdę przenikał przez aparat oddechowy, czy tylko mi się wydawało. Jezuu, to było jak... No i Bin, naprawdę mu współczułem. Zapodał sobie

Solu-Medrol i Imodium, ale one nie działają na norowirusa.

Po jakiejś minucie przestałem myśleć o tym, co robię. Po prostu siedłem przed siebie.

Wtedy dotarliśmy do pierwszego namiotu. Było ich chyba sześć. Rozstawionych po całej plaży. Od razu wiedziałem, do czego służą. Wiedziałem, że musieli tam złożyć ciała, by chronić je przed muchami. Dlaczego tam, nie mam pojęcia. Może gdzie indziej nie było już miejsca. Rzecz jasna to musiała być jakaś operacja na skalę masową. Może planowali powrzucać je do morza. Przed wejściem leżała wielka sterta worków z ciałami, ułożonymi jeden na drugim. Ktoś posypał je wapnem, a na wierzchu utworzyła się warstwa piachu i innych śmieci.

Co jednak nie powstrzymało much. Miejscami było od nich tak gęsto, że nie widziałem własnej ręki na wysokości twarzy.

Wiedziałem, że muszę otworzyć jeden z worków i sprawdzić, z czym mamy do czynienia.

I zrobił to pan?

JZ: *Ja.*

Czy mógłbym prosić o opisanie stanu ciała?

JZ: *Ja.* Było w stanie strupieszonym. To termin medyczny, tak à propos.

Co według pana było przyczyną śmierci?

JZ: Nie jestem patologiem.

Bylibyśmy wdzięczni, mogąc usłyszeć pana opinię.

JZ: Cholera. Nie wiem. Nie chciałem niczego dotykać. To, co robiliśmy, to, że podeszliśmy tak blisko, i tak było już ryzykowne. Kombinezony nie ochroniłyby nas przed patogenem przenoszonym drogą powietrzną.

[Rozmówca westchnął]

Posłuchajcie, z tego, co mogłem się zorientować, wyglądało to na jakiś rodzaj supergrypy albo infekcji typu Ebola. Ciało było tak spuchnięte, że nie dało się nawet odróżnić płci. Było widać szereg lezji i nabrzmiąłych gruczołów, ale to mogło być po prostu efektem rozkładu.

Według pana od jak dawna ci ludzie byli martwi?

[Rozmówca milczy]

Prosimy o odpowiedź, doktorze Zimri.

J Z : Zapytałem Bina, co o tym myśli, ale jedynie pokręcił głową. Bez słowa ruszył po plaży, a ja krzyknąłem za nim, żeby się zatrzymał. Nie usłyszał mnie albo nie chciał usłyszeć. Mieliśmy tlenu jeszcze na jakieś czterdzieści pięć minut. Tak jak mówię, całe przedsięwzięcie było niezwykle krótkowzroczne. I wtedy Bin zaczął krzyczeć, wskazując na coś. Podbiegłem do niego, co prawie mnie zabiło. Wizjer hełmu zaszedł mgłą, a tlen, którym oddychałem, miał smak oleju napędowego. Właśnie wtedy też to zobaczyłem. Błysk czerwieni na piasku, jakieś sto metrów dalej.

Bin powiedział, że według niego to może być szalupa ratunkowa, ale trudno było to stwierdzić przez muchy, mgiełkę z wody morskiej i ten pieprzony hełm. Zaczął biec, a ja ruszyłem za nim. Przebiegliśmy obok kolejnego namiotu, przy którym rozstawiono sprzęt do robót ziemnych, leżał tam też wojskowy jeep wywrócony na dach.

To była szalupa. Taka nadmuchiwana, w kształcie trójkąta. Przewróciła się, co nie ma prawa się wydarzyć, więc cholera wie, przez co przeszła, a morze próbowało ją ściągnąć z powrotem na fale. Coś zaplątało się w jej olinowaniu.

Ciało.

Rozpoznał je pan?

JZ: *Ja*. To był Damien. Opiekun rejsu.

[Rozmowa przerwana]

»Gardner, Madeleine/ Rozmowa #3/ Strona 2

powtarzał tylko w kółko: „To niemożliwe. To niemożliwe”.

Dlaczego niemożliwe?

MG: Statek nie miał łączności przez... Boże, ile to było? W tamtej chwili pięć dni. Można było zauważyć, że to, czego skutki widzieliśmy, musiało trwać dłużej. A przecież tak naprawdę żaden kataklizm nie dotknął Miami, prawda? Jestem tu... siedzę tu. Rozmawiam z wami. Jesteśmy w Miami, tak? Albo gdzieś blisko.

Proszę kontynuować, pani Gardner.

MG: Oddalaliśmy się od plaży w stronę autostrady. Bloki mieszkalne po naszej lewej ręce zostały odgródzone zasiekami z drutu kolczastego. Nie potrafiłam stwierdzić, czy to dlatego, żeby nikt stamtąd nie wychodził, czy żeby tam nie wchodził.

Minęliśmy wejście do portu. Były tam wciąż łodzie, jachty, ale widziałam też, że coś leży przed wejściem... w stanie rozkładu, pokryte muchami. To wszystko robiło nierzeczywiste wrażenie. Wszystko. Xavier poprowadził nas do końca deptakiem, potem skręciliśmy na szeroki bulwar. Wyglądało na to, że za nami, kilkaset metrów dalej, na skrzyżowaniu głównej ulicy z autostradą, wojsko rozstawiło jakiegoś rodzaju blokadę. Jeszcze więcej zasieków, wielkie ciężarówki wojskowe, chyba nawet był tam czołg. Nie wiem. Oczy zalewał mi pot, coraz mniej widziałam, a ramiona bolały mnie i trzęsły się pod ciężarem kombinezonu i zbiorników z tlenem. Próbowalam mimo to rozejrzeć się, mając nadzieję, że zobaczę lotnisko. To była głupota, przecież wiedziałam, że znajduje się ono wiele kilometrów stamtąd.

Minęliśmy duży pasaż handlowy. Boże, ależ to mnie przeraziło. Wielki sklep zoologiczny z zamazanymi graffiti oknami wystawowymi. Apteka CVS-u wyglądała, jakby zamieniono ją na coś w rodzaju kościoła. I billboardy... zamiast reklam McDonalda czy czego tam jeszcze, były... hmm... Na jednym widniały tylko przypominające krew wielkie czerwone litery, układające się w napis „pokuta”. Na innym umieszczono serię zdjęć nastolatków ze słowem

„grzesznik” wyciętym na twarzach.

Co pani wtedy czuła?

MG: Otepienie, chyba. Zawroty głowy. Po części była to wina sprzętu. Całe ciało miałam mokre od potu. Traciłam siły i zapytałam Xaviera, czy jeszcze daleko. Powiedział, że tylko trzy przecznice. Szedł dalej, a ja za nim. Część głównej ulicy w miejscu, w którym pękł wodociąg, była zalana i musieliśmy nadrobić drogi. Hmm... Boże. Tyle wrażeń. I te muchy. Wszędzie muchy. Wciąż musiałam je odgarniać z wizjera. Cokolwiek pozabijało ludzi, nie zabiło much.

W końcu skręcił w ulicę na osiedlu mieszkalnym, która, co pocieszające, wyglądała normalnie. Tylko... okna gdzieś tam w domach pozabijano deskami, a na wszystkie drzwi i bramy do garaży naklejono zawiadomienia. Większość była zerwana albo podniszczona, ale znalazłam jedno zalaminowane. Widzieliście je?

[Rozmówczyni ma na myśli dokument, dla ułatwienia zeskanowany poniżej]:

Postępowanie na wypadek podejrzenia o zarażenie wirusem Ishi.
NIE zbliżać się do przedstawicieli władz i NIE opuszczać miejsca zamieszkania.
Zadzwoń na linię specjalną 0700.
ZGŁOSIMY SIĘ DO WAS.

Osobę zarażoną należy poddać kwarantannie w osobnym pomieszczeniu, zabezpieczyć i zapieczętować wszystkie drzwi. Wszelkie przedmioty dotykane przez zarażonego należy spalić. Osoby usiłujące zbiec z miejsca odbywania kwarantanny będą ścigane. Niech Jezus i Bóg, nasz Pan, zlitują się nad naszymi duszami.

[UWAGA: Nie jest znany żaden szczep chorobowy o nazwie „wirus Ishi”. „Ishi” stanowiło kryptonim Jednostki 787, tajnego oddziału badań biologiczno-chemicznych, działającego w Japonii podczas II wojny światowej]

Xavier w końcu zatrzymał się przy domu trzy ulice dalej, za którym rozciągał się jakiś park. Bliźniak. Żaden luksus czy coś w tym stylu, ale dość ładny, jeśli pominąć fakt, że okna zasłonięto gazetami. Drzwi były zamknięte, ale podniósł

donicę przed wejściem i znalazł klucze.

Wtedy weszliśmy do środka.

Według pani, w jakim stanie psychicznym znajdował się wtedy pan Smith?

MG: Macie na myśli Xaviera?

Tak.

MG: Trudno było dostrzec jego twarz przez wizjer w kombinezonie, ale czułam, że stara się ukrywać emocje. A kiedy zapytałam, czy to on pozakrywał okna gazetami, ochrzanił mnie, mówiąc coś w rodzaju: „Nie bądź taką głupią idiotką”. W środku było ciasno i ciemno. Próbowaliśmy włączyć światło, ale nie było prądu – nic dziwnego po tym, co widzieliśmy. Kuchnia i salon znajdowały się na parterze i wyglądały, jakby właśnie skończyła się tam wizyta komornika. Podłoga pokryta kurzem i brudem, ani śladu mebli, nic poza biurkiem i pustym regałem, a na drzwiach od lodówki ktoś sprayem namalował znak pokoju. Xavier powiedział mi, że utrzymuje się z funduszu powierniczego.

Czy pan Smith wypowiadał się na temat stanu swojego mieszkania?

MG: Powiedział coś w rodzaju: „To się nie dzieje”, a potem wbiegł po schodach. Nie mam pojęcia, jakim cudem poruszał się tak szybko w tym kombinezonie.

Poszła pani za nim?

MG: Nie od razu. Przez parę minut się porozglądałam, przejrzałam szafki kuchenne – wszystkie były puste – i przeszukałam szuflady biurka. To tam znalazłam czytnik e-booków. Nie wiem, czemu wsadziłam go do kieszeni. Być może wydawał się jedynym wartościowym przedmiotem w całym domu, a może myślałam, że Xavier chciałby go zabrać. W tym momencie nasz czas się naprawdę kończył i, mówiąc szczerze, zaczynałam się bać. Czułam się jak w jakimś nawiedzonym domu. Zawołałam, że musimy się śpieszyć, że potrzeba nam powietrza na powrót do statku pomocniczego, ale nie odpowiadał. Krzyknęłam znowu, wciąż nie reagował. Nie miałam innego wyboru, jak za nim pójść.

I gdzie był?

MG: Stał na progu pomieszczenia, które musiało być sypialnią, gapił się na coś. Dotknęłam jego ramienia, wrzasnął. Powiedziałam mu znowu, że musimy się stamtąd w cholerę zabierać, tym razem posłuchał i ruszył w kierunku schodów.

Na co patrzył?

MG: Pokój był pusty, poza materacem przykrytym skotłowaną kołdrą. Słuchajcie, nie mogę być niczego pewna, ale możliwe, że było tam coś... Boże, był ktoś – okej? – ktoś pod nią leżał. Wiem tylko, że okiennica była czarna od martwych much.

Czy przyjrzała się pani temu bliżej?

MG: W życiu. Czy wyglądam na wariatkę? Nie. Czym prędzej się stamtąd zmyłam. Mogę prosić o trochę wody? Boli mnie gardło.

[Rozmowa przerwana]

»Fall, Helen/ Rozmowa #3/ Strona 2

To Althea mnie znalazła. Była miła, przyznaję. Podczas całego pobytu na statku była miła dla mnie i dla Elise. Powiedziała, że Celine chce się ze mną widzieć. Powiedziała, że Celine czeka na mnie w spa.

I poszła pani na spotkanie z panią del Ray?

HF: Tak. Nie chciałam zostawiać Elise. Myślicie pewnie, że jestem stukniętą starą babą, ale chociaż wiedziałam, że nie żyje, że już nic dla niej nie mogę zrobić, nie chciałam jej zostawić. Ale zostawiłam.

Byłam ciekawa. Myślę, że chciałam usłyszeć, co ma mi do powiedzenia Celine. Zniszczenia na statku nie były dla mnie szokiem. Spodziewałam się tego. A jeśli chodzi o spa, no cóż, Elise i ja podczas naszego pobytu na statku nawet tam nie dotarłyśmy. Porozbijano butelki, przez co całe pomieszczenie cuchnęło jak buduar prostytutki, poza tym najwyraźniej zostało splądrowane, ale panował tam spokój.

Czekała na mnie w salonie fryzjerskim. Siedziała w wózku inwalidzkim, przeglądając czasopismo – tak, naprawdę! – jakby była klientką czekającą na swoją stylistkę.

Przywitała się ze mną jak ze starą przyjaciółką. To było... to było... i nie lubię używać tego słowa... ale żadne inne nie pasuje. Surrealistyczne. Dwie starsze kobiety w salonie piękności czy u fryzjera, ucinające sobie pogawędkę.

Proszę kontynuować.

HF: Podziękowała mi za to, że przyszłam. Zapytałam, czemu chciała się ze mną widzieć. Powiedziała, że mnie polubiła. Że według niej udowodniłam swoją wartość. Powiedziała... Naprawdę mam świetną pamięć, ale... chwileczkę. Powiedziała: „Po jakimś czasie robi się to nudne. Ciągłe podróżowanie tam i z powrotem, tam i z powrotem. O wiele lepiej być władczą marionetek niż marionetką. Niszczyć światy, a potem je od nowa budować. Puszcząć w ruch koła i patrzeć, jak się toczą”.

Przez jakiś czas, dość długo opowiadała tego typu bzdury. Jeśli mam być szczerą, to wszystko było trochę irytujące.

Czy wie pani, co miała na myśli?

HF: Uznałam, że mówi o swoich salonowych sztuczkach.

»Smith, Xavier L/ Rozmowa #3/ Strona 2

i jeszcze te wasze badania. Sprawdzaliście, czy nie mieliśmy w organizmach narkotyków? Halucynogenów?

Panie Smith, tak dla pewności, twierdzi pan, że nigdy nie wrócił do swojego domu?

XS: Nigdy nie wróciłem do domu! Zapytajcie moich cholernych sąsiadów. Nigdy nie zszedłem z tego pierdolonego statku. Kapitan z załogą nas porzucili, ludzie zaczęli panikować i uciekać, tylko po to, by zginąć w trakcie sztormu. A reszta... Celine przekonała nas, że doświadczamy czegoś, czego nigdy nie powinniśmy doświadczyć.

[Przesłuchiwanemu zostaje okazany czytnik e-booków, który według Madeleine Gardner został znaleziony w jego mieszkaniu]

Czy może pan wytłumaczyć, co to takiego, panie Smith?

XS: To Kobo. Można na tym czytać książki. Coś jak Kindle, tylko bardziej etyczny.

Panie Smith, czy miałby pan coś przeciwko odczytaniu jego zawartości? Jedynie pierwszej strony.

XS: Tak, miałbym.

[Przesłuchiwanemu okazana zostaje lista książek przechowywanych na urządzeniu rzekomo zabranym z jego mieszkania: *Od katastrofy do spisku Elspeth Martins, Czarny Czwartek i nie tylko* Cartera Edwardsa, *Prawda o Czarnym Czwartku* Ace'a Kelso i *Niebezpieczna wiara* Michaela Shermera.

UWAGA: Zostało ustalone ponad wszelką wątpliwość, że autorzy wymienionych książek nie napisali ani nie opublikowali takich materiałów]

XS: Nigdy przedtem ich nie widziałem.

[Rozmówca odmawia dalszych komentarzy]

[Rozmowa przerwana]

»Gardner, Madeleine/ Rozmowa #4/ Strona 7

zaciągnąć go z powrotem na statek. W tym momencie byłam całkowicie wyczerpana. Xavier wciąż powtarzał: „To się nie dzieje, to się nie dzieje”. Nie próbowałam się z nim kłócić. Bolały mnie plecy, umierałam z pragnienia. „Piękny Marzyciel” oddalił się od brzegu, a ja pamiętam dziwaczne uczucie paniki, że nie damy rady do niego dotrzeć. Po tym wszystkim, co na nim przeżyliśmy...! Boże...

W następnej kolejności wrócił Devi. Doszedł do kordonu, miejsca, o którym mówiłam, że przypomina jakąś wojskową blokadę. Mówił, że próbował użyć radia, że były tam telefony satelitarne i inny sprzęt różnego rodzaju, ale nic nie działało. Nie było sygnału.

Nikt nie mówił tego, co wydawało się oczywiste. Że takie zniszczenia nie mogły nastąpić w ciągu pięciu dni. Zniszczenia, których byliśmy świadkami, musiały być efektem wielomiesięcznej tragedii.

Lekarz wrócił sam.

[Rozmówczyni prosi o dziesięciominutową przerwę]

[Rozmowa przerwana]

»Trazona, Althea/ Rozmowa #4/ Strona 2

powiedziała tej starszej pani, że może odzyskać swojego męża. Że istnieją na to sposoby. Że może mieć wszystko, czego zapragnie. Że ktoś taki jak Helen może nauczyć się tego, co robiła pani del Ray. Wszyscy możemy. Trudno było zrozumieć coś z tego, o czym mówiła. Na przykład słyszałam, jak wyjaśnia, że wszyscy możemy wielokrotnie wracać statkiem, który sami sobie wybierzemy. Dla mnie to brzmiało jak religijne bajeczki.

Jak zareagowała pani Fall?

AT: Patrzyła na panią del Ray, jakby ta zwariowała. Może tak było. Albo jest. Lubiłam Helen i Elise. Bardzo sympatyczne pasażerki. Czyste. Ciche. Było mi przykro, że Elise umarła. Wtedy pani del Ray poprosiła, żebym zostawiła je same. Co też zrobiłam.

Dokąd pani poszła?

AT: Wyszłam na główny pokład. Ludzie sprząтали teren. Większość uczestniczyła w pracach, ale państwo Linemanowie, pasażerowie z mojego rejonu, siedzieli sami przy stoliku w barze Lido. Pani Lineman zawołała mnie po imieniu i zapytała, czy nie mogłabym pójść do ich kajuty i przynieść lekarstwa pana Linemana.

Jak pani zareagowała?

AT: Miałam ochotę powiedzieć im, żeby sami sobie poszli, ale wyglądali na tak bardzo zagubionych, że się zgodziłam. Los ich wystarczająco pokarał. Pan Lineman złamał rękę, a kobieta była bardzo blada, po twarzy non stop ciekły jej łzy. Po drodze do ich kajuty spotkałam Rogelia, jednego z moich krajanów. Bardzo się niepokoił o swojego przyjaciela, ochroniarza, który popłynął z innymi na stały ląd. Widziałam, że chce się wygadać. Pozwoliłam mu na to.

Wiedział, że to ja znalazłam ciało dziewczyny.

Kelly Lewis?

AT: Tak. Rogelio powiedział mi, że mężczyzna, który ją zamordował, jest zamknięty w kostnicy. Podobno Devi, ten ochroniarz, chciał, żeby mordercę tam zostawić, ukarać za to, co zrobił.

Jakie miała pani w związku z tym odczucia?

AT: Nie znałam tego mężczyzny. Rogelio martwił się o Deviego i o to, co będzie czuł, jeśli facet tam umrze. Tłumaczył, że Devi jest wrażliwy i mógłby się oskarżać i tego żałować, nawet jeśli tamten mężczyzna był gwałcicielem.

Zaproponowałam, żebyśmy zeszli i sprawdzili, czy gość żyje. Poszliśmy do kostnicy, a Rogelio zaczął walić do drzwi, żeby sprawdzić, czy ktoś odpowie.

Odpowiedział?

AT: Tak. Lekkim stuknięciem. Słabym. Nie słyszałam, żeby ktoś krzyczał czy cokolwiek w tym stylu, ale facet najwyraźniej wciąż był żywy.

Co potem?

AT: Powiedziałam Rogeliewi, żeby na mnie tam poczekał, i poszłam zapytać panią del Ray, co powinniśmy z nim zrobić. Zostawić go w środku czy wypuścić.

Co powiedziała?

AT: Że to Rogelio powinien podjąć decyzję, czy chce, żeby ktoś taki do nich dołączył.

Czy zapytała pani, co przez to rozumie?

AT: Nie. Rogelio i ja długo rozmawialiśmy o tym, co zrobić. Devi dał Rogeliewi swój paralizator i ten trzymał go przed sobą, kiedy otwierałam włącznik. Ależ tam był smród! Myślałam, że zwymiotuję. Mężczyzna zrobił pod siebie, jęczał, pocił się i opowiadał różne bzdury. Próbował się wydostać i wtedy Rogelio go poraził. Facet zadrzał jak marionetka i wydawało się, że stracił przytomność.

Z trudem go stamtąd wyciągnęliśmy. Przez pół drogi musieliśmy go ciągnąć. Był ciężki. Ale kiedy doszliśmy do I-95, skorzystaliśmy z wózka z izby chorych.

Dokąd chcieliście go zabrać?

AT: Wiedziałam, że członkowie załogi otworzyli rampy towarowe.

To było proste. Rogelio chwycił go za nogi, ja za ręce i zanieśliśmy go na koniec rampy. Jęczał, a Rogelio myślał, że ponownie będzie musiał użyć paralizatora, potem jednak facet zamilkł. Wepchnęliśmy go do wody.

Chciałabym wyjaśnić, że nie mieliśmy zamiaru tego mężczyzny zabijać. Nie był martwy, kiedy wrzuciliśmy go do wody. Zasłużył na szansę przeżycia. Każdy zasłużył. Mógł się obudzić i popłynąć. Ale przyznam, że nie sprawdziliśmy, czy tak zrobił. Być może nie chcieliśmy wiedzieć. Nie byliśmy daleko od brzegu. A przynajmniej dzięki temu, powiedział Rogelio, Deviego nie będzie prześladował duch tego mężczyzny i jego własne sumienie. Powiedział, że Devi uzna, że uciekł i rzucił się za burtę. W ten sposób nie będzie siebie obwiniał.

Co potem?

AT: Było coś, co musiałam zrobić. Musiałam kogoś znaleźć.

Kogo?

AT: Trining. Jedną z pokojówek. Myślałam, że może wciąż jest na pokładzie.

Znalazła ją pani?

AT: Nie. Ale obiecałam sobie, że będę dalej szukać. Pani del Ray powiedziała, że nie ma już jego – jej – na statku, ale nie zawsze wierzyłam w to, co mówi. Musiałam się upewnić.

Dlaczego nie opuściliście Miami i nie pojechaliście w głąb lądu, żeby upewnić się, czy gdzieś nie przetrwało życie?

MG: Ponieważ zaczynało nam brakować powietrza. A poza tym było oczywiste, że życie nigdzie indziej nie przetrwało. Destrukcja na takim poziomie nie mogła się wydarzyć w izolacji. Miała rozmiary... Już wam mówiłam, jak źle to wyglądało.

Jak zareagowali pozostali pasażerowie, kiedy opowiedzieliście im o swoim odkryciu?

MG: Niezbyt dobrze. Ten zaszczyt przypadł mnie i Deviemu. Jak tylko wróciliśmy na statek, Xavier zniknął i zamknął się w kajucie Celine. Nie mogłem sobie poradzić z tym, co zobaczył. Jesse również nas opuścił. Był załamany, że zostawił pielęgniarza samego i nie próbował go powstrzymać. Tak, czyli Devi i ja zrobiliśmy, co w naszej mocy, ale ludzie nam nie uwierzyli. Nie widzieli tego, co widzieliśmy my, upierali się więc, że się mylimy, że to stało się niedawno, podczas gdy byliśmy na morzu, i to dlatego nikt nie przybył nam z pomocą. Kilkoro z nich – szczególnie Jacob – strasznie się na nas wściekło. Celine tylko słuchała z irytującym uśmiechem.

Jak pani wyjaśni to, co widziała w Miami, pani Gardner?

MG: Istnieje tylko jedno wyjaśnienie, do tego całkowicie idiotyczne. W jakiś sposób zawinęliśmy do... Nie wiem. Innej wersji rzeczywistości. W której świat został dotknięty kataklizmem. Świat z historią, która nigdy się nie wydarzyła. Celine – albo statek – zabrała nas gdzieś indziej. Tak. Wierzcie mi, wiem, jak to brzmi.

Jaki był dalszy przebieg wypadków?

MG: Odezwała się Celine, zaserwowała kolejne kazanie. Mówiła, że musimy przenieść się gdzieś, gdzie będzie można żyć, aż martwe ciała się rozłożą i przestaną stanowić zagrożenie dla zdrowia. I, co za niespodzianka, wiedziała

dokładnie, dokąd powinniśmy się udać.

Zaplanowała wszystko w najmniejszych szczegółach.

O jakie miejsce chodziło?

MG: Prywatną wyspę Foverosa. Senną Rafę. Zatrzymaliśmy się tam drugiego dnia rejsu. Celine – stara Celine – upiła się tam w barze na plaży.

Dlaczego akurat tam mielibyście popłynąć?

MG: Według Celine na tej wyspie mieszkało niewiele osób, a zatem pozbycie się ciał nie wymagałoby wiele pracy. Wyspa była wystarczająco duża, żeby nas wszystkich pomieścić, i znajdowało się na niej sporo źródeł pożywienia. Wszędzie konie i kury. Na plaży bar wystylizowany na piracki statek. Rybołówstwo. Nie zapomnijmy też o ogromnym sklepie wolnoctwowym. Jeśli miałeś gdzieś spędzić wieczność, to właśnie tam. Wszystko przygotowane.

»Zimri, Jesse C/ Rozmowa #4/ Strona 2

JZ: Czułem się jak *kak*. Gorzej. Nie mogłem uwierzyć, że pozwoliłem Binowi odejść. Znaczący, facet nie powinien w ogóle z nami płynąć. Ale wciąż gadał o tym, że chce wrócić do rodziny, chociaż pojęcia nie mam, jak niby miałyby tego dokonać. Może po prostu nie mógł znieść myśli o powrocie na statek. Cała afera ze „zmartwychwstałą dziewczyną w kostnicy” mocno go wystraszyła, a pasażerowie w trakcie całego zamieszania traktowali nas jak gówna. Mimo to powinienem go powstrzymać.

Kiedy wróciliśmy... Niech to szlag. Kiedy wróciliśmy, poszedłem do izby chorych, sprawdzić, czym jeszcze mógłbym się naćpać. Nie chodziło tylko o Bina. Nie rozumiałem, jak mogło do tego wszystkiego dojść. Ciała, destrukcja. To wszystko było... Chryste. Nie wiem.

Zanim udało mi się dorwać do Demerolu, znalazł mnie Baci. Był w kiepskim stanie. Został przy Alfonsie, kiedy inni członkowie załogi opuścili statek, i pytał, czy widziałem jakieś ślady łodzi ratunkowych. Skłamałem, że nie. Powiedziałem mu, że podjął właściwą decyzję, zostając na statku. W tym wypadku również skłamałem. Powiedział, że Alfonso był w znacznie lepszym stanie psychicznym i że „ciemna postać” – duch, diabeł, czymkolwiek było to, co pojawiała się w jego halucynacjach – odeszła.

Pojawił się jeden z inżynierów. Szukał Baciego. Przekazał mu, że Celine chce z nim rozmawiać. Brzmiało to tak, jakby planowali podróż do innego portu. Zanim wyszli, usłyszałem, jak dyskutują o wskaźnikach paliwa i zasilania i bla, coś tam, bla. Nie obchodziło mnie, dokąd płyniemy. Miałem inne plany.

Mianowicie?

JZ: [**Śmiech**] Odciąć się od wszystkiego za pomocą wiedzy medycznej. Udało mi się, nie powiem. Następne, co pamiętam, to kilku wielkich żołnierzy z piechoty morskiej wnoszących mnie na pokład helikoptera.

To wszystko. To wszystko, co mam do powiedzenia.

I podtrzymuje pan swoją wersję wydarzeń, doktorze Zimri?

JZ: Opowiadam wam o tym, co przeżyłem. Tylko tyle i aż tyle. Od was

zależy, czy uwierzycie słowom narkomana.

[Rozmowa przerwana]

»Fall, Helen/ Rozmowa #4/ Strona 2

do apartamentu. Przygotowałam ciało Elise. Umyłam je. W pewnym sensie to mi pomogło.

Jak długo pozostała pani w apartamencie?

HF: Dopóki nie wyważono moich drzwi i nie zobaczyłam tłoczących się przed nimi mężczyzn w czarnych mundurach SWAT. Wzięto mnie na pokład helikoptera, gdzie zobaczyłam Altheę i Maddie. Było mi bardzo żal Althei. Wpadła w histerię, wtedy jeden z waszych medycznych osiłków podał jej coś na uspokojenie. Maddie nie odzywała się, ale się uśmiechała. Nie był to uśmiech ulgi spowodowany tym, że byliśmy uratowani. Ja... nie potrafię go tak naprawdę opisać. Powiedziała, że wcześniej pukała do moich drzwi i uznała, że wraz z Elise opuściliśmy statek. W pewnym sensie miała rację. Jedna z nas opuściła statek. Przynajmniej duchem.

To wszystko, co mogę wam powiedzieć. I nie, nie mam zamiaru dalej spekulować na temat Celine del Ray. I tak to już bez znaczenia, co powiem.

Może pani wyjaśnić, co ma pani na myśli?

HF: Wiecie, co mam na myśli. Zlikwidujecie nas. Nie pozwolicie nam odejść. Jesteście na to za bystrzy. Nie jesteśmy terrorystami. Nie stanowimy zagrożenia. Ale istnieje powód, dla którego nas nigdy nie wypuścicie.

A powodem tym jest?

HF: To nie ma znaczenia.

Co nie ma znaczenia?

HF: To wszystko. Ta szarada. Można wierzyć w niebo lub piekło, a można w nirwanę lub Narnię albo w to, że po śmierci niczego nie ma. Właśnie to jest dla was istotne. Dlatego tu jesteśmy, prawda? Być może ktoś opíše tę historię, naszą historię, a ludzie nie uwierzą. Co jednak będzie, jeśli uwierzą? Jak myślicie, jak zareagują, jeśli ktoś im to odbierze? Jeśli dostaną dowód?

Dowód na co, pani Fall?

HF: Że nie mamy nad niczym kontroli. Nad życiem, nad śmiercią. Że jesteśmy manipulowani, oszukiwani. Jestem racjonalną osobą, ale na tym statku widziałam rzeczy, które nie mogą – i nie powinny – mieć miejsca.

I... wciąż się zastanawiam... A jeśli ona ma rację? A jeśli to się nigdy nie kończy? A jeśli śmierci nie ma? Skoro nie wierzę w to, co widziałam, dlaczego tak bardzo boję się umrzeć?

[Rozmowa przerwana]

»Gardner, Madeleine/ Rozmowa #6/ Strona 3

Jak długo zabrało nam dotarcie na miejsce? Niedługo. Po drodze widzieliśmy inne oznaki zniszczenia. Na wpół zatopione tankowce, dwa wycieczkowce w oddali, oba wyglądały, jakby miały za chwilę wyzionąć ducha. Baci i załoga kierujący statkiem nie potrafili podплыnąć pod samą wyspę i Celine oznajmiła, że będzie trzeba użyć statku pomocniczego w celu przetransportowania ludzi na brzeg. Powiedziała ludziom, by zebrali wszystko, co uważają za niezbędne, i udali się na pokład towarowy.

Próbowałam namówić Xaviera, żeby wyszedł z pokoju, ale powiedział mi: „Odpierdol się, to się nie dzieje naprawdę”. Nie miałam pojęcia, że Helen wciąż jest na pokładzie. Mam z tego powodu wyrzuty sumienia.

Przyjaciele natychmiast wszystkich zorganizowali. Ludzie sobie nawzajem pomagali. Kilkoro pasażerów odniosło podczas sztormu obrażenia – na przykład to małżeństwo z pokładu Celine – a zadaniem Eleanor było zaprowadzenie ich tam w pierwszej kolejności i zapewnienie im komfortu. Na pokładzie zostało jeszcze kilka nadmuchiwanych szalup, więc niektórzy członkowie załogi spuścili je na wodę i w nich próbowali dostać się na wyspę.

Czułam się trochę odizolowana. Prawie wszyscy trzymali się od nas na dystans z powodu tego, co Devi i ja opowiedzieliśmy im po powrocie z Miami. Devi popłynął na wyspę jako jeden z pierwszych. Wyglądał... Nigdy go bliżej nie poznałam, ale wydawał się szczęśliwy. Znał prawdę, wiedział, że świat, w którym funkcjonujemy, nie należy do nas, ale nawet gdyby otrzymał możliwość wyboru, jaką ja dostałam od Celine, mam wrażenie, że i tak by został.

Celine zapytała Jimmy’ego i Annabeth, czy zniosą jej wózek. Potem poprosiła, żebym pomogła jej zejść po schodach.

I zrobiła to pani?

MG: Tak. Myślę, że chciała zostać ze mną sam na sam – porozmawiać w cztery oczy. I powiedziała, że nie muszę płynąć z nią na wyspę. Że mogę zostać na statku i zaryzykować.

Potem powiedziała, że jeśli chcę, mogę „wrócić”.

Co miała na myśli?

MG: Tego nie sprecyzowała. Ale to dość oczywiste. Mówiła albo o zniszczonym Miami, albo o powrocie do domu. Tutaj.

Powiedziałam „tak”. Że zaryzykuję. W ogóle się nie wahałam.

Druga opcja – wieczność spędzona w towarzystwie Przyjaciół, jakkolwiek słodcy by byli, w olbrzymim sklepie wolnoctwowym – nie wchodziła w rachubę.

Jak zareagowała?

MG: Była zadowolona. Nie wiem, czy na pewno wiedziała, kto jeszcze został na statku. Byłam w szoku, kiedy na pokładzie helikoptera ratunkowego zobaczyłam Altheę i Helen. Wiedziałam, że Xavier był w apartamencie Celine, ale myślałam, że wszyscy pozostali opuścili statek.

W jaki sposób miał się odbyć pani powrót?

MG: Powiedziała, że każe Alfonsowi i Baciemu zawrócić. A reszta zależy ode mnie.

Kiedy ostatni Przyjaciele odpłynęli, Baci uruchomił silniki. Myślałam, że też zostanie na statku, ale nie został. Statek pomocniczy popłynął wzdłuż burty i choć nie widziałam, jak to zrobił, on i pozostali członkowie załogi, których obecność była niezbędna do sterowania statkiem, musieli na niego wskoczyć z rampy towarowej.

Została pani na statku, na którym nikt nie kontrolował prędkości i kierunku?

MG: Tak. Wiem. To wygląda jak chęć popełnienia samobójstwa.

Czy Celine powiedziała pani coś, zanim udała się pani na wyspę?

MG: Nie. Nawet „do widzenia”.

Dlaczego panią odesłała?

MG: Nie wiem. Chciała, żebyśmy opowiedzieli o tym, co widzieliśmy?

Czy Celine powiedziała pani, dlaczego do tego „przedsięwzięcia” wybrany został „Piękny Marzyciel”?

MG: Tak. Zapytałam ją o to, kiedy zaproponowała mi powrót. Powiedziała, że mógł to być każdy inny statek. Łódź pełna kubańskich uchodźców. Okręt somalijskich piratów. Boeing 767 zapakowany ludźmi dolatującymi do pracy. Ale tutaj, oznajmiła, miała szansę na większy ubaw. „Dzięki temu mam wakacje bez końca”.

Co lub kto, pani zdaniem, przejęło kontrolę nad Celine?

MG: Wyjawiała mi, czym się stała. Tuż po sztormie. Stwierdziła, że kiedyś była taka jak my. Że nie umieramy. Przechodzimy dalej. Śmierci nie ma. Powiedziała, że jedyna różnica między nią a nami wszystkimi polega na tym, że ona potrafi zdecydować, kiedy chce wrócić. Mówiła, że ona to my. Każdy z nas. Mówiła, że już to wcześniej robiła. Niezliczoną ilość razy. Powiedziała, że zrobią to jeszcze raz.

Oni?

Tak. Oni.

[Rozmowa przerwana]

Rozumiemy, że uważa pan, jakoby padł ofiarą zbiorowej halucynacji, panie Smith. Bylibyśmy wdzięczni, gdyby podzielił się pan z nami opinią na temat tego, czym była ta halucynacja.

XS: Kurczę. Okej. Halucynacja polegała na tym, że Celine w jakiś sposób przeniosła statek do innej rzeczywistości. Jakiejś koszarnej rzeczywistości.

Hipotetycznie rzecz ujmując, jak miałyby to osiągnąć?

XS: Skąd, do diabła, mam wiedzieć? Nawet hipotetycznie nie sędzę, żeby przeniosła statek za pomocą potęgi swojego umysłu. Może te oszołomy mają rację, może naprawdę zniosło nas do Trójkąta Bermudzkiego, czy jak tam chcecie to nazywać.

Hipotetycznie rzecz ujmując, co było jej intencją?

XS: Czy to nie oczywiste? Świat, do którego nas zabrała, był martwy. A „Piękny Marzyciel” był jej arką Noego.

[Rozmówca się śmieje]

[Rozmowa przerwana]

»Trazona, Althea/ Rozmowa #6/ Strona 3

Przyszli i znaleźli mnie w mojej kajucie. Ci mężczyźni. Żołnierze. Właśnie wtedy dowiedziałam się, że pani del Ray opuściła statek. Powiedziała mi, że dostanę to, czego chcę, ale kłamała. Wykorzystała mnie.

Według pani, kim lub czym była Celine del Ray?

AT: Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Zwykła stara kobieta wykorzystująca innych. Trining twierdziła, że del Ray jest diabłem.

Wierzy pani w to?

AT: Nie. Jak na diabła była zbyt okrutna.

[Rozmówczyni milczy przez kilka sekund]

AT: Jeśli już kimś miałyby być, to Bogiem.

Uwięziona

Już za późno. Za późno się zdecydowała. Gdyby tylko podjęła tę decyzję wczoraj, może miałaby szansę, żeby się stąd wyrwać. Wmawiała sobie, że „wytrzyma jeszcze jeden dzień”, odkąd się tu znalazła dziesięć dni temu. Nie chodziło o godziny ani o miasto, ani o pracę, ani o samotność. Chodziło o dziecko. Cholerne, przeklęte dziecko. Gryzie pomarszczoną skórę wokół kciuka, aż poczuje krew, nawyk, który, tak jej się przynajmniej wydawało, porzuciła wiele lat temu, i znowu przegląda strony internetowe.

Fora Reddit i Zoop szaleją, a ona przeskakuje od jednego linku do drugiego, wbrew wszystkiemu z nadzieją, że samolot po prostu ma kłopoty. Być może wylądował na jakimś nieznanym pasie startowym. Albo się rozbił. Nawet to byłoby lepsze. Wciąż jednak nie ma żadnych doniesień o jakichkolwiek szczątkach. To stało się w błyskawicznym tempie. Był na radarach i nagle zniknął, nie ma go. Puf! Drugi w ciągu miesiąca, tyle że tym razem to nie lokalny lot Chińskich Linii Lotniczych, ale Airbus wiozący pasażerów – głównie Amerykanów i Brytyjczyków – z Heathrow na JFK.

Przegląda tytuły, czasami włączając dźwięk. Trudno nadążyć za wszystkimi teoriami: terroryzm, efekt Trójkąta Bermudzkiego, początki apokalipsy, ekolodzy strącający samoloty z nieba. Każdy, wliczając psy, ma teorię, tak jak wtedy, kiedy ci wszyscy ludzie zniknęli z wycieczkowca cztery lata temu – a oszołomy cały czas drąży temat. Miała przez jakiś czas chłopaka, który święcie wierzył w te bzdury o rozbitkach.

Jeszcze raz szuka lotów do Londynu. Potem do Europy. Nic. Według CNN ruch lotniczy został zawieszony „do odwołania”. Czy mogłaby wrócić do domu statkiem? Wyobraża sobie siebie, jak łapie okazję na trawlerze – jako pokojówka. Googluje rejsy z Nowego Jorku do Europy, ale nawet te najtańsze są poza jej zasięgiem, a na następny miesiąc nie ma wolnych miejsc. Nie ma pieniędzy, żeby znaleźć hotel lub mieszkanie – wysłała e-maile do znajomych, ale w ten sposób da radę zebrać kilkaset funtów, o wiele za mało, żeby móc zapłacić za czynsz albo wpłacić kaucję, zanim zdobędzie inną pracę.

Na tę chwilę znalazła się w pułapce.

Wstaje, przeciąga się. Przesuwa stopami w skarpetkach po gładkiej drewnianej podłodze. Na kominku stoi tylko jedno zdjęcie: Joshua w wieku niemowlęcym. Wygląda słodko, opatulony w jasnoniebieski kocyk, wystający

znad becika. Nie ma zdjęć w wieku starszym niż dwa lata. Nie wie, skąd go wzięli, czy go adoptowali przez agencję, czy skorzystali z pomocy matki zastępczej. Nie powiedzieli jej, a ona nie potrafi zapytać. Desiree i Marcus. „Kur zapiał”, jak nazwałaby takich jak oni jej mama: *Kurwa, ale jestem zajebisty, podziwiającie mnie*. Marcus, biochemik; Desiree, psychiatra. Są dokładnie tacy, jak mogła się spodziewać, oglądając filmy o Nowym Jorku: ekskluzywna kamienica w dzielnicy Brooklyn Heights, oboje w świetnej formie, ze lśniącymi włosami, mówią szybko i prawie nigdy nie ma ich w domu. A ona nie jest ich pierwszą *au pair*. Pewnej nocy podsłuchiwała, jak o tym rozmawiali. Ta przed nią – Clara z RPA – wytrzymała całe trzy dni.

Usłyszała sygnał budzika. Zbliża się pora na lekcję gry na pianinie. Bierze głęboki wdech, a potem wbiega na piętro. Desiree i Marcus zrobili wszystko, żeby dni małego wypełnione były zajęciami. Kurs dla młodych Einsteinów, lekcje pływania, francuski. Desiree wymknęło się, że raz w tygodniu przychodziła Filipinka uczyć go tagalogu, „żeby nie stracił kontaktu ze swoją kulturą”. Nie wspomniała, dlaczego lekcje się skończyły. Nauczycielka gry na pianinie, krucha kobieta z Europy Wschodniej, która budzi w Tracey niemal taką samą grozę jak Joshua, to jedyna jak dotychczas poznana przez nią osoba, na której dziwactwa chłopca nie robią wrażenia.

– Cześć, Joshua! Chodź, już prawie pora na twoją lekcję pianina. – Nienawidzi przejęskrawionego tonu głosu, którym się do niego odzywa.

– Jesteś gotowy?

Posyła jej jedno z tych swoich spojrzeń w stylu „A ty co, głupia”? Jest już ubrany, siedzi na łóżku i czeka na nią. Próbowwała skonkretyzować, co sprawia, że jest taki odpychający. Nie chodzi tylko o to, że nigdy się nie uśmiecha. Jest w nim jakiś ciężar, jakby cały czas ją po cichu oceniał. Dzieciaki z sąsiedztwa też są wobec niego nieufne. Próbowwała dogadywać się z innymi *au pair* i opiekunkami, tworzącymi małym klubik wokół ławek w parku, ale trzymają się od niej z daleka. Wie, że nie powinna brać tego do siebie. Nie chodzi o nią, boją się, że ich podopieczni dadzą się wciągnąć w zabawę z Joshuą. Zawsze kiedy idą do parku, on w końcu bawi się sam. Choć tak naprawdę nigdy się nie bawi – tylko obserwuje, z tym swoim lekko ironicznym krzywym uśmiechem.

To był jej trzeci dzień, nie wytrzymała i Marcus przyłapał ją, jak płacze w kuchni. Zwierzył się jej, że do trzeciego roku życia Joshua prawie cały czas płakał. Nagle, pewnej nocy, po prostu przestał. Jakby ktoś mu w środku coś przełączył. Marcus zaśmiał się smutno i powiedział, że nie wie, co jest gorsze, ciągły płacz czy to, jaki jest teraz. Tracey ma wrażenie, że od tego czasu jej unika.

Wyprowadza Joshuę przed drzwi frontowe, a w momencie, kiedy wchodzi

na pierwszy stopień, zaczyna mżyć.

– Ale wstrętny dzień! – świergocze. On stoi bez ruchu, a ona zakłada mu rękawiczki. – Ciepło ci, Joshuo?

– Tak.

– To co, idiemy?

– Tak.

– Dobrze.

Wchodzą na chodnik i właśnie wtedy zaczyna coraz mocniej lać. Jesień w Nowym Jorku. Ciężkie, nisko wiszące chmury. Nie miała nawet okazji pojechać na Manhattan. Dłoń chłopca w jej ręku jest jak mały, niemły w dotyku kawałek drewna. Wcześniej, kiedy brała jego małomówność za nieśmiałość, zagadywała go za każdym razem, kiedy wyszli z domu: „Patrz! Piesek”, albo: „Ktoregoś dnia musimy pójść do muzeum”, ale tym razem daje sobie spokój. W milczeniu przechodzą pięć przecznic w stronę Fulton, a jej tanie kozaczki depczą śliskie śluzowate liście.

Na przejściu dla pieszych czekają, aż zapali się zielone światło, i prędko przechodzą na drugą stronę wraz z resztą tłumu próbującego uciec przed deszczem.

Mijają butik, w którym ciuchy kosztują więcej niż wynosi jej miesięczna wypłata, i delikatesy z kołami sera na wystawie.

– Prawie jesteśmy! – podśpiewuje, żałując, że nie może po prostu dać sobie spokój i zapomnieć o nim.

Tracey zwykle czeka, aż dzieciak skończy swoją lekcję, w Starbucksie na głównej ulicy, co nieoczekiwanie staje się najlepszą chwilą jej tygodnia. Skręcają. Kobieta w wysokich czarnych butach i za dużym wełnianym berecie artystycznie umieszczonym na równo podciętych włosach krąży wokół nich, patrząc na Joshuę z wyrazem twarzy typu: „ooo, ale jesteś śliczny”. Rzeczywiście chłopczyk wygląda ślicznie w bucikach z Baby Gap i płaszczku w stylu misia Paddingtona. Kobieta przechodzi przez ulicę, unosząc rękę i zatrzymując zbliżającą się ciężarówkę. Tracey czuje ukłucie zawiści, żałuje, że sama nie ma tyle pewności siebie, żeby zatrzymać ruch uliczny. Ciężarówka daje po hamulcach, pozwalając jej przejść, ale kobieta nie widzi jadącego za samochodem motocykla. Silnik łapie wysokie obroty, mijając ciężarówkę. Wszystko dzieje się, jak zwykle w takich okolicznościach, w zwolnionym tempie. Motocykl ostro hamuje, próbuje ominąć kobietę, chwieje się, a potem traci równowagę i wpada w poślizg, uderzając w nogi kobiety. Przez ułamek sekundy jej oczy spotykają się z oczami Tracey – *to się nie może dziać* – a potem: łup!

Tracey ściska dłoń Joshuy i odciąga go na bok.

– Nie patrz tam! – krzyczy. – Nie patrz.

Próbuje się powstrzymać, ale nic nie poradzi na to, że gapi się na miazgę w miejscu, w którym powinna być głowa kobiety i... i... na coś, co roztrzaskało się na chodniku. Zaciąga Joshuę do Starbucksa i pada przed nim na kolana, czując, jak wilgoć przesiąka przez jej džinsy. Kawiarnia wypełnia się gapiami. Niektórzy przepychają się w kierunku drzwi, wpatrzeni w ekrany swoich smartfonów w żelowych obwolutach. Filmują masakrę.

Strzepuje krople deszczu z płaszczyka Joshuy. Na twarzy dzieciaka nie widać żadnych emocji.

– Joshua. Nic ci nie jest?

Kręci głową. Tracey bierze jego rękę w rękawiczce w swoją, zastanawia się, co powiedzieć, i w końcu bełkocze:

– Ta pani, która upadła, tylko śpi. Karetka za kilka minut przyjedzie i nic jej nie będzie, zobaczysz.

Patrzy na nią oczami tak pełnymi pogardy, że puszcza jego rękę i wyciera swoje o džinsy. *To dzieciak, to zwykły dzieciak.*

– Ona nie śpi – mówi chłopak. – Ona nie żyje.

– Nie możemy być tego pewni, Joshuo.

– Tak, możemy. Ale nie martw się. – Mały uśmiecha się leniwie. – Wiedz to. Śmierci nie ma.

A potem się śmieje.

Podziękowania

Ogromne podziękowania należą się mojej cudownej pani redaktor, Anne Perry, i nadzwyczajnemu agentowi, Oliemu Munsonowi, za ich nieskończoną cierpliwość i wsparcie: oboje jesteście wielcy. Lauren Beukes, Kate Sinclair, Alan Kelly, Paige Nick, Helen Moffett oraz Alan i Carol Waltersowie byli tak uprzejmi i przeczytali powieść zaraz po jej ukończeniu, dzieląc się cudownymi opiniami, radami i dając kopniaki w tyłek wtedy, kiedy najbardziej ich potrzebowałam. Dziękuję wam wszystkim.

Mam również dług wobec Bena Summersa, Becky Brown, Vickie Dillon, Hélène Ferey, Jennifer Custer, Veronique Norton, Jasona Bartholomew, Conrada Williama, Olivera Johnsona, Reagan Arthur i ciężko pracujących ludzi z działów reklamy i produkcji w wydawnictwach Hodder & Stoughton i Little, Brown.

Większość osób, które wspaniałomyślnie podzieliły się ze mną informacjami na temat branży rejsów wycieczkowych i/lub wiedzą ekspercką o wszystkim, co marynistyczne, prosiła o niewymienianie ich tu z imienia i nazwiska (głównie dlatego, że pracują w branży rejsów wycieczkowych). Wiecie, że to o was mówię, i jestem ogromnie wdzięczna za poświęcony mi czas i waszą dobroć. Wszystkie błędy są moje.

Charlie Martins i Savannah Lotz cierpliwie znosili trudy czytania nieskończonej liczby wersji roboczych i to, że byli budzeni o trzeciej rano odgłosem bulgotu ekspresu do kawy. Jak zawsze: dziękuję wam, że jesteście po mojej stronie.